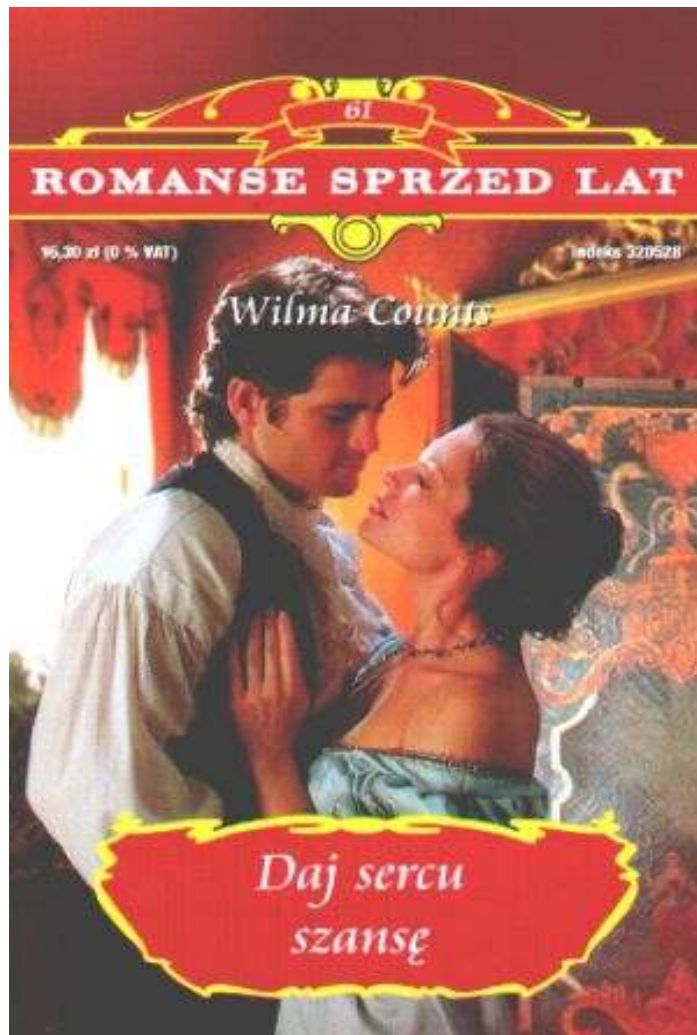


Wilma Counts

**Daj sercu
szansę**

Z angielskiego przełożyła
Dorota Strukowska

POL-NORDICA
Otwock



61

ROMANSE SPRZED LAT

96,20 zł (0 % VAT)

Indeks 320528

Wilma Counts

*Daj sercu
szansę*

Prolog

Północna Anglia, 1808

- Czy ty, Rachel Alison Cameron, bierzesz sobie Edwina Michaela Brady'ego za swego prawowicie ci poślubionego małżonka...?

Pastor wypowiedział śpiewnie formułę do końca, podczas gdy Rachel ukradkiem zerkała na przystojnego, ciemnowłosego mężczyznę, stojącego obok niej. Pan Brady - Edwin - był taki troskliwy, taki czarujący. Jednak wciąż przesywał ją lęk. Czy wszystko dobrze się ułoży? Czy dane jej będzie błogosławieństwo małżeństwa tak dobrego, jak związek jej rodziców?

Rzuciła okiem na krepą sylwetkę swego wuja, stojącego za Edwinem, i poczuła obecność ciotki u własnego boku. Państwo Brockton stanowili jedyną rodzinę, jaką miała, i oni chcieli tego małżeństwa. Czyż ciotka Jessie nie wychwalała pod niebiosą pana Brady'ego - sierżanta Brady'ego - już od tygodni? Taki przystojny, taki czarujący, taki miły, Rachel jest w czepku urodzona. I tak dalej, w kółko.

Tak, z pewnością posiadał on wszystkie te cechy, Rachel jednak żałowała, że nie mieli czasu poznać się nawzajem nieco lepiej. Ale Edwin wyjeżdżał, by podjąć służbę w nowym miejscu, i ciotka Jessie nalegała, żeby ślub odbył się niezwłocznie. Rachel bardzo dobrze wiedziała, że jej ciotka i wuj będą aż nadto szczęśliwi, pozbywając się ciężaru, którego nigdy nie chcieli.

- Panno Cameron? - zapytał zachęcająco pastor, a ciotka bezpardonowo szturchnęła ją łokciem w bok.
Rachel znów skupiła się na słowach kapłana.

- Och. Ja... ja... tak, biorę.

A więc jednak. Zrobiła to. Tylko czy chciała tego naprawdę?

Przygotowaniami do wesela zajęła się ciotka Jessie. Nalegała przy tym na uzyskanie specjalnego zezwolenia, by ślub mógł się odbyć w gospodzie zamiast w kościele, i to bez wymaganego trzytygodniowego okresu na zapowiedzi. I tak Rachel i Edwin stanęli teraz w najlepszej sali w „Czarnym Łąbodziu”, żeby złożyć przysięgę małżeńską.

Jak większość dziewcząt, Rachel od dawna marzyła, by wyjść za mąż i mieć własną rodzinę - kiedyś w przyszłości, gdy będzie dorosła. Marzenie zawsze było mgliste - „kiedy będę dorosła, chcę zostać...” A teraz, w wieku siedemnastu lat, wydawało jej się, że jest dorosła. Dlaczego więc nie czuła się szczęśliwa? Dlaczego z taką nieufnością patrzyła w przyszłość?

Pastor monotonicznie wypowiedział ostatnie słowa, obrączka znalazła się na palcu Rachel, a odpowiednie dokumenty zostały podpisane.

- No cóż! - Jej wuj klepnął Edwina po ramieniu. - Gratulacje, mój chłopcze.

Ciotka Jessie pochyliła się, by pocałować Rachel w policzek.

- Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa, dziecko.

Nigdy wcześniej panna młoda nie doznała tyle ciepła od przyrodniej siostry swego ojca.

Dziewczyna nie miała złudzeń - jej szczęście nie było najważniejszą rzeczą, o jaką troszczyłaby się ciotka. W ciągu ostatnich trzech lat ciotka Jessie jawnie okazywała, jakim ciężarem jest dla niej sprawowanie opieki nad osieroconą córką przyrodniego brata. A poza tym, czyż nie miała własnej córki prawie w tym samym wieku?

- Nawet mowy nie ma, żeby ta wielka, gruba Leah mogła zabłysnąć przy pannie Rachel

Rachel była zakłopotana, kiedy niechący usłyszała, co jeden z chłopców stajennych z gospody mówi do pokojówki.

- Jasne! Ale lepiej niech pani Brocktonowa nie słyszy, co ty wygadujesz! - odparła pokojówka. - Ona świata nie widzi poza tym swoim „aniołkiem”.

- No pewnie. Im prędzej pozbędzie się stąd panny Rachel, tym prędzej jakiś dżentelmen rzuci łaskawym okiem na tego jej „aniołka”.

Pokojówka zaczęła się śmiać i po chwili oboje odeszli. Rachel odgarnęła z policzka pasemko włosów i spojrzała na kobietę w średnim wieku, która przychodziła tu raz w tygodniu, żeby pomagać przy praniu. Obie pracowały wspólnie w mroźny lutowy poranek.

-Joey ma rację, wiesz o tym - stwierdziła pani North rzeczowym tonem.

Rachel poczuła, że się rumieni. Uniosła ręce, czerwone od wykręcania prześcieradeł z zimnej wody w nieogrzewanej szopie-pralni, i wskazała dłonią na swoją wyblakłą i znoszoną sukienkę i zdarte buty.

- Nawet gdyby miał rację, to wątpię, czy ktoś taki może przyciągnąć mężczyznę godnego uwagi. - Rachel szczerze wierzyła w to, co mówi. - Leah jest tęższa ode mnie, ale ma śliczną cerę i blond włosy. Jest całkiem ładna, jak mi się zdaje.

Pani North zmarszczyła nos.

- I kompletnie rozpuszczona przez swoją mamusię. Po czekaj. Jeszcze ci się poszczęści z tymi twoimi ciemnymi włosami i wielkimi oczyma.

Rachel nie wiedziała dlaczego, ale wkrótce po tej rozmowie ciotka zdecydowała, że bratanica nie będzie się już zajmować praniem, kuchnią i domem. Teraz miała obsługiwać gości w gospodzie. Co więcej, ciotka uznała także, że Rachel powinna lepiej się ubierać, i pewnego dnia sama pokazała jej nowy przyodziewek.

- Czy to nie jest... ehm... za bardzo głęboko wycięte z przodu? - zapytała niepewnie Rachel, czując, że zadawanie pytań ciotce to niemal zuchwałość z jej strony.

- Przestań być taką świętoszką - powiedziała ciotka Jessie, energicznie poprawiając dekolot sukienki, by ukazywał więcej, i ściągając tasiemki w talii, żeby podnieść wyżej piersi dziewczyny. - Mężczyźni lubią wiedzieć, co kobieta ma do zaoferowania.

- Ale ja nie... - zaczęła Rachel.

Ciotka Jessie przerwała jej.

- Nie waż się sprzeczać, słyszysz? Jak inaczej myślisz znaleźć

sobie męża? Mimo wszystkich twoich fochów nie jesteś jakąś damą z towarzystwa z posagiem. A nie możesz oczekiwać, że będziemy cię tu utrzymywać i nadskakiwać ci do końca świata.

Rachel w milczeniu przełknęła gniew, choć dobrze wiedziała, że dawno już odpracowała swój pobyt u ciotki.

Obecna przy tym kuzynka Leah, z którą Rachel dzieliła pokój, założyła ręce na piersi i wydeła wargi.

- Nie rozumiem, dlaczego tak się przejmujesz znalezieniem męża dla niej. A co ze mną? To ja jestem twoją córką. A w dodatku dajesz jej nowe ubrania, akurat kiedy przyjechali ci przystojni żołnierze!

Ciotka Jessie natychmiast odwróciła się, by ugłaskać oburzoną córkę. Objęła Leah ramieniem.

- No już, no już, słoneczko. Twój dzień nadejdzie. I znajdziemy ci jakiegoś miłego miejscowego chłopca.

- Ale mam! Ten sierżant Brady tak pięknie wygląda w tym swoim mundurze - jęknęła Leah.

- Tak, rzeczywiście. - Ciotka Jessie pogłaskała Leah po policzku. - Ale on nie jest dla ciebie, cukiereczku. Nie pozwolę, żeby moje dziecko ktoś zabrał Bóg wie gdzie.

Gdy wuj Philip nalał wina i podał kieliszki gościom, Rachel przywołała się do porządku i wróciła do rzeczywistości.

- Zdrowie mojej panny młodej! - Spojrzenie niebieskich oczu

Edwina Brady'ego skrzyżowało się z jej własnym. Objął Rachel

ramieniem w talii, przyciągnął bliżej i szybko pocałował.

To przytłumiło - przynajmniej na moment - część jej obaw. Poczula znajome ciepło jego uścisku i uwierzyła, że wszystko w końcu obróci się na dobre. Czy zresztą mogłoby być inaczej? Czyż Edwin nie zapewniał jej wielokrotnie o swojej miłości, zanim zaczął mówić o małżeństwie? I cóż z tego, że poprosił ją o rękę dopiero wtedy, kiedy uparcie odmawiała mu okazania czułości wychodzącej dalej niż kilka niewinnych całusów?

Wuj uśmiechnął się od ucha do ucha, a na twarzy ciotki pojawił się triumfalny uśmiech, kiedy goście spełnili toast.

- Już prawie południe, kochanie. - Głośno wypowiedziane przez nowo poślubionego męża pieszczotliwe słowo wywołało rumieniec na twarzy Rachel. - Jeżeli mamy dotrzeć do naszej nowej kwatery przed zmrokiem, musimy ruszać.

Edwin wymienił uściski dłoni z wujem Rachel i z pastorem i skłonił się zgrabnie przed ciotką Jessie i Leah. Rachel dostrzegła, jak Leah się zarumieniła, kiedy Edwin puścił do niej oko.

Teraz, kiedy nadeszła chwila pożegnania, Rachel opanowało przerażenie. Oto wyruszała z obcym mężczyzną, zamieniając spokój znanego dotąd świata na pełne wyzwania nowe, niepewne życie. Znała to uczucie bardzo dobrze; tak samo było wtedy, kiedy po śmierci ojca trzy lata temu została przysłana tutaj.

Postarała się otrząsnąć z niedobrych myśli. Nie było dla niej dłużej miejsca w „Czarnym Łabędziu”, o czym wiedziała już od jakiegoś czasu. Teraz czekała ją przyszłość z mężczyzną o pogodnym śmiechu i ujmujących manierach. Razem stawiać czoła wszelkim przeszkodom, a ich miłość będzie zarówno ich siłą, jak i ich nagrodą.

Brady pomógł wsiąść swojej świeżo poślubionej żonie do wynajętego powozu i pospieszył za nią. Boże! Jakaż to piękna dziewczyna! pomyślał, patrząc na Rachel. Ciemnobrązowe włosy. Wielkie, orzechowe oczy. I należała cała do niego. Czy będzie w stanie czekać, aż dotrą do celu podróży, by ją osiąść? Ale stwierdził, że lepiej się opanować. Bądź co bądź, dziewczyna jest jeszcze dziewicą - co do tego miał pewność.

Jej pocałunki nie były pocałunkami kobiety mającej doświadczenie.

Westchnął na myśl, że musiał się zdecydować aż na małżeństwo, żeby znalazła się w jego łóżku. Potem uśmiechnął się na wspomnienie milczącej konspiracji, która doprowadziła do takiego zakończenia. Ciotka i wuj dziewczyny tak bardzo chcieli się jej pozbyć, że nawet zapłacili za specjalne zezwolenie na ślub.

Zaśmiał się w duchu, przypominając sobie knowania pani Brockton, by stawić mu Rachel na drodze, kiedy tylko się dało - tak jak wtedy, gdy posłała dziewczynę do piwni-

cy, wiedząc bardzo dobrze, że Brady będzie czekał na ze-
wnątrz. Wtedy po raz pierwszy ją pocałował.

Przypomniał sobie drżące oczekiwanie Rachel w jego ra-
mionach. Nawet teraz myśl o jej skrywanej zmysłowości po-
budzała jego ciało. Objął żonę ramieniem i przyciągnął do
siebie, drugą dłonią unosząc jej brodę. Dostrzegł w oczach

Rachel błysk zaniepokojenia.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie. Zobaczysz. - Poca-
łował ją, pozwalając, by jego wargi na długo przywarły do jej
warg. Kiedy poczuł, że mu odpowiada, jego pocałunek stał się
mocniejszy, intensywny i głęboki. Początkowo niepewna, po
chwili poddała się jego milczącej namiętności.

O tak, ta noc zapowiadała się wspaniale.

Hiszpania, kwiecień 1812

Rachel obudziła się raptownie. Niepewna, co wyrwało ją z niespokojnego snu, leżała przez chwilę, nasłuchując. Cicho. Było za cicho. Artyleria, grzmiąca niemal nieustannie przez ostatnie dwa tygodnie, umilkła.

Czy to koniec?

Czyżby sprzymierzonym udało się zdobyć Badajoz?

Rachel podniosła się na kolana na łóżku - a raczej pościeliu, jakie przygotowała sobie na warstwie słomy na brudnej podłodze opuszczonego pasterskiego szałas. Odsunęła płócienną płachtę, zasłaniającą jedyne okno.

Świtało.

No, prawie świtało. Różanopalcu jutrzeńka, jak to pisał Homer, opowiadając o innej wojnie, w innym czasie i innym miejscu.

Potrząsnęła głową, jak gdyby chciała odpędzić od siebie to nieoczekiwane skojarzenie, i znów zaczęła nasłuchiwać.

Ciężka broń milczała, tylko pojedyncze strzały ze strzelb oznajmiały, że nadal toczą się sporadyczne walki. Od strony miasta widoczna była słaba luna pożarów.

Rachel, całkiem już rozbudzona, sięgnęła po buty - solidne trzewiki, które dobrze jej służyły, gdy podążała za mężem wraz z taborami armii lorda Wellingtona, co butom mocno dawało się we znaki. Poruszyła głównie w kamiennym kominiku, dodała kilka kawałków cennego opału i nastawiła imbryk, żeby zagotować wodę na herbatę.

Usłyszała szmer i kwilenie dziecka na górze, na poddaszu.

Państwo Brady dzielili tę niekoniecznie szalenię elegancką kwaterę z innym wojskowym, jego żoną i dzieckiem, i uważali się za szczęściarzy, że nie muszą nocować na dworze, jak większość innych żołnierzy poniżej stopnia oficera. Padało prawie stałe od początku oblężenia, od dnia świętego Patryka.

- Jeszcze nie wrócili? - niepotrzebnie zapytała Clara Paxton, schodząc z poddasza z synkiem usadowionym okrakiem na biodrze.

- Nie, myślę, że jeszcze trochę czasu upłynie, zanim się czegoś dowiemy.

- Przynajmniej działa ucichły. Mój Joe tak nie znosi artylerii... W każdym razie ich artylerii. - Clara westchnęła i dodała: - Nie wydaje mi się też, żeby nadeszło zaopatrzenie. Już prawie kończy nam się jedzenie. A jak u was?

Clara postawiła malucha na podłodze. Chłopczyk natychmiast klapnął na pupę i zaczął płakać.

Rachel podała chlipiącemu dziecku podeschniętą skórkę czerstwego chleba.

- Niewiele zostało. Kawałek sera i trochę chleba, a i to spleśniałe. Herbaty może wystarczy na zabarwienie wody.

- Przynajmniej będzie gorąca. - Clara przyniosła resztki własnej herbaty, żeby je dorzucić do imbryka.

Obie pary zawarły znajomość, kiedy Edwin i Rachel Brady - w ramach uzupełniania oddziału - osiem miesięcy wcześniej dołączyli do 51 Regimentu Piechoty. Cała czwórka była mniej więcej w tym samym wieku i kobiety zbliżyły się do siebie. Nie pierwszy już raz oba małżeństwa dzieliły prowizoryczną kwaterę i skromne zapasy.

- Jak wyjdę, rozejrzę się, czy nie znajdą się jakieś jarzyny czy coś takiego - powiedziała Rachel. - Nie wiadomo, kiedy nadejdzie zaopatrzenie.

- Słyszałam, że mieli kłopoty z mostem.

- Też tak słyszałam. Sztorm uszkodził kilka łodzi. To fatalnie, że Francuzi zniszczyli stary kamienny most. - Kilka tygodni wcześniej Rachel miała okazję obserwować, jak brytyjscy inżynierowie ustawiali na rzece most pontonowy. Ge-

nialne rozwiązanie, ale nie na wszystkie niespodzianki, jakie matka natura miała w zanadru. - Chwilami naprawdę wierzę, że sama przyroda sprzyja Francuzom - mruknęła, napełniając dwa kubki parującą herbatą.

Kobiety usiadły na prostych stołkach, w pełnej wzajemnego porozumienia ciszy, przy chwiejącym się stole, jedynym meblu w chacie.

Clara ujęła kubek w obie dłonie, by się ogrzać. W jej intensywnie niebieskich oczach pojawił się wyraz rozmarzenia.

- Czyż prawdziwe angielskie śniadanie, z jajkami na bekonie i owsianką, nie byłoby teraz cudowne?
- Nie dręcz sama siebie. - Rachel dokończyła herbatę i wstała.
- Już wychodzisz do szpitala? Słyszałam cię, jak wracałaś; było późno.
- Wybacz, że cię obudziłam.
- Nie obudziłaś. Nigdy nie śpię dobrze, kiedy nie ma Joe'ego.

- Och. - Rachel wypila ostatni łyk herbaty. - No cóż, idę. Mac wysłał mnie do domu, żebym się trochę przespała. Uważa, że dzisiejszy dzień będziemy mieć bardzo pracowity.

- Mam tylko nadzieję, że nie znajdziesz mojego Joe'go ani pana Brady'ego między twoimi pacjentami - westchnęła z niepokojem Clara.

Rachel położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki.

- Ja też.

Narzuciła szal na głowę i wyszła na dwór. Powietrze trwało nieruchome i wilgotne. Ostrożnie przemierzyła drogę do szpitala, który tym razem mieścił się w klasztorze za murami miasta. Klasztor był notorycznie łupiony przez Francuzów i

Hiszpanów wspierających Napoleona, tak że na stałe mieszkało tam już tylko kilka zakonnic.

Rachel była wdzięczna, że MacLachlan, główny oficer medyczny regimentu, nalegał wczoraj, by wróciła do własnej kwatery i skorzystała z tak potrzebnego jej odpoczynku. Z pewnością czekał ich bardzo długi, bardzo męczący dzień. Już kiedy wczorajszego wieczora przybyli pierwsi ranni, wy-

rażnie dało się przewidzieć, że liczba ofiar okaże się straszliwa. Rachel usłyszała rozmowę dwóch chirurgów z pułkownikiem, któremu nastawiali i bandażowali złamaną rękę. Zajmując się cichutko tym, co do niej należało - porządkowaniem punktu opatrunkowego - Rachel bezwstydnie przysłuchiwała się, o czym mówili.

- Rozkaz szturmowania miasta nadszedł trochę nagle, prawda? - zapytał porucznik Ferguson. - Mam na myśli to, że, bądź co bądź, kopaliście rowy i rozmieszczaliście uzbrojenie przez dwa tygodnie. Aż tu nagle, dziś w nocy...

- No cóż, o ile dobrze rozumiem, jego lordowska mość dostał wiadomość, że Francuzi wysłali posiłki z Sewilli. Sprawą najwyższej wagi było, żebyśmy zdobyli fortecę, zanim przybędą.

- Żabojady zmusiły lorda do działania? - spytał MacLachlan.

Pułkownik przytaknął.

- Nocny atak, i to w dodatku w tak okropnie diabelną pogodę. Nie mówiąc już o kurczących się zapasach i braku niezbędnego wyposażenia. Żadna z tych okoliczności nam nie sprzyjała. Jednak nasi chłopcy parli naprzód. - Na koniec w głosie pułkownika zabrzmiała nutka dumy.

- Nasze pierwsze ofiary były raczej w kiepskim stanie - powiedział Ferguson, używając charakterystycznego, znanego Rachel niedopowiedzenia.

Ranny mężczyzna przetarł oczy dłonią, jak gdyby chciał odegnąć nieprzyjemną wizję.

- Straceńcza nadzieja - odparł. - Byli wspaniali! Kiedy pierwsze szeregi zostały odparte, kolejne musiały deptać po ciałach poległych towarzyszy, żeby przeć dalej.

Rachel w milczeniu, przerażona, wstrzymała oddech. „Straceńczą nadzieją” byli żołnierze i oficerowie, którzy zgłaszali się do takich misji na ochotnika. Mieli nikłe szanse na ocalenie życia, ale na tych, którym się to udało, zwykle czekał awans.

-... i przez cały czas - pułkownik mówił dalej zmęczonym głosem - ci piekielni Francuzi sterczeli na murach, wykrzykując bezeceństwa i strzelając do naszych chłopców, jakby byli kurkami na jarmarcznej strzelnicy. - Pułkownik wes-

technął ciężko. - Ale dokonaliśmy tego. A przy tym deszczu nie musimy się przynajmniej martwić, że jakiś pocisk spowoduje pożar na polu bitwy i że ranni upieką się, zanim zdołamy do nich dotrzeć. Ferguson przytaknął.

- Gdyby tylko pogoda mogła też odstraszyć te hieny, które wąż się zdzierać ubranie i rabować poległych i rannych w chwilę po tym, jak upadną.

Pułkownik wzruszył ramionami i skrzywił się, bo najwyraźniej zabolą go ręka.

- Jeszcze jedno ryzyko na wojnie.

Rachel wiedziała, że mówił szczerą prawdę, ale nadal wzbierał w niej gniew za każdym razem, kiedy widziała znożonych z pola bitwy rannych, obdartych z ubrania prawie do naga. Nie, nie wszyscy z nich byli bohaterami, ale każdy zasługiwał na to, by uszanowano jego ludzką godność. A teraz, ostrożnie omijając błotniste kałuże, zauważyła pod murami klasztoru ruch większy niż zazwyczaj. Rannych, często krzyczących z bólu, zwożono skrzypiącymi wieśniaczymi wozami. Niektórzy kuśtykali o własnych siłach albo podtrzymywani przez towarzyszy, a posuwanie się naprzód utrudniał im zarówno ból, jak i dżdżysta pogoda. Stopy Rachel ślizgały się po błocie i wzdrygała się na myśl o tym, że przyjdzie jej opatrywać rany pokryte nie tylko krwią, ale i błotem. Przynajmniej będzie mogła robić coś pożytecznego, a nie tylko siedzieć i zamartwiać się o Edwina.

Dokładnie pamiętała początkowy sceptycyzm MacLachlana, kiedy zaoferowała swoją pomoc wkrótce po tym, jak wraz z mężem dołączyli do regimentu. Nie dziwiło nikogo, że kobiety towarzyszące armii wykonywały obowiązki pielęgniarek, ale większość z tych, które to robiły, była starsza i wyglądała na bardziej zahartowane niż ona.

Kapitan MacLachlan, potężny mężczyzna o rudych, przoproszonych siwizną włosach, obrzucił jej drobną postać pełnym powątpiewania. „I co niby taka śliczna pa-tn'enRt>tłh*\ robić w szpitalu?” Pomimo przywitania, które-

go nie dało się nazwać przyjacielskim, Rachel poczuła do kapitana sympatię -poza tym jego szkocki akcent i fakt, że był lekarzem, przypominały jej ojca.

Pomieszczenie, które wówczas służyło za „szpital”, niegdyś było szopą do strzyżenia owiec i przechowywania beli wełny. Nadal utrzymywał się tam ślad zapachu lanoliny zmieszanego z najbardziej nieprzyjemnymi zapachami, nieodłącznymi w wojskowych polowych szpitalach na szlaku wojennej kampanii. Poczyniono pewne wysiłki, żeby zabezpieczyć wielką, otwartą stodołę przed kapryсами pogody. Jednak nadal słońce i wiatr swobodnie przedostawały się do środka przez szpary w ścianach. Rachel zapamiętała, że Mac-Lachlan siedział w rogu pokoju przy małym stoliku, służącym mu za biurko. Odłożył pióro i wstał, górując nad nią, z rękoma wspartymi na biodrach.

Świadoma nie tylko tego, że on ją bacznie obserwuje, ale i tego, że słyszą ją inni, Rachel wzięła głęboki oddech i wyprostowała się, zanim odpowiedziała na pytanie.

- Chcę się na coś przydać, sir.

- Ja to bym wiedział, na co się może przydać ta mała! - zaśmiał się mężczyzna na łóżku nieopodal. Na sali rozległ się ogólny śmiech.

MacLachlan zgasił żołnierza spojrzeniem.

- W takim razie chyba macie się już dostatecznie dobrze, żeby dołączyć do swojego regimentu, O'Mara.

O'Mara spuścił wzrok i mruknął pod nosem coś niezrozumiałego.

- Tak myślałem - powiedział MacLachlan. Odwrócił się z powrotem do Rachel. - A więc jak pani mówi, że się nazywa?

- Jestem pani Brady. Rachel Brady. Mój mąż to sierżant Brady z pięćdziesiątego pierwszego.

- Rozumiem...

Do kapitana, przerywając opatrywanie rannego, podszedł pospiesznie mężczyzna. Rachel wydał się on znajomy.

- Mac. Mogę zamienić z tobą słowo? - zapytał mężczyzna. MacLachlan spojrzał zdziwiony, że ktoś mu przerywa, ale

przeprosił Rachel i odszedł na bok. Rozmawiali cicho i obaj od czasu do czasu zerkali na Rachel. Usłyszała, jak MacLachlan wykrzyknął: „Coś takiego!”

Wreszcie MacLachlan wrócił do stolika. Skinął na swojego kolegę, oficera medycznego.

- Pani Brady, to jest porucznik Ferguson. Jeden z naszych najlepszych chirurgów.

- Jak się pan miewa, sir? - Rachel dygnęła, kłaniając się uprzejmie.

- Była pani w Portsmouth, kiedy przywieźliśmy z wyspy Wal-cheren wielu cierpiących na gorączkę - powiedział Ferguson.

- O tak. Wydawało mi się właśnie, że wygląda pan znajomo. - Rachel poczuła się nieco zakłopotana, że nie rozpoznała go od razu.

- Ferguson mówi, że dobrze pani pracowała przy rannych i że nie jest pani przewrażliwiona - odezwał się MacLachlan.

- Nie, nie jestem. - Rachel miała nadzieję, że sprawia wrażenie pewnej siebie.

- Mówi mi też, że pani ojcem był Duncan Cameron. Czy to prawda?

Rachel, zaskoczona, spojrzała na Fergusona.

- Tak, rzeczywiście, ale...

- Cameron i ja razem studiowaliśmy medycynę w Edynburgu. To był dobry człowiek i bardzo zdolny lekarz. - MacLachlan potarł się palcami po policzku, jak gdyby głaszcząc brodę, której nie nosił. - Zatem... łatanie pokiereszowanych ciał ma pani we krwi, he?

Uradowana tym, co powiedział o jej ukochanym tacie, Rachel posłała mu nieśmiały uśmiech.

- Można by to ująć w ten sposób. W każdym razie myślę, że mogłabym się panu przydać.

W ciągu kilku kolejnych tygodni zyskała sobie szacunek całego personelu medycznego. Nawet główny oficer medyczny Wellingtona, doktor James McGrigor, usłyszał o kobiecie, która potrafi działać cuda.

- Pani metody są dość nieortodoksyjne, że się tak wyrażę -

zauważył McGrigor podczas objazdu szpitali regimentu - ale gdyby była pani mężczyzną, byłby z pani świetny lekarz, jak mniemam.

Rachel posłała mu przekorne spojrzenie.

- A co płeć ma wspólnego z leczeniem ran czy chorób?

Właśnie z powodzeniem uleczyła mężczyznę, który został straszliwie poparzony od ramienia aż po nadgarstek, kiedy dostał się między konia a rozpalone działo. Wszyscy lekarze i chirurdzy byli wówczas zajęci napływem przytłaczającej liczby rannych w daleko poważniejszym stanie. Rachel pokryła oparzenie warstewką miodu i ciasno zabandażowała. Kilka dni później oparzenie samo ładnie się goiło, a mężczyzna powrócił do swoich obowiązków.

- Gdzie się pani nauczyła takiej sztuczki? - zapytał ją później MacLachlan.

- Od pewnej kobiety - odparła, świadoma, że w jej głosie brzmi nutka zadowolenia. - Od pani Addison. Mieszkała w chatce niedaleko gospody mojego wuja. Wiele mnie nauczyła o ziołowych lekach i takich rzeczach.

- Akuszerka?

- Między innymi. Miejscowi przychodzili do niej ze wszelkiego rodzaju dolegliwościami. Zszywała rany, nastawiała połamane kości, dawała im maści i wywary. Ludziom i zwierzętom, wszystkim.

- Ach, tak? - MacLachlan uniósł jedną brew, nieco zaintrygowany.

- Addy miała ogromny szacunek dla życia, dla wszelkich żywych istot.

Addy była jedyną osobą, naprawdę troszczącą się o wystraszoną młodą dziewczynę, która straciła oboje rodziców i trafiła do obojętnych na jej los i nie dbających o nią krewnych. Zatopiwszy się na moment w pełnych ciepła wspomnieniach o swojej przyjaciółce i mentorce, Rachel zaśmiała się pod nosem.

Mac (był dla niej „Macem ” od drugiego dnia pracy) spojrział na nią badawczo.

- Kiedyś pewien człowiek oskarżył Addy, że jest czarownicą. Przysięgał, że rzuciła urok na jego muła, który zdechł.
- No i...? - zainteresował się Mac. - Wydaje mi się, w małej wiosce to poważne oskarżenie.
- Wieśniacy to jego wygonili z parafii! Byli bardzo zazdrośni o swoją Addy, naprawdę.
- To zrozumiałe. Niektóre z tych ludowych leków są całkiem skuteczne, jak właśnie udowodniła pani na przykładzie młodego Hawkinsa i jego oparzenia.
- Dziękuję, sir.

Rozpromieniła się, słysząc pochwałę, gdyż otrzymywała bardzo niewiele dowodów uznania w innych sferach swego życia. Akceptacja i szacunek ze strony tych lekarzy, zwłaszcza Fergusona i MacLachlana, umocniły w niej potrzebę pomagania innym, z której przedtem ledwie zdawała sobie sprawę.

Z zamyślenia wyrwało Rachel trzaśnięcie z bata.

- Niech pani uważa! - zawołał woźnica zaprzęgniętego w muły wozu, który wydawał się bezradnie ślizgać w strugach błota.

Rachel uskoczyła mu z drogi i z ulgą zobaczyła, że mężczyzna odzyskuje kontrolę nad wozem. Pospieszenie ruszyła do szpitala.

Refektarz i kaplica klasztoru zostały zamienione na szpitalne oddziały. Na centralnym dziedzińcu, oddzielającym je od dormitorium zakonnice, rozstawiono namiot chirurgów.

Tak naprawdę była to zaledwie płachta chroniąca przed deszczem. Prowizoryczne stoły operacyjne sklecono tam ze skrzydeł drzwi ułożonych na beczkach. Rachel starała się nie patrzeć na poranione, amputowane kończyny rozrzucone beładnie wokół tych stołów. Taki widok nie był dla niej nowością, ale nadal znosiła go z trudem.

Muzycy wojskowi, zwyczajowo wyznaczani do transportowania rannych do szpitali podczas bitew, teraz znów przywieźli kolejną grupę nieszczęśników na dziedziniec, gdzie oceniano rannych według ich stanu. Pacjenci często musieli czekać, a zwykle przez cały czas towarzyszył im rozdzierający ból. Je-

dyną ulgą w ich cierpieniach były łyk brandy lub whisky przed operacją i kawałek drewna do zaciśnięcia między zębami.

Rachel należała tego ranka do zespołu oceniającego stan przybywających rannych. Jak to miała w zwyczaju przy pracy z okaleczonymi i rannymi ludźmi, ofiarowywała im ulgę, gdzie tylko mogła - ocierając czyjeś czoło, oczyszczając rany, zanim zajął się nimi chirurg, i podając wodę rozpaczliwie spragnionym. Nauczyła się, by zawsze mieć przy sobie manierkę z wodą. Do rozrywania pakunków z kulami i prochem do przeladowywania muszkietów i strzelb żołnierze używali zębów i dlatego usta rannych często przypominały czarne dziury, a proch strzelniczy wywoływał niewyobrażalne pragnienie.

Gdy pochylała się nad kolejnym spragnionym młodym żołnierzem, jej uwagę zwróciło nagle poruszenie przy wejściu na dziedziniec. Weszło dwóch mężczyzn z regimentu piechoty, dźwigając trzeciego na kocu. Spieszyli się, a jednocześnie widać było, że bardzo starają się poruszać tak ostrożnie, jak to tylko możliwe. Rachel ruszyła ku nim, jeszcze zanim jeden z nich zaczął wołać o pomoc.

- Hej! Doktorze! Tutaj! - W głosie młodego kaprała, którego mundur zdradzał, że to jeden ze słynnych Connaught Rangers, dźwięczała nuta paniki.

- Major jest ciężko ranny - wyjaśnił drugi żołnierz, sierżant w podobnym mundurze, kiedy ostrożnie układali nieprzytomnego mężczyznę na brukowanym dziedzińcu. Rachel uklękła przy nim i zaczęła badać jego obrażenia.

Ferguson skończył opatrywać swojego pacjenta, polecił muzykom z wojskowej orkiestry zanieść go do namiotu chirurgicznego, po czym zajął się nowo przybyłymi.

- To... to wygląda źle - powiedziała Rachel do Fergusona. - Stracił mnóstwo krwi.

- Cholerna francuska szabla trafiła go prosto w głowę - rzekł młody kapral. - Pani wybacz, madam.

Głęboka rana nad lewym uchem rannego mężczyzny krwawiła obficie, ale Rachel wiedziała, że prawdopodobnie to nie jest najgroźniejsze z jego obrażeń. I miała rację.

- Dostał bagnetem w pierś. - Sierżant był starszy i bardziej opanowany. - A kula z muszkietu trafiła go w udo.

Ranny oddychał z trudem i chrapliwie. Ferguson uklęknął przy nim, rozpiął mu podartą bluzę i badał go pospiesznie. Zagląjąca Fergusonowi przez ramię Rachel wstrzymała oddech z przerażenia, widząc, jak rozległe były obrażenia mężczyzny. Ferguson rzucił okiem na poszarpane ciało i sączącą się krew i z rezygnacją pokręcił głową.

- Przykro mi, towarzysze. On nie doczeka wieczora.

- On wciąż żyje! Musi pan coś zrobić! - wykrzyknął kapral.

- Major nie może umrzeć.

Ferguson spojrział na młodszego żołnierza z bezbrzeżnym smutkiem i powiedział łagodnie:

- Jestem pewien, że to był dobry człowiek, kapralu. Ale dzisiaj straciliśmy setki dobrych ludzi. Ten nie ma już szansy na przeżycie, zapewne nie przetrwa nawet godziny, a my po prostu musimy pomagać rym, dla których jest jeszcze nadzieja.

Młodszy żołnierz wyglądał tak, jak gdyby zaraz miał wybuchnąć. Drugi tylko spoglądał na rannego mężczyznę w milczeniu, z wyrazem rezygnacji na twarzy.

Rachel poruszyło oddanie młodszego z żołnierzy i jego poświęcenie dla swego dowódcy. Zaledwie kilku oficerów zyskało sobie aż taki szacunek wśród podwładnych, których wiedli prosto ku niebezpieczeństwu. Położyła dłoń na ramieniu młodego człowieka i powiedziała łagodnie:

- Zrobimy, co w naszej mocy, kapralu.

- Niech pani mu nie da umrzeć, psze pani. Proszę, niech pani nie pozwoli. Major Forrester zasłonił mnie przed tym bagnetem. - Słowa utonęły w łkaniu i chłopak, zawstydzony, odwrócił głowę.

Sierżant objął kaprala ramieniem.

- No już, Pete. Chodźmy stąd. - Odwrócił się do Rachel i Fergusona. - Wrócimy za parę godzin.

Rachel popatrzyła na nieprzytomnego mężczyznę. Pomimo jego błądki zauważyła opaleniznę i mnóstwo piegów na twarzy. Jego włosy, zalane krwią, były brązowe. Miał prosty

nos, dość kwadratową szczękę i silną budowę ciała. Rachel pomyślała, że gdyby wstał, zapewne byłby średniego wzrostu. -Jaka szkoda - mruknęła, czując łzy napływające jej do oczu.

- Jak ich wszystkich - odezwał się ponuro Ferguson.

W milczeniu Rachel zgodziła się z nim, a jednak w tym majorze Forresterze było coś szczególnego...

Godzinę później, kiedy przestali napływać ranni, Rachel postanowiła sprawdzić, co z majorem piechoty. Ku jej zaskoczeniu nadal żył. Był nieprzytomny i wciąż oddychał z trudem i nieregularnie, ale wydało jej się, że puls ma jakby silniejszy.

Natychmiast poszła poszukać Fergusona.

- Ten człowiek to prawdziwy wojownik, muszę mu to przyznać - powiedział lekarz. - Właściwie możemy zszyć tę ranę na głowie, żeby zabezpieczyć ją przed ponownym otwarciem. - Ferguson raz jeszcze zbadał ranę na piersi majora. - Ta okaże się dla niego bez wątpienia śmiertelna, chociaż to może potrwać dłużej, niż myślałem na początku. Sprawi to sama rana albo infekcja tu albo w tej nodze, którą zapewne i tak by stracił.

Rachel delikatnie oczyściła poszarpane brzoży rozcięcia na głowie i asystowała Fergusonowi przy zszywaniu rany. Włosy majora były sklezione krwią i potem, ale Rachel poczuła trudne do wytłumaczenia pragnienie, by ich dotknąć. Oprócz charakterystycznego zapachu krwi i prochu na ubraniu majora poczuła nutkę drzewa sandałowego. Zapewne to po jego mydle do golenia. Mężczyzna jęknął i próbował poruszyć głowę, ale nadal był nieprzytomny i Rachel, zaskoczona jego siłą, z trudem zdołała utrzymać mu głowę nieruchomo. Ferguson zakończył zakładanie ostatniego szwu i Rachel zabandażowała głowę majora. Kiedy związywała końce bandaży, Ferguson popatrzył na pacjenta i pokręcił głową.

- Niech go przeniosą do sali dla umierających - powiedział z westchnieniem rezygnacji i odszedł do innych obowiązków.

Sala dla umierających mieściła się w kaplicy bocznej w nawie kościoła przylegającego do klasztoru. To tutaj przenoszono najcięższych rannych, by wydali swoje ostatnie tchnienie.

Akurat kiedy padły te słowa, powrócili kapral i sierżant.
Towarzyszył im jeszcze jeden mężczyzna.

- Ten tutaj to Henry, ordynans majora - wyjaśnił kapral, przedstawiając niskiego, żylastego człowieka, z wyglądu około czterdziestoletniego.

- Nie zabierzemy majora Forreстера do żadnej sali dla umierających - oznajmił stanowczo Henry. Ledwie raczył zauważać obecność Rachel.

- Czy ranny ma odpowiednią kwaterę? - zapytała Rachel, widząc, że ordynans to kolejna osoba, u której major zaskarbił sobie niezwykle oddanie.

Henry wyglądał na rozgoryczonego. - My... ehm, mamy coś w rodzaju biwaku. Przybyliśmy po rozpoczęciu oblężenia i kwatery dla oficerów były już rozdzielone. - Głos mu się załamał.

Rachel zorientowała się, że ich rozmowa przyciągnęła uwagę dwóch wojskowych muzyków, którzy często pomagali przy rannych: Walijszyka imieniem David i Irlandczyka o imieniu Kelly.

- Czy major ma odpowiednie schronienie? - spytała ponownie.

Henry przesunął palcem wzdłuż wyraźnie zbyt ciasnego kołnierzyka.

- Uhm... niezupełnie, madam. Przynajmniej nie do chwili, kiedy uda mi się coś znaleźć, może w mieście. Namiot majora przepadł razem z jednym z mułów na górskim szlaku. - Henry wyglądał na bardzo zdesperowanego, ale jego głos był twardy i stanowczy, kiedy dodał: - Niemniej nie mam zamiaru patrzeć, jak zostaje zawleczony do jakiegoś ponurego kąta, żeby tam czekać na koniec, który może wcale nie być nieunikniony.

- Hm... - Rachel spojrzała z zamyśleniem na rannego mężczyznę. Nie miała pojęcia, dlaczego akurat jego ciężkie położenie tak ją poruszyło, ale tak właśnie się stało. Być może sprawiło to przywiązanie młodego Pete'a do majora. A może to zapach drzewa sandałowego? Jej ojciec zawsze pachniał drzewem sandałowym i tytoniem do fajki. - Czy któryś z was posiada specjalne umiejętności, żeby opiekować się rannym w takim stanie? - spytała.

Każdy po kolei przyznał z pewnym zakłopotaniem, że nie. Rachel ciężko westchnęła, żalując majora. I, ku swemu własnemu najwyższemu zdumieniu, bez zastanowienia powiedziała:

- No cóż, nic innego nie da się zrobić. Musicie go zanieść do mojej kwatery. Tam możemy się nim opiekować. I przy najmniej nie zmoknie.

Będzie ciasno w jednoizbowej chatce, kiedy na brudnej podłodze stanie jeszcze jedna prycza. Rachel nie miała pojęcia, jak Clara i jej mąż zareagują na tego dodatkowego mieszkańca ich kwatery, ale co do Brady'ego nie miała wątpliwości

- będzie się sprzeciwiał. Zwykle nie zgadzał się na nic, co mogłoby zakłócić jego własny spokój. Jednak Rachel nie mogła po prostu pozwolić majorowi umrzeć, nie uczyniwszy wszystkiego, co w jej mocy, żeby temu zapobiec.

- Możecie rozbić namioty w pobliżu i pomagać w opiece nad

majorem - dodała. Pomyślała, że może obecność obcych powstrzyma Brady'ego od głośnego wyrażania niezadowolenia.

Wydawało się, że ta propozycja wiała w sierżanta i kaprała odrobinę otuchy.

Henry'ego jednak najwyraźniej dręczyły wątpliwości.

- Ale... ale czy on nie potrzebuje opieki lekarza?

- Ja będę się nim opiekować. Z waszą pomocą, oczywiście - wyjaśniła Rachel.

- Pani? - niedowierzenie Henry'ego było wyraźnie widoczne. - Z całym szacunkiem, madam, ale major wymaga fachowej opieki.

Jeden z muzyków, Kelly, uśmiechnął się szeroko. Drugi prychnął i wycelował palcem w pierś Henry'ego.

- Lepiej bierz pan to, co dają. A tak się składa, że wasz major dostanie najlepszą opiekę.

- Ale to jest kobieta - Henry niemal jęknął.

David też się uśmiechnął.

- I to do tego bardzo ładna. A także taka, która wie, co robi. Widziałem ją przy pracy.

- Dziękuję, Davidzie. - Rachel poczuła wdzięczność do tego zazwyczaj małomównego młodego Walijczyka.

David zaczerwienił się.

- To tylko szczerza prawda, madam. - Popatrzył przekor-
nie na Henry'ego. - Uważajcie się, nie, raczej jego uważajcie
za szczęściarza. - Wskazał na majora. - Chodź, Kelly, mamy
sporo roboty.

Sprzeciw Henry'ego wydawał się słabnąć.

- Zatem dobrze, madam. Będzie tak, jak pani mówi. - Jed-
nak w jego głosie wciąż słychać było nutkę niechęci.

2

Kiedy ordynans wyszedł, by przynieść niezbędne rzeczy
majora, Rachel poinformowała Fergusona, co zamierza w
sprawie ранego.

- Marnuje pani czas - powiedział Ferguson, pochylając się
nad kolejnym pacjentem.

- Być może. Ale muszę spróbować.

Ferguson wyprostował się i potoczył wzrokiem dookoła.

- W tej chwili nie brakuje nam rąk do pracy, więc proszę
iść i robić, co pani musi. - Gestem wskazał stos środków opa-
trunkowych. - Proszę wziąć, co potrzeba.

- Dziękuję, kapitanie.

Ferguson dotknął ramienia Rachel i spojrzał jej prosto w oczy.

- I proszę nie brać sobie za bardzo do serca, jeśli... kiedy...
nie uda mu się.

Rachel przytaknęła, czując, że ma ściśnięte gardło. Pomimo
całego ogromu ludzkiego nieszczęścia wokół, Ferguson
wiedział, że Rachel ciężko przeżywa stratę każdego pacjenta.

Kapitan pamiętał, jak pocieszał ją w czasie pierwszych
wielkich strat na Półwyspie Iberyjskim. Wcześniej Rachel
stykała się ze śmiercią, jednak zawsze była to śmierć spowo-
dowana podeszłym wiekiem, wyniszczającą chorobą lub wy-

padkiem, nigdy zaś jej przyczyną nie było zorganizowane, nieludzkie okrucieństwo wojny. Był taki młody - ten jej pierwszy żołnierz, który stracił życie w Hiszpanii. Oszałały z bólu, wciąż wołał „Mamo!” Rachel usiadła przy rannym i przemawiała do niego spokojnie, pozwalając mu myśleć, że to ona jest jego matką, dopóki śmierć ostatecznie nie wyciągnęła po niego ręki. Od tamtej pory pocieszała innych umierających żołnierzy i współczuła ich żonom i matkom, wiedząc, jak będą cierpieć. Ferguson znał Rachel na tyle dobrze, by wiedzieć, że jeżeli przegra teraz bitwę o życie majora For-restera, będzie to dla niej takim samym wstrząsem, jak ta pierwsza żołnierska śmierć, której była świadkiem.

Wzięła to, co niezbędne: środki opatrunkowe i instrumenty medyczne - tylko tyle, by niczego nie zabrakło przez to w szpitalu - a potem wraz z sierżantem i kapralem, którzy znów nieśli majora na kocu, ruszyła do pasterskiej chatki. Dzięki Bogu, deszcz przestał padać, przynajmniej na jakiś czas.

Pacjent jęknął raz czy dwa, ale wydawało się, że szczęśliwie pozostawał nieświadom tego, co się z nim dzieje. Zjawili się przy chacie akurat w chwili, gdy z przeciwnej strony nadszedł

Henry, prowadząc za sobą objuczonego muła.

- Czy to łóżko polowe? - zapytała Rachel, wskazując ładunek na grzbiecie muła.

- Tak, madam, w rzeczy samej - odparł Henry.

- To dobrze. To odizoluje go od wilgotnej ziemi. - Rachel pchnęła drzwi i zawołała: — Clara?

Nie było żadnej odpowiedzi.

Pospiesznie zrobiła miejsce na polowe łóżko przy ścianie naprzeciwko pryczy, którą dzieliła z Bradym. Pomogła Henry'emu rozstawić łóżko, podczas gdy dwóch żołnierzy cierpliwie czekało, mimo że ciężar dźwiganego przez nich majora wyraźnie dawał im się we znaki. Chociaż ułożyli go na łóżku możliwie delikatnie, ranny zareagował jękiem.

- Zdejmijcie z niego ubranie - powiedziała, rozkładając środki opatrunkowe i instrumenty medyczne.

- Całe? - zapytał Pete, wstrząśnięty.

- Zapewne tak. - Rachel uśmiechnęła się wobec tej naiwnej reakcji chłopaka. Czyżby myślał, że zamożna kobieta, w dodatku taka, która opatruje rany żołnierzom, nigdy nie widziała mężczyzny bez ubrania? - Muszę mieć dostęp do wszystkich jego ran.

Nalała gorącej wody do miednicy i przyniosła ją ^w pobliże łóżka. Henry wypakował poduszkę i rozłożył koc na torsie majora, strategicznie zakrywając jego nogi. Teraz trzech mężczyzn z bezradnym wyrazem twarzy wyczekująco stało nad rannym leżącym na polowym łóżku.

- Będę potrzebowała tylko jednego z was do pomocy - powiedziała Rachel, gestem wskazując drzwi.

Henry na swój sposób przejął komendę.

- Sierzancie, może pan wraz z kapralem będziecie tak uprzej

mi i przyniesiecie tu resztę rzeczy majora. Dajcie też znać Thompkinsowi, gdzie teraz jesteśmy. Może uwiązać konie między tymi drzewami korkowymi - powiedział, wskazując ręką.

- Tak zrobimy - odparł sierżant, pociągając swego kompana za sobą.

Rachel uklękła przy łóżku i zaczęła ścierać krew i brud dookoła rany na silnej i muskularnej piersi, pokrytej gęstwiną rudawobrazowych włosów. Była zdumiona, do jakiego stopnia świadoma jest męskiego uroku majora. Miała do czynienia z tuzinami pacjentów i zawsze podchodziła do nich o wiele mniej osobiście niż teraz.

- Ach, to tłumaczy jego utrudniony oddech - powiedziała.

- Co takiego? - Zaniepokojony Henry stanął u wezłowania łóżka majora, obserwując każdy ruch Rachel.

- Ma złamane co najmniej dwa żebra. - Wypłukała chustę i oczyściła poszarpaną ranę na brzuchu - Musiał się obrócić albo uchylić w ostatnim momencie, albo może napastnik się zawahał.

- Dlaczego pani tak mówi?

- Kapral Collins powiedział, że major Forrester przyjął na siebie cios wymierzony w niego, i wydaje się, że najbardziej ucierpiał żebra, przyjmując impet uderzenia, chociaż ostrze raniło też brzuch.

- Czy to lepiej? - W głosie Henry'ego brzmiało powątpiewanie.

- Może i tak - powiedziała ostrożnie. - Pan Ferguson myślał, że żywotne organy doznały urazu, ale jeśli zostały oszczędzone...

- Zatem jest nadzieja?

- Cię nadziei, być może. - Rachel nadal zajmowała się oczyszczaniem ran. Potem spojrzała na Henry'ego i uśmiechnęła się. - Moim zdaniem ta rana nie jest aż tak poważna, jak się początkowo zdawało. Jednak będę musiała zamknąć to rozcięcie. Potem ciasno zabandażujemy mu żebra.

Jabłko Adama na gardle Henry'ego podskoczyło w górę i w dół, ale mężczyzna asystował jej dzielnie. Przytrzymał razem poszarpane brzegi rany, kiedy je zszywała, potem uniósł tułów majora tak, żeby mogła przełożyć pod nim bandaż, owijając klatkę piersiową rannego. Major znów jęknął niezrozumiale i bez powodzenia próbował odepchnąć jej ręce.

- No już, no już... - mruknęła łagodnie. - Niech pan będzie cierpliwy, sir. Obiecuję, że poczuje się pan lepiej.

Łagodność jej głosu wydawała się go uspokajać. Gdy pochyliła się nad nim, by naciągnąć koc, jej twarz znalazła się bardzo blisko jego twarzy. Poczula na policzku jego oddech. Dotarł do niej znajomy zapach drzewa sandałowego. Ucieszyła się, słysząc, że kiedy tylko żebra zostały obwiązane, oddech stał się stabilniejszy, i przelotnie zastanowiła się, dlaczego sama na moment przestała oddychać. Naciągnęła majorowi koc pod brodę i wydawało się, że trochę się odprężył.

Henry ukradkiem westchnął z ulgą, a kiedy Rachel wstała i wykręcała chustę, której używała do oczyszczania rany na piersi majora, otarł rannemu pot z czoła.

- A teraz noga - powiedziała. W jej głosie zabrzmiała determinacja.

Spojrzała na twarz majora i zaskoczona zobaczyła wpatrzone w siebie szaroniebieskie oczy. Kiedy ranny poruszył głową, po jego twarzy przebiegł grymas bólu.

- Co... - zaczął.

- Sza. Został pan ciężko raniony, sir. Pan Henry i ja sta-

ramy się poskładać to i owo. - Skinęła na ordynansa, żeby podszedł i stanął w polu widzenia majora.

- Ja... tak, widzę - powiedział słabym głosem major, oddychając z trudem. - Zatem... róbcie to... dalej.

Rachel uniosła koc na tyle, by odsłonić ranę nad kolaniem, ale tak, by nie naruszyć poczucia przyzwoitości Henry'ego. Zmyła zaschniętą krew wokół rany, przypominającej wielkością jej dłoń. Kula rozdarła sporą część mięśnia, ale Rachel nie znalazła rany wylotowej.

- Kula wciąż tutaj tkwi - powiedziała do Henry'ego. - Proszę przytrzymać majorowi nogę, a ja ją wyjmę. - Rachel dotknęła ramienia pacjenta i spojrzała mu prosto w oczy. - To będzie bolało, majorze Forrester, ale ta kula musi zostać wyjęta.

Przytaknął.

- Czy mam dać panu coś do zagryzienia?

- Nie. Po prostu... zróbcie to - zachrypiał gardłowo, kiedy Henry przesunął się, by spełnić polecenie Rachel.

Rachel wsunęła palec w ranę i starała się wymacać obce ciało. Major ze świstem wciągnął powietrze. Rachel wiedziała, że przy jego połamanych żebrach musiało to samo w sobie być niezmiernie bolesne.

- Bardzo mi przykro - mruknęła. Po chwili jej palce trafiły na kawałek metalu. Kula oparła się o kość. Teraz pojawiło się pytanie: czy kość jest strzaskana? Rachel próbowała dalej i znów powiedziała: - Tak mi przykro.

Tym razem jej przeprosiny nie zostały usłyszane. Pacjent zemdlał.

- Dobrze. - Rzuciła szybkie spojrzenie na Henry'ego. Na czole i górnej wardze ordynansa perliły się kropelki potu; oczy miał dziwnie błyszczące, a jego twarz przybrała podejrzanie zielonkawy odcień. - Niech mi się pan nie waży ze mdleć - powiedziała surowo.

Henry wziął głęboki oddech i potrząsnął głową, ale nie odezwał się słowem.

Zranione miejsce znów zaczęło krwawić. Rachel otarła je i sięgnęła po przygotowany wcześniej instrument, którym

miała wydobyć nieszczęsną kulę. Dwukrotnie przymierzała się do uchwycenia kuli, nim ostatecznie jej się to udało.

Korzystając z tego, że pacjent stracił świadomość, poszukiwała ewentualnych odłamków, ale nie znalazła. Raz jeszcze otarła zranione miejsce z nowej fali krwi, nasączyła czyste płótno maścią bazyliową i owinęła całość grubym bandażem. Żeby przytrzymać opatrunek na miejscu, obwiązała nogę majora czystą chustą.

- Czy on straci nogę? - zapytał Henry. - Słyszałem, jak chirurg mówi, że straci.

- Mam nadzieję, że nie. Będziemy to wiedzieć za jakiś czas, być może już jutro. Ale ja nadal się martwię, czy nie wystąpi wewnętrzny krwotok z tej drugiej rany.

- Ja... przepraszam za to, co mówiłem wcześniej. - Ton Henry'ego był bardzo suchy. - Teraz nawet dla mnie jasne jest, że pani wie, co robi.

- Dziękuję - powiedziała, niezdolna ukryć wyczerpania tak, by nie było słyszalne w jej głosie. - Wiedziałam, co należy zrobić, widziałam coś takiego wiele razy, ale muszę przyznać, że sama robiłam to po raz pierwszy.

Na to wyznanie oczy Henry'ego rozszerzyły się ze zdumienia.

Przy drzwiach dało się słyszeć poruszenie. Rachel otworzyła je i zobaczyła Clarę, z trudem dźwigającą jednocześnie synka i płócienną torbę.

-* Och! Jak się cieszę, że wróciłaś - powiedziała Clara. - Mam nowiny. Obaj nasi mężowie są bezpieczni. Spotkałam Mary Parsons. Jej mąż został ranny podczas ostatecznego szturm, ale widział ich obu, Joe'go i pana Brady'ego, i... - Głos Clary zamarł, kiedy dostrzegła w izbie dwóch obcych mężczyzn.

- To jest pan Henry, a to major Forrester. - Rachel wskażała na każdego z nich i pośpiesznie wyjaśniła Clarze sytuację.

- Mam... mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko obecności majora. Po prostu nie mogłam zostawić go tam bez pomocy, żeby umarł. Musiałam spróbować...

Clara postawiła synka na podłodze, a torbę na stole, a potem szybko uścisnęła Rachel.

- Oczywiście że nie mam nic przeciwko temu. Ani Joe nie będzie miał. Tylko że - dodała zawsze praktyczna Clara, rzucając okiem na przyniesioną torbę - mamy niezmiernie mało jedzenia, jak wiesz. To znaczy niektóre tabory zaczęły nas doganiać, ale to wszystko, co udało mi się zdobyć.

- Racje majora zostaną, oczywiście, dodane do racji państwa - powiedział Henry. - Kiedy tylko przybędzie reszta jego rzeczy, uporządkujemy to. Wiem, że nie chciałby być dla państwa obciążeniem. - Henry bacznie spojrzał na majora, po czym wyszedł, obiecując wkrótce powrócić.

- Zatem to rozwiązuje problem. - Clara odgarnęła pasemko rudych włosów z czoła i zaczęła wyjmować swoje skarby, żeby przygotować z nich pożywną zupę. - A teraz - wskazała palcem na Rachel - ty trochę odpocznij. Widzę przecież, że jesteś wyczerpana. Coś ugotuję, a jednocześnie będę miała oko na twojego pacjenta.

Rachel, wdzięczna Clarze za zrozumienie, usadowiła się na pryczy.

- Czego się dowiedziałaś o Edwinie i panu Paxtonie? - zapytała, kładąc się.

- Kiedy szeregowy Parsons widział ich po raz ostatni, obaj byli zdrowi, a wtedy najgorsze już było za nimi. Spodziewam się, że wrócą dziś w nocy.

- Zobaczymy... - Rachel pamiętała aż nazbyt dobrze grabieżę i dzikie hulanki po zdobyciu Ciudad Rodrigo kilka tygodni wcześniej. Przeżyła szok, kiedy dowiedziała się, jak zachowywali się jej rodacy, gdy obleżone miasto poddało się po długich walkach. A o Badajoz walczone bardzo długo i bardzo zaciekle...

Było ciemno, kiedy Rachel się obudziła. Odpoczywała już godzinę czy dwie. Sprawdziła, co z jej pacjentem. Ponieważ wydawał się spać spokojnie, usiadła, by zjeść wraz z Clarą trochę zupy z chlebem.

Clara trzymała synka na kolanach i łyżeczką nakładała mu do buzi przetarte warzywa. Rachel uśmiechnęła się, widząc, jak Clara zreżnie omija ruchliwe niby skrzydła wiatraka rącz-

ki synka, i jak radzi sobie ze staraniami dziecka, by wylać na siebie tyle samo jedzenia, ile połykało. Benny był źródłem radości dla Rachel i dla swoich rodziców, ale Edwin ledwie tolerował malucha. Kiedyś Rachel próbowała przeprosić Clare za obojętność męża.

- Och, nie przejmuj się tym - powiedziała młoda mama. - Wielu mężczyzn jest takich. Poczekaj tylko, aż będziecie mieli własne. Wtedy i twój mąż zmieni zdanie.

Rachel nie była tego wcale taka pewna, ale nie ciągnęła dalej tego tematu.

Pomiędzy kęsami Clara powiedziała:

- Ten pan Henry wydaje się być bardzo przywiązany do swego chlebowodawcy.

- Tak, rzeczywiście. Podobnie jak żołnierze, którzy przynieśli majora do szpitala.

- Czyżby był jedną z tych rzadkich istot: oficerem zasługującym na szacunek? - Clara podzielała typową dla zwykłych żołnierzy pogardę dla wszystkich oficerów razem wziętych. -

No i jest całkiem przystojny - dodała.

Rachel udała oburzenie.

- Claro! Wstydz się.

- Mogę być mężatką, ale nie jestem ślepa.

- Chyba masz rację. - Rachel powiedziała to na pozór obojętnie, choć sama nie rozumiała, dlaczego tak bardzo troszczy się o obcego mężczyznę, który na dodatek niemal przez cały czas był nieprzytomny, a w jej obecności wypowiedział ledwie dwa słowa.

Clara dalej karmiła Benny'ego, a Rachel wstała, by popatrzeć na majora Forrestera. Jednocześnie zastanawiała się, jak wytłumaczyć mężowi obecność rannego w ich kwaterze.

Wtedy właśnie wrócił Henry w towarzystwie młodszego żołnierza i chłopczyka, którego oliwkowa cera zdradzała, że to Portugalczyk albo Hiszpan.

- Jak z nim? - zapytał Henry.

- Właściwie bez zmian. Nie poruszał się wiele.

Henry przedstawił swoich towarzyszy.

- To są Thompkins i Juan. Thompkins to stajenny lorda Jacoba, a Juan przyłączył się do nas mniej więcej rok temu.

Opiekuje się kozami.

- Kozami? - Rachel zapytała nieobecny tonem, starając się przyswoić sobie fakt, że leżący na połowym łóżku mężczyzna jest lordem.

- Si - odparł nieśmiało chłopak, wyciągając przed siebie zakryte naczynie. - To mleko dla was do herbaty albo para su hijito.

- Dla pani syna - przetłumaczył Henry, zwracając się do Clary.

- Mleko? - powiedziała zdumiona Clara. - Jak cudownie! We trzech przyglądali się śpiącemu na połowym łóżku majorowi, jakby pragnąc wyczytać z jego twarzy, że ma się dobrze.

- Właśnie rozbijamy nasz obóz około dwunastu jardów w tamtym kierunku. - Henry wskazał ręką ponad łóżkiem majora. - A tutaj jest trochę mięsa i jarzyn, które mogą się przydać wam, no i jego lordowskiej mości. - Wręczył Rachel dwa pakunki, po czym odwrócił się i ruszył ku wyjściu, wyprowadzając swoich towarzyszy. - Wrócę mniej więcej za godzinę, żeby przy nim posiedzieć.

- Bardzo dobrze. - Rachel wyczuwała, że Henry gorąco pragnie czuć się przydatny, choćby nawet mógł zrobić niewiele. Poza tym major bez wątpienia by wolał, żeby bardziej osobiste posługi, jakich wymaga chory, wykonywał przy nim dobrze mu znany służący.

Rachel próbowała unieść swego pacjenta na tyle, by wlać mu do ust trochę zupy. On jednak przyjął tylko odrobinę wody, ledwie świadom, że coś połyka, i natychmiast znowu stracił przytomność.

Clara uśpiła synka na stryszku. Wrócił Henry i zasiadł u wezłowania łóżka majora, czytając w milczeniu. Jako oświetlenie posłużył mu stojący w pobliżu słupek z przytwierdzoną świecą.

Rachel znów położyła się na swoim posłaniu, ale sen długo nie nadchodził. W myśli odtwarzała wszystko, co zrobiła dla majora. Czy mogła zrobić coś więcej? Zapewne nie, stwierdziła. Czy powinna uczynić to, co uczyniła? Jej sumienie krzyk-

nęło: tak! Jednak zdrowy rozsądek i doświadczenie podpowia-
dały jej, że kiedy Edwin powróci, przyjdzie jej za to zapłacić.

Gdzie właściwie podziewał się Edwin? Czy został ranny?

Na pewno nie, według tego, co usłyszała Clara. Ale co teraz
robił? Nie. Rachel nie chciała pozwolić, by jej myśli podążyły
tym tropem. Nauczyła się nie stawiać podobnych pytań. Bą-
ła się, że odpowiedzi mogły być kłamstwem - albo wstrząsem
dla niej.

Wreszcie zapadła w sen, ale, kiedy otworzyły się drzwi,
obudził ją powiew chłodnego powietrza.

- Co do...? - zapytał zdumiony męski głos.

- O! Pan Paxton. - Rachel poderwała się. Henry także
wstał.

Wyglądający na zmęczonego sierżant Joseph Paxton ro-
zejrzał się po izbie, po czym przeniósł wzrok na Rachel.

- Przez chwilę myślałem, że włąłem do innej kwatery.

Rachel zaśmiała się cichutko.

- Nie. To jest właśnie to miejsce.

- Joe? - zawołała Clara, gramoląc się na dół ze stryszku.

Rzuciła się w objęcia męża tak gwałtownie, że omal nie upu-
ścił muszkietu. - Och, Joe, tak się martwiłam.

- Nie ma potrzeby - odparł szorstkim głosem.

Rachel pomyślała, że Paxton czuje się zakłopotany obecno-
ścią obcych. Przedstawiła Henry'go i wyjaśniła, skąd wzięli
się tu on i major. Joe zaakceptował sytuację z wielkim
spokojem.

- Jesteś głodny? - zapytała żona.

- Umieram z głodu - odpowiedział. - I zobacz, co mam. -
Wyciągnął z chlebaka butelkę wina.

Clara podsunęła mężowi miszkę zupy, która wciąż grzała się
na brzegu paleniska, a Rachel wyjęła cztery kubki. Do
każdego nalała odrobinę wina i wręczyła jeden kubek Hen-
ry'emu.

- Czy widziałeś Edwina? - zapytała Paxtona.

- Widziałem go koło południa, tak mi się zdaje. On był...
ehm... w innej części miasta, niż ja. - Uciekł spojrzeniem w
bok, wyraźnie starając się nie patrzeć na Rachel.

- Ale miał się dobrze? - nalegała, zaniepokojona wahaniem
Joe'go.

- Tak. Miał się dobrze. Wielu naszych wciąż sprawdza bu dynki, rozumiesz. - I znowu uciekł przed jej spojrzeniem.

Serce Rachel ścisnęło się; wiedziała, co Joseph Paxton przed nią zataił. Jej mąż przyłączył się do grabieży i ogólnego zamieszania, o jakim słyszeli wcześniej. Podczas gdy ona desperacko starała się ocalić jedno życie, jej mąż włączył się w bezsensowne dzieło zniszczenia.

Paxtonowie poszli spać, a Rachel odesłała Henry'ego, by i on się położył. Sama postanowiła czuwać przy pacjencie. Zimą nauczyła się robić na drutach i teraz przy migotliwym świetle pojedynczej świecy i dogasającego już ognia w kuchennym palenisku siedziała, dziergając szalik.

Mimowolne wyznanie Paxtona przywołały potok myśli, których Rachel zwykle starała się unikać. Pierwsze miesiące jej małżeństwa były szczęśliwe, tak jej się przynajmniej zda wało. Ostatnio jednak zastanawiała się, czy owo przekonanie nie wynikało jedynie z jej własnej naiwności. Pierwsza plama rdzy na lśniącej zbroi jej rycerza pojawiła się, kiedy Rachel odkryła pokretnie metody, jakimi często posługiwali się wer bownicy - w tym także jej mąż - przy wypełnianiu swojej mi sji. Ona i Edwin kończyli właśnie jeść kolację w oberży, kiedy przysiadło się do nich trzech mężczyzn, z których jeden dopiero dołączył do grupy werbowników. Wszyscy trzej mieli na sobie zgrabne mundury swojego regimentu piechoty.

Sierżant Johnson, mężczyzna mniej więcej w wieku Edwi na, przed trzydziestką, przedstawił nowego towarzysza:

- Ten tutaj to Simon Cantwell. Właśnie ma się do nas przyłączyć.

- Jest nowy, dopiero uczy się namawiać wieśniaków, żeby przyjęli królewskiego szylinga. - Teeter, stały kompan Johnsona, uśmiechnął się znacząco.

- Naprawdę? - Edwin wydawał się niezbyt zainteresowany. Cantwell przytaknął.

Johnson rozsiadł się i zatknął kciuki za pasy, krzyżujące mu się mu piersi.

- Powiedziałem mu, że najlepszy sposób to po prostu dać im parę kufli mocnego piwa i wrzucić do jednego z nich monetę. Kiedy biedny głupek dopije do dna i weźmie do ręki monetę, już jest twój.

- Ale dbaj, żeby był cały czas pijany, dopóki nie podpisze papierów przed sędzią pokoju - dodał Teeter, gestem przywołując usługującą w oberży dziewczynę.

- To ci też pomoże zapewnić sobie przychylność oberżysty, co nie, Brady? - Johnson posłał Brady'emu znaczące spojrzenie i roześmiał się. - Oczywiście, mógłbyś się też uciec do porwania.

- Zbyt ryzykowne - odezwał się Edwin. - Takiego przeciętnego Johny'ego Rawa* można skaptować opowieściami o dzielnych czynach i wojennej chwale, a także o górach jedzenia i picia, jakie będzie miał w wojsku.

Johnson przytaknął.

- To działa zwłaszcza na młodych. A armia lubi, jak są młodzi. Najlepsi kandydaci to czeladnicy, którzy chcą uciec od swoich mistrzów.

- Wygląda na to, że to całkiem łatwe - powiedział Cantwell.

- To... to wszystko wydaje się dosyć nieuczciwe - odezwała się Rachel. Edwin obrzucił ją surowym spojrzeniem, mówiąc wyraźnie, że pozwoliła sobie za dużo. To była męska rozmowa.

Chociaż Rachel powiedziała to cicho, Johnson usłyszał ją i parsknął.

- W piechocie i tak jest jeszcze z tym lepiej niż w tych bandach z marynarki, prawda?***

Od tamtego dnia Rachel nigdy już nie interesowała się zbyt sposobami rekrutacji stosowanymi przez Edwina, ale ucieszyła się, kiedy powierzono mu inne obowiązki.

"Johny Raw - symboliczne nazwisko oznaczające rekruta, poborowego (przyp. tłum.).

** werbunek kandydatów na marynarzy do królewskiej marynarki służył z brutalnych metod, włącznie z oszukiwaniem i porywaniem mężczyzn, bez względu na ich stan rodzinny, zawód i stan zdrowia (przyp. tłum.).

Major jęknął na swoim polowym łóżku, pogrążony w coraz bardziej niespokojnym śnie. Rachel odłożyła na bok robótkę i pospiesznie podeszła do rannego. Kiedy dotknęła jego policzka, poczuła, że jest rozgorączkowany. Namoczyła chustę w zimnej wodzie i położyła ją czole majora. Unosząc głowę swego podopiecznego, żeby podać mu trochę wody, łagodnie szeptała do niego jakieś słowa bez sensu, na tyle cicho, by nie obudzić śpiących na górze Paxtonów. Major uspokoił się nieco. Rachel wróciła do swojej robótki, ale obserwowała go uważnie.

Jakiś czas później zaczął rzucać się gwałtownie i coś mamrotał w malignie. Nagle przestał i zawołał całkiem wyraźnie:

- Celia? O Boże, Celia. Niiieeee... Nie. Celia. Proszę, nie.

W jego głosie dało się wychwycić głębokie cierpienie i Rachel pomyślała, że Celia miałaby sporo do opowiedzenia. Jego żona, zapewne?

Uklękła przy łóżku i otarła majorowi czoło, przemawiając do niego łagodnie jak do chorego dziecka. Sięgnęła po jego dłoń.

- Potrzebna ci pomoc? - spytała cicho Clara, stojąc na szczycie drabiny wiodącej na stryszek.

- Nie. Wydaje się, że teraz jest spokojniejszy. Przepraszam, że cię obudził.

- Nieważne. Zawołaj, jeśli będziesz potrzebowała pomocy.
- Dziękuję ci.

Rachel puściła dłoń majora, ale kiedy tylko to zrobiła, znowu się zaniepokoił. Przyciągnęła więc swój stołek bliżej łóżka i znowu wzięła go za rękę. Albo raczej wsunęła swoją dłoń w jego, gdyż miał wielką dłoń o silnych palcach. Na grzbiecie dłoni widniała blizna. Rachel przesunęła po niej palcem, zastanawiając się, skąd się wzięła.

Zastanawiała się także, dlaczego wobec bezbronności tego akurat człowieka czuła tak dojmujący smutek i pragnienie opiekowania się nim. Często przejmowała się ciężkim położeniem rannych żołnierzy i nigdy nie przywykła do radzenia sobie z tym, że śmierć wykrada jej pacjenta. Jednak ten mężczyzna w jakiś sposób poruszył w niej głęboko ukrytą strunę, o której istnieniu nawet nie wiedziała.

- Kostucho, tego jednego nie dostaniesz - wyszeptła żarliwie i delikatnie ścisnęła dłoń rannego.

Nadal siedziała w takiej samej pozycji, kiedy wrócił Henry, by ją zastąpić.

- Czy w ogóle odzyskał przytomność? - zapytał ordynans.

- Nie. Był bardzo niespokojny i wzywał kogoś o imieniu Celia.

Zauważyła, że Henry zacisnął wargi. Potem powiedział:

- To z pewnością stara historia.

Bolesna stara historia, pomyślała Rachel, puszczać rękę majora, zaskoczona własnym poczuciem jakby straty, kiedy się od niego oddaliła. Ucieszyła się jednak, że nadal jest spokojny, i zzuła buty, żeby położyć się na własnej przyczy.

Ogarnął ją niespokojny sen.

Śnił jej się Edwin Brady - mężczyzna o czarującym uśmiechu, który wydawał się tak atrakcyjny niespełna siedemnastoletniej dziewczynie. Czula jego oplatające ją ręce i jego usta, podskubujące jej szyję tuż pod uchem. Potem obraz się zmienił. To nie do swojej żony przymilał się Brady, lecz do innej kobiety - jakiejś hiszpańskiej piękności - a Rachel stała z boku, obserwując tę scenę jak w teatrze. Ta druga kobieta spojrzała na Rachel i zaśmiała się złośliwie.

Rachel poczuła dłoń na swoim ramieniu i natychmiast się obudziła.

- Ja... przepraszam bardzo, pani Brady, ale wydaje się, że z lordem Jacobem jest znacznie gorzej., i... i ja nie wiem, co robić - powiedział ogromnie zmartwiony Henry.

Rachel usiadła i potarła rękoma twarz, próbując pozbyć się wspomnienia snu i wrócić do rzeczywistości. Rzuciła okiem na okno i zobaczyła blade światło przebijające przez płótno.

Ranek. Przynajmniej major Forrester przetrwał noc.

Włożyła buty i podeszła do miednicy z wodą, żeby umyć ręce i twarz.

Potem przyłożyła dłoń do czoła majora.

- Jest rozpalony gorączką - powiedziała cicho, choć ogarnął ją niepokój.

- Wiem. - Henry był najwyraźniej zgnębiony swoją własną bezradnością.

- Proszę zapalić tę drugą świecę i przytrzymać ją tak, żeby mogła lepiej widzieć.

Henry wypełnił jej polecenie, przyświecając Rachel, kiedy zsunęła koc, żeby zbadać rany na piersi i na brzuchu majora. Skóra rannego w tych miejscach była ciepła, ale nie nadmiernie. Potem Rachel obejrzała ranę na nodze. Tu skóra wokół opatrunku miała wściekle czerwony kolor i niemal płonęła.

- Och, mój Boże - mruknęła.

- Żle?

- To infekcja. - Słodkawozgniły odór rozkładu uniósł się dokoła, gdy usunęła bandaż.

Rachel przemyła ranę ciepłą wodą tak dokładnie, jak potrafiła, i ponownie zabandażowała nogę.

- Teraz pozostaje nadzieja i modlitwa - powiedziała, cisnąc stary bandaż do ognia i wylewając brudną wodę.

Clara zeszła po drabinie ze stryżku.

- Obudziliśmy cię? - zapytała Rachel przepraszająco.

- Niezupełnie - powiedziała Clara. - Muszę... ehm... wyjść na zewnątrz.

Znikła na chwilę, po czym wróciła i zaczęła się krzątać, przygotowując śniadanie. Nastawiła wodę na herbatę, po czym przeniosła jedną z paczek przyniesionych przez Henry'ego na stół. Kiedy ją rozwinęła, zapach zepsutego mięsa uderzył ich w nozdrza.

- Och, nie, znowu to samo! - zawołała Clara ze wstrętem. - W tym mięsie jest pełno robaków! Można by sądzić, że skoro ludzie z kwatermistrzostwa przywożą nam wołowinę konno, powinna być przynajmniej świeża, kiedy ją dostajemy!

- Tak, można by tak sądzić - zgodziła się Rachel, zaglądając Clarze przez ramię. - Czy jest aż takie zepsute, że nie dasz rady ocalić ani kawałka?

- Och, nie. Po prostu dobrze je umyję i użyję mnóstwa pieprzu, jak to robią Hiszpanie.

Rachel zmarszczyła czoło, usilnie starając się przywołać coś z głębi pamięci.

- Zaraz, zaczekaj - powiedziała, powstrzymując dłoń Clary. - Odetnij mały kawałek i zostaw go, żeby rozmnożyły się robaki, a potem rób z resztą, co uważasz.

- Co chcesz zrobić z mięsem, w którym są robaki? - zapytała Clara ze zdumieniem i odrazą. - Przysięgam, Rachel, że jesteś najdziwniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałam. Nie pozwoliłaś mi wyrzucić tego spleśniałego chleba, a teraz chcesz zostawić zepsute mięso?

- Tylko dzisiaj. Być może będę go potrzebować... później. - Rachel zabrała kawałek odcięty przez Clary i zawinęła go luźno, podczas gdy Clara starannie skrobała i myła resztę.

Henry przysłuchiwał się tej wymianie zdań z pewnym zainteresowaniem, ale nic nie powiedział.

- Panie Henry - odezwała się Rachel. - Wołałabym nie zostawiać pana samego przy majorze Forresterze, ale naprawdę muszę zameldować się od rana w szpitalu.

- Nic nie szkodzi - odparł Henry. - Nic mi nie będzie. Bądź co bądź to mój obowiązek.

Clara spojrzała na niego.

- Pan też potrzebuje trochę snu, jestem tego pewna, Chęć nie będę doglądać waszego pacjenta przez parę godzin. Na pewno nie będę nigdzie wychodzić przez jakiś czas, a Joe zamelduje się u swojego porucznika.

Niechętnie zgadzając się na to rozwiązanie, Henry powrócił do swojego obozu, a Rachel - poinstruowawszy Clary, by spróbowała wlać nieco rosółu w rannego - wyruszyła do szpitala.

Deszcz ustał już poprzedniego dnia po południu i ziemia szybko wysychała. W powietrzu unosił się zapach wiosny. Matka natura podejmowała znów swój odwieczny cykl odnawiania życia, mimo że ludzkość wydawała się tkwić w pułapce śmierci i zniszczenia.

- Czy pani pacjent żyje? - zapytał Ferguson, kiedy tylko Rachel pojawiła się w szpitalu.
- Tak, żyje - odparła z dumą, po czym dodała z nutką ostrożności: - Ale myślę, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. - I ze szczegółami opisała stan majora.
- Ta noga wciąż może go zabić - ostrzegł Ferguson - ale cięcie na brzuchu musiało być o wiele mniej poważne, niż się wydawało, kiedy tu trafił.
- Tak myślę. Być może ostrze zahaczyło o umundurowanie. To z powodu połamanych żeber oddychał z takim trudem.
- McGrigor miał rację: byłby z pani świetny lekarz. - Podziw w głosie Fergusona sprawił Rachel przyjemność. Resztę poranka spędziła na zmienianiu bandaży i karmieniu pacjentów zbyt słabych, by mogli poradzić sobie z tym samodzielnie. Część rannych nadal walczyła o życie, ale gorączkowe tempo dnia wczorajszego osłabło i chirurdzy nie byli aż tak zapracowani. Od nowych pacjentów przybywających z miasta często czuć było nieświeżą woń brandy i wina.
- Ci głupcy nawet nie patrzą, gdzie strzelają - powiedział Mac z odrazą. Wskazał na mężczyznę, któremu właśnie amputował stopę. - Ten pijany osioł upuścił swój muszkiet, i to naładowany, i sam sobie odstrzelił stopę!
- Och, to okropne - westchnęła Rachel. I niepotrzebnie głupie, pomyślała.
- Roznoszą miasto na strzępy. - Młody muzyk, który właśnie przyprowadził wóz z trzema rannymi żołnierzami, był wyraźnie wstrząśnięty. - Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Dwóch z naszych „dzielnych” wojaków zrobiło sobie za-

wody w strzelaniu do dwóch małych chłopców, którzy uciekali. A kobiety... nawet małe dziewczynki...

- Wystarczy, synu - Mac przerwał mu, rzucając spojrzenie na Rachel.

Wiedziała, że szok i przerażenie muszą być widoczne na jej twarzy. A jej mąż wciąż tam był. Nie. Nie mogła sobie pozwolić, by o tym myśleć. Edwin z pewnością wkrótce się zjawi. Właściwie to już mógł być w pasterskiej chacie.

Powróciła do swych obowiązków, ale jej myśli wędrowały pomiędzy obrazami grabieży i terroru w mieście a pacjentem, którego zostawiła w chacie. Wreszcie wczesnym popołudniem wróciła do własnej kwatery - zmęczona, głodna i z sercem ściśniętym widokiem ludzkiej mizerii w szpitalu i zasłyszanych strasznymi opowieściami o wydarzeniach w mieście.

W chacie zastała bardzo zaniepokojonych Clare i Henry'ego.

- Dzięki Bogu, że jesteś. - Ulga w głosie Gary była wyraźnie słyszalna.

- Pogorszyło mu się - powiedział ponuro Henry. - Traci zmysły.

Rachel w pośpiechu zrzuciła szal i odłożyła pakunek z dodatkowymi materiałami opatrunkowymi na stół, po czym umyła ręce. Jeszcze zanim dotknęła czoła majora, poczuła gorąco buchające od jego dręzonego gorączką ciała. Podciągnęła koc i uniosła skraj bandażu na klatce piersiowej i brzuchu.

- Tu nic złego się nie dzieje - stwierdziła - zatem to musi być znowu ta noga.

Usunięcie bandażu nie tylko odkryło zainfekowane miejsce, ale i wyzwoliło jego znajomy odór.

- Uch! - stęknęła Clara. - Biedaczysko.

Czerwone pręgi biegnące wzdłuż nogi majora przeraziły Rachel.

- Och, mój Boże! - zawołał Henry. - On jednak straci tę nogę... albo jeszcze gorzej.

Rachel na moment zamknęła oczy. Proszę cię, Boże, nie. Nie on. Nie teraz.

Starala się, by jej głos brzmiał spokojnie.

- Może tak się stać. Ale chcę czegoś spróbować. Jeżeli to nie poskutkuje, sprowadzimy tu chirurga, żeby przeprowadził amputację.
- Jeżeli co nie poskutkuje? - W głosie Henry'ego zabrzmiała podejrzliwość.
- Robaki - powiedziała śmiało Rachel. Henry i Clara zrozumieli, co ma na myśli.
- Nie! - odezwał się Henry. - Ja na to nie pozwolę. Clara nie dowierzała własnym uszom.
- Nie możesz mieć na myśli tego, co myślę, że ty myślisz.
- Posłuchajcie. - Rachel wstała, opierając ręce na biodrach i patrząc na nich surowo. - Ten człowiek straci nogę, a być może nawet życie. Infekcja doszła zbyt głęboko, żeby zwalczyć ją zwykłymi metodami.
- Henry podniósł głos, protestując.
- A pani myśli, że wprowadzenie robactwa pomoże? Co za absurdalny pomysł.
- Czy nie ma innego sposobu? - Clara skrzywiła się, na jej twarzy wyraźnie malował się wstręt.
- A może użyć więcej maści bazyliowej? - zaproponował Henry.
- To nie usunie zainfekowanej tkanki, która zakaża cały jego organizm.
- Sądzę, że warto spróbować - Clara przyznała Rachel rację. - Taki dobrze zbudowany, przystojny mężczyzna jak on... i do tego lord... nie byłby zadowolony z utraty nogi, jeżeli istniałyby jakieś sposoby jej ocalenia... - Głos jej zamarł.
- Henry rozważył to, po czym z rezygnacją wzruszył ramionami.
- Zatem dobrze. Nie podoba mi się to, ale... Jak rozumiem, nic już nie pogorszy sprawy.
- Niemal krztusząc się, Rachel przełknęła głośno ślinę, kiedy rozłożyła pełzającą masę na ranie i szybko luźno przykryła ją materiałem, żeby ukryć „bestie”.
- Teraz musimy poczekać kilka dni - powiedziała.

- Kilka dni? - Henry aż podniósł głos ze zdumienia i niecierpliwości.
- Tak sędzę. Tymczasem musimy starać się podawać mu trochę więcej rosółu i płynów. A także zbijać gorączkę przy użyciu chłodnych okładów z kory wierzby i herbaty. Mam korę wierzby, ale przydałoby się trochę laudanum, żeby złagodzić ból.
- Mogę poszukać, kiedy pójdę po zapasy - powiedział Henry. - Jeżeli czegoś potrzeba, obiecuję, że to znajdę.
- Clara i Henry w milczeniu patrzyli, jak Rachel kończy zmianę opatrunków. Pacjent był niespokojny, kiedy go dotykała. Teraz otworzył oczy, ale najwyraźniej nikogo nie rozpoznawał.
- Robbie! - zawołał. - Bądź ostrożny. Uważaj! Ten Diabeł to dzikus. - Jęknął, najwyraźniej z bólu, ale Rachel nie potrafiła powiedzieć, czy był to ból odczuwany teraz, czy zapamiętany. - Nie, Robbie. Nie... mów... tacie. Trzeba uratować... Diabła.
- Rachel spojrzała na Henry'ego, spodziewając się wyjaśnienia.
- Robbie to był... to jest... jego brat. Robert Forrester, mariz Lounsbury. Jako chłopcy mieli konia imieniem Diabeł.
- I co się stało? - zapytała Rachel, zastanawiając się, dlaczego tytuł „Lounsbury” brzmiał dla niej znajomo.
- Obaj chłopcy postanowili na nim pojeździć. Robert miał około dziesięciu lat, jak mi się zdaje, zatem lord Jacob miał zapewne sześć lub siedem. Koń był nieokiełznany, nawet stajenni się go bali, ale dzieci wbiły sobie do głowy, że im uda się pojeździć na Diabla.
- Dzieci rzadko potrafią przewidzieć niebezpieczeństwo - zauważyła Clara.
- Lord Jacob wyszedł z tej przygody ze złamanym ramieniem, ale powiedzieli ojcu, że wydarzyło się to na skutek upadku. Co w pewnym sensie było prawdą. Kiedy Robbie spadł z wierzgającego konia, mały Jacob stanął nad bratem i próbował złapać wodze. Kopyto konia trafiło dziecko w ramię, zanim stajenny zdołał poskromić zwierzę.
- Ale pomocnicy ze stajni wiedzieli, co się stało - wtrąciła się Rachel.
- Zostali zaprzysiężeni do zachowania tajemnicy.

- Nie rozumiem, dlaczego - powiedziała Clara.

- Dzieci bały się, że markiz zabije zwierzę. I zrobiłby to. Rachel przypomniała sobie słowa kaprała, że Forrester osłonił go przed ciosem bagnetu.

- A więc nawet wtedy ryzykował, żeby ochronić innych.

- Tak. Zawsze skłonny był chronić i ratować innych w potrzebie lub w niebezpieczeństwie. Jego brat Robert jest taki sam. Dziwne.

- Dziwne? - powtórzyła za nim Rachel.

- Ich ojciec nigdy nie dbał o nikogo więcej poza sobą samym. - Wydawało się, że Henry nagle uświadomił sobie, iż powiedział za dużo, i zajął się wygładzaniem posłania majora. Wkrótce potem wyszedł, obiecawszy, że przyniesie racje żywnościowe majora.

- Póki go nie ma - powiedziała Rachel - chciałabym wziąć kąpiel.

- Kąpiel? - Clara była zgorszona. - Kiedy major tu leży?

- On nawet nie będzie świadom, co się wokół niego dzieje.

- A jednak...

- Daj spokój. Przeciagniemy sznur między tymi kołkami w ścianach i zawiesimy koc pomiędzy nami i majorem na wypadek, gdyby twój mąż albo mój, albo Henry, wrócili niespodziewanie. Możemy popilnować się nawzajem. - Rachel podniosła sznur.

- Przyznaję, że perspektywa umycia się jest bardzo kusząca... - powiedziała Clara. - Zastanawiałam się, jak sobie poradzimy, co z twoim pacjentem i w ogóle.

- Oczywiście, to będzie tylko mycie, a nie prawdziwa kąpiel, ale już samo odświeżenie się i czyste ubrania sprawią, że poczujemy się lepiej.

Godzinę później obie kobiety siedziały przy herbacie, rozkoszując się świeżością, a dziecko bawiło się na pryczy Bradych. Niedługo cieszyły się chwilą wytchnienia, bo major zaczął cicho pojękiwać i wiercił się, rzucając zwłaszcza zranioną nogą.

- Czy... czy on dochodzi do siebie? - zapytała Clara. - Czy on cierpi? Czy... czy te rzeczy sprawiają mu ból?

- Wydaje mi się, że nadal jest nieprzytomny. Co do bólu, z pewnością go nie ominął. Przynajmniej straszliwy ból głowy i obolałe żebra. Ale myślę, że najbardziej dokuczliwe jest swędzenie.

- Swędzenie?

Rachel sięgnęła do jednej z toreb po butelkę brandy.

- Porucznik Ferguson powiedział, że major będzie mógł tego potrzebować dla złagodzenia bólu, ale sądzę, że to może służyć i w innym celu.

Clara była najwyraźniej zaintrygowana, ale nie odezwała się słowem, kiedy Rachel nasączyła chustę alkoholem i zaczęła przecierać zaczerwienioną skórę przy opatrunku na nodze majora.

- No już - szeptała niczym do dziecka - teraz czujemy się o wiele lepiej, prawda? - Potem dodała weselszym tonem: - A skoro już się pan obudził, przynajmniej do pewnego stopnia, to może jest pan gotów coś zjeść.

Clara wydawała się czytać w jej myślach, bo wręczyła Rachel łyżkę i przytrzymała filiżankę z rosółem, świeżo zaczerpniętym z kociołka grzejącego się na skraju paleniska. Rachel, obejmując jedną ręką głowę i ramiona pacjenta, usadowiła go prosto, a drugą wlała mu łyżką trochę rosółu do ust. Mężczyzna kilka razy przełknął z najwyższym trudem, po czym głęboko westchnął i odwrócił głowę.

- Wiem - powiedziała. - Nie jest to pieczeń wołowa i pudding Yorkshire, prawda? - Zabrała rękę, zdumiona wewnętrznym ciepłem, które ogarnęło ją, gdy podtrzymywała majora. Teraz ranny leżał już spokojnie, co bardzo ją ucieszyło.

Kiedy Henry wrócił, by sprawdzić, co z jego panem, Clara zabrała synka na spacer, na świeże powietrze. Gość wręczył Rachel pakunek z jedzeniem.

- Na zewnątrz czekają kapral Collins i sierżant Humphrey - powiedział. - Przyszli się dowiedzieć, co z lordem Jacobem.

- Śpi, jak pan widzi - odparła Rachel - ale mogą tu wejść i zobaczyć sami.

Dwaj żołnierze zostali zaproszeni i stanęli przy swoim dowódcy, spoglądając na niego.

- Czy on wydobrzeje? - W głosie Collinsa wyraźnie brzmiały obawa i troska.

Rachel zdała sobie sprawę, że odczucia kaprała były takie same, jak jej własne.

- Nie mogę powiedzieć z całą pewnością - przyznała. - Ale mam szczerą nadzieję.

Nagle drzwi chaty otworzyły się z trzaskiem. Zaskoczona Rachel obejrzała się i zobaczyła stojącego na progu męża.

- Co jest, do ciężkiej cholery...? - warknął, ciskając chlebak na posłanie, które dzielił z żoną, i opierając muszkiet o ścianę w rogu za drzwiami.

- Och, Edwinie, wróciłeś - powiedziała radośnie Rachel.

- Och, Edwinie, wróciłeś - odezwał się, przedrzeźniając ją. Potem jego głos zrobił się lodowaty. - Tak. Wróciłem i zastaję moją żonę zabawiającą połowę kompanii Rangersów. Czy byłabyś uprzejma się wytłumaczyć, pani Brady?

- Collins i ja właśnie wychodziliśmy - zapewnił sierżant Humphrey. - Zajrzymy do majora jutro, Henry.

Dwóch żołnierzy zrobiło szybki odwrót, pozostawiając ordynansa i Rachel, by stawili czoła jej mężowi. Rachel westchnęła bezgłośnie, widząc, że Edwin jest na wpół pijany.

- To jest pan Henry - przedstawiła ordynansa. - Przynieśliśmy majora tutaj dlatego, że w szpitalu umarłby natychmiast.

- No to zamieniłaś moją kwaterę w prywatny szpital dla jakiegoś przeklętego ocyfera - Brady wybełkotał niewyraźnie ostatnie słowo.

- A cóż to za różnica? - zapytała niezdolna stłumić urazę... albo zakłopotanie. - Nie było cię tutaj. Clara i Joe nie mają nic przeciwko...

- Och, nie mają, co?

- Nie, nie mają. I jak już wyjaśniałam, major Forrester umarłby...

- Forrester? Powiedziałaś „Forrester”? - Brady spojrzał uważ-

nie na leżącego mężczyznę i na jego twarz, częściowo tylko widoczną spod bandaży osłaniających głowę.

- Major lord Jacob Forrester - oznajmił Henry, jak gdyby przedstawiał gościa przybywającego na bal.

Brady zrobił się czerwony na twarzy, a potem pobladł z wściekłości. Chwytał Rachel za ramię i wywłókł ją za drzwi.

- Zamienię z tobą słówko na osobności, droga żono.

Około trzydziestu stóp od chaty, po przeciwnej stronie do miejsca, w którym Henry rozbił obóz Forrester, stało kamienne ogrodzenie. Brady pociągnął Rachel do tego ogrodzenia i tam okręcił ją w miejscu.

- Co ty, do cholery, robisz, sprowadzając Forrestera do mojej kwatery?

- Staram się ratować ludzkie życie, tak jak mam nadzieję zrobić kiedyś dla ciebie, jeśli zajdzie potrzeba - powiedziała, uchylając się.

Wyciągnął rękę i bojes'nie uchwycił ją za podbródek.

- Nie próbuj mi tu pyskować, kobieto.

- Edwin, proszę - próbowała przemówić mu do rozsądku. - Sprawiasz mi ból.

Stał na tyle blisko niej, że mogła wyczuć nieświeżą woń alkoholu i jego potu - a także mieszaninę... czego? Pikantnych przypraw i jakichś egzotycznych perfum.

Nieprzyjemne uczucie ścisnęło jej żołądek. Jak żywe stanęły jej przed oczyma urywki opowieści zasłyszanych w szpitalu - opowieści o kobietach, którym wydzierano kolczyki z krwawiących uszu i zrywano biżuterię z ciała, pozostawiając zadrapania, rany i połamane palce. O kobietach i dziewczętach gwałconych wszędzie, gdzie je znaleziono. A Edwin był częścią tego wszystkiego - czyż nie?

Brady warknął jakieś przekleństwo.

- Sprawię, że zaboli cię diabelsko bardziej, jeżeli nie pozbędziesz się tego bękarta z mojej kwatery.

- Edwinie, czy ty znasz tego majora? - spytała, starając się zachować spokój. - Nie pamiętam, żebyś wymieniał jego nazwisko, nigdy.

- O tak, znam go. Markiz Lounsbury to... to największy posiadacz ziemski w okolicach Brixton, gdzie dorastałem.
Wiem, że ci to mówiłem.

- W zachodnim Devon? - zapytała. - Ale zdawało mi się, że Henry powiedział, że major pochodzi z Gloucestershire.

- Bo tak jest. Ale ci przekłęci Forresterowie posiadają majątki w całej południowej Anglii. Aroganckie, chciwe papugi, całe ich stado.

- Sądząc po tym, co mówili ordynans i dwóch żołnierzy, którzy przynieśli go do szpitala, major Forrester nie wydawał się taki - nieśmiało wyraziła swoje zdanie.
Oczy Edwina zwęziły się.
- Zaprzeczasz mi?

- Nie. Tylko powiedziałam, że nie takie odniosłam wrażenie, słysząc, co mówili o nim inni.

- Twoje wrażenie nie ma znaczenia - powiedział, parskając.

- Teraz się go pozbędziesz. Już samo to mi się nie podoba, że spędzasz tyle czasu w szpitalu, zaniedbując swoje obowiązki względem mnie, ale tym bardziej nie będę tolerował tego śmierdzącego bałaganu w mojej własnej kwaterze.

- Edwinie, ten człowiek był umierający! Jego życie wciąż wisi na włosku. Nie można go przenosić, nie szkodząc mu.

- Odmawiasz wykonania moich poleceń? - Głos Brady'ego stał się złowrogi i Rachel wiedziała, że nie zawaha się wyładować na niej swojej furii, jeżeli stanie mu na drodze. Bóg jeden wie, co jeszcze mogłoby mu wpaść do głowy.

- Nie. - Szukała rozpaczliwie słów, które przemówiłyby do jego egoizmu. - Po prostu pomyślałam, że może nie chciałbyś stawiać czoła konsekwencjom tego, co by się stało, gdyby umarł dlatego, że my go przenieśliśmy. MacLa-chlan powiedział mi, że o majora Forrestera pytał adiutant lorda Wellingtona. I wyobrażam sobie, że rodzina majora mogłaby użyć swoich wpływów w kwaterze głównej.

Słowa Rachel wydawały się na moment otrzeźwić Edwina.

- A niech to wszyscy diabli! - Brady rzucił jej piorunujące spojrzenie. - Zobacz, w co żeś mnie wpakowała! Wiadomo,

głupia, niedouczone kobieta naprawdę wszystko pogmatwa.

- Nie widzę powodu, żeby przedłużać tę rozmowę...

- Och, nie widzisz? - Zamachnął się i uderzył ją na odlew w twarz. - To cię nauczy, żeby nie knuć nic za moimi plecami.

Głęboko dotknięta, ale nie zdziwiona - wszak Brady uderzył ją nie po raz pierwszy - Rachel przyłożyła dłoń do palącego policzka i odsunęła się od męża.

- Nic nie robiłam za twoimi plecami. Twoje plecy nie pokazały się w domu od trzech dni!

- A to już nie twój interes - zaśmiał się szydlerczo, ale nie uderzył jej po raz drugi, być może dlatego, że do chaty zbliżała się Clara z synkiem. Ostatnim razem, kiedy Brady uderzył żonę w obecności Paxtonów, wyraźnie dali mu do zrozumienia, że dla takiego jak on mężczyzny mają tylko pogardę.

Chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie, co z odległości kilku stóp mogło wyglądać, jakby ją obejmował. Próbowwała się wyrwać, ale przytrzymał ją i szarpnięciem przysuwając jej twarz do swojej, pocałował ją, z wściekłością miażdżąc jej usta.

- Masz szczęście, droga żono. Wróciłem tylko po trochę zapasów i po czyste ubranie. Morton, ja i trzech innych mamy towarzyszyć porucznikowi Hoskinsowi w jakiejś misji rozpoznawczej. Wyruszamy o świcie.

- Misji rozpoznawczej... - powtórzyła tępo, niezdolna myśleć o niczym innym oprócz zranionych ust.

- Sposób starego Nosala¹, żeby popsuć zabawę w mieście.

Używając jednego z przydomków nadanych przez armię swojemu głównodowodzącemu, skinieniem głowy wskazał w kierunku miasta.

- Jak... jak długo cię nie będzie?

- Kto wie? Może wie to Hoskins, ale on nam nie powie. Co najmniej dziesięć dni, tak bym powiedział. I zapamiętaj sobie, kobieto, że kiedy spotkamy się następnym razem, lepiej niech ten Forrester nie trzyma się twojej spódnicy. Czy to jasne?

¹Nosey, Ol' Nosey - „Nosal”; przydomko nadane Arthurowi Wellesleyowi (lordowi Wellingtonowi) przez Anglików (przyp. tłum.).

Rachel ledwo na niego spojrzała.

- Pytałem, czy to jasne? - Brady zazgrzytał zębami.
- Och, jasne, całkiem jasne - odpowiedziała, nie starając się nawet ukrywać swojej urazy i gniewu.
- Ostrzegałem cię, żebyś mi nie pyskowała. - Jego ton był ostry, ale wydawało się, że ma świadomość, iż Clara na nich patrzy. Zniżył głos prawie do szeptu. - I nie napuszczaj na mnie znowu Paxtonów. Nie lubię dzielić kwatery z tchórzem.
- Tchórzem? - W głosie Rachel zabrzmiało niedowierzenie.
- Słyszałaś, co powiedziałem. - Ale nie dodał nic więcej. Ani najwyraźniej nie przypominał sobie, że o tym, by dzielić kwatery z Paxtonami zdecydowali wspólnie - on i Joe.

Wrócili do chaty w tej samej chwili, co Clara. Kiedy weszli, Henry podniósł się ze stołka.

- Henry, nie musi pan zostawać dłużej. Ja popilnuję na szego pacjenta - powiedziała Rachel.

Henry spojrzał na nią badawczo i Rachel poczuła się zakłopotana na myśl, że Henry mógł zauważyć czerwony ślad na jej wciąż piekącym policzku.

- Jak pani sobie życzy, madam. Wrócę zatem po północy, żeby mogła pani trochę wypocząć.
- Dziękuję, ale to nie będzie konieczne. Po prostu proszę przyjść rano, jeśli pan łaskaw.
- Tak jest, madam.

Ledwie Henry przekroczył próg, kiedy Edwin warknął:

- Przynajmniej miałaś na tyle oleju w głowie, żeby pozbyć się jego.

Clara spojrzała na Brady'ego pytająco, ale się nie odezwała. Rachel nie odpowiedziała na uwagę męża. Trzymając w jednej ręce miskę, zaczerpnęła nią zupy z dna garnka, żeby nabrać mu jak najwięcej mięsa i jarzyn. Gruba kromka chleba i kawał sera uzupełniły posiłek Edwina - choć nie tylko. Brady nalał sobie z manierki pełną filiżankę czegoś, co nos Rachel zidentyfikował jako brandy. Zamknęła oczy, mając nadzieję, że kolejna porcja alkoholu nie uczyni męża jeszcze bardziej złośliwym i agresywnym.

Clara zajęła się karmieniem synka, a Rachel układała ubrania, które uprała kilka dni wcześniej. Kobiety, podążające za wojskiem, szybko nauczyły się korzystać z każdej okazji do zrobienia prania, bez względu na to, jak niedogodna mogła to być pora. Rachel rozłożyła ubrania męża. Później sam upchnie je sobie w chlebaku i przypnie zrolowany koc.

Podawała też kolejnych kilka łyżek wody pacjentowi i ucieszyła się, kiedy trochę wypił. Zajmując się rannym oficerem, poczuła na sobie gniewne, niemal palące spojrzenie męża.

Gdy kilka minut później nadszedł Joe Paxton, Rachel cichutko westchnęła z ulgą. Było mało prawdopodobne, żeby Edwin zrobił awanturę w obecności człowieka, który już kiedyś okazał swoją milczącą dezaprobatę wobec zachowania Brady'ego wobec żony. Obaj mężczyźni gawędzili ze sobą dość przyjaźnie. Joe wyraźnie starał się zachować pewną powściągliwość, ale Edwin wysiłał się, by być czarujący.

Rachel na próżno szukała w zachowaniu obu mężczyzn jakichkolwiek oznak wzajemnej niechęci, które wyjaśniałyby, dlaczego Edwin nie chciał dzielić kwatery z Paxtonami. Joe uprzejmie przyjął propozycję poczęstowania się brandy, ale wypił bardzo mało i zamienił alkohol na herbatę. Bawił się z synkiem, podczas gdy Brady czyścił swój muszkiet. Obie kobiety siedziały na pryczy Brady'ego, rozmawiając cicho, jednak Rachel cały czas uważnie obserwowała majora.

Forrester zaczął cicho pojękiwać i wiercić się, a wtedy Rachel wstała, żeby się nim zająć.

- Mam nadzieję, że on nie ma zamiaru tak hałasować przez całą noc - warknął Brady. - Muszę się trochę przespać.

Ostatnie trzy dni były bardzo męczące.

Rachel nie mogła się zmusić, żeby spojrzeć na swego męża. Nie miała też odwagi patrzeć na Paxtonów, którzy, jak się orientowała, doskonale wiedzieli o udziale Brady'ego w zamieszkach w mieście. Przyłożyła dłoń do policzka majora.

Poczuła ciepło, ale gorączka nie była zbyt wysoka. Otarła rannemu twarz i szyję wilgotną chustą i podała mu kolejną porcję herbaty z kory wierzby.

- Myślę, że będziesz mógł zażyć snu, Edwinie - powie
działa chłodno, doskonale wiedząc, że kiedy jej mąż zapad
nie w stan pijackiego odrętwienia, niemal nic nie jest w sta
nie go obudzić.

Jednak ton jej głosu mu nie umknął, bo obrzucił ją suro-
wym spojrzeniem.

Kiedy rodzina Paxtonów przeniosła się do siebie na pod-
dasze, Edwin także postanowił udać się na spoczynek.

- A ty idziesz spać ze mną - nakazał Rachel.

- Och, ale... - wskazała gestem postać leżącą na połowym
łóżku.

- Usłyszysz go, jak będzie z nim źle. A teraz chodź tutaj.
Mąż ma pewne prawa, wiesz przecież. - Brady mówił cicho,
ale z naciskiem.

- Ja... ja położę się przy tobie - szepnęła - ale nie mogę...
nie powinniśmy...

- A czemu nie, do diabła? Odmawiasz mi moich praw? -
Gwałtownie przyciągnął ją do siebie i wsunął dłoń w jej dekolt.

- Nie, oczywiście, że nie. - Rachel szukała argumentu, któ-
ry by zniechęcił męża. - Ja... ja... jestem niedysponowana -
szepnęła, mając nadzieję, że jej zawstydzenie poskutkuje.

Jego dłonie na piersiach Rachel znieruchomiały.

- Masz naprawdę wyjątkowe wyczucie czasu. - Bolesnie
uszczypnął ją w pierś i odwrócił się od niej. Wkrótce rozle-
gło się donośne chrapanie.

Rachel leżała u boku męża, upokorzona. To prawda, że
mało realne, by Paxtonowie ich słyszeli, a major wyraźnie nie
był świadom niczego, ale ona sama straciła właśnie resztki
nadziei, jakie wiązała ze swym małżeństwem.

Pamiętała czas, kiedy uważała Edwina Brady'ego za przystoj-
nego i czarującego; czas, gdy drżała, kiedy ją całował. Teraz nie
chciała nawet, by jej dotykał. Nie zawahała się nawet skłamać.

Ale zaraz, jak to naprawdę jest? Z pewnością już powinna
przyjść miesięczna słabość... Rachel leżała, robiąc w myśli
obliczenia.

Wielkie nieba! Coś się spóźniało. I to bardzo.

Och, Boże. Nie teraz - w samym środku wojny. Brady miał rację. Miała naprawdę wyjątkowe wyczucie czasu...

4

Myśli jak szalone kłębiły się w głowie Rachel, kiedy wstała, by posiedzieć przy nieprzytomnym majorze. "Wyjęła szpilki z koka, który zwykle nosiła, rozplotła włosy i rozczesała je.

Kiedy major zaczął się poruszać, pochyliła się nad nim i sprawdziła bandaż. Wszystko było w porządku; czerwone smugi na jego nodze nie przesuwaly się dalej. Nakarmiła ranego odrobiną rosołu i podała mu wody, po czym otarła mu twarz chłodną, wilgotną chustą.

- Jutro poproszę pana Henry'ego, żeby pomógł mi cię wykapać - szepnęła cichutko.

Wydał z siebie cichy dźwięk, prawie jak gdyby odpowiedział na jej słowa. Zaczęła więc do niego mówić, czując przygniatający ciężar i palącą potrzebę podzielenia się z kimś swoją historią.

- Ja... moje życie nie zawsze było takie, jak teraz - rozpoczęła opowieść, splatając włosy na noc w warkocz. - Miałam bardzo szczęśliwe dzieciństwo, cudownych rodziców. Pamiętam, że tak często się śmialiśmy! Nawet jak mama umarła, kiedy miałam osiem lat, tata nie pozwolił, żeby śmiech zamarł w naszym domu. Mówił, że ona żyje w naszym śmiechu.

Rachel opowiedziała majorowi o swojej łagodnej, wielkodusznej matce, która zawsze wydawała się bardziej życzliwa, słodsza i subtelniejsza niż matki jej przyjaciółek. I bardziej delikatna. Nie przetrwała drugiej ciąży.

- I tak zostaliśmy tata i ja. Mawiał, że muszę być zarówno jego zdolnym synem, jak i piękną córką. - Zaśmiała się mimo woli. - Tata zawsze uważał, że jestem piękna.

56

Przerwała na chwilę, rozmyślając o jedynym mężczyźnie, który kiedykolwiek kochał ją bezwarunkowo. Major poruszył się, przekręcając głowę, jak gdyby szukał źródła dobiegającego go głosu, ale nadal był nieprzytomny. Rachel ciągnęła swą opowieść nieco głośniejszym szeptem.

- Kiedy tata zmarł... dostał gorączki podczas tej okropnej epidemii grypy w tysiąc osiemset szóstym... zamieszkałam z rodziną, u jego przyrodniej siostry. Potem spotkałam Edwina. Wiem, że trudno w to teraz uwierzyć... Mnie samej wydaje się to niemożliwe... ale Edwin wniósł radość w moje życie. Przynajmniej na chwilę.

I znowu zamilkła, siedząc chwilę w pełnej zamyślenia ciszy. Zerknęła na śpiącego męża i usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ich życie się zmieniło. Zastanawiała się, co jeszcze mogłaby zrobić, żeby przywrócić dawną radość. Wiedziała, że wszystkiemu winien jest charakter jej męża, ale była pewna, że mogłaby mu pomóc, gdyby tylko знаła sposób.

Być może dziecko...

Ale nie. Już byli w takiej sytuacji. W pierwszym roku małżeństwa desperacko pragnęła dziecka. Przekonana, że dzięki niemu staliby się prawdziwą rodziną, była nieskończenie szczęśliwa, gdy odkryła, że jest w ciąży. Jednak Edwina wcale nie ucieszyła perspektywa rychłego ojcostwa. Wręcz przeciwnie.

- Nie potrzebuję więcej bachorów w moim życiu - burknął.

- Więcej bachorów? - zapytała, zdumiona.

- Zapominasz, że byłem najstarszy z ośmiorga rodzeństwa.

- Ale to nie będzie to samo.

- Ale prawie, tego jestem pewien. - Spojrzał na nią surowo.

- Nie możesz z tym czegoś zrobić?

- Co ty masz na myśli?

- Nie masz jakiegoś wywaru czy czegoś takiego, żeby się tego pozbyć?

- Ty... nie chcesz naszego dziecka?

- Ach, kochanie... - Podszedł bliżej, otoczył ją ramionami i wtulił twarz w jej szyję, przemawiając łagodnie: - Chcę... kiedyś. Ale czy nie widzisz, że teraz nie jest na to dobry czas?

- A jednak - powiedziała twardo, odsuwając się od niego -
to się nam przytrafia teraz.
- Świetnie!

Wyszedł z ich wynajętego mieszkania, trzaskając drzwiami, i powrócił nad ranem, pijany. Trzy tygodnie później poroniła, chociaż nie uczyniła nic, by tak się stało. Naprawdę głęboko pragnęła tego dziecka i ogromnie żałowała jego utraty. Kiedy dochodziła do zdrowia, Edwin był skruszony i troskliwy, ale nie potrafił ukryć ulgi. Po tym doświadczeniu wyrosła między nimi przepaść nie do przebycia, choć - jak podejrzewała - mąż nawet nie zdawał sobie sprawy, że taka przepaść istnieje. Teraz, wędrując za armią, Rachel obawiała się sprowadzać dziecko na świat. Może kiedy wrócą do Anglii... lecz nie. Nowe życie nie zechce czekać aż do tej chwili.

No cóż, więc niech tak będzie. Nie będzie pierwszą kobietą, wydającą dziecko na świat na wojennym szlaku. A Edwin będzie miał kilka miesięcy, żeby przywyknąć do tej myśli.

Jednak uznała, że może lepiej mu tego od razu nie mówić.

Major Forrester jęknął cicho, sprowadzając ją z powrotem do rzeczywistości.

- A więc chcesz posłuchać dalej? - zapytała z pewnym rozbawieniem. - Bardzo proszę.

Podjęła monolog o swoim dzieciństwie - dzieciństwie córki lekarza w niedużym miasteczku w Szkocji. Opowiedziała mu o tym, jak uczęszczała do Szkoły Diennej dla Panien prowadzonej przez miss Ogilvie i jak towarzyszyła ojcu podczas wizyt domowych, o lekcjach muzyki i tańca, o podzieleniu pasji ojca dla badań naukowych, a także uwielbianej przez niego historii i literatury. Kiedy ten temat się wyczerpał, recytowała urywki z Szekspira, Milтона i współczesnego poety, Wordswortha. Na koniec, kiedy przez zakryte płótnem okno zaczęły przenikać promyki światła, wydawało się, że jej pacjent zapadł w spokojny, uzdrawiający sen.

Ból ogarnął go całego - niczym gęsta londyńska mgła, w której człowiek z trudem rozróżnia niewyraźne kształty

i rozpoznaje stłumione dźwięki. Jacob Forrester nigdy jeszcze nie czuł się tak oderwany od samego siebie i całego otoczenia.

Ból zdominował całe jego istnienie. Major starał się skoncentrować na czymś konkretnym.

Przypomnił sobie kobietę, która się nad nim pochylała. Ładna. Brązowe włosy. Nie potrafił sobie przypomnieć koloru jej oczu. Wszystko, co mógł wydobyć z pamięci, to współczucie, które w nich dojrzał, zanim ostrzejszy, bardziej bezlitosny ból odebrał mu świadomość.

Ale nawet ta wszechogarniająca mgła bólu była lepsza niż to. Uciec. Jak się z tego wydostać? I wtedy usłyszał kojącą muzykę.

Czy to pieśń syreny wabiącej go ku spokojowi śmierci?

Nie. To nie muzyka. To głos. Głos przynoszący ulgę. Pozwolił, by kojące tony obmywały go i zepchnęły ból na niższy poziom. I wtedy głos umilkł, a ból natarł ponownie.

Walczył, by sięgnąć po nadzieję, po ulgę niesioną przez ten głos. Czy to głos tej ładnej kobiety o brązowych włosach? Poczł się zagubiony, opuszczony. Znowu był małym chłopcem, wysłanym za karę do ciemnej piwnicy po tym, jak dostał łanie. Za co? Ach, tak. On i Robbie wybrali się na wyprawę. Opiekunka szalała z niepokoju. Robbie próbował wziąć winę na siebie. Bicie. Ojciec trzymał specjalny pasek na takie okazje. Robbie został wtedy odesłany do pokoju, który dzielili chłopcy, a Jacob do piwnicy. Nie było Robbiego, żeby mu do-trzymać towarzystwa. Nie było zabawek ani książek dla od-wrócenia uwagi. Tylko strach. Wtedy strach, teraz ból. Nie-ubłagana agonía, z którą zmagal się, próbując uciec.

I wtedy głos znowu się odezwał. Major poczuł, jak ból raz jeszcze wtapia się gdzieś w tło - nadal obecny, ale już nie na środku sceny.

Aż wreszcie ból i głos zbladły i przeszły w sen - nie ham-letowski sen śmierci, ale w kojący, uzdrawiający sen Don Ki-chota.

Aby uniknąć kolejnej konfrontacji z mężem, Rachel starała się nie budzić go aż do ostatniej możliwej chwili. Edwin

w pośpiechu założył czyste skarpety i ubranie, które porzucił bezładnie poprzedniego wieczora.

- Dlaczego nie obudziłaś mnie wcześniej? - zrzędził. - Hoskins będzie miał mi za złe, że się spóźniłem. Nie mówiąc już o tym, jak Morton zadrze nosa.

Rachel nigdy do końca nie rozumiała relacji między Edwinem i jego przyjacielem Mortonem. Z jednej strony spędzali mnóstwo czasu razem, zarówno na służbie, jak i po niej.

Rachel wiedziała - i martwiła się - że Edwin winien jest Mortonowi znaczną sumę pieniędzy, którą przegrał do niego w karty. Z drugiej strony Edwin wydawał się żywić urazę do Mortona, gdyż obaj bezustannie ze sobą rywalizowali, tak na służbie, jak i w cywilnych zajęciach.

Ze swojej strony Rachel po prostu niespecjalnie lubiła Mortona. Nie żeby kiedykolwiek otwarcie zrobił coś, czym zasłużyłby sobie na jej niechęć. Jednak sposób, w jakim czasem na nią patrzył, sprawiał, że czuła się nieswojo.

Chodziły słuchy, że sierżant Morton oszukuje w karty, ale kiedy Rachel wspomniała o tym swojemu mężowi, ten z pogardą odrzucił taką możliwość.

- Głupie babskie gadanie. Po prostu miał łut szczęścia, które musi go opuścić, i to na moją korzyść. Wierz mi, jeszcze się nie urodził człowiek dość bystry, żeby oszukać Edwina Brady'ego!

Kiedy Brady i Paxton poszli zameldować się na służbie, nadszedł Henry, by przejąć opiekę nad majorem. Przyniósł ze sobą naczynie z jeszcze ciepłym mlekiem. Clara oznajmiła, że zamierza zrobić pranie, korzystając z poprawy pogody. Kiedy

Rachel wspomniała Henry'emu, że obiecała majorowi

Forresterowi kąpiel, ordynans był przerażony.

- Sam zajmę się tym obowiązkiem, madam - powiedział sztywno.

- Bardzo proszę - przystała na jego propozycję, podyktowaną surowym poczuciem przyzwoitości. Nie była też w stanie ukryć ziewnięcia. - I niech pan spróbuje podać mu trochę rosółu albo może mleka. Potrzebuje pożywienia. I wody.

- Tak, madam. Proszę wybaczyć mi śmiałość, pani Brady, ale

czy mogę zasugerować, że biblijne powiedzenie: „lekarzu, ulecz samego siebie"*, byłoby w tej chwili wielce odpowiednie?

- Hmm?

- Wyraźnie potrzebuje pani trochę odpoczynku. Poruszona troskliwością Henry'ego, powiedziała:

- To była dosyć ciężka noc. Powinam się trochę zdrzemnąć. - Zdjęła buty, położyła się na swoim pościeliu i zasnęła prawie natychmiast. Obudziła się wczesnym popołudniem, kiedy mała rączka poklepała ją po policzku.

- Och, Benny! - Clara po cichu skarciła synka. - Bardzo cię przepraszam, Rachel.

Rachel usiadła i przeciągnęła się, a potem uściśnęła Benny'ego.

- Nic nie szkodzi. Już i tak dawno miałam wstać. Muszę sprawdzić, co u Maca. A jak ma się nasz pacjent?

- No cóż, całkiem dobrze, jak mi się zdaje. Pan Henry powiedział, że nawet odzyskał na trochę przytomność, ale mnie tu wtedy nie było. Major Forrester wypił trochę rosółu i herbatę z mlekiem. - Clara nadal mówiła przyciszonym głosem.

- To na pewno dobry znak - odpowiedziała Rachel, widząc nadzieję na wyzdrowienia majora. - A gdzie jest pan Henry?

- Poszedł do miasta zobaczyć, czy grabieżcy zostawili cokolwiek, co przypominałoby jedzenie.

Rachel włożyła buty, rozczesała włosy i szybko zwinęła je w swój codzienny, wygodny kok. Kiedy spojrzała na majora

Forrester, ze zdziwieniem stwierdziła, że jest świeżo ogolony. Henry solidnie się napracował, kiedy spała. Pochyliła się nad majorem i znajomy zapach drzewa sandałowego przykuł jej uwagę. Nie spodziewała się tego i zaskoczona poczuła, jak przebiega ją dziwny dreszcz.

Podczas zmiany opatrunków major się nie obudził. Rana na głowie goiła się bardzo ładnie, podobnie jak ta na brzuchu.

Rachel wstrzymała oddech z powodu odoru, usuwając

-Według Biblii Tysiąclecia (przyp. red.).

stary opatrunek z rany na nodze. Wpatrując się w odrażającą, poruszającą się białą i zielonożółtą masę, prawie nie mogła uwierzyć, że uczyniła coś takiego innej ludzkiej istocie. A jednak wydawało się, że to działa. Infekcja wyraźnie została powstrzymana. Pospiesznie zawiązała chustę zakrywającą ranę. Kiedy Rachel poszła sprawdzić, czy MacLachlan i Ferguson potrzebują jej pomocy, dowiedziała się, że znacznie zmniejszyła się liczba pacjentów wymagających opieki.

- Co się stało? - zapytała.

Ferguson wyjaśnił:

- Tych, którzy zostali trwale okaleczeni, i tych, których można było przenosić, wysłaliśmy do Lizbony, żeby popłynęli do domu. Reszta albo wkrótce wydobrzeje na tyle, żeby powrócić do swoich regimentów, albo także zostanie odesłana do domów, jeśli to przeżyją. - Lekarz zniżył głos i dodał. - Bo niektórzy nie przeżyją. Nie przetrwają nawet podróży do portu.

- Ale większość tak - powiedziała z pewnością w głosie.

- Mam taką nadzieję. A przy okazji, jak radzi sobie pani prywatny pacjent?

- On... hm... coraz z nim lepiej, jak sędzę. - Zawahała się przed opowiedzeniem tym wykształconym ludziom, jakiej metody użyła, by opanować zakażenie.

- Nie ma infekcji? - Ferguson zdawał się czytać w jej myślach. - Byłem pewien, że straci tę nogę.

- No cóż... - Potrzebowała ich aprobaty, wzięła więc głęboki oddech i wyjaśniła, w czym rzecz.

- Co pani zrobiła? - Ferguson niemal osłupiał. - Mac, słyszałeś to?

- Czy co słyszałem? - Uwagę Maca na chwilę odwrócił jeden z pacjentów.

Z duszą na ramieniu Rachel wyjaśniła raz jeszcze, że użyła robaków do oczyszczenia rany.

- Boże drogi! - powiedział Mac. Potem, namyślając się, potarł się po brodzie. - Hm. Słyszałem o czymś takim. Czy to działa?

- Ja... ja myślę, że tak. Okazuje się, że infekcja się nie rozszerza.

- Jeżeli Forrester to wszystko przetrwa, będzie pani za-
wdzięczała życie - powiedział Ferguson.
- I winien będzie dozągoną wdzięczność, jeśli nie straci
nogi - dodał Mac. - Niech pani nad nim czuwa. Proszę nas
wezwać, jeżeli zajdzie potrzeba.
- Tak zrobię. - Była wdzięczna, że żaden z chirurgów nie
wyśmiał jej postępowania, choć nie kryli zdumienia.
- Jeżeli nie zamierza pani zostać z rannym na tyłach, nie
ma pani wiele czasu - poinformował ją Mac. - Mówi się, że
lord Wellington zamierza ścigać Francuzów aż do Salamanki,
może nawet do Madrytu. Będziemy się przenosić za jakieś
dwa tygodnie.
- Do tej pory z pewnością zagrożenie życia majora już mi-
nie. - W głosie Rachel zabrzmiało więcej pewności, niż jej
faktycznie odczuwała.

Kiedy wróciła do chaty, zastała tam Henry'ego i sierżanta
Paxtona. Clara była niesłychanie podekscytowana.

- Pan Henry sprawił cud - oznajmiła.
- Znalazł pan laudanum - odgadła Rachel.
- Tak. To również mi się udało. - Henry uniósł małą fiolkę.
- Ale pani Paxton mówi o nowych kwaterach.
- Nowych kwaterach?
- W mieście. - Oczy Clary lśniły, kiedy przytuliła do siebie
dziecko. - Będziemy mieszkać w prawdziwym domu, prawda,
Benny?
- Awansujemy do lepszego świata - powiedział Joe z
uśmiechem.
- Jak to możliwe?

Rachel dobrze wiedziała, że oficerowie na ogół nie dzielili
kwater ze zwykłymi żołnierzami.

- Wyjaśniłem po prostu, że panie są niezwykle pomocne
przy opiece nad majorem - powiedział Henry. - Możemy
przeprowadzić się już jutro rano. Sierżant Humphrey i kapral
Collins zaofiarowali swoją pomoc.
- Ach... Rozumiem. - Przytłoczona tą nowiną Rachel po-

myślała z lękiem, co jej mąż powie na nową kwatere. Ale naprawdę nie było sensu, żeby zostawała w tej chacie sama, a poza tym kto tak naprawdę wie, kiedy wróci Brady? Rachel zdjęła z głowy szal i przyłożyła dłoń do policzka majora, żeby sprawdzić mu temperaturę.

Natychmiast otworzył oczy.

Czy to dotykanie go, czy jego przenikliwe spojrzenie tak na nią podziało?

- Och! Wrócił pan do nas - powiedziała, nie kryjąc radości.

- Nie była pani... snem - wyszeptał.

- Nie. - Rachel zaśmiała się nerwowo.

- Śniły mi się pelzające węże... a potem zjawił się anioł... i muzyka... - Umilkł, a jego twarz wykrzywił grymas bólu.

- Od czasu do czasu odzyskuje przytomność - wyjaśniła Clara. - Zjadł trochę, ale nie miał specjalnie apetytu.

- To przez ból - powiedział Henry. - My... Ja czekałem, aż pani wróci, zanim damy mu laudanum.

Rachel spojrzała z wdzięcznością na ordynansa. Te słowa świadczyły lepiej niż cokolwiek innego, że pan Henry narreszcie w pełni zaufał jej medycznym umiejętnościom.

Rachel obejrzała ranę na brzuchu majora, potem uniosła koc okrywający nogi. Major najwyraźniej zakłopotany, usiłował się temu sprzeciwić.

Henry położył dłoń na ramieniu swego pana.

- To nie jest niestosowne, panie. Pani Brady zna się na takich sprawach.

Rachel zastanowiła się przez moment, co Henry miał na myśli, mówiąc o „takich sprawach”, ale wzruszyła ramionami i szybko dokończyła badanie.

- Żadnych zmian - powiedziała Rachel, obwiązując nogę rannego.

- Czy to... dobrze? - zapytał major Forrester.

Rachel potwierdziła.

- W tym momencie, tak.

Major skrzywił twarz i wstrzymał oddech, gdy ból znów zaatakował. Rachel zmieszała odrobinę laudanum z mlekiem

i kiedy Henry podtrzymywał głowę i ramiona pacjenta, przytknęła mu filiżankę do ust. Potrwało jeszcze chwilę, zanim środek przeciwbólowy zaczął działać i major zasnął.

Następnego ranka drużyna Paxton-Brady-Forrester przeniosła się w obręb murów miejskich. Oglądając nową kwatere, Rachel pomyślała, że Henry musiał użyć naprawdę przekonujących argumentów, by wystarać się o taki dom.

Wyglądał na zakłopotanego, kiedy wyraziła mu swoje uznanie.

- To nie moja zasługa, choć pragnąłbym, by pani miała o mnie tak dobre zdanie. Podziękowania należą się tak naprawdę lordowi Jacobowi.

- Jak to?

- To prawda, madam. Widzi pani, lord Jacob służył w Indiach wraz z lordem Wellingtonem. Adiutanci generała wiedzą, że troszczy się on o ludzi, którzy mu wiernie służyli.

- No cóż, bez względu na przyczyny naszej obecności tutaj, jest to najbardziej elegancka kwatery, jaką miałam przyjemność się cieszyć, odkąd zostałam związana z armią Jego Królewskiej Mości.

Tak naprawdę oddano im na kwatere dom przy bocznej ulicy. Dzięki takiemu usytuowaniu uniknął fali grabieży po zdobyciu miasta. Część ruchomości najpewniej została wyniesiona, gdyż pokoje zostały przetrząśnięte, a meble porzucone. Rachel i Clara przy pomocy Joe'go i Thompkinsa zdołały przywrócić jako taki porządek.

Parter zajmowały salon, biblioteka, pokój jadalny i kuchnia. Na pierwszym i drugim piętrze znajdowały się sypialnie i garderoby, zaś pokoje dla służby mieściły się nad nimi. Na tyłach domu była nawet mała stajnia. Aż dziwne, że miejsce wydawało się kompletnie opuszczone.

Major Forrester został oczywiście ulokowany w najlepszej sypialni. Rachel zamieszkała w sypialni naprzeciwko, a Paxtonowie w innej na tym samym piętrze. Sierżant Humphrey i kapral Collins raz jeszcze z ogromną troską przenie-

śli majora. Rachel podała mu kolejną dawkę laudanum, żeby złagodzić skutki podróży.

Wszyscy rozlokowali się w ciągu godziny. Thompkins i Juan zajęli pomieszczenia nad stajnią, w której teraz zagościł inwentarz majora - trzy konie, dwa muły i trzy kozy.

Clara natychmiast podjęła się przygotowania południowego posiłku, który zjedli wspólnie w pokoju jadalnym. Thompkins i Juan początkowo czuli się onieśmieleni, zasiadając wraz z innymi, podobnie jak do pewnego stopnia i Henry. Jednak Joemu, Clarze i Rachel udało się sprawić, by poczuli się swobodnie, i wkrótce była to już zgodna rodzina skupiona przy posiłku.

Juan zachwycił się maluchem Paxtonów i radośnie paplał coś do szkraba po hiszpańsku.

- Juan tęskni za swoją rodziną - wyjaśnił Thompkins.

- To on ma rodzinę? Dlaczego więc jest tutaj, a nie z nimi?

- zapytała Clara.

- Nie żyją. Zmasakrowali ich guerillas sprzyjający Francuzom. Cała wioska została starta z powierzchni ziemi.

- Biedne dziecko - szepnęła Rachel.

- Jak udało mu się uciec? - zapytał Joe.

- Był z kozami na pastwisku. Próbował właśnie pogrzebać swoją rodzinę, kiedy znalazł go lord Jacob.

- Och, mój Boże. - Clara spojrzała z ogromną sympatią na chłopca, który mógł mieć może osiem, najwyżej dziewięć lat.

Wydawało się, że Juan wyczuł, iż nagle stał się obiektem zainteresowania. Podniósł wzrok i uśmiechnął się nieśmiało, pokazując białe zęby kontrastujące z oliwkową cerą.

- Zastanawiam się, dlaczego ten dom został opuszczony - powiedziała Clara, wyraźnie pragnąc zmienić temat.

- Juan rozmawiał z sąsiadem - odparł Thompkins. - Jak się wydaje, właścicielką domu jest wdowa, która mieszkała tu z dwiema córkami i małym synem. Zanim Badajoz zostało otoczone, opuściła je, by udać się na południe do siostry.

- Ale musieli mieć służbę - zauważyła Rachel.

- Mieli, ale wszyscy uciekli, kiedy nasze oddziały wdarły się do miasta i zaczęły się grabieże.

- Zapewne jedyne, co możemy zrobić, to przynajmniej zostawić ich dom w dobrym stanie - powiedział Joe Paxton.

Rachel ujęła jego wielkoduszność i znów zaczęła się zastanawiać, dlaczego Edwin oskarżył tego mężczyznę o tchórzostwo.

Mijały kolejne dni, jeden podobny do drugiego. Generał Wellington zagroził plądrującym miasto karą śmierci i w Badajoz zapanował względny spokój. Oddziały powróciły do pełnienia regularnej służby, oczekując na rozkaz pościgu za nieprzyjacielem na północ lub na wschód. Joe codziennie meldował się w swoim regimencie. Z większością domowych obowiązków Clara radziła sobie sama, gdyż Rachel nadal codziennie chodziła do szpitala, a ponadto dzieliła z Henrym opiekę nad majorem. Na jej prośbę przyszedł Ferguson, żeby ocenić stan Forrestera.

- Jest jeszcze za wcześnie, żeby mieć absolutną pewność - powiedział chirurg - ale myślę, że naprawdę ocaliła mu pani nogę! A przynajmniej wygląda na to, że zakażenie zostało powstrzymane.

Każdego kolejnego dnia major Forrester coraz dłużej był przytomny. Chociaż Rachel wiedziała, że major na pewno odczuwał silny ból, odmawiał przyjmowania większych dawek laudanum,

- Nie mam zaufania do środków, grożących uzależnieniem - powiedział. - Widziałem mężczyzn, ale i kobiety, zniszczonych przez coś takiego.

Tylko od czasu do czasu pozwalał sobie na odrobinę ulgi, jaką przynosiły małe dawki narkotyku. Coraz więcej jadł i ozdrowiał na tyle, by zacząć się niecierpliwie brakiem ruchu.

Kiedyś Rachel weszła do pokoju akurat w chwili, gdy ze wszystkich sił starał się usiąść.

Rachel zdążyła już poznać ogromną siłę woli tego człowieka, bez słowa więc podała mu szlafrok leżący na krześle. Potem odsunęła się, splatając ręce na piersi. Major spojrzał na nią i powoli wysunął zdrową nogę spod koca. Kiedy jego

stopa dotknęła podłogi, przytrzymał zranioną nogę i chciał ją opuścić.

Nagle zbladł i na jego twarzy zaperliły się krople potu. Z jękiem opadł z powrotem na poduszki.

Rachel delikatnie pomogła mu ułożyć obie nogi z powrotem na łóżku.

- Tak jak myślałam. Zbyt wiele i zbyt wcześnie.

- Nikt nie lubi słyszeć: „A nie mówiłam”. - W głosie majora zabrzmiał gniew, ale w niebieskich oczach błysnęła isierka humoru.

- Zatem proszę się zachowywać spokojnie - pouczyła go Rachel, tak jak przemawia się do niegrzecznego dziecka. - Tylko przedłuży pan czas leczenia, wie pan o tym.

- Tak, proszę pani - powiedział z przesadną skruchą. - Zrobię tak, jak pani mówi, jeżeli zgodzi się pani znowu mi poczytać.

Rachel uśmiechnęła się, bo czytanie na głos z którejś z podniszczonych książek majora stało się jednym z jej ulubionych zajęć.

- Bardzo chętnie. Coś z Ewangelii? Może „Kazanie na Górze”, bo wydaje mi się, że przyda się panu nieco pokory?

- Miałem na myśli „Iliadę”: wielcy wojownicy dokonujący chwalebnych czynów.

Ciągnęli tę pogawędkę przez jakiś czas, aż nadszedł Henry, niosąc tacę z kolacją dla majora. Potem Rachel zaczęła czytać fragment, a major często wtrącał swoje komentarze, prowokując z kolei ją do odpowiedzi.

W pewnej chwili przerwał Rachel czytanie w połowie zdania i zapytał:

- Jak to się stało, że poznała pani to dzieło tak dobrze?

„Iliada” nie należy przecież do zakresu edukacji kobiet.

- Mój ojciec uwielbiał dzieła Homera. Nawet nie pamiętam czasu, kiedy ich nie znałam.

- Interesujące - odparł major i skinął na Rachel, by kontynuowała.

Później Rachel wspominała to popołudnie jako najpiękniejsze w całym swoim życiu.

Major lord Jacob Forrester leżał na łóżku, nie mogąc zasnąć. Ból stał się jego stałym towarzyszem, ale mimo późnej godziny to nie ból nie pozwalał mu spać. W domu dawno zaległa już cisza. On sam wydobrał na tyle, że nie potrzebował bezustannej opieki. Już parę godzin temu odesłał Henry'ego spać.

Leżał teraz sam na sam ze swoimi myślami, które wydawały się mieć własną wolę i uparcie powracały do Rachel Brady. Pani Brady, upomniał sam siebie. Od czasów Celi żadna kobieta w takim stopniu nie przyciągnęła jego uwagi. I była równie niedostępna jak Celia. Wraz ze wspomnieniami napłynęła kolejna fala bólu. Nie był to ból odczuwany fizycznie, ale zadawniony ból w sercu, w duszy.

Być może nadszedł czas - najwyższy czas - by stawić mu czoła i spróbować raz na zawsze zostawić za sobą dawne cierpienia.

Tamtego lata skończył osiemnaście lat i wrócił do domu na wakacje. Wtedy po raz pierwszy spojrzął na tę złotowłosą córkę posiadacza ziemskiego z sąsiedztwa oczyma dorosłego - jak wtedy sądził - mężczyzny i zakochał się. Ona była niebieskooką szesnastolatką o urodzie porcelanowej laleczki, nie dość dorosłą jeszcze, by naprawdę bywać w świecie. Pozwalano jej jednak uczestniczyć w niektórych spotkaniach i wspólnych wyjazdach pod czujnym okiem mamy. Jake wiedział, że rodzice Celi byli mu przychylni. Bądź co bądź, syn markiza -nawet młodszy syn - byłby niezłą partią dla ich córki. Zatem młodym zezwalano niekiedy na wspólne chwile sam na sam.

Major uśmiechnął się na wspomnienie prawdziwego uniesienia przy ich pierwszym, trochę śmiesznym pocałunku.

Chociaż przelotny - ledwie muśnięcie skromnie zaciśniętych warg - sprawił, że Jake poczuł się jak dzielny rycerz zalecający się do damy swego serca. Roberta - a od paru lat nie zwracano się już do niego „Robbie” - nie było wówczas w domu. Pojechał jako członek świty emisariusza królewskiego do Rosji i Turcji.

Jake pamiętał, jak wyznał ojcu, że pragnąłby towarzyszyć bratu.

„Nie ma takiej potrzeby - odpowiedział markiz. - To nie ty zasiądziesz któregoś dnia w Parlamencie”.

Jake przelotnie zastanowił się nad tym, gdyż zdarzało się, że i młodszy synowie lordów zajmowali miejsca w Izbie Gmin.

Wiedział też doskonale, iż markiz miał wpływ na obsadę trzech foteli. Poczul się urażony tą uwagą. Odebrał ją jako kolejny dowód na to, że ojciec przedkładał swego pierwszorodnego syna nad pozostałe dzieci - Jake'a i jego siostrę.

On i Penelope wiedzieli od kołyski, że są przez ojca uważani za istoty pośledniejszego gatunku. Byli dziećmi z jego drugiego małżeństwa, małżeństwa ze znacznie młodszą kobietą o niezbyt imponującym pochodzeniu, zawartego przede wszystkim dlatego, że markiz chciał zapewnić matczyną opiekę swemu dziedzicowi. O swoją nową rodzinę dbał tak mało, że nie tylko przeoczył domieszkę żydowskiej krwi wśród przodków swej żony, a nawet pozwolił żonie nadać synowi imię po ukochanym ojcu.

Na początku lata, które zapisało się w jego pamięci jako lato z Celią, Jake tęsknił za towarzystwem Roberta. Synów markiza dzieliła czteroletnia różnica wieku, ale obaj chłopcy byli sobie bliscy i wydawało się, że Robert nigdy nie miał nic przeciwko temu, że młodszy brat chodzi za nim krok w krok. Od kiedy jednak Jake odkrył uroki idealnej rycerskiej miłości, znacznie mniej już tęsknił za Robertem. Jesienią powrócił do szkoły przepelniony marzeniami o zdobyciu wielkich zaszczytów, by móc je złożyć u stóp swojej damy.

Następnego lata Robert również nie spędzał w domu. Jakiś czas przebywał w mieście, a potem pojechał na przedłu-

zające się przyjęcie myśliwskie do Szkocji. Celia wróciła do domu po pierwszym roku nauki w szkole, wykazując więcej ogłady i klasy, niż poprzednio. Teraz, prawie dwanaście lat później, Jake wiedział, że stała właśnie na progu kobiecości i pragnęła wypróbować swoje uwodzicielskie sztuczki na kimś, przy kim czuła się bezpiecznie. Na Jake'u.

Tańczył z nią na wszystkich publicznych spotkaniach, które dawały okazję do takiej rozrywki, i często dotrzymywał jej towarzystwa podczas kolacji. Wiedział, że miejscowi plotkarze zaczynają łączyć ich nazwiska, ale Jake nie miał nic przeciwko temu, by zostać złączony z Celią na zawsze. Jego ojcu było to najwyraźniej obojętne.

- Uważaj tylko - powiedział markiz - żeby cię podstępem nie zaciągnięto przed ołtarz.

Jake poczuł gorącą młodzieńczą urazę.

- Celia... panna Dalrymple... nie jest taka.

- Może i nie. Ale jej ojciec jest. To bardzo ambitny człowiek. Mówię tylko, żebyś by ostrożny. W końcu jesteś moim synem.

Starając się zachować obojętność, Jake zapewnił:

- Nie masz powodów do obaw. Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Jake szybko zignorował nieprzyjemne ostrzeżenie ojca. Choć powiedział, że są tylko przyjaciółmi, spędzał z Celią coraz więcej czasu, a ona wydawała się rozkoszować jego atencją. Jeździli razem konno lub powozem, zawsze, jak przystało, w towarzystwie służącej lub stajennego. Spędzali całe godziny na spacerach w ogrodach pięknego domu jej ojca. W czasie niepogody przebywali w salonie razem z jej matką i dwiema siostrami.

Pani Dalrymple obserwowała ich związek z pobłażliwością. Zarówno ona, jak i jej mąż dyskretnie, ale stanowczo dawali do zrozumienia, że uważają swą córkę i ewentualnego zalotnika za zbyt młodych, by czynić jakieś poważne plany.

Jake nie czuł się tym zaniepokojony. Musiał się długo uczyć. Po zakończeniu studiów na uniwersytecie zamierzał zgłębiać prawo. On i Celia mają jeszcze dużo czasu - całe ży-

cie - by być razem, mówił sobie. Tymczasem musiały mu wystarczyć wykradane od czasu do czasu pocałunki i szeptane do ucha czułości.

A później skończyło się lato i oboje wrócili w progi swych szacownych uczelni. Państwo Dalrymple wyjechali na święta Bożego Narodzenia. Choć Jake żałował, że nie ma Celi, był zadowolony, iż może spędzać czas z własną rodziną, zwłaszcza z Robertem. Stosunki między braćmi jeszcze się zacieśniły, teraz stali się prawdziwymi przyjaciółmi.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie Penelope, która dokuczała Jake'owi w sposób typowy dla nieznośnych młodszych sióstr.

- Nie usychasz z tęsknoty za swoją ukochaną, Jake? - spytała nieoczekiwanie któregoś ranka przy śniadaniu.

Markiz odszedł już wcześniej od stołu, a jego żona zawsze zjadała swoją poranną grzankę i wypijała kakao we własnym pokoju. Przy stole w pokoju jadalnym rodzinnego domu zasiadało więc tylko troje młodych Forresterów.

- Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz. - Jake nie zamie rzał rozmawiać o tak osobistych sprawach z żadnym z rodzeństwa, przynajmniej na razie.

Penelope roześmiała się.

- Och, mówię o tej piękności Celi Dalrymple, oczywiście.

- O córce sąsiada? - zapytał Robert.

- O córce sąsiada. - Penelope potwierdziła i znowu się zaśmiała. - Przysięgam, powinieneś widzieć ich zeszłego lata, Robertcie.

Jake przewrócił oczami.

- Jak zwykle, wybijała wyobraźnię Penelope pozwalając jej stworzyć szalejącą burzę z najłżejszej bryzy.

- Mówisz więc, że nic nie ma w tej bryzie? - Penelope z niedowierzaniem uniosła brwi.

- To właśnie mówię - skłamał i dodał bardziej mentorskim tonem: - A ty, moja panno, lepiej byś zrobiła, nie szargając czczymi plotkami nazwiska innej młodej kobiety.

Urażona Penelope prychnęła z pogardą wstała i tanecznym krokiem wyszła z pokoju.

Robert spojrział na brata pytająco.

- Jesteś pewien?

- Teraz znowu ty nie zaczynaj. Robert uniósł ręce w obronnym geście.

- Hej! Nawet nie spotkałem kobiety, o której mowa. No cóż... przynajmniej od czasu, kiedy miała może z osiem lat.

Wielkie zęby. Kościste ramiona i warkoczyki.

- Wierz mi, ten opis już do niej nie pasuje - powiedział Jake, po czym zmienił temat.

Kilka miesięcy później przypomniał sobie tamtą rozmowę i zastanawiał się, jak potoczyłyby się jego losy, gdyby wyznał Robertowi prawdę. Ale wtedy było już za późno.

Tamtej wiosny pod koniec semestru Jake dołączył do kilku przyjaciół, by w czasie wakacji wspólnie pożeglować. Wycieczka przeciągnęła się, kiedy młodzieńcy dowiedzieli się najpierw o wyścigu, który grzech byłoby opuścić, a potem zawodach bokserskich, o których mówiono, że będzie to historyczny mecz. Kiedy Jake wreszcie dołączył do swojej rodziny w Londynie, przerwa świąteczna była już w toku.

- Spotkałem tę twoją pannę Darlymple - oznajmił Robert, kiedy bracia dzielili się cygarami i brandy na tarasie, gdy reszta rodziny udała się już na spoczynek.

- To nie jest moja panna Darlymple - powiedział Jake, wciąż nie mając chęci, by rozmawiać o swoich uczuciach do Celi.

- Och? Cieszę się, że to słyszę. - Robert wydmuchnął obłoczek dymu i pociągnął łyżek ze szklanki.

Jake poczuł, jak zasycha mu w ustach.

- A to czemu?

- Stwierdziłem, że to bardzo atrakcyjna i wspaniała młoda kobieta... a skoro ty nie jesteś nią zainteresowany...? - na poły stwierdził, na poły spytał Robert.

- Tego nie powiedziałem... - wycedził powoli Jake, starając się zebrać myśli.

- Myślałem, że jesteście tylko przyjaciółmi, biorąc pod uwagę wasz wiek i tak dalej. Ojciec też to potwierdził. Chociaż Jake czuł się zaskoczony i zakłopotany, jego odpo-

wiedź była przynajmniej formalnie rzecz biorąc prawdziwa.

- Sądzę, że jesteśmy.

- Nie poczyniliście między sobą żadnych ustaleń? Jake odpowiedział szczerze:

-Nie.

- To dobrze. Nie chciałem wejść w paradę własnemu bratu.

Jake z trudem przełknął ślinę.

- Ty... hm... ty zamierzasz prosić o jej rękę?

- Tak. Teraz, kiedy wiem, że ty nie jesteś szczególnie zainteresowany jej osobą, tak właśnie postąpię.

- A gdybym był zainteresowany?

- No cóż... Wtedy zaistniałaby bardzo dziwaczna sytuacja. Tak się bowiem składa, że jestem w niej zakochany.

- Zakochany? Ty?

Robert zaśmiał się.

- Mnie to także zaskoczyło. Zwłaszcza że stało się to tak szybko.

A potem Jake musiał słuchać, jak Robert z zachwytem opowiada o kobiecie, którą pokochał - tej samej, którą pokochał i on. Dlaczego wcześniej nie był bardziej szczerzy i nie wyznał bratu prawdy? Czemu zmarnował tyle czasu, żeglując z Bentleyem i innymi?

Jednak Robert jeszcze się nie oświadczył. Ani Celia oświadczyń nie przyjęła. Jake miał w pamięci obietnice, jakie Celia złożyła mu zeszłego lata, i był pewien, że biednego Roberta czeka gorzkie rozczarowanie. Kochał starszego brata na tyle, że pragnął oszczędzić mu złamanego serca. Lecz Celię kochał na tyle mocno, by cieszyła go świadomość, że dziewczyna odmówi Robertowi swojej ręki.

A jednak nie odrzuciła oświadczyń. Lub też nie pozwolono jej ich odrzucić. Dziesięć lat później Jake wciąż się nad tym zastanawiał.

Robert nie marnował czasu i poprosił o rękę Celi jej ojca, a później ją samą. Wrócił do domu w Lounsbury w stanie euforii.

- Życz mi szczęścia, bracie.

Jake pomyślał, że być może brat stracił rozum. Poczul, jak niepokój ściska go za gardło.

- Ona... Celia... przyjęła oświadczyny?

- Nie inaczej. Zostanie to ogłoszone na jej balu debiutanckim, a pobierzemy się na jesieni.

- Ja... ach, tak. No cóż, moje gratulacje, Robercie. Mam nadzieję, że będziecie bardzo szczęśliwi. - Po części mówił szczerze - życzył tego bratu, chociaż ta nowina zniweczyła jego własne nadzieje na szczęście.

- Dziękuję ci. Jestem pewien, że będziemy. Wiesz, to naprawdę związek serc. - Robert wydawał się zarówno dumny, jak i zakłopotany z powodu tego wyznania. - Małżeństwo z miłości nie jest czymś powszechnym w naszej sferze.

- Tak, sądzę, że masz rację.

Gawędzili przyjaźnie jeszcze przez kilka minut, zanim Jake zdołał się uwolnić od towarzystwa brata. Dzięki Bogu rozradowany Robert pozostał ślepy na jego reakcję. Niezdolny, by poradzić sobie z myślą, że miałby wkrótce znosić towarzystwo szczęśliwej pary, Jake oznajmił, że wybiera się na kilka dni na wieś z przyjaciółmi.

- Wrócisz na bal u Darlymple'ów, prawda? - zapytała go matka. - Moim zdaniem mogłoby się wydawać dziwne, gdy byś go opuścił, bo co z ogłoszeniem zaręczyn i w ogóle...

Jake unikał wzroku matki. Wiedział, że wyczuwała jego rozpacz. Zawsze wydawała się wiedzieć więcej, niż ktoś mógłby sobie życzyć.

- Tak, matko. Wrócę na bal.

Pojechał do domku myśliwskiego markizów Lounsbury, zabierając ze sobą zawsze wiernego Bentleya, przyjaciela ze szkolnych czasów i jedynego człowieka na świecie, który wiedział, do jakiego stopnia szczęście brata zrujnowało życie Jake'a. Wicehrabia Bentley - dziedzic arystokratycznego tytułu, wysłuchał zwierzeń przyjaciela i przez dwa dni go pocieszał. Potem jednak podjął bardziej stanowcze kroki.

- Teraz, kolego, weź się w garść.

- Wiem. - Jake po raz kolejny głęboko westchnął. - Ale wszystko stanęło na głowie...

- Tak. Tylko że życie toczy się dalej. - Bentley czekał na odpowiedź, ale Jake milczał. - Zatem... co zamierzasz robić? Wydaje mi się, że planowałeś studiować prawo.

- Teraz nie jestem pewien, czego chcę.

- No cóż, nie możesz spędzić reszty życia na topieniu smutków w kieliszku. - Bentley przerwał, wyraźnie zastanawiając się nad czymś. - Dla młodszych synów, takich jak ty, zawsze pozostaje kariera w Kościele.

Na te słowa Jake, choć blado, musiał uśmiechnąć po raz pierwszy od prawie trzech dni.

- Widzisz mnie jako pastora?

- Nie, ale musisz coś robić, prawda?

- Niekoniecznie. Dziedzicę spadek po dziadku ze strony matki. Widzisz, jestem jego jedynym wnukiem płci męskiej. Jest to mała posiadłość w Wiltshire, a oprócz niej są i pewne inwestycje.

- Jesteś więc niezależny finansowo.

- Wystarczająco. Mógłbym znaleźć zajęcie na dworze, u księcia.

- To nie w twoim stylu, staruszk. Ja cię znam. Potrzebny ci jakiś cel w życiu.

- Dla nas, młodszych synów, zawsze pozostaje jeszcze armia.

- Dobry Boże, człowieku! Bądź poważny.

- Jestem. - Nagle Jake zdał sobie sprawę, że jest poważny. Zawsze interesowało go wojsko. Pamiętał, że jako dziecko chętnie maszerował w koło z laską zamiast muszkietu. - Jestem poważny - powtórzył spokojnie.

- Niech ci będzie, że jesteś.

Dwa dni później, nie dając sobie czasu na zmianę zdania i nie dając też nikomu innemu szansy, by zachęcił go do takiej zmiany, uzyskał stopień porucznika w słynnym 88. Regimentzie Piechoty - Connaught Rangers. Zapytany, dlaczego wybrał piechotę zamiast bardziej spektakularnej kawalerii, wzruszył tylko ramionami.

- Sam nie jestem pewien. Może dlatego, że wojny zawsze wygrywają lub przegrywają te nieszczęsne diabły maszerujące naprzód, krok za krokiem.

Jednak zanim mógł podjąć służbę w armii, musiał znieść bal u Darlymple'ów, a wiedział, że czeka go tam bolesne spotkanie z Celią.

Ponieważ miejski dom Darlymple'ów był bardzo skromną rezydencją, na debiut swej najstarszej córki w towarzystwie ojciec wynajął salę balową w jednym z najlepszych w mieście hoteli. Dekoracje były bogate, a przygotowana dla gości kolacja - wystawna. Jake zebrał wszystkie siły, by wziąć udział w przyjęciu, ale nawet dwie duże brandy przed wyjściem nie zdołały ułagodzić cierpień jego serca. Jake postanowił uczynić wszystko, żeby nikt, oprócz być może Bentleya, nie dostrzegł jego rozpaczy.

Mógł nawet zatańczyć z przyszłą bratową, ale tylko raz, i to w dodatku bardzo szybki ludowy taniec. Jednak Celia zaplanowała coś innego. Kiedy do niej podszedł, otaczał ją już wianuszek potencjalnych partnerów do tańca.

- Tutaj, lordzie Jacobie. Zachowałam ten taniec dla pana. - Wskazała długim paznokciem na linijkę na stronie w swoim karneciku, w której widniało jego nazwisko.

Starając się zachowywać naturalnie, tańczył z innymi kobietami, ale niemal ich nie zauważał. Kiedy nadeszła pora, żeby zatańczyć z Celią, starał się na nowo zebrać w sobie, by znieść słodką mękę przebywania tak blisko niej, dotykania jej... Nie odezwał się słowem, partnerując jej podczas początkowych figur tańca.

W trakcie pierwszej pauzy, gdy wytwornie trzymała dłoń na jego ramieniu, jej dotyk stał się nieco bardziej wyczuwalny.

- Muszę z tobą porozmawiać, Jacobie.

- Skoro dziś wieczorem mają zostać ogłoszone twoje zaręczyny, mógłbym pomyśleć, że wszystko, co mieliśmy sobie do powiedzenia, już zostało powiedziane. - Spojrzał wprost na Celię, mając nadzieję, że dziewczyna nie dostrzeże w jego oczach żadnego śladu uczuciowej rozterki.

- Proszę, nie utrudniaj bardziej tego, co i tak jest bardzo trudne.

Błagalny ton w jej głosie przełamał jego rezerwę.

- Dobrze więc. Proszę mówić, co konieczne.

- Nie tutaj! Podczas następnego tańca jestem wolna. Nikt się nie zdziwi, jeżeli wyjdę na taras zaczerpnąć świeżego powietrza.

Jake rozważył jej słowa. Nie zamierzał przyczyniać cierpień Robertowi, jednak Celia miała rację: taras stanowił miejsce na poły publiczne, gdzie przez cały czas można było spotkać wiele par. Jake skinął głową.

Odprowadził ją na taras, starając się dotykać jej najmniej, jak to możliwe, ale już sama bliskość Celi sprawiała, że przyszywał go dreszcz. Zeszli kilka schodków w dół i przystanęli przy balustradzie oddzielającej taras od ogrodu. Żadne z nich się nie odzywało.

Wreszcie Jake odchrząknął.

- Miałaś mi coś do powiedzenia?

- Tak. - Celia wyciągnęła ku niemu dłoń. Cofnął się, by uniknąć dotyku dziewczyny. - Och, Jacobie. Tak mi przykro.

Nigdy nie miałam zamiaru cię zranić.

- Nie przyszło ci do głowy, że ktoś mógł zostać zraniony, kiedy zmieniałaś obiekt swoich uczuć, przenosząc je z jednego brata na drugiego? - Potem, nie będąc w stanie ukryć ironii, dodał: - Ale dokonałaś lepszego dla siebie wyboru. Będziesz nosić suknie i klejnoty markizy.

- Proszę, Jacobie. Nigdy nie byłeś tak okrutny. Ja... Ja nie miałam wyboru.

- Nie miałaś wyboru?

- Od chwili, kiedy Robert rozmawiał z moim ojcem, ja nie miałam już nic do powiedzenia. Papa nalegał...

- Od kiedy to twój aż nazbyt pobłażliwy ojciec czegokolwiek ci odmawia?

Celia unikała jego wzroku.

- Ja... Mama też nalegała. Jej zdaniem to wspaniałe małżeństwo.

- A twoim zdaniem? - zapytał wprost, tonem pełnym niedowierzania.
- Ja... ja tego nie powiedziałam.
- Zatem co ty powiesz? Że zostałam zmuszona do posłubienia mojego brata, przyszłego markiza Lounsbury? A on myśli, że to małżeństwo z miłości!
- Tak właściwie to nie zmuszona. Ale to oczywiste, że muszę zrobić coś dla mojej rodziny. Rozumiesz, dla moich sióstr.
- W jej głosie zabrzmiała nuta tragizmu. - Moje uczucia się tu nie liczą.
- Ani moje, najwyraźniej - odparł z bolesnym sarkazmem. - 0 ty biedactwo, poświęcające się na ołtarzu rodzinnych ambicji!
- Proszę, Jacobie. Nie chcę, żebyś mnie nienawdził. Ja cię kocham.
- Nie, zaklinam cię, nie mów tego nigdy więcej.
- Ale ja cię kocham. - Łzy napływające do oczu Celi sprawiły, że ich ciemnosrebrzysty błękit stał się jeszcze ciemniejszy. - Naprawdę nie miałam wyboru.
- Tak może i jest teraz. Ale miałaś wybór wcześniej.
- 1 wiedz jedno, Celio - powiedział dobitnie i gwałtownie chwycił ją za ramię. - Robert nie może się nigdy o niczym dowiedzieć. Nigdy. Rozumiesz?
- Gniew rozbłysnął w jej oczach. Odsunęła się.
- Poradzę sobie z Robertem - rzekła z pewnością w głosie, po czym się nadała. - Jak mi się zdaje, o wiele bardziej troszczysz się o jego uczucia niż o moje.
- Może i tak. - Jake sam się zdziwił, jak prawdziwe było to stwierdzenie, ale nie zamierzał teraz zastanawiać się nad własną reakcją.
- Wtedy po raz ostatni rozmawiał z Celią na osobności. Zanim Robert wziął ślub, młodszy syn markiza Forrester'a był już w drodze do Indii. Tam po jakimś czasie wyróżnił się jako obiecujący oficer tak bardzo, że zwrócił na siebie uwagę młodego podpułkownika nazwiskiem Arthur Wellesley, znanego później jako lord Wellington.
- Przez następne lata Robert utrzymywał stałą korespon-

dencyjny kontakt ze swoim młodszym bratem. Omawiali wiele kwestii dotyczących nieruchomości i interesów Jake'a, których Robert doglądał. Ale zawsze było też w listach sporo osobistych informacji. Robert z dumą pisał o narodzinach trójki swoich dzieci. Jake został nawet ojcem chrzestnym jego dziedzica, któremu dano na imię Nathaniel Jacob, chociaż obowiązki ojca chrzestnego dopełnił za nieobecnego Jake'a jego przedstawiciel.

Robert powiadomił też Jake'a o śmierci ojca i radził się brata w sprawie życzenia markizy-wdowy, która pragnęła zamieszkać na stałe we własnym domu w mieście. Jake dwukrotnie przyjeżdżał do domu na urlop i wtedy - rzecz naturalna - zatrzymywał się u swej matki, tym samym unikając spędzania w towarzystwie bratowej więcej czasu, niż to było konieczne. Był dla niej zawsze bardzo grzeczny, nawet jeśli nie całkiem serdeczny. Z zadowoleniem zauważył, że Robert wydawał się być wciąż zauroczony swoją żoną.

Jake uznał, że koniec końców sprawy nie ułożyły się najgorzej. Nauczył się akceptować porażki i nie roztrząsał więcej tego, „co by było, gdyby”.

Poruszył się na łóżku i skrzywił się, kiedy jak najbardziej fizyczny ból przeszył jego nogę.

Po drugiej stronie korytarza Rachel także spędzała noc na długim rozpamiętywaniu. Być może powróci do Anglii, by tam urodzić dziecko. Ale gdzie miałyby się udać? Nie chciała się oszukiwać. Brockstonowie nie powitaliby jej z otwartymi ramionami. Złożyła im tylko jedną wizytę od czasu ślubu z Edwinem i nie zachowała z niej żadnych dobrych wspomnień.

Ciotka Jessie - jak zwykle - była w stanie myśleć wyłącznie o Leah, która miała właśnie wydać na świat pierwszego wnuka Brockstonów.

- Przykro mi, Rachel, ale muszę pomagać Leah. Jestem pewna, że zrozumiesz - powiedziała do niej ciotka, zostawiając domowe obowiązki Rachel, by sama nadskakiwać ciężar-

nej córce. - Kiedy mnie nie będzie, czy byłabyś tak miła i... -
Tu zawsze następowała litania obowiązków, które jej gość
miał spełnić w obergerzy.

Rachel z przyjemnością wyjechała.

Nie mogła się też udać do rodziny Brady'ego. Podczas ich
krótkich zalotów Brady tylko przelotnie wspominał o swej
rodzinie. Wkrótce po ślubie Rachel zapytała o swoich powi-
nowatych. Nakłoniła Edwina, by któregoś pięknego wieczora
pójść na spacer poza granice wioski, która była wtedy ich
tymczasowym domem.

- Moja matka umarła, kiedy miałem osiemnaście lat - po-
owiedział szorstko.

- A twój ojciec?

- Dla mnie on nie żyje. - W głosie Edwina zabrzmiała go-
rycz.

- Och. - Rachel, której własny ojciec był niezwykle bliski,
trudno było to zrozumieć. - Ale... ale... masz braci i siostry.

- Po mnie było jeszcze siedmioro.

- Siedmioro braci i sióstr! - Klasnęła w ręce z uciechy. - Tak
bym chciała jak najszybciej ich poznać.

- No cóż, nie wyczekuj tego tak bardzo - powiedział. -

Bardzo możliwe, że nie poznasz ich w ogóle.

- Dlaczego? Teraz oni są także moją rodziną.

- Ja... ja... nie mam z nimi nic wspólnego.

- Pokłóciliście się?

- Uch... tak.

- Jakie to smutne. - Potem dodała radośniejszym tonem,
pełnym optymizmu: - Być może ja pomogę ci zasypać dzie-
lącą was przepaść.

- Nie! - Aż wykrzyknął to słowo. - Czy ty nie rozumiesz?

Ja nie chcę zasypywać żadnej przepaści.

- Jestem pewna, że tak nie myślisz.

Edwin zatrzymał się, chwycił ją za ramiona i gwałtownie
nią potrząsnął. Kiedy się odezwał, każde słowo wypowiadał
ze złowrogim zgrzytaniem zębów.

- Moim zamiarem jest nie oglądać ich nigdy więcej. A ty

masz sobie to wbić do głowy całkowicie i do końca. Na zawsze. Czy... ty... rozumiesz, co mówię?

- Tak, Edwinie. - Ale nie rozumiała, w każdym razie nie do końca.

Jednak ta rozmowa przekreśliła jej naiwne marzenia o wejściu do prawdziwej rodziny w chwili zamążpójścia.

Teraz wydawało się, że ona i Edwin będą mieli własną rodzinę. Tej myśli towarzyszyły gorzko-słodkie uczucia, gdyż Rachel wiedziała, że nie będzie to idealna rodzina, o której marzyła. Całkiem niedawno Edwin przyznał się, jak cieszy się z tego, że nie ma kamienia u szyi tak jak ci Paxtonowie z tym ich bachorem. Z pewnością jednak jakoś pogodzi się z sytuacją. Ojcowie zawsze tak robią, czyż nie?

A ona z pewnością znajdzie jakiś sposób, by powróciło szczęście, które dzielili na początku. Te pierwsze miesiące ich małżeństwa były pełne śmiechu, ciągłych przeprowadzek i poznawania nowych przyjaciół. Edwin był najwyraźniej dumny z żony, rozkoszując się tym, co postrzegał jako zazdrość ze strony innych mężczyzn. Zaś Rachel rozkoszowała się otaczającym ją zainteresowaniem, ponieważ od śmierci ojca nikt w takim stopniu nie doceniał jej dla niej samej.

Nikt poza Addy, rzecz jasna - ale to było co innego.

W ciągu tych pierwszych tygodni zachwycała ją też cudowna intymność małżeńskiego łóża. Ten pierwszy raz okazał się katastrofą - dla niej, bo nie dla Edwina. Pan młody był tak rozochocony i okazywał takie zadowolenie, że ukryła ból, ucieszona, że widzi męża tak szczęśliwego. Później nauczyła się przyjmować ich pożycie z radością, zwłaszcza kiedy Edwin poświęcał trochę czasu, by rozbudzić jej ciało.

Już od bardzo dawna nie zadawał sobie takiego trudu. Nic dziwnego, że jej gotowość znacznie zmalała.

Uderzyło ją też teraz, że tak naprawdę czuła bliskość z Edwinem tylko wtedy, gdy się kochali. Być może to dlatego zazwyczaj mile przyjmowała jego wstępne pieszczoty. Potrzebowała tego poczucia bliskości, uczucia akceptacji swojej osoby.

Nagle Rachel dokładnie zdała sobie sprawę, co skłoniło ją

do rozmyślania o tych sprawach. Tego popołudnia, dyskutując o przygodach Achillesa i Hektora z majorem Forresterem, poczuła pełną jedność własnego umysłu i ducha z duchem i umysłem drugiego człowieka. O takiej harmonii marzyła przez całe swoje życie.

Zamknęła oczy, jak gdyby przez to mogła oddalić to wstrząsające odkrycie. Zameężna kobieta nie powinna odczuwać czegoś takiego wobec innego mężczyzny. Będzie się musiała pilnować, by w ich wzajemnych kontaktach zachować całkowitą obojętność.

6

Następnego dnia Rachel większą część przedpołudnia spędziła w szpitalu. Kiedy wróciła, zastała Clarę w kuchni, zmywającą po południowym posiłku, podczas gdy Benny bawił się u jej stóp. Rachel nałożyła sobie resztki dania z ryżu i trochę owoców.

- Wyglądasz na zmęczoną - powiedziała Clara. - Nie śpisz dobrze?

- Nie całkiem. Ale wszystko w porządku. Może zrobię sobie małą drzemkę dziś po południu. Jak to miło, że nie musimy się wlec za taborami.

- O tak - potwierdziła Clara, zerkając podejrzliwie na przyjaciółkę.

- Ale najpierw muszę wypełnić pewien mniej przyjemny obowiązek.

- Czy to coś, w czym ci mogę pomóc?

Rachel uśmiechnęła się dosyć smętnie.

- Nie sądzę. Nadszedł czas, by oczyścić ranę na nodze majora.

Clara zadrżała.

- To znaczy usunąć te... rzeczy?

-Tak.

- No cóż, pozwól, że najpierw położę Benny'ego spać, i wtedy zrobię, co będę mogła, żeby ci poasystować. Pan Henry poszedł po zapasy. Powinien niedługo wrócić.

- Zajmij się Bennym, a ja zacznę z majorem.

Rachel poszła do spiżarni, zebrała stamtąd to, czego potrzebowała, napełniła miednicę gorącą wodą i zaniósła ją na górę, do pokoju majora Forrestera.

- Ach, pani Brady. - Major dostrzegł miednicę w jej rękach. - Przyszła mnie pani znów torturować, prawda?

- Tak naprawdę to pomylił się pan ogromnie, sir. Mam nadzieję uwolnić pana chociaż częściowo od tortur, które znosi pan tak dzielnie.

- Jeżeli mówi pani o usunięciu tych piekielnych robali, które doprowadzają mnie do obłądu, to jest pani rzeczywiście mile widziana, madam.

Z powodu ciepłej pogody major leżał pod cienkim prześcieradłem, które nie zdołało ukryć do końca, że przysłonięty nim nagi pacjent pozostał pełnym życia mężczyzną. Rachel starała się to ignorować i tylko kiedy odsłoniła ranę nad lewym kolanem, przemyślnie udrapowała prześcieradło. Poluzowała supeł, po czym wstrzymała oddech, usuwając bandaż. Ogarnęła ją fala nudności. Rachel wyprostowała się i odwróciła, z trudem przelękając ślinę.

- Czy coś jest nie w porządku? - W głosie majora zabrzmiała obawa.

- Nie. - Rachel głęboko wciągnęła powietrze. - Nie. Zapomniałam przynieść instrumenty i czyste bandaże.

Przeszła do przylegającej garderoby, aby pozbierać potrzebne rzeczy. Stwierdziła, że Henry byłby doskonałym gospodarzem, sądząc po porządku, jaki tam Zastała. Rachel raz jeszcze wzięła głęboki oddech i wróciła do majora.

Pochyliła się nad otwartą raną. Odór zgnilizny nie był tak uderzający jak podczas poprzednich zmian opatrunku. Co więcej, tkanka nabrała zdrowego, mocno różowego odcienia.

- Jest mi ogromnie przykro, ale obawiam się, że to będzie bolało, majorze.

Jake starał się nie dostrzegać współczucia w jej oczach o dziwnej barwie - czy były szare? czy zielone? czy brązowe? Starał się zignorować dotyk jej delikatnych dłoni na swoim udzie. A przede wszystkim, kiedy pochylała się nad nim, próbował oderwać wzrok od jej dekoltu i kształtnych piersi...
bez skutku.

Wielki Boże! Czyż ta kobieta nie miała pojęcia, co z nim wyprawia? Nawet zanim podwinęła prześcieradło, był świadom jej bliskości. Wnosiła ze sobą zapach słońca i kwiatów. A potem się pochylała. Wstrzymał oddech i próbował myśleć o czymś przyziemnym, żeby powstrzymać reakcję własnego ciała. Nie na wiele się to zdało. Czuł, jak mięśnie mu się napinają, i wiedział, że to przekłete cienkie prześcieradło nie ukryje jego podniecenia.

Był niesłychanie zakłopotany.

- Ja... przepraszam, pani Brady.

Był wdzięczny, kiedy nie okazała szoku ani nie udawała, że nic nie zauważa. Wyprostowała się i poklepała go po ramieniu.

- Nic się nie stało, majorze. Nie jest to niczym niespotykanym w szpitalu. Czy mamy kontynuować uwalnianie pana od niemiłych gości?

- O tak, bardzo proszę, madam - powiedział, starając się rozmyślnie mówić jak grzeczny uczeń. Przygotował się na ból, przed którym go ostrzegano, ale mimo to nie zdołał powstrzymać jęku, kiedy przetarła czymś powierzchnię rany.

Rachel posłużyła się wilgotną chustą, by usunąć większość larw. Starła się trzymać na wodzy własną awersję do tego zadania i powściągnąć nudności, a jednocześnie postępować tak delikatnie, jak to tylko było możliwe. Twarz majora oblała się potem, a zęby miał mocno zaciśnięte.

- Jeszcze tylko chwilę - pocieszała rannego, dobrze wiedząc, że najgorsze miało dopiero nadejść.

Wtedy pojawiła się Clara.

- Czy mogę w czymś pomóc?

- W garderobie jest miednica i dzbanek z wodą - powiedziała Rachel. - Gdybyś mogła otrzeć majorowi twarz i szyję moką chustą, z pewnością byłby zadowolony.

Clara szybko wyszła, by spełnić tę prośbę, a tymczasem Rachel poszukiwała pozostałych stworzonek, mając pełną świadomość, że major Forrester boleśnie odczuwa każde dotknięcie instrumentu, którego używała. Wreszcie Rachel usunęła ostatnią larwę.

- Już. Gotowe. - Odetchnęła głęboko, nie zdając sobie wcześniej sprawy, że prawie nie oddychała.

- Dzięki Bogu - powiedział major ochryplym głosem.

- Niech pan jeszcze zbytnio nie dziękuje - ostrzegła go. Zanim major zdążył się odezwać, zalała otwartą ranę brandy.

- A-a-ach! - krzyknął. - Chcesz mnie zabić, kobieto?

- Nie. Po prostu dezynfekuję ranę. Teraz jest już po wszystkim. Położę na to gorący okład i miejmy nadzieję, że będzie dobrze.

Clara obserwowała uważnie, jak Rachel przygotowuje kompres.

- Aha. A więc to po to zostawiłaś ten zapleśniały chleb.

- Tak. Nie mam pojęcia, dlaczego to działa, ale wygląda na to, że wyciąga truciznę z rany.

Clara przyglądała się z powątpiewaniem.

- Jesteś pewna? Mnie się to wydaje raczej brudne.

- Jestem pewna. Mój ojciec nauczył się tego od starego okrętowego chirurga. No i widziałam, jak Addy to stosowała.

- No cóż... skoro tak mówisz... - Clara nie wyglądała na przekonaną.

Major Forrester także obserwował poczynania Rachel ze sceptycyzmem. Jego twarz wciąż była popielata z powodu bólu, jakiego przed chwilą doświadczył.

- Z pewnością, doprowadziwszy mnie do takiego stanu, nie planuje pani mnie otruć?

Uśmiechnęła się, zadowolona, że major jest w stanie żartować.

- Nie dziś przynajmniej. Może później, kiedy pan stanie się naprawdę marudny.

- Postaram się zatem zachowywać jak najlepiej.

Rachel zakończyła zawiązywanie nowych bandaży i pochyliła się, by pozbiierać brudne. Poczuła, jak krew odpływa jej z głowy, a nudności szarpia jej wnętrze.

- Ja... proszę wybaczyć - powiedziała pospiesznie i wybiegła z pokoju. Usłyszała, jak major woła:

- Pani Brady, czy wszystko w porządku?

- Rachel? - zapytała Clara.

Rachel ledwo zdążyła dostać się do własnego pokoju i sięgnąć po nocnik. Prawie nie zauważyła, że Clara poszła za nią. Wreszcie torsje ustały i Rachel przysiadła w kucki.

- Masz. - Clara podała jej szklanekę wody.

- Dziękuję. - Rachel zwilżyła usta, po czym przełknęła duży łyk.

- A teraz po prostu zostań tu i odpocznij - nakazała jej Clara. - Ja skończę tam sprzątać.

- Powiedz mu... powiedz mu, że mi przykro.

- On to wie - powiedziała łagodnie Clara.

Rachel położyła się na łóżku, całkiem wyczerpana. Słyszała, jak Clara wchodzi i wychodzi z pokoju majora, i cichy szmer rozmów. Wkrótce mogła też usłyszeć, jak Henry stąpa po schodach i jak wita się z obojgiem. Rachel nie zamierzała zasypiać, ale tak się chyba jednak stało, zanim Clara przyszła do niej jakiś czas później.

- Przyniosłam ci trochę herbaty i grzanek - oznajmiła, stawiając tacę na stoliku przy łóżku.

Na tacy były dwie filiżanki na herbatę. Rachel w milczeniu patrzyła, jak Clara napełnia obie filiżanki i wręcza jej jedną.

- Dziękuję. Jesteś dla mnie taka dobra, Claro.

- Musisz bardziej o siebie dbać - powiedziała Clara dość szorstko. Przyciągnęła sobie krzesło i uważnie spojrzała na Rachel. - Czy powiedziałaś panu Brady o dziecku?

Rachel poczuła, jak jej oczy rozszerzają się ze zdumienia.

- A ty skąd wiesz? Ja domyśliłam się tego zaledwie parę dni temu.

- Kiedy mieszka się ze sobą tak blisko, jak my, niewiele rzeczy może pozostać tajemnicą, sama wiesz. Dostrzegałam oznaki, których ty zapewne nie zauważyłaś, bo byłaś zbyt zapracowana. A i też nie upłynęło przecież wiele czasu, odkąd sama to przechodziłam.

- Ale ja powinnam była zauważyć. - Rachel opowiedziała Clarze o swojej poprzedniej ciąży i o poronieniu.

- Zatem to podwójnie ważne, żebyś o sobie dbała - nalegała Clara. - Czy twój mąż wie?

- N-nie, jeszcze nie. On... jemu się to nie spodoba.

- I będzie obwinił ciebie - stwierdziła ponuro Clara.

Rachel była zakłopotana, kiedy Clara tak oceniła Edwina, ale nie mogła zaprzeczyć prawdzie.

- Zapewne. Po prostu muszę znaleźć odpowiednią chwilę, żeby mu powiedzieć.

Clara poklepała ją po ręce.

- Lepiej zrób to jak najszybciej, moja droga.

- Wiem.

Obie kobiety siedziały przez chwilę w pełnym zrozumienia milczeniu, pijąc herbatę, a Rachel skubała też grzankę. Troska Gary poruszyła ją. Nigdy nie miała tak bliskiej kobiety-przyjaciółki - tak bliskiej przyjaznej osoby w ogóle. Przyrzekła sobie pielęgnować tę przyjaźń bez względu na to, co powie Edwin.

- Czy pani Brady zachorowała? -zapytał Jake ze swego łóżka, kiedy Clara kończyła sprzątanie.

- Niezupełnie. Jest po prostu wyczerpana, jak sędzę. Kobieta w jej stanie nie powinna spędzać tyle długich godzin w tym szpitalu.

- W jej stanie? - powtórzył, oszołomiony. Dobry Boże. Pożądał więc kobiety, która jest nie tylko zameźna, ale i spodziewa się dziecka!

Clara tylko przytaknęła i zajmowała się dalej porządkowaniem.

- Kiedy jej mąż ma powrócić?

- Może w każdej chwili. Ale od niego nie otrzyma wiele wsparcia. - Clara nagle zaczęła bardziej ostrożnie dobrać słowa. - Przepraszam, majorze Forrester. Nie powinnam była nic mówić. Czasami po prostu tak się rozgadam. Rachel nie chciałaby...

- Nie powiem nic, co by mogło sprawić jej przykrość. Z pewnością nie powinienem nawet pytać - odparł.

- To dlatego, że tak się przyzwyczaiłyśmy rozmawiać o panu i w pana obecności...

Major uśmiechnął się...

- Jak gdybym był meblem, prawda?

- Och, nie. Nie to miałam na myśli. Miałam na myśli... no cóż... że jest pan bardziej jednym z nas. - Zaczzerwieniała się na to wyznanie. - W domu oczywiście Joe i ja nigdy nie poznaliśmy prawdziwego lorda. Ale tutaj... - Jąkała się, zmieszana.

- Tutaj takie różnice wydają się znaczyć o wiele mniej, nieprawdaz?

- Tak mi się wydaje. Ale Joe i ja... my nigdy byśmy się nie odważyli, sir...

- Nawet tak nie myślałem. A teraz, pani Paxton, skoro koniec końców mieszkamy tu wszyscy jak rodzina, może mogłaby pani nazywać mnie Jake? Nikt w Hiszpanii nie nazywa mnie „lordem”, oczywiście oprócz Henry'ego. Nie udało mi się oduczyć go tego nawyku.

- Och, sir... Nie jestem tylko pewna, czy to by było właściwe i w ogóle.

- Nalegam.

- Och, ależ sir...

- Pani Paxton! Czy ma pani zamiar odmówić tak prostej prośbie rannego człowieka?

- Bardzo dobrze. A zatem Jake. Ja jestem Clara, a mój mąż to Joe. - Przerwała, a w oku błysnęła jej wesoła iskierka. - Mój papa zwykł mawiać, że szlachta zawsze postawi na swoim.

Major zaśmiał się.

- Proszę powiedzieć też pani Brady o naszej nowej umowie.

- Rachel. Ona ma na imię Rachel.

- Tak, wiem. Henry mi powiedział. Poinformował mnie też dokładnie o wszystkim, co przeszła, ratując moje życie i moją kończynę.

- Rachel to bardzo wielkoduszna, ofiarna osoba.

- Tego również jestem świadom. I chcę, żeby wiedziała, że gdyby kiedykolwiek czegoś potrzebowała, wystarczy że mnie tylko poprosi.

Clara spojrzała na niego ze zrozumieniem.

- To bardzo miłe z twojej strony, ale wątpię, czy Rachel uważa, że cokolwiek jej zawdzięczasz. Jest przyzwyczajona pomagać innym.

- Jednak moja propozycja jest zawsze aktualna.

- Powiem jej to.

Jake podniósł się na łóżku.

- Henry powiedział mi też, że twój mąż służy w dziewięćdziesiątym czwartym regimencie u Grama.

- Tak, rzeczywiście.

- Jeśli Joe miałby taką ochotę, czy zechciałabyś poprosić go, żeby posiedział ze mną chwilę po wieczornym posiłku? Potrzebna mi opinia wojskowego o ostatnich wydarzeniach.

- Oczywiście. Joe z przyjemnością cię odwiedzi.

Jake zauważył, że sprawił Clarze przyjemność. W końcu jej

Joe został wyróżniony przez oficera wysokiej rangi! Tak naprawdę to sierżant Humphrey i kapral Collins informowali Jake'a na bieżąco o sprawach jego własnego regimentu i nie miał wątpliwości, że wkrótce pojawią się też zaprzyjaźnieni z nim oficerowie Hastings i Travers. Jednak nie zaszkodzi poznać jeszcze jeden punkt widzenia. Kiedyś pewien skromny porucznik Jacob Forrester szybko nauczył się, jak ważne jest słuchanie żołnierzy niższych stopniem.

Rachel zajrzała do swego pacjenta później tego samego wieczora, ale ponieważ postanowiła zachować stosowny dystans między sobą a majorem, nie została u niego długo. Została go gawędzącego przyjaźnie z Joem Paxtonem. Joe przy-

sunął sobie krzesło w pobliżu łóżka i rozsiadł się, zakładając nogę na nogę. Zaczął się podnosić, kiedy weszła Rachel.

- Nie, nie, panie Paxton. Proszę, niechże pan siedzi. Nie chciałam przeszkadzać.

- Piękna kobieta to zawsze mile widziany przerywnik. -W oczach majora rozbłysła iskierka, kiedy dodał: - To znaczy, chyba że przyszła pani, by wypróbować na mnie nowe tortury.

Rachel udawała, że się obraża.

- Majorze Forrester! Pan uparcie wypacza moje intencje. - Potem zwróciła się do Joe'go. - Niech pan zobaczy, co ja muszę znieść, i to wszystko przez to, że dokonałam aktu miłosierdzia.

- Ach! To było więc miłosierdzie? - zażartował Forrester. - No cóż, muszę powiedzieć, że w tym przypadku to miłosierdzie było bardzo bolesne.

Uśmiechnęła się.

- Nie spłynęło z niebios niczym łagodny deszczyk, sir. Tak .naprawdę, to po prostu chciałam się dowiedzieć, czy te raz bardzo pan cierpi.

Major spoważniał.

- To nieprzyjemne, ale nie jest to prawdziwy ból.

- Dobrze. Z pomocą Henry'ego jutro może pan wreszcie spróbować opuścić łóżko. Dobranoc, sir, dobranoc, panie Paxton.

- Czy Clara nie poinformowała pani, że postanowiliśmy zwracać się do siebie po imieniu w tej naszej „rodzinie”? - zapytał major.

- Tak, sir.

- Rozumiem. Takie postępowanie jest dla pani zbyt... demokratyczne, czyż nie?

- Niezupełnie. Tutaj nie czyni to wielkiej różnicy, ale na zewnątrz tych murów, cóż...

- Na zewnątrz tych murów nasze ścieżki się nie skrzyżowały, zatem tam również nie czyni to wielkiej różnicy.

- On ma rację - powiedział Joe.

- Dobrze, panowie. - Ton Rachel oddawał jej wahanie, ale z naciskiem wypowiedziała ich imiona: - Dobranoc, Jake. Dobranoc, Joe.

Major mrugnął na Joe'go.

- To prawie taka sama pedantka jak Henry. Dobranoc,
Rachel.

Joe zaśmiał się przyjaźnie, kiedy Rachel wyszła z pokoju. Rachel nie czuła się swobodnie, mówiąc majorowi po imieniu. Nie czuła się też swobodnie, gdy jej ciało przebiegł dreszcz, kiedy po imieniu nazwał ją Jake. To utrudniało Rachel wytrwanie w postanowieniu utrzymywania między nimi dystansu.

Następnego dnia Rachel znowu spędziła rano w szpitalu. Po powrocie na kwaterę dołączyła do reszty „domowników” przy południowym posiłku. Henry z zapałem dzielił się wrażeniami z krótkiego porannego spaceru majora po sypialni.

- Uczyni wszystko, by powrócić do regimentu tak szybko, jak to możliwe - oznajmił Henry.

- Nie wydaje się, żeby było trzeba tak się spieszyć - powiedział Joe, który hiszpańskim zwyczajem zajrzał do domu na posiłek i poobiednią sjęstę. - Generał jeszcze nie dał rozkazu do wymarszu.

- Z pewnością wcześniej nas uprzedzi. Okropnie będzie opuszczać ten dom. - Clara nie potrafiła ukryć tęsknoty za zwyczajnym życiem i stałym domem.

- Wiem, moja droga. - Jej mąż wyraźnie rozumiał jej uczucia. - Kiedy tylko ludzie Boneya* zostaną zepchnięci do Paryża, będziemy mogli wrócić do domu. - Przerwał i spojrzał na żonę pytająco. - Albo możesz sama wziąć Benny'ego i jechać do domu teraz. Bóg wie, że tak zapewne byłoby najlepiej.

- Już o tym rozmawialiśmy, Joe. Benny i ja nie zostawimy cię tu samego.

- Prawdę mówiąc, nie zostałbym tu sam. Słyszałem dzisiaj, że nasze siły w ciągu najbliższych tygodni wzrosną do niemal trzydziestu tysięcy ludzi.

*Boney - przezwisko nadane Napoleonowi Bonaparte przez Anglików (przyp. tłum.)

- Ale wciąż liczebną przewagę mają Francuzi i ich hiszpańscy sojusznicy - powiedział Henry.

Clara była stanowcza.

- Benny i ja zostajemy tutaj. Jej mąż wzruszył ramionami.

- A więc niech tak będzie.

Później, wchodząc po schodach na piętro, Rachel rozmyślała o tej wymianie zdań. Wiedziała, że rodzina Clary serdecznie powita ją i jej synka. Ojciec Clary nie był szczególnie zamożnym człowiekiem, choć jako kupiec odnosił jako takie sukcesy w interesach. Rodzice Clary nie pochwalali tego, że wyruszyła za wojskiem, ale nie zerwali kontaktów z córką. Wręcz przeciwnie, w każdym liście namawiali ją na powrót do domu. Clara nieustannie odpowiadała na to, że u boku Joe'go jest w domu. Rachel pomyślała, że choć narodziny Benny'ego skomplikowały życie Paxtonom, to wydawało się, że radzili sobie całkiem dobrze.

Zatrzymała się przed drzwiami majora i wzięła głęboki oddech. Jak to się działo, że zwykła perspektywa zobaczenia go tak poruszała jej zmysły? Rachel zapukała i gdy się odezwał, weszła, zostawiając drzwi szeroko otwarte.

- Dzień dobry, majorze - powiedziała pogodnie.

- Jake - burknął.

Henry wyjrzał zza drzwi garderoby.

- Mogliśmy trochę przesadzić dziś rano.

- „My” - Forrester znów warknął. - Masz mysz w kieszeni, Henry?

- Proszę wybaczyć, sir, nie rozumiem?

- Och, nic takiego. - Major cisnął poduszką, po czym skrzywił się z bólu.

- Należało się za taką niecierpliwość - powiedziała Rachel, zabierając poduszkę i starannie ją trzepiąc. - A teraz proszę podnieść głowę. - Kiedy układała poduszkę, dostrzegła, że major ma gładko ogoloną twarz i nie wygląda tak mizernie, jak wcześniej.

- Też byłabyś niecierpliwa, gdybyś została przykuta do łóżka tak jak ja.

- No cóż, wygląda pan lepiej, sir, a sądząc po pana złym humorze, musi się pan czuć znacznie bardziej sobą.
- Jake uśmiechnął się, zmieszany.
- Zuchwała z siebie osóbką, nieprawdaż?
- Przyszłam zmienić bandaże - powiedziała, starając się skierować rozmowę na bardziej bezosobowe tory.
- Major wyglądał na zakłopotanego.
- Czy nie sądzisz, że teraz Henry mógłby przejąć ten obo-
wiązek?
- Być może. Zobaczą tylko, jak działa okład.
- Kiedy Henry stanął przy łóżku z czystymi bandażami, Ra-
chel usunęła stary opatrunek i oznajmiła, że jest bardzo za-
adowolona z rezultatu. Dokładnie pokazała Henry'emu, jak
nakładać kompres i przytrzymywać go w miejscu. Uzgod-
niono, że następnego dnia Henry może sam się tym zająć.
- Chociaż myślę, że można by już zdjąć okład i po prostu
zasłonić ranę czystym opatrunkiem.
- Tak jest, madam - odparł Henry.
- Zaś pan, sir, może prawie uwolnić się od moich usług -
powiedziała Rachel głosem bardziej radosnym, niż podpowia-
dały jej uczucia, kiedy wstawała z kolan przy łóżku majora.
- Muszę wyznać, że mam mieszane uczucia wobec tej per-
spektywy - odparł major. - Henry nie jest ani trochę tak
przyjemnym obiektem do oglądania, jak ty.
- Henry, udając urazę, odpowiedział z przesadnym naci-
skiem:
- Ależ w rzeczy samej, robię, co mogę.
- I robi pan to wyśmienicie - zapewniła go Rachel.
- Major Forrester wyciągnął ku niej rękę, a ona chwyciła ją,
zanim zdążyła pomyśleć. Zatrzymał na sobie jej spojrzenie.
- Pani Brady... Rachel... Chcę, żebyś wiedziała, że jestem
najzupełniej świadom tego, jak ogromnie wiele ci
zawdzięczam.
- Och, ale...
- Nie. Nie umniejszaj ani nie lekceważ tego. Prawdopo-
dobnie ocaliłaś mi życie, a z całą pewnością ocaliłaś mi nogę.
Jestem za to przeogromnie wdzięczny.

- Z pewnością pomogłam w tym, by tak się stało... ale ofiarnie wspierało mnie też wiele innych osób.
- Wiem. Ale wiem także, komu należy się największa wdzięczność. Gdybyś kiedykolwiek potrzebowała czegoś...
Szybko uściśnęła jego dłoń i puściła ją.
- Ja... ja doceniam pana wdzięczność, majorze. Jake - poprawiła się, widząc, jak marszczy czoło. - I twoją propozycję.
- Potem dodała pogodniejszym tonem: - Tylko dbaj odpowiednio o to, co połataliśmy.
- Och, będę. Henry i ja wybieramy się jutro pojeździć konno. - Roześmiał się w głos, widząc ich zaskoczone miny. - No cóż... może pojutrze.
- Możesz jednak przynajmniej posiedzieć na podwórzu.
Mamy teraz ładną pogodę.
- Zaraz potem usłyszeli, jak z hukiem otworzyły się wielkie dębowe drzwi frontowe, a na schodach rozległ się stłumiony odgłos żołnierskich buciorów.
- Rachel! - odezwał się głos, który rozpoznała natychmiast. - Gdzie, do diabła, podziewa się moja żona? Rachel!
- Proszę mi wybaczyć. - Rachel wybiegła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi do pokoju majora, mając nadzieję, że on i Henry nie usłyszą jej rozmowy z mężem, bez której się nie obejdzie. Jednak wiedziała, że to próżna nadzieja.
- Tutaj jestem, Edwinie - powiedziała spokojnie, stając u szczytu schodów, po których wchodził Brady.
- A ty sobie myślisz, że co robisz w tym miejscu? Dałem ci dokładne instrukcje, kiedy wyjeżdżałem, czy nie?
Kiedy dotarł na szczyt schodów, cofnęła się o krok, gdyż odór brandy był tak silny, że żołądek omal się jej nie wyrócił.
- To w taki sposób wita się swojego dawno niewidzianego małżonka? - Chwycił ją i przyciągnął do siebie. Poczowała narastające nudności i odwróciła głowę.
- Proszę, Edwinie. - Oparła się o jego pierś i wzięła głęboki oddech. Brady puścił ją.
- Co, do diabła, się z tobą dzieje? - Nie starał się nawet przyciszać głosu. - I dlaczego uznałaś za stosowne mi się sprzeciwiać?

- To... to było niepraktyczne zrobić tak, jak chciałeś - odpowiedziała łagodnie, dobrze wiedząc, że mało prawdopodobne, by wysłuchał argumentów.

- „Niepraktyczne”? - parsknął. - A od kiedy to ty oceniasz, czy moje rozkazy są praktyczne, czy nie?

Rachel płonęła ze wstydu.

- Edwinie, proszę. Czy nie możemy pójść do naszego pokoju, żeby omówić to na osobności?

- Nie, na Boga! Omówimy to tu i teraz. Chcę wiedzieć, dlaczego się ulokowałaś w tym domu z tą jaśnie dostojną lordowską mością i tymi świętoszkowatymi Paxtonami, kiedy ja ci tego wyraźnie zabroniłem.

- Może po to, żeby spać w prawdziwym łóżku i siadać na czymś innym niż brudna podłoga albo pasterski zydel?

- To, co daje ci mąż, nie jest dla ciebie dość dobre, czy tak?

Rachel traciła już cierpliwość.

- Och, Edwinie, na miłość boską, bądź rozsądny.

- Powiedziałem ci coś o odszczekiwaniu mi się - warknął i zamachnął się, żeby uderzyć ją wierzchem dłoni.

Cios pozbawił ją równowagi; daremnie starała się chwycić poręcz.

- Edwinie! Nieee... - krzyknęła, tracąc oparcie pod nogami i spadając głową w dół aż do podstawy schodów. Zanim ogarnęła ją ciemność, instynktownym gestem przyłożyła dłoń do brzucha.

7

- Henry! Szybko! Sprawdź, co tam się stało - nakazał Jake, zrzucając z siebie prześcieradło i sięgając po szlafrok leżący w nogach łóżka.

Henry był wyraźnie rozdarty między chęcią wypełnienia

96

połączenia i niesienia pomocy swemu chlebodawcy przy trudnym zadaniu, jakim było dla niego wstanie z łóżka.

- Idź! - rozkazał mu znowu Jake.

- Tak jest, sir.

Henry otworzył drzwi i wyszedł z pokoju. Jake zdołał narzucić na siebie szlafrok i nawet samodzielnie wstać, ale musiał chwycić się kolumnienki przy łóżku, próbując przenieść ciężar ciała na zranioną nogę, która tego nie wytrzymała.

- A niech to! - wymamrotał.

Wrócił Henry.

- Proszę pozwolić, że pomogę, sir.

- Co się stało? - zapytał Jake, pozwalając Henry'emu się podtrzymać.

- Pani Brady spadła ze schodów.

- Czy jest ranna?

- Nie wiem, sir. Leżała tam po prostu. Jej mąż był przy niej, i pani Paxton.

- Pomóż mi dojść do drzwi. Muszę zobaczyć. - Nie potrafił wytłumaczyć, nawet samemu sobie, jak głęboką odczuwał potrzebę sprawdzenia, czy z Rachel wszystko w porządku.

Kiedy dotarł do otwartych drzwi, zobaczył wchodzącego na górę mężczyznę, niosącego Rachel.

- Na co się gapisz? - warknął ów mężczyzna. - To nie twój interes.

Clara, idąca tuż za nimi, pospieszyła naprzód, by otworzyć drzwi do pokoju Rachel.

- Tutaj.

- Ona nie... - Jake nie mógł zdobyć się na to, by dokończyć zdanie.

- Nie - powiedziała Clara, najwyraźniej czytając w jego myślach. - Tylko straciła przytomność. Posłałam już pana Thompkinsa... Sama... po doktora.

Jake widział teraz tylko plecy Brady'ego, ale wcześniejsze przelotne spojrzenie w twarz owego drugiego mężczyzny zaniepokoiło go. Brady kopnięciem zamknął drzwi. Jake niechętnie powrócił do własnego łóżka, upominając sam siebie,

że powinien pamiętać, iż tamten mężczyzna miał rację - to naprawdę nie była jego sprawa. To, co działo się w małżeńskim stadle, nie powinno obchodzić postronnej osoby.

- Henry, dowiedz się, co tam się stało - powiedział Jake. - A kiedy przyjdzie doktor, poproś go, żeby rzucił okiem na moją nogę.

- Czy coś pan sobie zrobił, kiedy poderwał się pan tak gwałtownie?

- Prawdę mówiąc, nadwreżyłem ją niezgorzej, ale to tylko wymówka, żeby zapytać go o Ra... o panią Brady. - Jakoś wydało mu się teraz bezpieczniej myśleć o Rachel jako o „pani Brady”.

Henry, na polecenie Jake'a, zostawił drzwi do pokoju szeroko otwarte, tak żeby widzieli, kiedy zjawi się lekarz. Jake leżał, wpatrując się w podbicie baldachimu nad swoim łóżkiem. Potem przed oczyma znów stanęła mu twarz tego mężczyzny, Brady'ego. Było w tej twarzy coś...

- Henry, czy przypadkiem nie wiesz, skąd pochodzi Brady? Henry odwrócił się od okna, wychodzącego na podjazd.

- Doktor przybył - oznajmił, po czym odpowiedział na pytanie Jake'a. - Jak mi się wydaje, pani Brady wspominała kiedyś o Devon.

- Devon. - Jake zastanawiał się nad tym przez kilka minut, po czym pozwolił sobie na porządkowanie swoich myśli na głos. To był jego stary nawyk. - To daleko od Szkocji.

- Tak, sir. Pani Brady mieszkała na północy Anglii, kiedy się poznali. Zaś on werbował żołnierzy.

- Hmm. - Myśli Jake'a wciąż absorbowała ta twarz i nazwa „Devon”. - Mój ojciec, jak wiesz, miał posiadłość w Devon, ale nie pamiętam nikogo nazwiskiem Brady... Oczywiście, odwiedziłem tę posiadłość ze dwa czy trzy razy w całym moim życiu.

- Czy wolno mi spytać, co pana niepokoi, sir?

- Nie jestem pewien. Mam uczucie, że skądś znam tę twarz.

- No cóż, ten człowiek jest w armii już od kilku lat. Być może zetknął się pan z nim już wcześniej.

- Być może...

Usłyszeli, jak lekarz idzie korytarzem, a potem na długą chwilę zapanowała cisza. Jake'owi wydało się, że cały dom wstrzymał oddech.

Edwin Brady w przerażeniu patrzył, jak jego żona spada po schodach. Widział to w zwolnionym tempie, niemal jak gdyby wszystko działo się we śnie. Potem zmusił się do działania i popędził po schodach w dół. Ukląkł przy Rachel i przygarnął jej bezwładne ciało do piersi.

- O Boże, Rachel. Przepraszam. Ja nie chciałem...

- Co się stało? - zapytała zaalarmowana Clara, wychodząc z kuchni na tyłach domu. - Słyszałam krzyk. Och! Rachel!

- Ona... ona spadła - wyjaśnił nieporadnie Edwin.

- Z całej wysokości schodów?

- Tak. Jest nieprzytomna.

- Poślę po doktora.

- Zaczekajmy, zobaczymy, czy to konieczne - powiedział Edwin, ale Clara już znikła. - Przeklęta nadgorliwa kobieta - wymamrotał.

Kiedy manewrował, starając się wziąć bezwładną Rachel na ręce, Clara powróciła.

- Połóżmy ją do łóżka - powiedziała.

- Tylko mi pokaż, gdzie.

Wstał dosyć chwiejnie, po czym zaniósł Rachel do wskazanego pokoju, zauważając po drodze otwarte drzwi po drugiej stronie korytarza. Forrester. Tylko tego mu teraz brakowało.

Położył Rachel na łóżku i przykląkł przy niej.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie, obiecuję - powiedział łagodnie.

Clara przetrząsnęła szufladę komody i wróciła z nocną koszulą w rękach.

- Skoro jest nieprzytomna, będziesz musiał mi pomóc zdjąć z niej to ubranie i przebrać ją w koszulę, zanim przyjdzie doktor.

- Oczywiście. - Mierzyła go energia Clary, ale to najwy-

rażniej nie był dobry moment, żeby się spierać z tą kobietą.

Wspólnie zdjęli z Rachel wierzchnią suknię, a Clara poluzowała zapięcia i zdjęła z niej bieliznę. Potem przy pomocy

Brady'ego nasunęli jej przez głowę nocną koszulę.

- Ma na twarzy okropny siniec - powiedziała Clara, spoglądając przenikliwie na Brady'ego. W jej głosie pobrzmięło wało wyzwanie. - Nabiła go sobie podczas upadku?

Wzruszył ramionami.

- Na pewno.

Na Boga! Mężczyzna nie musi się tłumaczyć z ukarania własnej żony przed kimś prawie obcym!

Kiedy Clara sięgnęła po koc, by okryć nim Rachel, leżącą jęknęła i otworzyła oczy.

- Och, Claro. Och. Tak strasznie, strasznie boli.

- Postaraj się leżeć spokojnie. Już posłałam po doktora.

- Claro, ja... Ja się dziwnie czuję. Czy ja krwawię?

- Krwawisz? - Edwin zapytał szorstko. - Oczywiście, że nie. Tylko cię ścięło z nóg.

- Claro? Czy mogłabyś zobaczyć...? - poprosiła Rachel. Clara uniosła koc i koszulę.

- Ojej. Masz rację. Ty krwawisz. Pozwól, podłożę ci coś. Ale leż bardzo spokojnie, Rachel. Postaramy się uratować twoje maleństwo.

- Maleństwo? - Edwin zamarł w osłupieniu. - To ty mówisz, że ona nosi dziecko?

- Proszę, nie złość się, Edwinie - błagała Rachel. - Miałam zamiar ci powiedzieć, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila.

- Nie będzie „odpowiedniej” chwili na takie nowiny. I ty to wiesz. Coś ty sobie myślała? - Jego ton był zimny, oskarżający.

Clara podłożyła prześcieradło pod biodra Rachel.

- Nie jest pan pomocny w obecnej sytuacji, panie Brady. Poza tym, jest raczej powszechnie wiadomo, że kobieta nie zachodzi w taki stan sama.

- Nie potrzebuję...

Jego ripostę ucięło przybycie kapitana MacLachlana.

- Ach, pani Brady. Co się pani przytrafiło?
 - Ja... spadłam ze schodów - powiedziała.
 - I powinien pan wiedzieć, że ona spodziewa się dziecka - poinformowała go Clara.
 Lekarz uniósł brew, słysząc tę nowinę.
 - Jak dawno?
 - Dwa... dwa i pół miesiąca - odparła Rachel.
 - Dwa i pół miesiąca? - powtórzył Edwin wyzywającym tonem.
 - Sierzancie, czy zechcielibyście poczekać tam, kiedy będę badał pacjentkę? - Chirurg wskazał mu krzesło stojące daleko z boku, a jego ton mówił wyraźnie, że jest to bardziej rozkaz niż propozycja.
 W obecności Clary MacLachlan szybko wykonał badanie, sprawdzając najpierw, czy nie ma złamań. Kiedy skończył, przysunął sobie krzesło i usiadł przy pacjentce. Wziął dłoń Rachel w swoje ogromne łapsko i spojrzał na nią ze współczuciem.
 - Bardzo mi przykro, moja droga. Prawda jest taka, że tracisz to dziecko.
 - Nie. Och, nieee... - Pełen bólu płacz Rachel wypełnił pokój. Łzy lały się jej z oczu na poduszkę, kiedy z rozpaczą rzucała głową z boku na bok.
 Clara chwyciła ją za drugą dłoń.
 - Rachel, tak mi przykro.
 - Jesteś pewien, Mac? - zapytała Rachel, ale wydawało się, że znała odpowiedź, zanim lekarz jej udzielił.
 Skinał głową z bardzo poważnym wyrazem twarzy.
 - Wiem, że to teraz dla ciebie marne pocieszenie, ale jesteś młoda i zdrowa. Będziesz jeszcze miała inne dzieci.
 Rachel tylko odwróciła głowę, jak gdyby nie chciała tego słuchać. Chirurg i Clara nadal szeptali jej słowa pocieszenia.
 Brady siedział, rozmyślając nad zaskakującą nowiną. Dwa i pół miesiąca? To by znaczyło, że okłamała go kilka dni temu, kiedy opierała się jego zalotom. Odmówiła własnemu mężowi, no nie?

Wreszcie chirurg wstał i odszedł od łóżka Rachel.

- Sierżancie Brady, mogę zamienić z wami słowo na stro-
nie? - Znów był to bardziej rozkaz niż prośba.

Na korytarzu lekarz stanął przed Bradym, przybierając
groźną postawę. Edwin czuł się onieśmielony przez tego
człowieka - potężnego mężczyznę o wzroście zapewne około
sześciu i pół stopy, o barach, które udźwignęłyby wołu.

- A teraz słuchaj, Brady. Ta delikatna kobieta nie nabiła
sobie tego siniaka na twarzy podczas żadnego upadku ze
schodów i my obaj to wiemy. Mam powody przypuszczać, że
ktoś pomógł jej też w tym upadku.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Nie próbujcie ze mną sztuczek. Doskonale wiecie, o
czym mówię. - MacLachlan pchnął go w pierś. - I wiedzcie,
Brady, że jeżeli to się powtórzy, zainteresuję się tą sprawą
osobiście.

- To, co się dzieje między mężczyzną a jego żoną, nic pana
nie powinno obchodzić.

- W tym przypadku mnie to obchodzi. - Chirurg rzucił mu
ostre spojrzenie i Brady poczuł, że nie jest w stanie wy-
trzymać wzroku lekarza.

Kipiąc gniewem, Brady zapytał:

- Czy już pan skończył tę swoją mowę?

- Nie. Jeszcze jedna sprawa. Ta kobieta jest teraz bardzo
chora. Musi leżeć w łóżku i odpoczywać co najmniej przez
tydzień. Pani Paxton obiecała się nią opiekować. A wy macie
ją zostawić w spokoju co najmniej na miesiąc. Rozumiecie, co
mam na myśli?

- Miesiąc? Cały miesiąc?

- Cały miesiąc. - Lekarz nie starał się nawet ukryć swej
niechęci do Brady'ego. - Moglibyście spowodować u niej dal-
sze obrażenia. I przysięgam, że jeżeli coś się stanie... - Groźba
w jego słowach była wyraźnie czytelna.

Brady sapnął ze złością.

- Niech tak będzie. Miesiąc.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Wtedy na korytarz

wyszedł ordynans Forrestera. Czy słyszał tę rozmowę? A nawet jeśli tak, to co? Forrester i jego banda nie znaczyli nic dla Edwina Brady'ego.

- Kapitanie MacLachlan, skoro pan tu jest, czy byłby pan uprzejmy rzucić okiem na nogę jego lordowskiej mości?
- Z przyjemnością. - Chirurg także wydawał się zadowolony, że może już skończyć z Edwinem Bradym.

- Czy ona w pełni wydobrzeje? - zapytał Jake, kiedy Henry zamykał drzwi za chirurgiem.
- Ma pan na myśli panią Brady? Tak, wydobrzeje, chociaż przeszła poronienie. To zawsze jest trudne dla kobiety.
- A to nieszczęśliwy wypadek - powiedział Jake. Było mu ogromnie żal Rachel. Intuicja podpowiadała mu, że Rachel będzie rozpaczać po tej stracie nawet bardziej, niż gdyby utraciła narodzone dziecko.
- Myślę, że nie tylko nieszczęście miało z tym związek. - W głosie MacLachlana pobrzmiwała pogarda.
- Tak, słyszeliśmy - przyznał Jake. - Niestety, było już po wszystkim, zanim zdążyłem się ruszyć.
- I tak niewiele mógłby pan zrobić, biorąc pod uwagę pana stan w tej chwili. Nie jest to niczym niezwykłym ani z pewnością bezprawnym, gdy mąż traktuje w ten sposób swoją żonę.
- Trudno nie zastanawiać się, dlaczego tak wielkoduszna, ofiarna kobieta zdecydowała się na związek z podobnym brutalem - zauważył Henry.
MacLachlan potarł podbródek.
- Kto to może wiedzieć? Musiała być bardzo młoda, kiedy się pobrali. Być może okoliczności zmusiły ją do takiego kroku. Kobiety zwyczajnie nie mają wolnego wyboru, jaki mamy my, mężczyźni.
- To prawda - powiedział Jake, myśląc o argumentach, jakie podała mu Celia, i zastanawiając się, czy mogło tu zachodzić podobieństwo.
- Chciał pan, żebym zobaczył tę ranę na nodze?

- Skoro już pan tu jest.

MacLachlan zdjął bandażę i zbadał zranione miejsce.

- Ponownie otworzył pan sobie ranę, ale wygląda na to, że krwawienie ustało. Pani Brady ocaliła panu tę nogę, majorze.

Ja bym ją natychmiast amputował.

- Wiem. Jestem jej niesłychanie wdzięczny.

- Oczywiście, pomógł pana własny silny organizm i, jak sądzę, sporo silnej woli. - MacLachlan wyprostował się. -

Zajrzę do niej za dzień lub dwa. Wstąpię też do pana.

- Dziękuję, sir.

MacLachlan zostawił trochę laudanum dla Rachel. Clara zmieszała odrobinę specyfiku z wodą i podała przyjaciółce.

- To ci pomoże zasnąć na chwilę.

- Dziękuję.

Ze łzami w oczach Clara położyła dłoń na dłoni Rachel i powiedziała tonem nieskończenie łagodnym:

- Staraj się nie rozmyślać o tym, co mogłoby być. To musiała być wola Boża.

- Wiem, ale tak trudno się z tym pogodzić.

- To oczywiste.

Wtedy do pokoju wrócił Brady.

- Pani Paxton, czy zechce nam pani wybaczyć? Chciałbym zamienić słowo z żoną. - Mówił dosyć grzecznie, ale z trudem hamował wściekłość.

- Ależ oczywiście - powiedziała Clara, rzucając zatroskane spojrzenie na Rachel.

- Nie martw się. Nic mi nie będzie - zapewniła ją Rachel.

- Dlaczego miałyby się martwić? - rzucił Brady.

- Później przyniosę ci kolację. - Clara cicho zamknęła za sobą drzwi.

Edwin zajął krzesło, które zwolniła Clara. Wpatrywał się w Rachel w milczeniu przez kilka minut, ale nie była pewna, czy w ogóle ją dostrzega.

- Nie chciałem, żeby tak się stało - wykrztusił wreszcie.

- Wiem.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o dziecku?
- Sama dowiedziałam się dopiero tuż przed twoim wyjazdem.
- Ale mogłaś mi powiedzieć wtedy - nalegał.
- Ja... ja chyba nie chciałam, żebyś się rozgniewał - wyznała zmęczonym głosem. Czowała, że laudanum zaczynało działać, i żałowała, że mąż nie wybrał innej chwili na tę rozmowę.
- To dlatego mnie okłamałaś? - ostro zapytał Brady.
- Okłamałam cię?

- Kiedy próbowałam się do ciebie zbliżyć.
Nie potrafiła patrzeć mu w oczy.
- Częściowo - szepnęła.
- Rachel, nie będę tolerował kłamstwa. Teraz Rachel spojrzała wprost na niego.
- A ja nie będę tolerowała bicia.
- To mnie nie prowokuj - powiedział lekceważąco.
Podniosła się na łokciu.

- Prowokować ciebie? Edwinie, kiedy wypijesz, nie potrzeba żadnego powodu, żebyś wpadł w złość.
- To nieprawda i ty o tym wiesz. Nigdy nie uderzyłem cię bez powodu. A teraz przykro mi, że spadłaś ze schodów, ale nie możesz mnie winić za to, że straciłaś równowagę.
- Gdybyś mnie nie uderzył, nie straciłabym równowagi.
- Ta dyskusja nie prowadzi do niczego, Rachel. Po prostu pamiętaj, żeby mnie nigdy więcej nie okłamywać, inaczej obiecuję, że naprawę tego pożałujesz.
- Rachel, choć tak osłabiona, odezwała się głosem stanowczym i niewzruszonym:
- Wiedz zatem, Edwinie Brady, że jeżeli kiedykolwiek... kiedykolwiek znowu podniesiesz na mnie rękę, to ja znajdę sposób, żeby było ci bardziej niż przykro. - Opadła z powrotem na łóżko, wyczerpana.
- A co ty niby mogłabyś zrobić? - zapytał z niedowierzaniem i pogardą.
- Jeżeli nie znajdę nic innego, to z łatwością mogę pode-
tSnać ci gardło, kiedy leżysz w pijackim śnie. Ale najłatwiej byłoby podać ci jakiś środek, po którym w najlepszym razie

porządnie się rozchorujesz i będziesz cierpiał. Wiesz, że posiadam dostateczną wiedzę o ziołach.

- Nie starczyłoby ci odwagi - warknął, ale Rachel doszła w jego głosie cień wątpliwości i obawy.

Jej własne słowa były spokojne, wyzute z emocji, ale twarde.

- Tak, Edwinie, starczyłoby. Nie będziesz mnie więcej bił.

Coś w jej postawie musiało dać mu do myślenia, bo obrzucił ją spojrzeniem najpierw zaskoczonym, potem zdradzającym zastanowienie.

- Ja... nie muszę słuchać takich bzdur - wypalił. - Wyraż nie nie jesteś sobą. Teraz idę, a ty odpoczywaj. Zajrzę do ciebie rano.

Brady wstał i opuścił pokój.

Rachel leżała bez ruchu, starając się nie myśleć o niczym. Pozwoliła, by narkotyk odsunął na bok wszelkie przykre doznania - przynajmniej na chwilę.

Sierżant Edwin Brady wyszedł z domu bardzo zdenerwowany. Musiał wyjść. Nie tylko że całkiem nie nadawał się na pielęgniarkę, to w dodatku nie chciał spędzać zbyt wiele czasu w pobliżu Jacoba Forrestera.

Poszukał sobie do towarzystwa Mortona i znalazł go w „posadzie” - hiszpańskim zajeździe czy też oberży, gdzie kwaterował Morton i kilku innych. Cały ten przybytek został zajęty przez brytyjskie wojsko i konsekwentnie zanglicyzowany przez angielskich żołnierzy. Ralph Morton siedział w dużej sali posady, grając w rzutki z szeregowcami Herveyem Willisem i Fredem Potterem.

- Hej, Brady - powitał go Morton. - Myślałem, że poszedłeś szukać żony.

- Znalazłem ją - odparł Brady, nie kryjąc rozczarowania.

- I tak szybko do nas wracasz? - W pytaniu Mortona zabrzmiała zarówno lubieźność, jak i kpina. - Nasz przyjaciel Brady chyba ma kłopoty z kobietą.

- A ty nie chciałbyś mieć kłopotów z taką, co wygląda jak ona? - rzucił Willis.

- Myślę, że wiedziałbym, co zrobić, żeby była zadowolona
- powiedział Morton.
- Tylko spróbuj - odparował Brady zły jak osa. Podeszedł do kontuaru, zażądał alkoholu i odszedł ze szklanicą do pustego stolika w rogu.
- Niedługo potem Morton skończył grę i przyłączył się do niego. Dwaj szeregowcy opuścili oberżę, żartując na temat bardziej ochoczych kobiet. Kiedy muskularny Morton usadowił się naprzeciwko niego, Brady'ego na nowo uderzyło, jak osobliwy to człowiek. Wydawało się, że u Mortona nic do siebie nie pasuje. Był o kilka lat starszy niż Brady i dwóch szeregowców, ale większość wolnego czasu najchętniej spędzał wśród młodszych żołnierzy. Miał szeroką, płaską twarz i robiły mu się zakola. Jego nos miał pecha dać się złamać o jeden raz za dużo. Wyglądał na kogoś, kim zresztą był w cywilu, czyli na ulicznego rzezimieszka - mimo to miał delikatne dłonie o długich paznokciach, niemal kobiece.
- Chcesz opowiedzieć wujciowi Ralphiemu o swoich zmartwieniach? - zapytał Morton.
- Przeklęte kobiety, które nie robią tego, co im się każe - zrzędził Brady. - Powiedziałem jej, że nie chcę mieć nic do czynienia z Forresterem.
- Forresterem. Tym majorem z Rangersów? To ten, którym ona tak się opiekuje?
- Ten sam. Cała ta zgraja przeniosła się razem do miasta, kiedy mnie nie było. Forrester, Paxtonowie i moja żona.
Morton uniósł jedną brew.
- Pewnie tam wygodnie.
- Zbyt wygodnie. I to po tym, jak kazałem jej nie zadawać się z nimi.
- Cóż, zmusz ją do tego teraz. Kobiety mają robić to, co im każą mężowie.
- To nie takie proste. - Brady opowiedział mu o upadku Rachel i o jej poronieniu, starannie pomijając własną rolę w tym wypadku.

- Mnie to wygląda na luksusową kwaterę, a wszystkie wydatki musi pokrywać major. Dlaczego biadolisz?
- Forrester dla mnie nic nie znaczy. A ci Paxtonowie w ogóle mi się nie podobają.
- Myślałem, że ten świętoszkowaty Paxton to twój przyjaciel od serca.
 - Dzieliliśmy jedną kwaterę, to wszystko.
- Co właściwie masz przeciwko temu Forresterowi oprócz tego, że to cholerny oficer?
- Ja... ech... spotkałem go raz, przed wieloma laty. - Brady nie miał zamiaru dzielić się szczegółami tego konkretnego wydarzenia ze swej młodości z kimś takim jak Ralph Morton.
 - Był od ciebie lepszy w walce, tak?
 - Nie całkiem.
 - A czy on pamięta ciebie?
 - Nie sądzę... i wolę, żeby tak zostało.
 - No to lepiej zabierz stamtąd swoją kobietę.
 - Wiem - odparł niecierpliwie Brady. - Ale muszę teraz czekać, aż ten wścibski doktor powie, że wyzdrowiała na tyle, żeby się przenieść.
 - Wygląda mi to na niezły bałagan. - W głosie Mortona zabrzmiała słaba nutka sympatii.
- Brady skinął na zapracowanego oberżystę, że chce więcej alkoholu. Kiedy przyniesiono im trunek, wziął porządny łyk i powiedział:
 - Mam serdecznie dość jej kręcenia nosem na to, co robię, i jej nieposłuszeństwa. Masz diabelne szczęście, żeś się tu na Półwyspie nie uwiązał z kobietą.
 - Jeżeli myślisz o tym poważnie, to pozbycie się jej nie powinno być trudne.
 - Co ty gadasz? - Brady był autentycznie wstrząśnięty, kiedy pomyślał, co też Morton mógł sugerować. Żołnierze zabijali, ale morderstwo z zimną krwią to było coś zupełnie innego. Chociaż... czyż jego żona nie zagroziła mu czymś takim? Morton spojrzął na niego z rozdrażnieniem.
 - To nie to, co myślisz.

- Czyli co? Nie mogę po prostu porzucić Angielki tutaj, na Półwyspie. Nie mam zamiaru być ciągnany po sądach i wychłostany. Oficerowie mogą przymknąć oko na porzucenie jakiejś Francuzki, Hiszpanki czy Portugalki, ale Angielki?

Bardzo w to wątpię.

- To prawda. Ale jest inny sposób pozbycia się żony, której już nie chcesz.

Brady zaśmiał się szyderczo.

- Och, pewnie. Mogę pognać do Anglii i nakłonić Parlament, żeby mi wydał list rozwodowy. - Brady strzelił palcami.

- Ot, tak po prostu. „No cóż, panie generale, widzi pan, muszę się pozbyć tej kobiety”. Czy ty myślisz, że lord zgodzi się na mój wyjazd z takiego powodu? Nie mówiąc już o pieniądzach. Niby skąd miałbym zdobyć setki, nie, tysiące funtów, jakie to może kosztować, i to z żołdu sierżanta?

- Zawsze jest jeszcze „rozwód dla biedaków”-

- Mówisz, żeby ją sprzedać? Słyszałem, że to nie jest całkiem legalne.

- Może i nie, ale ciągle się tak robi, a angielskie władze na ogół tolerują te praktyki.

- Będę musiał się nad tym porządnie zastanowić.

- Zrób to - powiedział Morton. - Słuchaj, jeśli potrzebujesz miejsca do spania, możesz się położyć na podłodze w naszym pokoju.

- Dzięki. Tak zrobię. Mieszkasz z "WiHisem i Potterem, prawda?

-Tak.

Brady dopił do dna i potrząsnął głową, próbując dojść do sedna propozycji Mortona. Sprzedać żonę? Cóż za kuszący pomysł!

Przez kilka kolejnych dni rozmowa z Mortonem wciąż chodziła Brady'emu po głowie. To prawda, że często irytowała go odpowiedzialność za utrzymywanie kobiety. Co więcej, jego niechęć narastała już mniej więcej od roku. Było też prawdą, że ogromnie rozszłościł się na Rachel za to, że przez nią skrzyżowały się drogi jego i Forrestera. Lecz uczciwie mówiąc, ona nie miała pojęcia o jego niechęci do całego klanu Forresterów. Poza tym była atrakcyjną kobietą i należała do niego. Czy naprawdę chciał ją porzucić? Kiedy tylko będzie mógł ją zabrać od Forrestera i Paxtonów, wszystko wróci do normy.

Forrester.

Cóż za przewrotny los zesłał Forrestera - tego Forrester - w ten sam zakątek świata, co i Edwina Brady'ego.

Wrócił myślami do wydarzeń z młodości, które uczyniły jego obecną sytuację tak niewygodną.

Wszystko zaczęło się latem, kiedy Edwin miał siedemnaście lat - prawie dwanaście lat temu - w Devon. On i Victor Kenwick, syn ziemianina, wrócili do domu ze szkoły. Wtedy nie przyszło Edwinowi do głowy zastanawiać się, dlaczego markiz Lounsbury zadawał sobie trud posyłania do szkół syna zwykłego farmera-dzierżawcy.

Poprzedniego lata Edwin radośnie utracił cnotę z jedną z młoczek na rodzinnej farmie Releigh Manor, posiadłości należącej - jak wiele innych w całej Anglii - do rodu Lounsbury. Anna. Nadal z czułością wspominał jej bezczelne, uwodzicielskie zachowanie i jej gładkie, białe ciało. Rok później czuł się desperacko głodny. Zapragnął ponownie posmakować tego, co tak przypadło mu do gustu jako chłopcu zale-

dwie szesnastoletniemu. On i Kenwick przez kilka dni nie rozmawiali prawie o niczym innym, niż tylko o „znalezieniu sobie dziewczyny”.

Obaj wybrali się tego dnia na ryby i właśnie wracali do domu, przecinając skrawek lasu należącego do Lounsburych, kiedy na ścieżce przed nimi zobaczyli ją. Annę. Annę, która zeszłego roku była taka ochocza.

- Hej, Anno - zawołał Edwin.

Odwróciła się.

- Och, Edwin. Słyszałam, że wróciłeś.

Pospieszył naprzód, by się z nią zrównać, ale Kenwick go wyprzedził.

- No to i jestem. I okropny mam apetyt na to, co tylko ty możesz dać. - Edwin posłał jej jeden ze swoich wystudowanych uśmiechów, który okazywał się jako tako skuteczny wobec dziewcząt z gospody w mieście.

Odsunęła się od niego nieznacznie.

- Cóż, jeśli o to chodzi, to obawiam się, że będziesz musiał poszukać sobie gdzie indziej.

- Ach, przestań. Na pewno tak nie myślisz. Ostatniego lata tak dobrze się bawiliśmy razem. I czekałem, żeby to powtórzyć. - Wyciągnął rękę, żeby popieścić jej ramię, ale ona starała się od niego odsunąć. - Kenwick też chciałby poprobować.

Kenwick przesunął się i zastąpił jej drogę. Anna zaniepokoiła się, ale jeszcze nie była naprawdę przestraszona.

- Ja... ja niedługo wychodzę za mąż - oznajmiła, tak jakby to mogło mieć jakiegokolwiek znaczenie dla Edwina. - Ja i Jim Jenks jesteśmy po słowie.

- Ach, jak to miło - powiedział spokojnie Edwin, obejmując ją ramieniem i przytrzymując mocno. - Ale staruszkowi Jimowi nie będzie żal tego, o czym nie będzie wiedział. - Pochylił się, by ją pocałować, ale Anna odwróciła twarz.

- Proszę. Puść mnie. Ja nie chcę...

- Przedtem chciałaś. Victor i ja obiecujemy, że tym razem też ci się spodoba, prawda, Kenwick?

- No pewnie, że tak! - ochoczo potwierdził Victor.

-Nie!

Teraz w głosie dziewczyny zabrzmiał prawdziwy strach i z jakiegoś powodu dało to Edwinowi poczucie władzy, które wzmogło jego pragnienie. Szarpała się z nim, ale on trzymał ją za ramiona.

- A teraz nie walcz z nami albo będziemy musieli zrobić ci krzywdę.

- Tam, pod tym drzewem, jest dobre miejsce - wskazał Vic-tor, łapiąc Annę z drugiej strony. Dwóch mężczyzn powlokło opierającą się dziewczynę w wybranym kierunku. - Szybko. Już się nie mogę doczekać - ponaglał tłusty syn ziemianina.

Edwin uśmiechnął się szeroko na widok wybrzuszenia w kroczu kolegi.

- Widzę. Ale ja pierwszy, przyjacielu. Ja pierwszy.

- Nie! - krzyknęła znowu Anna. - Nie! Nie! Proszę. Nie róbcie tego. Sprawiacie mi ból.

Przewrócili ją na ziemię. Daremnie walczyła, żeby uciec, i krzyknęła raz jeszcze.

- Przytrzymaj mi ją - powiedział Edwin - i zobacz, czy możesz coś zrobić, żeby była cicho. - Zadarł jej spódnice i próbował wepchnąć kolano między jej nogi, jednocześnie gmerając przy zapięciu spodni.

Nagle zdał sobie sprawę, że ktoś przedziera się konno przez krzaki, i za moment poczuł piekące uderzenie w plecy.

- Puśćcie ją - rozkazał ktoś.

Mimo że Edwin miał na sobie koszulę i kurtkę, ból zdołał odciągnąć jego uwagę od ponętnego ciała Anny.

- Powiedziałem, puśćcie ją - powtórzył jeździec i znowu podniósł szpicrutę. - Wasze zaloty najwyraźniej nie są mile widziane.

- Ona tylko tak ostro gra - powiedział Edwin. - Poza tym to nie twój interes.

Victor wyprostował się i puścił ramiona Anny.

- Daj spokój, stary. To Forrester. Młodszy syn markiza.

Kiedy tylko Edwin także zwolnił uścisk, Anna zdołała stanąć na nogi i poprawiła ubranie. Na twarzy miała łzy i Edwin poczuł coś w rodzaju zawstydzienia.

- Ach, no dobrze, nic się nie stało, co nie, Anno?
Spojrzała na niego, po czym zwróciła się do młodzieńca na koniu.

- Dziękuję, panie.
Skinął głową.

- Idź teraz do domu. Wątpię, żeby tych dwóch niepokoiło cię znowu.

Pospiesznie zastosowała się do jego słów. Prawie biegła, by jak najszybciej oddalić się od napastników. Forrester spojrział na nich z nieskrywaną pogardą.

- Marny to honor czy męstwo stosować przemoc wobec kobiety. - Przeniósł wzrok z Edwina na Victora. - Co za ostatni łajdak przytrzymałby kobietę, kiedy drugi ją gwałci?

Edwin zobaczył, jak twarz Victora robi się czerwona jak burak, ale syn ziemianina tylko spuścił wzrok i milczał. Edwin popatrzył na mężczyznę na koniu.

- Powtarzam, to nie był twój interes. Dziewczyna sama się o to prosiła. Za chwilę jęczałaby tu z rozkoszy.

Forrester podjechał bliżej, zmuszając Edwina do ustąpienia mu z drogi. Wycelował szpicrutą w jego pierś.

- Jej krzyki wyraźnie sugerowały coś wręcz przeciwnego. - Raz jeszcze spojrział surowo na każdego z nich po kolei. - Jeżeli którykolwiek z was dwóch, szanowni dżentelmeni, kiedykolwiek choćby dotknie jeszcze raz kobiety, która tego nie chce, na terenie tej parafii, obiecuję, że zapłacicie za swój postępek bardzo drogo. A teraz zabierajcie swoje bezwartościowe, tchórzliwe tyłki sprzed moich oczu, zanim postanowię obu was wychłostać.

Edwin wrzał gniewem przez wiele dni, marząc o zemście na wścibskiej lordowskiej mości. Za jakiś czas jego wściekłość podsyciła jeszcze poważniejsza uraza do markiza Lounsbury i jego synów.

Sześć miesięcy później został wezwany do domu, do ciężko chorej matki. Kiedy tylko spojrział w jej ciemne, zapadnięte oczy, wiedział już, że matka umiera. Jej mąż, farmer

Mullens, oznajmił mu, że zapadła na wyniszczającą chorobę. Otaczała ją rodzina, na którą oprócz Edwina składało się siedmioro jego rodzeństwa, od szesnastoletniej Mary po niepełna dwuletniego malca, Charliego.

- Ja... muszę pomówić z Edwinem sam na sam - powiedziała matka, patrząc błagalnie na męża.

- Jesteś tego pewna, Bess? - zapytał farmer.

- Tak, mój drogi. Już czas.

Mąż zabrał wszystkie pozostałe dzieci na zewnątrz i Edwin został z matką sam. Przynął sobie krzesło, żeby usiąść blisko niej. Nienawidził tego ucisku w gardle i łez napływających do oczu.

- O co chodzi, mamó?

Spojrzała na niego, a jej oczy również były lśniące od łez.
- Edwinie, kocham cię. Zawsze starałam się postępować z tobą właściwie.

- Wiem, mamó.

- Kochałam też twojego ojca.

Coś w tych słowach uderzyło go i zdziwiło, ale ta kobieta była przecież bardzo chora. Poklepał jej dłoń.

- On też to wie, mamó.

Chwyciła jego dłoń z zaskakującą siłą.

- Nie. Nie rozumiesz. Nie Thaddeusa Mullensa. Twojego prawdziwego ojca. Chociaż nauczyłam się kochać też pana Mullensa.

Edwin osłupiał.

- Mojego... mojego prawdziwego ojca? Czy chcesz mi powiedzieć, że...?

- Pan Mullens przyjął mnie do siebie i poślubił kilka miesięcy przed twoimi narodzinami. Lounsbury to wszystko zaaranżował.

W jednej chwili liczne drobne incydenty i niezrozumiałe uwagi, zapamiętane z dzieciństwa, nabrały dla Edwina sensu.

Teraz zrozumiał też, dlaczego zawsze czuł, że znacznie bliższa jest mu matka niż ojciec - to znaczy Mullens. Jego więź z żadną z trzech sióstr ani żadnym z czterech braci też nie była szczególnie silna.

- Zatem kto...

- Lounsbury. Markiz jest twoim ojcem. Byłam jedną z pokojówek. On właśnie stracił żonę i był taki przystojny. I czarujący. A ja byłam młoda i głupia. Tak strasznie głupia...

Edwin siedział przez chwilę w osłupiałym milczeniu, próbując sobie to wszystko przyswoić. Potem powoli wycedził:

- To dlatego posiał mnie do szkoły.

- Tak. Powiedział, że nigdy cię nie uzna i nigdy tego nie zrobił, ale zadbał o to, żebyśmy ty i ja mieli porządny dom. Przysłał Thaddeusa i mnie na tę farmę i mieliśmy tu dobre życie. Zadbał też o twoją właściwą edukację.

- Właściwą, ale nie najlepszą. Ta jest zarezerwowana dla jego prawdziwych synów. - Wystarczająco dobrą dla bękarta, pomyślał Edwin z goryczą.

- Przykro mi - wyszeptała matka. - Myślałam, że powinienieś to wiedzieć.

Edwin puścił jej dłoń i poprawił się na krześle. Jego myśli były bezładne i pełne goryczy. Przypomniał sobie incydent z Forresterem i dziewczyną ostatniego lata. Ten arogancki drań był jego bratem! A on, Edwin, po prostu postępował tak, jak nakazywał mu odziedziczony instynkt - dobierał się do służącej Lounsburych.

- Edwinie? Proszę... nie czuj do mnie nienawiści, kochanie.

- Nie czuję nienawiści do ciebie, mamó. Ale Lounsbury ma za co odpowiadać.

- To, co zrobił, nie jest niczym niezwykłym - powiedziała. - I postąpił wobec nas lepiej, niż mógłby to zrobić niejeden lord.

- Mógł cię poślubić, dając mi moje właściwe nazwisko. Nawet mimo tego, że głos matki był bardzo słaby, wyraz nie dało się w nim usłyszeć zdumienie.

- Poślubić mnie? Pokojówkę? Och, nie, kochanie. Nie Lounsbury.

- To nie jest nie do pomyślenia - argumentował Edwin.

- Dla niego jest. I tak naprawdę to i dla mnie nie byłoby tam życia.

- Dobrze, ale co ze mną? Jestem jego synem. Mam w sobie tyle samo jego krwi, co tych dwóch błaznów, którzy od czasu do czasu się tu pokazują!

- Ale ty jesteś też moim synem - powiedziała łagodnie. -I ja bardzo cię kocham.

- I to ma mi niby wystarczyć w zamian za życie, które mogłoby być moim udziałem? Przykro mi, mam. Miłość to za mało.

Łzy popłynęły strumieniem po jej twarzy.

Wtedy do pokoju wrócił Mullens. Stał, patrząc bezradnie to na swoją żonę, to na Edwina. Położył spracowaną dłoń na ramieniu młodzieńca.

- Wiem, że to dla ciebie wstrząs, synu...

Edwin odsunął się tak gwałtownie, że aż przewrócił krzesło.

- Nie jestem twoim synem. Nigdy nie byłem. - Zignorował ból w oczach mężczyzny.

- Byłeś... jesteś... naszym pierwotnym synem - cicho powtórzył Mullens.

Edwin zatracił się w bezradnej wściekłości. Był zły na wyroki losu, które sprawiły, że urodził się z nieprawego łoża. I był zły na tych dwoje, że ukrywali przed nim prawdę przez te wszystkie lata.

Bez zastanowienia wypalił pogardliwym tonem:

- Jak sądzę, ta farma była twoją zapłatą za przyjęcie dziwki szacownej lordowskiej mości i udawanie, że jego bękart to twój?

Mullens był roslym mężczyzną, a nie mający jeszcze osiemnastu lat Edwin nie osiągnął jeszcze postury dorosłego mężczyzny. Farmer wyprostował się i trzasnął Edwina na odlew w twarz.

- Nie! - Matka błagalnie wyciągnęła rękę ku obydwu. - Proszę. Thaddeusie, Edwinie, nie... Proszę.

- W tej chwili przeprosisz matkę! - nakazał Mullens. Edwin wiedział, że posunął się za daleko.

- Przepraszam, mam. Nie myślałem tak.

- Wiem, mój drogi. - Matka westchnęła ciężko i wymieniła z mężem znaczące spojrzenie.

Następnego dnia matka zmarła. Edwin został na farmie tylko tak długo, by przekonać się, że została pochowana jak należy.

Od zawsze nienawidził tej farmy. Chociaż zapewniała rodzinie przyzwoitą, choć nie komfortową, egzystencję, wymagała niekończącej się, wyczerpującej pracy. Już jako mały chłopiec Edwin irytował się na myśl, że czeka go takie życie.

A teraz odkrył, że właściwie urodził się do czegoś zdecydowanie lepszego...!

Spakował więc do torby swój mizerny dobytek i jedyne odświętne ubranie, i po prostu odszedł. Nigdy nie obejrzał się za siebie.

Opuścił farmę, nie mając żadnego konkretnego planu. Wiedział tylko, że nie wróci do szkoły. Posiadał nieco ponad trzy gwinee. To mogło mu wystarczyć na jakiś czas. Błąkał się przez kilka dni, zanim zebrał w sobie dość odwagi, żeby stanąć twarzą w twarz z markizem Lounsbury.

Przybył do głównej siedziby rodu Lounsbury w Gloucestershire tylko po to, by lokaj z kwaśną miną oznajmił mu, że markiza nie ma w domu.

- Kiedy spodziewacie się jego powrotu? - zapytał Edwin z największą uprzejmością, na jaką potrafił się zdobyć.
- Nie w ciągu kilku najbliższych tygodni.
- Czy może mi pan powiedzieć, gdzie mógłbym znaleźć jego lordowską mość? Ja... ja mam do niego dość pilną sprawę.
- Rozpoczęła się sesja Parlamentu. Pojechał do Londynu. - Lokaj gwałtownie zamknął drzwi.

Wędrując z powrotem ciągnącym się w nieskończoność podjazdem, Edwin spojrzął za siebie na ogromną, wytworną rezydencję, która była tylko jednym z wielu domów markiza Lounsbury. Mogłem tutaj dorastać, pomyślał Edwin.

W Londynie natknął się na równie cierpkiego lokaja, jak ten w domu Lounsburych w miasteczku.

- Zaczekaj tu. Sprawdzę, czy jego lordowską mość przyjmie. Mówisz, że nazywasz się Mullens? - Ton lokaja przypominał Edwinowi, że prawdziwy dżentelmen miałby przy sobie kartę wizytową, by ją wręczyć służącemu.

Edwin kręcił się niespokojnie w westybulu, kiedy lokaj zniknął w czeluściach długiego korytarza. Westybul był cały wyłożony białym marmurem i lśniącym mahoniem. Na ścianie przy schodach wiodących na wyższe piętra wisiało sporo obrazów. Stało tam też kilka wielkich, wyglądających na kosztowne, orientalnych wazonów. Całe domostwo świadczyło o spokojnej i pewnej siebie zamożności.

Edwin usłyszał głos, pytający:

- Mullens? - Nastąpiła pauza. - Cóż, wprowadź go.

Edwin został zaprowadzony do eleganckiej biblioteki, która, jak pomyślał, musiała mieścić tyle samo tomów, iloma mogła się poszczycić jego szkolna biblioteka. Markiz siedział za ogromnym biurkiem - mahoniowym, jak zauważył Edwin - ale nie podniósł się, kiedy wprowadzono przybyłego gościa.

Lounsbury wydawał się dość wysoki. Miał intensywnie niebieskie oczy i krzaczaste, czarne brwi, kontrastujące ostro ze śnieżnobiałymi włosami. Markiz uniósł brew.

- Ach, spodziewałem się twojego ojca, kiedy Jeffers zapowiedział pana Mullensa. To wszystko, Jeffers.

Drzwi zamknęły się za wychodzącym lokajem.

- Mój ojciec? - zapytał Edwin, starając się nadać tym słowom wyrafinowaną ironię.

Markiz nawet nie mrugnął.

- Widzę, że ci powiedziała.

-Tak.

Obserwowali się przez chwilę w milczeniu. Edwin nie został poproszony, by usiąść, a im dłużej stał, tym bardziej tracił panowanie nad sobą.

Wreszcie markiz odezwał się.

- Wyrosłeś. Ostatni raz widziałem cię jakieś pięć czy sześć lat temu, zanim wyjechałeś do szkoły. Muszę przyznać, że nie wyglądasz zbyt na Forrestera, chociaż masz cerę i kolor oczu i włosów twojej matki. Była śliczną dziewczyną. Zasmuciła mnie wiadomość o jej śmierci.

- Być może dziedzictwo Forresterów sięga głębiej niż tylko cera i włosy, sir.

- Być może... - Starszy mężczyzna podniósł przycisk do papieru i zaczął bawić się nim, obracając w dłoniach. - No cóż. Dlaczego tu przyszedłeś? Czego chcesz?

- Czy to nie wystarczający powód: przedstawić się własnemu ojcu?

- Jeżeli o mnie chodzi, to twoim ojcem jest Thaddeus Mullen. Jeżeli zamierzasz wymuszać ode mnie dalsze korzyści ponad te, które ci już zapewniłem, zdecydowanie ci to odradzam.

- Wymuszanie to dość obrzydliwe słowo, wasza lordowska mość. - Edwin nie mógł sobie odmówić cienia ironii, tytułując markiza w ten sposób. - Jednak, jak sądzę, mam prawo mieć pewne oczekiwania w stosunku do człowieka, którego nasienie powołało mnie na ten świat.

- Odważny z siebie bękart, przyznaję ci to, żeś tu przyszedł tak po prostu. - Markiz wstał, a był naprawdę wysoki. Oparł się dłońmi o blat biurka i pochylił w stronę chłopaka. - Wiedz jednak, młodzieńcze, że zadbałem materialnie o twoją matkę i zapewniłem ci wykształcenie. Uważam, że jest to bardziej niż dostateczna zapłata za przelotną chwilę przyjemności w sypialni.

- Przelotną chwilę... - Edwin poczuł, jak krew napływa mu do twarzy, a jego wściekłość narasta. - Ale...
Markiz zaniósł się szyderczym, demonicznym śmiechem.

- Nie wyobrażałeś sobie chyba, że było w tym coś więcej?
Ona była tylko pokojówką, na miłość boską!

Kiedy ten odrażający śmiech drażył powoli duszę Edwina, młodzieniec poprzysiągł sobie w myśli, że któregoś dnia Lounsbury - a przynajmniej jakiś Forrester - drogo zapłaci mu za to upokorzenie. Któregoś dnia, choćby nawet miał czekać wieki.

Nie ufając sobie, czy zdoła się opanować, Edwin po prostu wstał, szyderczo skłonił się markizowi i odwrócił w kierunku drzwi.

- Zaczekaj! - zawołał starszy mężczyzna.

Kiedy Edwin obrócił się, markiz wyjął z szuflady biurka sakiewkę z monetami. Rzucił ją w stronę Edwina, który instynktownie ją złapał.

- Kup sobie jakieś porządne ubranie, chłopcze. Potem zgłoś się do Simpsona, mojego zarządcy w posiadłości Yorkshire. On spodziewał się, że zgłosisz się tam za jakieś dwa lata. I nigdy, przenigdy nie nachodź mnie ponownie. Jeżeli to uczynisz, każę cię aresztować i wywieźć.

To w dwójnasób zwiększyło upokorzenie Edwina — i jego pragnienie zemsty.

Edwin Brady Mullens stał się od tamtej chwili po prostu Edwinem Brady. Brady to było nazwisko panięskie jego matki. Duma nie pozwoliła mu postąpić zgodnie z rozkazami markiza. Włóczył się bez celu przez kilka miesięcy, zanim ostatecznie wstąpił do armii Jego Wysokości. Szczęśliwie dla niego, przydzielono go najpierw do obozu szkoleniowego niedaleko wioski zwanej Botwick-on-the-Bay we wschodniej Anglii. Kiedy kapitan dowodzący kompanią, do której go przydzielono, odkrył, że Brady posiada całkiem niezgorsze wykształcenie, postarał się, by młodzieńcowi została powierzona funkcja urzędnicza.

Podczas dwuletniego pobytu w Bothwick Brady stał się znany - i na ogół dość lubiany - w wiosce. Odkrył, że ochoczo goszczą go niektóre mamy i ich ponętne córki. Jego zdolność do zjednywania sobie ludzi nie ograniczała się tylko do pici pięknej. Inni młodzi mężczyźni też go lubili. Nic więc dziwnego, że widząc, jaki ma talent do przekonywania ludzi, oficerowie dostrzegli w nim odpowiedniego kandydata do nowego oddziału rekrutującego żołnierzy.

Tak więc Brady pożegnał się z wioską i przez kilka kolejnych lat podróżował po kraju jako werbownik. Jednak odtąd to Bothwick uważał za swój dom i od czasu do czasu powracał tam z opowieściami o fascynującym życiu poza wioską i o własnych sukcesach odniesionych gdzieś tam w świecie. Awansując stopniowo, odzyskiwał nieco swojej pewności siebie i dumy.

Jednak ponad dziesięć lat później nadal nie zapomniał swojej przysięgi. Markiz już nie żył, tak samo jak Thaddeus Mullens. Ale był tu Jacob Forrester, niespodziewanie zjawia-

jąc mu się pod samym nosem. Z pewnością Brady mógłby skorzystać z takiej sposobności. Pytanie tylko - jak?

9

Rachel dochodziła do zdrowia całkiem szybko. Nie umiała leżeć przykuta do łóżka przez cały tydzień. Na trzeci dzień wstała i złożyła krótką wizytę majorowi Forresterowi. Ucieszyła się, widząc go ożywionego, siedzącego na krześle, ze zranioną nogą opartą na podnóżku.

- Mac mówił mi, że ma się pan lepiej - powiedziała, siadając na krześle, które jej zaproponował. Słyszała Hen-ry'ego, krzątającego się w garderobie.

- Doktor... kapitan... MacLachan, znaczy się? Powiedział mi to samo o pani. Ale czy powinna pani już wstawać z łóżka? W oczach Forrester'a widać było szczerą troskę.

- Czuję się dobrze. Naprawdę. Jak się wydaje, żadne z nas nie jest zbyt cierpliwym pacjentem. - Udało jej się zdobyć na błądy uśmiech.

- Przykro mi z powodu pani straty - powiedział nieco niezręcznie.

Rachel wyczuła szczerą intencję i nie mogła pozbyć się myśli, że jej własny mąż nie zaoferował jej takich słów pocieszenia. Brady wrócił następnego dnia po wypadku, udając, że wszystko jest w najlepszym porządku. Przez dwie kolejne noce dzielił z nią wielkie łóżko ozdobione kolumnkami na rogach, ale się do niej nie zbliżał.

Wychodził wczesnym rankiem i wracał późno w nocy. Rachel pomyślała, że zapewne powinna przejmować się bardziej jego przedłużającymi się nieobecnościami, mało ją to jednak obchodziło.

Tak naprawdę stwierdziła, że trudno jest jej się teraz

w szczególniejszy sposób przejmować czymkolwiek. Kiedy Clara przychodziła do jej pokoju, paplając o sprawach związanych z domem i jego sąsiedztwem, Rachel zmuszała się do jednosylabowych odpowiedzi. Wiedziała, że Clara martwiła się o nią. Clara była jeszcze jedną osobą, która wydawała się bardziej troszczyć o uczucia Rachel niż Edwin Brady.

Rachel skupiła się, by odpowiedzieć majorowi Forresterowi.

- Dziękuję, majorze. Jak sędzę, to miało znaczyć...

Wiedziała, że jej głos brzmi martwo, ale nie miała sił ani ochoty, by udawać. Major spojrzał na nią przenikliwie.

- Henry! - zawołał Forrester. Ordynans pospiesznie wyszedł z garderoby.

- Tak, panie?

- Znajdź mi, proszę, egzemplarz „Ballad lirycznych”.

Henry podał mu książkę, a Forrester wręczył ją Rachel.

- Proszę. Chcę, żeby pani to wzięła. Jest tu kilka świetnych utworów.

- Och, sir, nie mogłabym przyjąć takiego подарunku. - Rachel wiedziała, jak bardzo major cenił sobie tych kilka książek, które przywiózł ze sobą na Półwysep.

- Nalegam. - Znów wyciągnął ku niej rękę z książką. - To nie jest żaden nieodpowiedni podarek. Może znajdzie pani nieco pociechy w słowach pana Wordswortha lub pana Coleridge'a.

Spojrzała mu w oczy i wiedziała już, że nie potrafi odrzucić tego gestu.

- Ja... dobrze więc. Jak skarb będę cenić ten dowód życzliwości.

Kiedy sięgnęła po cienki tomik, ich dłonie spotkały się, a ona zdała sobie sprawę, jak kojący jest ten dotyk.

Przez chwilę rozmawiali o innych rzeczach, po czym umówili się, że oboje wybiorą się jutro rano na spacer po dziedzińcu.

Jake ze smutkiem patrzył, jak Rachel opuszcza pokój. Radosne iskielki znikły z jej oczu i zabrakło dawnej energii w jej chodzie i postawie. Jake pragnął - och, tak straszliwie

pragnął - znowu zobaczyć tę przyjaciółkę, która dyskutowała z nim o starożytnych greckich wojownikach.

Henry powiedział mu, że wedle pani Paxton Rachel przeżywała utratę dziecka dosyć ciężko - tak, jak przypuszczał Jake. Pomyślał jednak, że przygnębienie Rachel może mieć i inną przyczynę. Bądź co bądź, on i Henry usłyszeli sporą część rozmowy Rachel z mężem przed wypadkiem. Jake poczuł znów ten bezsilny gniew na mężczyznę, który wydawał się być kompletnie ślepy na to, jak wielki skarb posiadał.

To nie twoja sprawa, Forrester, powtarzał sam sobie. Zostaw to. Po prostu to zostaw. Jednak jego myśl wciąż błędziła wokół cierpienia w oczach Rachel.

Kiedy tak leżał w łóżku, tonąc w czczych rozmyśleniach, usłyszał poruszenie na dole. Najpierw rozległo się pukanie do drzwi wejściowych, potem okrzyk Clary: „Och, wielkie nieba!”

Potem zabrzmiało wołanie:

- Panie Henry! Czy może pan nam pomóc?

Henry przez chwilę przebywał na dole. Jake uważnie nasłuchiwał ze swojego pokoju.

- Musimy go zanieść do jego pokoju - powiedziała Clara. Jego? Kogo? zastanawiał się Jake. Potem usłyszał przerażony głos Rachel.

- Co... och, Edwinie! Co się stało?

Męski głos, którego Jake nie rozpoznał, odpowiedział jej:

- No, pani może pytać. Paru gości nieźle mu przyłożyło.

- Jeśli zdejmiecie z niego ubranie i położycie go do łóżka, ja się nim dalej zajmę - powiedziała Rachel.

Odgłosy ucichły, stłumione przez zamknięte drzwi sypialni Jake'a i drzwi pokoju po przeciwnej stronie korytarza. Major niecierpliwie czekał na pojawienie się Henry'ego.

- Co się stało? - zapytał, kiedy tylko Henry wszedł i zamknął za sobą drzwi.

- Przejaw sprawiedliwości losu, rzekłbym. - W głosie Henry'ego pobrzmiwała ponura satysfakcja.

- Wyjaśnij.

- No cóż, sir, jak się wydaje, sierżantowi Brady'emu przydarzył się wypadek.
- Wypadek?

- Można to tak określić. Wygląda na to, że dwóch Rangersów dopadło go w bocznej uliczce i dość starannie porachowało mu kości. Podbite oko, siniaki, rozcięta warga. Zapewne otrzymał też parę ciosów w klatkę piersiową i żebra.

- Rangersi? - zadumał się Jake.

- Tak, sir.

- Humphrey i Collins, nie sądzisz?

Henry przytaknął.

- I mnie się tak wydaje. Byli tacy rozeźleni, kiedy usłyszeli o upadku pani Brady, zwłaszcza po tym wcześniejszym incydencie.

- Jakim wcześniejszym incydencie?

- Tuż po oblężeniu. Kiedy Brady zjawił się w chacie... pan był wtedy nieprzytomny. Pani Brady wróciła z nieładnym siniakiem na twarzy.

- Mój Boże! On ją bije?

- Nie jestem pewien, do jakiego stopnia, panie. Ale jestem całkiem pewien, że wtedy naprawdę ją uderzył. No i oczywiście ten drugi raz...

- Wygląda więc na to, że dostał, na co zasłużył - powiedział Jake.

- Z całym przekonaniem podzielał ten pogląd, sir.

Clara poszła po ciepłą wodę, a Henry wrócił do pokoju majora, zostawiając Rachel samą z mężem i jego wybawcą.

- Sierżancie Morton, proszę mi opowiedzieć, co się wydarzyło.

- Nadszedłem, kiedy już prawie było po wszystkim. Dwóch ludzi. Z oddziału Rangersów, jak myślę. Pomyślałem sobie, że pani może ich znać.

- Ja? - Rachel zapytała zdziwiona. - Dlaczego?

- No, bo ten cały Forrester też jest Rangersem.

- Ale Edwin nie miał nic do czynienia z majorem - powiedziała Rachel w zadumie.

- Może i nie...

Wtedy Clara wróciła z miednicą i czystymi ręcznikami. Kiedy obie kobiety zajęły się obmywaniem twarzy Bra-dy'ego, Morton przeprosił je i wyszedł. Rachel była zadowolona, że jej mąż wydawał się być nie do końca przytomny w trakcie tych zabiegów. Jęczał od czasu do czasu, ale poza tym był spokojny.

Późnym popołudniem, kiedy MacLachlan przyszedł sprawdzić, jak się mają Rachel i major, zbadał także Bra-dy'ego. Rachel stała wtedy przy jego łóżku.

- Ma pan parę siniaków, ale nic nie jest złamane, nawet nos.

Może pan od razu wrócić na służbę, gdyby zbliżała się bitwa.

Edwin spojrział na chirurga tak, jakby chciał zaprotestować przeciwko jego opinii, ale nie odezwał się. MacLachlan wstał i surowo spojrział na Rachel.

- Myślałem, że kazałem pani leżeć w łóżku.

- Robiłam, jak pan powiedział, przez całe dwa dni. Nie mogłam już dłużej wytrzymać, tak tylko tu leżąc.

- No cóż, proszę mieć na uwadze, żeby nie przesadzać - ostrzegł Mac, po czym mruknął ponuro: - Panie, chroń mnie przed niezależnymi kobietami!

Już przy drzwiach położył dłoń na ramieniu Rachel.

- Proszę pamiętać, co powiedziałem. Nie przemęczać się. Musi pani zadbać także o siebie.

- Będę pamiętać, Mac. Dziękuję.

Brady leżał, nasłuchując tej rozmowy. Bolało go całe ciało. Co ten przeklęty rzeźnik przebrany za chirurga wiedział o takich sprawach? Brady w myśli odtworzył cały incydent i znowu zawrzał w nim gniew.

Natychmiast rozpoznał sługusów Forrester'a, ale ich atak go zaskoczył. Tak samo zdziwiła go przyczyna napaści. Przypomniał sobie drwiny wojaków.

- Lubisz tłuc kobiety, co nie? - powiedział starszy, waląc Brady'ego pięścią w twarz.

- Jak ci się podoba, kiedy to ty jesteś słabszy? - zapytał

młodszy, biorąc zamach i wymierzając cios w brzuch, po którym Brady zgiął się wpół i jęknął głośno.

- Nie wasza sprawa - wysapał. - To moja kobieta. - Próbował sam zadać parę ciosów. Jednak kiedy zabrali się za niego we dwóch, jego szanse były mizerne i szybko został powalony na ziemię.

- To anioł miłosierdzia - powiedział wyższy i starszy z żołnierzy. - I jeżeli znowu ją skrzywdzisz, znowu cię dopadniemy. Może nawet wykończymy cię na dobre. - Młodszy z mężczyzn wymierzył Brady'emu kopniaka w brzuch.

Nawet wtedy, próbując osłonić się przed gradem ciosów, nie mógł uwierzyć, że poszło o Rachel. Teraz, kilka godzin później, nadal był zdumiony. Co, u licha, stało się z nią i tymi przeklętymi Rangersami? Nie, żeby podejrzewał, że coś tu zaszło. Do diabła. To jasne, że Forrester niezdolny byłby zrobić cokolwiek, nawet gdyby miał taką ochotę.

Poza tym Brady znał Rachel na tyle dobrze, by wiedzieć, że jakiegokolwiek zakazane kontakty z innym mężczyzną byłyby nie do pomyślenia. Czyż nie zauważył, jak w przeszłości odrzucała choćby najdrobniejsze zaloty? Nie, to nie o to chodziło. A przynajmniej... nigdy przedtem nic takiego się z nią nie działo.

Czyżby jednak to ona nasłała na niego tych dwóch? Przypomniał sobie jej wcześniejszą pogrózkę. Albo może zrobił to Forrester. Czyż Paxton nie powiedział, że Rachel właściwie sama ocalała Forresterowi życie? Szkoda... ale czy Forrester uznał to za pokrętny sposób odwdzięczenia się jej?

Ten pomysł jednak wydawał się nie na miejscu. Brady niewiele wiedział o Forresterze, ale musiał mu przyznać, że człowiek ten zapewne stawiałby czoła problemowi, stając z kimś twarzą w twarz, a nie wysyłając innych, by zajmowali się za niego brudną robotą.

Jednak to właśnie Rachel obwiniał Edwin za ból, który odczuwał przy każdym poruszeniu. I na Boga, żadna kobieta nie była warta takich niedogodności.

- Zamknij drzwi i chodź tu do mnie - rzucił ostro.

Jej westchnienie, kiedy zrobiła, co jej kazał, rozzłościło go jeszcze bardziej.

- I nie próbuj mi tu zgrywać jakiejś męczennicy - ostrzegł.

- Edwinie, wiem, że jest ci niewygodnie, i przykro mi, że cierpisz, ale proszę, postaraj się nie być taki zły.

- No i powinno ci być przykro - rzucił oskarżycielsko. - To wszystko twoja wina.

- Moja wina?

- Powiedziałem ci, żebyś trzymała się z dala od Forrestera. Teraz sługusy jego lordowskiej mości zrobili mi to. Tchórze.

Musieli być we dwóch, żeby mi dać radę.

- Edwinie, jesteś pewien?

- Wiem, co się stało, i wiem, co mówili. - Nie czuł jednak potrzeby, by wyjaśniać jej szczegóły upokarzającego lania, jakie mu spuszczono. - A teraz zabierz się za pakowanie naszych rzeczy. Znajdę nam nową kwaterę tak szybko, jak tylko będę mógł chodzić.

Nie powiedział jej, że pragnął oddalić się od majora, że obawiał się, by Forrester nie skojarzył chłopaka nazwiskiem Mullens z mężczyzną nazwiskiem Brady. To po prostu było coś, o czym jego kochająca żona nie musiała wiedzieć.

Decyzja Brady'ego o przeniesieniu się do innej kwatery bardzo zasmuciła Rachel. Zwyczajnie nie rozumiała tego, w jej oczach był to wyłącznie kaprys. Jednak jej obowiązkiem jako żony było zastosować się do nakazu męża. W ostatnio zajmowanym domu, w kręgu ludzi, których major nazywał przyszywaną rodziną, czuła się dobrze. Ogromnie żał jej było ujmującego uśmiechu Juana, dziecięcej paplaniny Ben-ny'ego, żal Thompkinsa, Henry'ego i Joe'go. Ale najbardziej brakowało jej będzie Clary i majora. Ich przyjaźń wypełniała pustkę, z której istnienia wcześniej ledwie zdawała sobie sprawę. Trudno jej było przekazać Clarze tę nowinę.

- Odchodźcie stąd? Dlaczego?

- Edwin nalega, żebyśmy tak zrobili. Znalazł nam inną kwaterę niedaleko znajomych ze swojego regimentu.

- Ale tu jest nam tak wygodnie i przecież to potrwa tylko do czasu, kiedy armia ruszy dalej - powiedziała Clara.

- Przedstawiałam mu ten argument raz po raz, ale on jest niewzruszony.

- A co z tobą? Nie wydobrzałaś jeszcze...

- Już całkiem wróciłam do zdrowia i z każdym dniem odzyskuję więcej sił - zapewniała Rachel. - Nie musisz się o mnie martwić.

- No cóż, na pewno będę się o ciebie martwić - powiedziała poruszona Clara - i na pewno od czasu do czasu sprawdzę, co u ciebie. - W oczach Gary załśniły łzy.

Rachel poczuła, że jej samej łzy napływają do oczu. Wiedziała, że zaledwie kilka dni wcześniej taka zmiana w jej życiu byłaby ogromnie bolesnym przeżyciem. Teraz jej uczucia wydawały się przytępione. Jeszcze jedna strata więcej nie zrobi wielkiej różnicy. Rozum podpowiadał jej, że powinna się tym przejmować, ale postrzegała wszystko jak gdyby przez matowe szkło; ogarnął ją emocjonalny chłód.

Aż do ostatniego dnia zwlekała z powiadomieniem majora Forrestera o przeprowadzce. Jak zwykle, Brady'ego nie było w domu od wczesnego ranka do późnego wieczora. Rachel wiedziała, że żołnierskie obowiązki zajmują mu tylko część tego czasu. Wraz z majorem zasiadła przy małym stoliku w cieniu wielkiego drzewa na dziedzińcu. Henry pomagał Forresterowi pokonywać najeżoną trudnościami drogę w dół po schodach i na podwórze już drugie popołudnie z rzędu.

- Odchodzę stąd jutro rano - oznajmiła niespodziewanie Rachel.

- Tak, wiem. - Major mówił przyciszonym głosem. - Zastanawiałem się, czy ma pani zamiar mi o tym powiedzieć.

- Jak sędzę, Henry panu powiedział, a może Clara.

- W rzeczy samej zrobili to oboje. Oni... my... martwimy się o panią.

- Czuje się dobrze - zapewniła szybko. Bądź co bądź, była to prawda. Fizycznie doszła do siebie, czyż nie?

- Proszę pamiętać o mojej propozycji. Gdyby pani potrzebowała czegokolwiek...

Rachel niemal nie mogła znieść współczucia, jakie dostrzegła w jego oczach. Owładnęło ją zaskakujące, przemożne pragnienie, by rzucić się w jego ramiona i wypłakać całą swoją samotność, gniew i ból. Odwróciła wzrok.

- Dziękuję panu, majorze. Wątpię, aby zaszła taka potrzeba, ale to pocieszające wiedzieć, że pomoc jest w zasięgu ręki, kiedy się jej potrzebuje. - Celowo tytułowała go jego stopniem wojskowym i mówiła obojętnym tonem.

Forrester wyciągnął rękę ponad stołem i chwycił jej dłoń.

- Mówię poważnie, Rachel.

- Wiem. - Cofnęła dłoń, świadoma zarówno tego, że niechętnie to robi, jak i tego, że nie wypada zrobić inaczej.

Nagle rozległ się głos Clary.

- Mogę wam zaproponować trochę lemoniady? - Przyniosła tacę z dzbankiem i szklankami. - Gdzie jest pan Brady?

Powiedziałam mu, że poszłaś na dziedziniec, Rachel.

- To on wrócił tak wcześniej? - zapytała Rachel bezdźwięcznym głosem. - Lepiej zobaczę, czy czegoś mu nie potrzeba. - Wstała i pospiesznie weszła do domu.

Brady rozłożył się na sofie w salonie i wlepił wzrok w żonę, kiedy tylko weszła.

- Wcześniej wróciłeś do domu. - W jej głosie słychać było niepokój.

Odpowiedział z sarkazmem:

- Najwyraźniej nie dość wcześniej. Byłaś w trakcie małego tete-a-tete z lordem.

- Tylko rozmawialiśmy.

- Chyba powiedziałem ci, żebyś trzymała się od niego Z daleka.

- Po prostu chciałam się pożegnać.

- Ta przysięga posłuszeństwa, którą złożyłaś, ciąży ci, prawda, droga żono?

- Nie. Ale nie powinna wykluczać zwyczajnej uprzejmości wobec innych.

Zaczął ją besztać za odszczekiwanie się, ale tak naprawdę mało było zadziorności w jej tonie. Postanowił jej darować.

- Czy nasze rzeczy są spakowane?

- Większość. Jest jeszcze kilka drobiazgów w kuchni.

- Pożyczyłem muła od Mortona. Z samego rana pójdę i sprowadzę to zwierzę. Dopilnuj, żebyś miała wszystko przygotowane, kiedy wrócę.

- Tak, Edwinie.

Spojrzał na Rachel tak, jak gdyby w jej słowach dosłyszał sarkazm, ale spojrzenie żony było tak samo matowe jak głos.

Później Brady zjadł wieczorny posiłek wraz z resztą domowników, upewniwszy się najpierw, że Henry zanieśie Forresterowi kolację na górę. Dla majora pokonywanie schodów częściej niż raz dziennie było jeszcze zbyt wielkim wysiłkiem. Brady miał świadomość, że jego obecność przy stole wpływa nieco krepująco na innych, ale nie pozwolił, by to mu zepsuło humor - i celowo nie postarał się ani trochę, by poczuli się swobodniej.

Dzięki Bogu, jutro oderwie się od tej zgrai.

Następnego ranka Rachel czekała w swoim pokoju na powrót Edwina. Miał przyprowadzić muła, który przeniesie ich dobytek do nowej kwatery. Ze współmieszkańcami pożegnała się już wcześniej; nie było sensu robić tego w chwili odejścia.

Wkrótce pojawił się Edwin i oboje zaczęli znosić swój dobytek na dół, objuczając przywiązane przed domem zwierzę. Wracali właśnie po następne rzeczy, kiedy w drzwiach prowadzących do pokoju majora ukazali się Forrester i Henry.

Forrester zdziwił się na ich widok.

- Och. Myślałem, że już wyjechaliście.

- Prawie - powiedziała Rachel, czując, jak żal ściska jej gardło.

- Potrzebujecie pomocy? Henry z przyjemnością...

- Damy sobie radę - warknął Edwin, popychając Rachel w kierunku ich pokoju.

Zaczekali, aż major i jego ordynans pokonają schody, za-

nim znieśli na dół resztki swego dobytku. Kiedy przywiązali do grzbietu czekającego muła ostatni pakunek w drzwiach pojawiła się Clara z Bennym, jak zwykle usadowionym okramkiem na biodrze matki.

- Nie mogliśmy puścić was bez ostatniego słowa na pożegnaniu. - Posunęła malucha bliżej Rachel i powiedziała: - Po całuj ciocię Rachel na do widzenia, Benny.

Benny złożył mokry, ale jak zawsze urofzy całus na ustach Rachel. Rachel uściskała matkę i dziecko, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

- Czas ruszać - wtrącił się Edwin.

Rachel odwróciła się i powlokła za nim, gdy poprowadził muła ulicą. Raz obejrzała się i pomachała Clafze, która nadal stała przed domem z Bennym w objęciach.

Ich nową kwaterą był mały, ciasny pokoik nż trzecim piętrze domu należącego do małżeństwa w średnirn^^Ko, które na parterze prowadziło sklep z winami. Nawet na trzecie piętro docierała przenikliwa woń sfermentowanego wina. Rachel umożliwiono ograniczony dostęp do kuchni, a ona i Edwin mogli jadać posiłki na stole kuchennyffi. Rachel zastanawiała się, jak rozmieścić dobytek w pokoju tak, żeby została przynajmniej ścieżka pozwalająca dojść do łóżka.

- Tu jest bardzo mało miejsca na rzeczy - zauważyła.

- Co? Już krytykujesz? - spytał Edwin surowo.

- Nie krytykowałam. Po prostu stwierdziłam -

- Narzekałaś. Ciężko cię zadowolić.

- Edwinie, proszę, jesteś niesprawiedliwy.

- No więc teraz jestem też niesprawiedliwy. Najpierw nie zapewniam ci dostatecznie eleganckiej kwatery, a potem wynajdujesz inne zarzuty pod moim adresem!

Zaskoczona gniewem w głosie męża, spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Edwinie, nie rozumiem...

- Pewnie, że nie. I nawet się nie starasz - naskoczył na nią. Wepchnął kilka rzeczy do chlebaka i chwycił muszkiet. -

Muszę się znowu zameldować u Hoskinsa. Wrócę później. A ty siedź tutaj, kiedy mnie nie będzie. Nie życzę sobie, żebyś biegała po całym mieście.

Widząc, w jakim jest humorze, nie ośmieliła się zapytać, co znaczy dla niego to „później”. Zadawała też sobie pytanie, czemu Edwin spieszył się tak bardzo z przeprowadzką. Ono również pozostało bez odpowiedzi.

Chociaż dopiero nastała wiosna, z nieba lał się letni żar i na wyższych piętrach domu kupca winnego było bardzo gorąco.

Po dwukrotnej wspinaczce na trzecie piętro i wnoszeniu dobytku na górę, Rachel poczuła się zmęczona, ale upał panujący w pokoiku tuż pod dachem był nieznośny. Znalazła niedokończoną robótkę i książkę, którą podarował jej major Forrester, wzięła też swój dziennik i zeszła z tym wszystkim po schodach. W małym ogródku usiadła na ocienionej kamiennej ławce i czytała przez chwilę, a potem starała się uzupełnić zapiski w dzienniku. Wkrótce jednak ogarnęło ją znużenie, gdyż wydarzenia, które zapisywała, były bardzo przygnębiające.

Po skąpym obiedzie, złożonym z chleba i sera, wróciła do ogrodu, zastanawiając się, dlaczego Edwin nie przyszedł na południowy posiłek. Wreszcie pojawił się w porze, kiedy nawet późno jadający Hiszpanie dawno już skończyli kolację. Rachel leżała na łóżku, czekając na męża. Jak zwykle czuć było od niego zapach brandy.

Podnosząc się, Rachel zapytała:

- Chcesz, żebym ci przyniosła coś do jedzenia?

- Nie. Jadłem z Mortonem. Ale możesz mi pomóc przy tych butach. - Wyciągnął nogę w jej kierunku.

Rachel z wysiłkiem ściągnęła mu jeden but, potem moczyła się z drugim. Brady położył się na plecach z zamkniętymi oczami.

- Czy orientujesz się, jak długo tu zostaniemy? - zapytała.

- Skąd ja mam wiedzieć? Oficerowie nie gadają ze mną o takich sprawach.

- Ja... pomyślałam tylko, że może coś słyszałeś...

- No to nie myśl. A teraz daj mi się trochę przespać.

Taki schemat powtarzał się przez kolejne dni kilkutygodniowego pobytu w Badajoz.

W którymś momencie Rachel wspomniała o powrocie do pracy w szpitalu.

- Nie. Absolutnie nie - krzyknął Edwin. - Nie pozwolę ci znowu zapychać mojej kwatery przybłędami. I co więcej, masz się trzymać z dala od Paxtonów i Forreстера.

- Ale dlaczego?

- Bo tak powiedziałem. Dlatego.

Rachel czuła się coraz bardziej odizolowana od świata. Była wewnętrznie wypalona, żyła jak w letargu. Wiedziała, że to reakcja na utratę dziecka, ale było w tym coś więcej niż rozwianie się długo pielęgnowanego marzenia o rodzinie i macierzyństwie. Próbowала rozmawiać z Edwinem, wyjaśnić mu swoją potrzebę powrotu do pracy w szpitalu. Odmówił rozmowy na ten temat. I jakoś w pewnym momencie Rachel straciła nie tylko zdolność do komunikowania się ze swoim mężem, ale i chęć do rozmowy.

Pewnego dnia, poszła do kwatermistrzostwa, by uzupełnić zapasy, i natknęła się na Clarę, która przyszła w tym samym celu.

- Dzień dobry, Rachel - powiedziała radośnie Clara.

- Dzień dobry. - Rachel starała się wyglądać i mówić równie pogodnie.

Clara spojrzała na nią badawczo.

- Dobrze się czujesz?

- Bardzo dobrze, dziękuję.

- Tęsknimy za tobą. Major narzeka, że nie ma się z kim sprzeczać.

Rachel poczuła, jak na to wspomnienie bledy uśmiech pojawia się na jej ustach.

- Jak on się ma? Jak sędzę, dochodzi do zdrowia?

- Tak. Porusza się już sam, chociaż z laską. Wiele wysiłku wkłada w to, żeby odzyskać pełną władzę w nodze.

- Miło mi to słyszeć - przerwała Rachel. - A inni?

- Wszyscy mają się dobrze. Jake... major... uczy Juana grać w szachy.

- Jak miło. - Rachel słuchała paplania Clary. Benny'emu wyrznął się nowy ząbek. Joe podarował swojej żonie piękny wełniany szal. Henry i Thompkins wdali się w małą sprzeczkę o to, jakie są ich obowiązki względem majora. Rachel starała się tym wszystkim nie interesować. Łatwiej jest, gdy się nie myśli za wiele o innych.

Przeprosiła Clare i pospieszyła do domu, ale żegnając przyjaciółkę zobaczyła, że z drugiej strony ulicy obserwuje ją sierżant Morton. Tego wieczora Edwin skarcił ją za nieposłuszeństwo.

Chwytał Rachel za rękę i przyciągnął do siebie.

- Powiedziałem ci, że masz się trzymać z dala od Paxtonów.

- Ja tylko rozmawiałam z Clarą na ulicy. Nie chciałam być niegrzeczna.

- Pamiętaj, że masz robić to, co ci mówię.

Nie odezwała się i Edwin ją puścił.

Przy różnych okazjach Edwin dawał Rachel do zrozumienia, że wymiguje się od swoich małżeńskich obowiązków, ale nie naciskał jej w tej kwestii. Kiedy z zadowoleniem oznajmił, że miesiąc, podczas którego zmuszał się do życia w celibacie, dobiegł końca, Rachel przyjęła jego słowa obojętnie. Dobrze wiedziała, że kłamał. Nie wierzyła, żeby przez cały ten czas zachowywał wstrzemięźliwość.

Nie była też w stanie przyjmować jego awansów z najmniejszym choćby entuzjazmem. Na jego pocałunki odpowiadała jak automat, nie czując nic. Kiedy wsunął dłoń między jej uda, nie protestowała i przyjęła go. A gdy było po wszystkim, Edwin stoczył się na bok i zapytał z gniewem:

- Co, do licha, z tobą jest? Równie dobrze mógłbym kochać się z kamiennym murem.

- Przykro mi - powiedziała, ale wcale nie było jej przykro. Nie czuła nic.

Przed końcem czerwca Wellington wyprowadził swoje oddziały z Badajoz w kierunku Salamanki. Jake powrócił do swoich obowiązków w regimencie, chociaż przy chodzeniu nadal oszczędzał zranioną nogę. Na szczęście na służbie sporo czasu spędzał w siodle.

Nie widział Rachel ani razu, odkąd opuściła dom, w którym wspólnie mieszkali. Teraz, znowu w drodze, raz tylko przypadkiem ją dostrzegł, ale obawiając się, że mógłby tym ściągnąć na nią przykrości, nie okazał zainteresowania jej osobą. Bądź co bądź, była żoną innego mężczyzny. Żoną żołnierza. Nie łamie się pewnych niepisanych żołnierskich zwyczajów.

Bitwa pod Salamanką w trzecim tygodniu lipca przyniosła Brytyjczykom i ich sprzymierzeńcom ciężko wywalczone zwycięstwo. Kiedy było już po wszystkim, Jake przyłączył się podczas obiadu do swoich przyjaciół: kapitana Hastingsa i porucznika Taversa.

- Dobry Boże! - zawołał Hastings. - Gdybyśmy odnosili więcej zwycięstw takich jak te dwa, Francuzi na pewno by wygrali!

- Sam lord Wellington powiedział coś bardzo podobnego - zgodził się Travers.

- Dobrze, że Boney stale usuwa ze swojej armii w Hiszpanii doświadczonych weteranów i posyła w ich miejsce zielonych rekrutów - powiedział Jake.

Hastings sięgnął po dzban z winem, żeby ponownie napełnić szklanki.

- Nawet mimo tego ci Francuzi są zręcznie dowodzeni, niestety.

- Dzisiaj nie dość zręcznie - Travers nie posiadał się z radości. - Słyszeliście wyliczenia?

- Mamy prawie pięć tysięcy zabitych i rannych - odparł Hastings ponurym tonem.
Travers skinął głową.

- Ale rozbiliśmy czterdzieści tysięcy francuskich żołnierzy w zaledwie czterdzieści minut!

- Tak czy owak, będzie to dobrze wyglądało w raportach - Zauważył Jake. - Być może Parlament przeznaczy dodatkowe środki na wyparcie bonapartystów z powrotem za Pireneje.

- Na to i na marsz do Madrytu. - Hastings rozsiadł się wygodniej i zapalił cygaretkę.
Travers odezwał się z niezadowoleniem:

- Jak najdalszy jestem od krytykowania lorda Wellingtona, ale po prostu nie widzę sensu w tym obłądnym pędzie do Madrytu. Przez to nasze oddziały tak okropnie się rozciągają.
Jake wymienił z Hastingsem porozumiewawcze spojrzenia i odparł:

- Polityka, przyjacielu. Polityka.
- Polityka?

- Pomyśl. Czyż nie dałbyś wiele, żeby zobaczyć minę Napoleona, kiedy się dowie, że Brytyjczycy zajęli Madryt? Wszak to stolica kraju, który oddał we władanie swemu bratu Józefowi?

- Ach, teraz rozumiem - powiedział Travers.

- Jednak moim jak zwykle nieskromnym zdaniem - wtrącił Hastings - nie pobędziemy długo w Madrycie, biorąc pod uwagę te posiłki dla żabojadów, które już są w drodze.

- Możesz mieć słuszność - przyznał Jake.
I rzeczywiście tak było.
Brytyjczycy wkroczyli triumfalnie do Madrytu.
Większą część czasu w hiszpańskiej stolicy Jake spędzał na wędrownych ulicami miasta, podziwianiu wspaniałych budowli, pięknych placów publicznych i fontann. Kiedyś natknął się na Hastingsa i Traversa w towarzystwie młodych dam i uległ namowom, by się do nich przyłączyć. Później, już w nocy, kie-

dy usiłował zasnąć, w myślach widział siebie spacerującego tymi samymi ulicami z ciemnowłosą Angielką o ciemnych oczach o intrygującej, nie dającej się określić barwie.

Rachel. Dlaczego wciąż nawiedzała jego sny? Dlaczego Jake miał poczucie, jakby coś tu nie zostało dokończony? Była mężatką, to fakt. Dlaczego więc? Przecież nie widział jej od kilku tygodni.

Po triumfach ciężko wywalzonego zwycięstwa pod Salamanką i entuzjastycznym powitaniu w Madrycie lord Wellington zwrócił swoją uwagę ku północy, na ufortyfikowane miasto Burgos.

Burgos okazało się znacznie twardszym orzechem do zgryzienia niż Badajoz. I znów pogoda sprzyjała nieprzyjacielowi. Jesień nadeszła szybko i rześiste deszcze zalewały okopy, uniemożliwiając korzystanie z większej części urządzeń oblężniczych. Gorączka i malaryczne dreszcze - a także kule Francuzów - nękały żołnierzy.

- Nareszcie! - oznajmił pod koniec października kapitan Hastings. - O cztery tygodnie za późno, ale nareszcie to odwołał.

- Co? Kto? - Porucznik Travers spojrzął znad listu, który właśnie pisał przy małym przenośnym biurku.

- Wellington wezwał do odwrotu spod Burgos. Dajemy za wygraną i wracamy, choć tylko chwilowo, do Portugalii.

- A to pech - powiedział Jake - że tegoroczna kampania kończy się takim nieudanym akcentem. Jednak w ogólnym rozrachunku nie wypadliśmy całkiem źle.

- Forrester! - zawołał Hastings. - Straciliśmy dwa tysiące ludzi w ciągu ostatnich czterech tygodni! Francuzi stracili trzystu.

- Wiem - odparł cicho Jake. - Straciliśmy też ponad pięć tysięcy pod Badajoz i kolejne pięć pod Salamanką. Ale utrzymaliśmy te pozycje, a straty Francuzów były jeszcze większe niż nasze. Poza tym odesłaliśmy do Anglii blisko dwadzieścia tysięcy jeńców.

Travers był wyraźnie zagubiony.

- To my w końcu wygrywamy czy nie?

- Za wcześnie, by to stwierdzić, ale wygląda na to, że poczyniliśmy pewne postępy - powiedział ostrożnie Jake.
- Mimo to nikt nie lubi myśli o odwrocie - narzekał Hastings.

Rachel przetrwała lato i wczesną jesień, wciąż żyjąc w poczuciu izolacji. I tak rzeczywiście było. W czasie bitwy pod Salamanką zdołała na tyle wyrwać się z odrętwienia, że zameldowała się u MacLachlana i zaoferowała swoje usługi pomimo początkowego sprzeciwu męża.

- Proszę, Edwinie. Musisz mi pozwolić pomagać. Nie mam nic do roboty oprócz czekania na ciebie. A w szpitalu mogę być naprawdę przydatna.

- Och, no dobrze - powiedział wreszcie. - Rób, jak chcesz, tak długo, dopóki jesteś pod ręką, kiedy ja cię potrzebuję.

MacLachlan był zbyt zapracowany, by szczególnie serdecznie powitać Rachel. Powiedział tylko:

- To łaska boska, żeś przyszła, dziewczyno.

Od razu przydzielił ją do opieki nad rannymi, którzy właśnie przeszli operację w naprędce skleconej sali operacyjnej.

Rachel szybko dostosowała się do rytmu pracy w szpitalu, w niektórych przypadkach reagując niemal bez udziału myśli.

Mogąc przynosić ulgę rannym i umierającym, zaczęła po trosze wychodzić ze stanu izolacji, w którym pogrążyła się ostatnio.

Jednak kiedy Rachel wracała do własnej kwatery - namiotu, który ona i Edwin dzielili z dwiema innymi kobietami i ośmioma mężczyznami - celowo trzymała się na uboczu. Zachowanie dystansu wobec innych było jej sposobem na przetrwanie. Wiedziała, że towarzysze postrzegają ją jako nietowarzystką i wyniosłą. Jednak ona nie chciała się z nimi zaprzyjaźniać, żeby potem nie odczuwać boleśnie utraty bliskich osób.

Po bitwie pod Salamanką armia z przerwami przemierzała zachodnią część Hiszpanii, najpierw kierując się na wschód do Madrytu, potem na północ do Burgos, wreszcie na zachód.

Kiedy od czasu do czasu regiment wdawał się w zbrojne starcia, Rachel przydawała się przy opatrywaniu

ranych. Na ogół jednak całkowicie pochłaniały ją trudy podróży i nocnego obozowania. Małżonkowie mieli bardzo niewiele okazji do przebywania sam na sam, co Rachel przyjmowała z zadowoleniem, zaś Edwinowi od jakiegoś czasu wydawało się obojętne. Rachel podejrzewała, że znajdował pocieszenie w ramionach pewnej podążającej za taborem Hiszpanki, choć nie czuła złości, patrząc na wszystko z dystansem, i w gruncie rzeczy niewiele ją to obchodziło.

Odwrót spod Burgos był ciężką próbą dla całej armii lorda Wellingtona. Zaopatrzenie szwankowało. Żołnierze i ich rodziny często głodowali, zdarzało się, że jedli i żołądziej. Przy wołach, niezbędnych do ciągnięcia wozów z dobytkiem i armat, trzeba było rozstawiać wartowników, by powstrzymać ludzi przed zabiciem i zjedzeniem zwierząt pociągowych. Tak się złożyło, że w okolicach, które przemierzali Brytyjczycy, bujnie obrodziły tego roku winogrona. Głód wydawał się kąsać mniej tych, którzy oszukiwali go, racząc się młodym winem. Oficerowie mieli trudności z utrzymaniem pijanych żołnierzy w ryzach.

Pogoda też się nie poprawiła. Ostatnie dni października - i początek listopada zapowiadały rychłą zimę. Deszcz utrudniał posuwanie się do przodu, drogi zamieniały się w rzeki błota. Woły nie były w stanie uciągnąć ciężkich armat i wozów, tak że mężczyźni często musieli wspomagać zwierzęta siłą własnych ramion. Kobiety starały się jak mogły, by unikać brudu, ale ich wysiłki okazywały się daremne. Noce były zimne, a posłania najczęściej zawilgocone. Rachel wydawało się, że wszyscy naokoło cierpią z powodu kaszlu, gorączki i kataru.

Z reguły regimenty przemieszczały się osobno, na zmianę zajmując uprzywilejowane miejsca na przedzie kolumny. Tylko od czasu do czasu Rachel widywała Clarę i Benny'ego przy wozach z zaopatrzeniem regimentu, do którego należał Paxton.

Któregoś wieczora oba regimenty obozowały obok siebie. Clara, z Bennym w ramionach, odwiedziła Rachel, ryzyku-

jąc opryskliwość Edwina. Pierwszy raz od dawna nie padało, więc obie kobiety przysiadły na stołeczkach przy ognisku, ale z dala od innych osób.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Clara z niekłamana troską.

- Pomijając niedomagania, na które wszyscy cierpimy, to tak. A wy?

- My mamy się świetnie. Jak dotąd, Joe wychodził ze wszystkich potyczek bez szwanku. A Benny nie złapał jeszcze żadnej z tych okropnych dziecięcych chorób. Odpukać w niemalowane.

Rachel uśmiechnęła się, po czym wyciągnęła ramiona w stronę Benny'ego. Chłopczyk bez wahania pozwolił wziąć się na ręce.

- Założę się, że masz z nim pełne ręce roboty podczas tego marszu - powiedziała Rachel ponad główką dziecka.

- O tak! - odparła Clara. - Cały czas chce „na dół”, i to przy takim błocie!

- Na d-d-dół - powtórzył Benny.

- To nowe słowo - wyjaśniła jego matka. - To i „konik”, za co mogę podziękować majorowi Forresterowi.

- Majorowi Forresterowi?

- Tak. Przyjechał któregoś popołudnia, kiedy Benny był dość marudny, i posadził go przed sobą na koniu. Teraz Benny myśli, że może pojeździć na każdym koniku.

- Rozumiem. - Rachel zamilkła na chwilę. - Czy major ma się dobrze?

- Tak. Pytał o ciebie.

- To miło - odrzekła zdawkowo Rachel, po czym zmieniła temat.

Kobiety rozmawiały przyjaźnie jeszcze przez kilka minut, a potem Clara odeszła, by położyć synka spać.

Kiedy tylko się oddaliła, Edwin natychmiast skierował się ku żonie.

- Czego ona chciała? - warknął.

- Nic... po prostu przyszła mnie odwiedzić - odparła Rachel.

- Raczej myszkować, ot co. - Kiedy Rachel nic nie odpo-

wiedziała na tę złośliwą uwagę, Brady ciągnął: - Masz jej nie zachęcać do odwiedzin, słyszysz?

- Tak, Edwinie. Ale chciałabym, żebyś mi wyjaśnił, dla czego poczułeś taką niechęć do Paxtonów.

- Niczego ci nie muszę wyjaśniać - burknął.

I to zakończyło dyskusję.

Brady był zły, że Rachel najwyraźniej nie unikała Paxtonów tak, jak on sobie tego życzył. Rozgniewała go też jej prośba, by wyjawiał przyczynę swej niechęci do Joe'go i Clary. Przecież nie mógł jej powiedzieć - nie stawiając siebie w złym świetle - że Paxton widział go, jak wraz z Mortonem i dwoma innymi napadli kobietę i jej nastoletnią córkę w Badajoz. Paxton był sam i wobec czterech uzbrojonych mężczyzn niewiele mógł zdziałać. Brady zobaczył jednak pogardę w oczach Joe'go Pax-ona i dostrzegał ją ponownie za każdym razem, kiedy spotykał tego człowieka.

Poza tym oboje Paxtonowie najwyraźniej nie aprobowali sposobów, jakimi zmuszał Rachel do posłuszeństwa. A Edwin Brady nie życzył sobie, by w jego sprawy wtrącał się jakiś świętoszkowaty sprzedawca damskich kapeluszy. Ani żeby robiła to jego wścibska żona.

Brady maszerował wraz z towarzyszami, nadal rozgniewany wizytą Clary i pogrążony w ponurych rozmyślaniach, kiedy obok niego nagle pojawił się Morton.

- Widziałem tę Paxtonową wczoraj w waszym obozie - zagadnął. - Znowu się z nimi skumałeś?

- Nie. A gdyby nawet, to co ci do tego?

Morton odsunął się nieco i spojrzał na Brady'ego z udawanym wyrazem obrażonej niewinności.

- Hej. Nic mi do tego. Zupełnie nic. Tylko myślałem, że się ich pozbyłeś.

- No cóż, ja też tak myślałem.

- Nie zakazałeś swojej żonie spotykać się z nimi?

- Zakazałem jej. - Brady nie próbował nawet ukrywać rozdrażnienia.

- Jednak niektóre kobiety trudniej utrzymać w ryzach niż inne, jak mi się zdaje - westchnął Morton z udawanym współczuciem.

- Dobrze gadasz.

- No to jak się kiedyś zmęczysz wychowywaniem tej swojej, dasz mi znać, dobra?

Brady spojrział na niego tępo i Morton po chwili się oddalił.

Tak naprawdę, po czterech latach Edwin Brady był dosyć zmęczony małżeństwem z Rachel. Nigdy nie okazywała mu otwarcie wrogości, ale oczywiste było, że nie postrzega go już jako swego rycerza w lśniącej zbroi. Do licha. Właściwie to nawet go nie szanowała! Piekielnie trudno żyć z kobietą, która co prawda milczy, ale cię nie akceptuje.

Nie ośmielał się już wymuszać posłuszeństwa biciem. Groźba zapadła mu w pamięć. Nie był do końca pewien, czy rzeczywiście mogłaby zrobić mu krzywdę, kiedy spał, albo podać truciznę w jedzeniu, ale to wystarczyło - nie miał pewności. A na dodatek jeszcze ci przekłęci Rangersi - sługusy Forrestera. Od czasu Badajoz widział ich raz czy dwa. Żaden się nie odezwał, ale dobrze zapamiętał ich pogroźki, że dokończą robotę.

Brady nienawidził poczucia, że jest trzymany w karbach przez kogoś innego. A teraz ten Morton i jego przewrotne insynuacje o nieradzeniu sobie z kobietami! Jak gdyby on cokolwiek o tym wiedział...

Armia Wellingtona spędzała zimę rozlokowana w kilku wsiach wzdłuż granicy dzielącej Portugalię i Hiszpanię. Państwo Brady kwaterowali w małej gospodzie, która mogła się poszczycić zaledwie sześcioma pokojami gościnnymi, ale Edwin i Rachel mieli jeden z nich tylko dla siebie. Cały personel szpitala zakwaterowano w innej wiosce, zatem Rachel przez tych kilka miesięcy nie była zaangażowana w pracę przy rannych. Kiedy już się rozpakowali, Rachel dowiedziała się, że Paxtonowie kwaterują w wiosce oddalonej o dziesięć mil.

Ostatniego lata i jesienią Rachel zaczęła powoli odzyskiwać dawną wewnętrzną siłę. Teraz była zdeterminowana, by

podjąć wysiłki dla ponownego scalenia swojego małżeństwa. Jednak za każdym razem, kiedy próbowała zrobić wyłom w dzielącym ich murze, Edwin ją odpychał. Odmawiał rozmowy na każdy temat, który ją niepokoił - a także nie chciał wytłumaczyć swojego nastawienia do niej.

- O czym tu rozmawiać? - spytał. - Wiesz, czego chcę, ale wygląda na to, że dla ciebie to w ogóle nie ma znaczenia.

- Oczywiście, że to ma znaczenie... - zaczęła się bronić.

- Musimy o tym rozmawiać teraz? Właśnie miałem wpaść do kolegów do Montenegro. - Wymienił nazwę gospody, w której, jak wiedziała Rachel, kwaterował Morton.

- Ty... ty znowu będziesz grał w karty? - zapytała ostrożnie.

- Może tak. Bo co? - W jego głosie zabrzmiała niechęć.

- Ja... no bo chodzi o to, że nie zostało nam wiele pieniędzy... - urwała.

- Zostaw takie sprawy mnie - rozkazał.

- Ale będziesz przynajmniej uważał, dobrze?

- Powiedziałem, że sobie poradzę - odburknął.

Rachel próbowała też ocieplić ich fizyczne kontakty, ale ku jej zaskoczeniu, na tym polu także nie odniosła sukcesu. Nadal brakowało jej prawdziwej wzajemnej bliskości. Edwinowi nie.

- Nie rozumiem, czemu się skarżysz - burknął. - Sama jesteś sobie winna. Wydaje ci się, że nie widzę, jak udajesz?

- Edwinie! - Rachel poczuła, że rumieni się ze wstydu. Już samo poruszenie tego tematu przyszło jej z wielkim trudem. A teraz on mówi o tym tak bezceremonialnie...

- No co, nie robisz tego?

- Ja... ja nie...

- Nie kłam. Oczywiście, że robisz. Przecież nie możesz znieść, kiedy cię dotykam.

- Edwinie, to nieprawda...

- Oczywiście, że prawda. Ale to już nie ma żadnego znaczenia.

- Jak to...? Och, Edwinie. Co się z nami stało?

- Ty mi powiedz - rzucił. - Ale zrób to kiedy indziej, co? Teraz muszę się trochę przespać.

Takie rozmowy, w połączeniu z pustką kolejnych monotonych dni, na powrót zniszczyły w Rachel i tak już mocno nadwątlone poczucie własnej wartości, jakie udało jej się odzyskać.

Była też kwestia pieniędzy. Bez względu na to, jak Rachel starała się oszczędzać, nigdy ich nie starczało. Ilekroć pytała Edwina o ich sytuację materialną, popadał w rozdrażnienie i oskarżał ją o prześladowanie go bezustannymi narzekaniami.

Na coraz dłużej zostawiał ją samą. W ciągu dnia, rzecz jasna, absorbowały go żołnierskie obowiązki. Jednak większość wieczorów spędzał ze swoimi kolegami - a przynajmniej tak mówił.

Mimo to wpadł w złość, kiedy Rachel próbowała zaprzyjaźnić się z pewną kobietą, kwaterującą w tej samej gospodzie. Nellie Bingham była kobietą w średnim wieku, żoną innego sierżanta z 51. regimentu.

- To nie są ludzie naszego pokroju - powiedział Edwin.

- To, co mówisz, jest dość aroganckie - odparła Rachel.

- Zarzucasz mi, że jestem arogancki? - W jego głosie zabrzmiało zaskoczenie i oburzenie. Już podnosił dłoń, żeby uderzyć Rachel, ale się opamiętał.

- Nie ty, tylko to, co powiedziałaś.

- Niedobrze mi od tej twojej nieustannej krytyki! - Brady chwycił płaszcz i wyszedł. Wrócił dopiero o świcie.

Przez jakiś czas Rachel jeszcze próbowała go udobruchać. Potem doszła do wniosku, że jeśli tak ma wyglądać jej przyszłość z Edwinem, ona musi zbudować inne, odrębne życie tylko dla siebie.

Zaczęła od zapraszania Nellie na herbatę. Znowu poczuła się wolna. Co więcej, towarzystwo tej kobiety naprawdę sprawiało jej przyjemność.

- Ach, moja droga, jestem żoną wojskowego od ponad trzydziestu lat - powiedziała jej Nellie. - Mój John i ja służyliśmy w koloniach, potem w Indiach, a teraz tutaj. Oczywiście, John był jeszcze w kilku innych miejscach, dokąd nie mógł mnie zabrać.

- W Indiach? Lord Wellington też tam był.

- W rzeczy samej. Wtedy jeszcze nie był Wellingtonem. Tylko zwykłym pułkownikiem Wellesleyem, chociaż jego brat był lordem, jak wiesz. Mój John służył tam z nim. Niewielu z tych tutaj może tak o sobie powiedzieć.

- Jak mi się zdaje, major Forrester również tam służył - powiedziała Rachel.

- Masz słuszość! Służył. Wspaniały człowiek, ten Forrester. Pojechał tam jako świeżo upieczony porucznik, ale uczył się naprawdę szybko. I dobrze sobie radził z tubylcami.

Rachel nie potrafiłaby dokładnie wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje, ale słowa Nellie, potwierdzające jej własną opinię o Forresterze jako o wspaniałym człowieku, sprawiły jej satysfakcję.

Następnego dnia po raz pierwszy spotkała majora twarzą w twarz. Miało się to powtarzać przez kolejne tygodnie.

Rachel okryła się dokładnie wełnianym szalem, by uchronić się przed styczniowym mrozem, i wybrała się na krótki spacer. Edwin odbywał akurat jakieś szkolenie, miała więc dla siebie cały dzień, a ten spacer był pierwszym punktem w jej planach na dziś. Nie wyznaczyła sobie z góry konkretnej trasy ani celu, czuła się więc wyjątkowo swobodnie. Spacerowała może od kwadransa, kiedy usłyszała za sobą tętent kopyt i jakiś męski głos wołający ją po imieniu.

- Rachel? Pani Brady? Czy to pani?

Odwróciła się.

- Major Forrester. Dzień dobry, sir.

- Jaka miła niespodzianka. - Major zsiadł z konia, żeby iść obok niej pieszo. Rachel zauważyła, że niemal nie oszczędza już zranionej niegdyś nogi.

- Rana nie sprawia już kłopotów, jak widzę - powiedziała.

Przez głowę przemknęła jej nieproszona myśl: już prawie zapomniała, jaki major jest przystojny. Nie, przystojny to nie najlepsze słowo. Może atrakcyjny. Przyjacielski. Miły.

- Ani trochę - odparł. - Dzięki pani.

- Och, cóż... - Machnęła lekceważąco ręką.

- Powinienem wiedzieć, że odmówi pani sobie wszelkich

zasług. - Przez chwilę milczał, po czym zapytał: - A pani? Jak się pani miewa?

- Och, bardzo dobrze. - Postarała się, by jej głos brzmiał lekko i pogodnie. - Grzeszę lenistwem, mając tak niewiele do roboty, ale poza tym wszystko jest w porządku.

- Takie jest życie w wojsku - powiedział. - Długie okresy rutynowej nudy i krótkie zrywy do intensywnych działań.

Spojrzała na majora, ale kiedy napotkała jego wzrok, uciekła spojrzeniem.

- Być może ten opis pasuje do większości żywotów, sir. Ośmielam się stwierdzić, że większość z nas poświęca ogromną część życia na szczegóły stosunkowo bez znaczenia, na obowiązki, które trzeba podejmować wciąż od nowa.

- Zapewne - zgodził się.

- Czy wolno mi zapytać, co sprowadza pana do tej konkretnej wioski? Powiedziano mi, że osiemdziesiąty ósmy regiment kwateruje bliżej sztabu.

- Owszem, przez co staliśmy się wygodnymi chłopcami na posyłki dla lorda Wellingtona. Wiozę wiadomość dla pułkownika Markwella.

- Znajdzie go pan tam. - Rachel wskazała na lewo. - Trzeci dom po prawej. Ten z zielonymi okiennicami.

- Dziękuję. - Major ponownie dosiadł konia i poprawił się w siodle. Zaczął szperać w torbie przytroczonej do siodła. - Proszę. - Wręczył Rachel dwie dorodne pomarańcze. - Lord Wellington i kilku innych właśnie wróciło z południa.

Przywieźli je ze sobą.

- Och, dziękuję. Bardzo dziękuję. Świeże owoce to prawdziwy rarytas o tej porze roku.

- Bardzo proszę. - Przez moment zatrzymał na sobie jej spojrzenie i wydawało się, że już ma zamiar powiedzieć coś jeszcze, ale po chwili znów poprawił się w siodle i ujął wodze.

- Miło było panią zobaczyć, madam.

- Tak. Do widzenia, majorze. I raz jeszcze dziękuję. Pomachał jej i ruszył w kierunku, jaki mu wskazała.

Jake odjeżdżał niechętnie, ale nie wypadało zajmować jej więcej czasu. Naokoło byli ludzie. Zobaczyliby, jak Rachel rozmawia z obcym mężczyzną, do tego z oficerem.

Na jej widok doznał wstrząsu. Serce mu się ścisnęło, kiedy zauważył, jak schudła. I chociaż mroźne styczniowe powietrze zaróżowiło jej policzki, pod oczami widoczne były ciemne podkówki. Choć zapewniała, że jest inaczej, Rachel Brady nie miała się dobrze.

2 niejasnym poczuciem lęku zastanawiał się, czy nie jest poważnie chora. Postanowił sprawdzać od czasu do czasu, co u niej. Przynajmniej tyle mógł zrobić.

Dlaczego? zapytywał sam siebie. Me interesował go los innych kobiet, wędrujących wraz z wojskiem tu, na Półwyspie. Żadna inna kobieta nie ocalała mi życia, odpowiadał sobie niecierpliwie.

Ach, i to niby wszystko, naprawdę?

Wolał nie szukać odpowiedzi na to natrętne pytanie.

U

Żołnierzom sprzymierzonych armii, którzy często nie mieli żadnego zajęcia, czas dłużył się nieznośnie. W ciągu dnia, dopóki było jasno, oficerom udawało się zająć swoich ludzi odprawami i musztrą. Najgorsze były wieczory. Żołnierze sił brytyjskich, portugalskich i hiszpańskich, a także Królewski Legion Niemiecki, zwykle gromadzili się w swoich oberżach i winiarniach. Od czasu do czasu wchodzili sobie w drogę i wszczynali awantury, a bijatyki nieraz przenosiły się na ulice.

Takim wybuchom nadmiaru energii starano się zapobiegać w różny sposób. Sporo widzów przyciągały walki bokserskie, w których stawali naprzeciwko siebie pięściarze-ulubieńcy swoich regimentów. Popularną rozrywką oficerów były wyści-

gi konne, o ile tylko pogoda pozwalała je przeprowadzać. Na wyścigi ochoczo przychodzili też szeregowi żołnierze, czyniono zakłady, a z rąk do rąk przechodziły spore kwoty. Wyścigi i walki pięściarskie nie wyczerpywały jednak zamiłowania Brytyjczyków do hazardu. Każde wydarzenie, każda gra - czy były to strzałki, szachy czy karty - stwarzały okazję do zakładów. Zakładano się nawet o to, który z dwóch karaluchów pierwszy dotrze do wyznaczonej szczeliny w podłodze.

Rachel wiedziała, że Edwin nie był odporny na urok hazardu. Tak naprawdę jej mąż był nałogowym graczem, często więc brakowało im pieniędzy na jedzenie, nie mówiąc już o odzieży i butach. Rachel starała się oszczędzać na wszelkie możliwe sposoby. Jadali proste posiłki, Rachel latała i naprawiała ubrania do chwili, aż łaty nakładały się na łaty.

Nie zawsze bywało aż tak źle. Na początku ich małżeństwa Edwin grywał w karty tylko dla rozrywki, ale z czasem coraz bardziej zaczął go pociągać element ryzyka. Kiedy wygrywał, był podniecony i rozradowany. Kiedy przegrywał, stawał się przygnębiony i opryskliwy - a głowę zaprzętała mu myśl o następnej wygranej.

Kiedy wygrywał pieniądze, zwykle dawał Rachel jakąś kwotę na domowe wydatki. Równie często za parę dni żądał, by zwróciła mu część tych pieniędzy. W pewnym momencie Rachel odkryła, że zaczynają znikać co cenniejsze przedmioty - jego ozdobna tabakiera, jej piękny wachlarz z kości słoniowej.

- Gdzie jest ten złoty medalion, który czasem nosiłaś? - zapytał Edwin któregoś marcowego dnia, kiedy siedzieli sami w sali śniadaniowej w gospodzie.

- Dlaczego pytasz? - Rachel miała zwyczaj nosić medalion w kieszonce ukrytej w podszewce sukni.

- No cóż, znowu brakuje nam pieniędzy, pomyślałem, że go sprzedam. Powinien być wart parę szylingów albo hiszpańskich dolarów.

- Nie! - zaprotestowała Rachel. - Ten medalion należał do mojej matki! To prezent ślubny, który podarował jej mój oj-

cię. To wszystko, co mi po nich zostało. Proszę, Edwinie, nie. Błagam cię.

- Och, na miłość boską, przestań beczeć! Możesz zatrzymać tę przeklętą rzecz. - Wpakował sobie do ust potężny kęs jedzenia i mruknął: - Może powinienem po prostu sprzedać cię. Bądź co bądź, mogłabyś być warta ze dwa razy tyle, co ten medalion.

- Edwinie! Nawet tak nie mów! - Na pewno nie mówił serio, ale Rachel była wstrząśnięta już tylko tym, że w ogóle wspomniał o takiej możliwości. Jednak wiedziała, że nie było całkiem nieprawdopodobne, by mąż sprzedał swoją żonę.

- Teraz dyktujesz mi nawet, jak mam mówić? - Brady grzmotnął kubkiem o stół i wstał. - Wrócę wieczorem.

Ale nie wrócił ani tej nocy, ani następnej.

Rachel martwiła się jego nieobecnością. Zdarzało się już nie raz, że spędzał całą noc poza domem, ale od chwili, kiedy opuścili Anglię, jeszcze nigdy nie zniknął na aż tak długo. Kiedy wreszcie powrócił, było już późne popołudnie trzeciego dnia. Brady zjawił się w pogodnym nastroju i przeprosił Rachel, przyniósł też butelkę wina i nalegał, żeby wypili ją wspólnie na znak, że już nie ma między nimi niechęci.

Rachel tak naprawdę nie miała ochoty na wino, ale chciała załagodzić sytuację, skoro Edwin sobie tego życzył. Być może dzięki temu wkroczą wreszcie na ścieżkę prowadzącą do pojednania. Nadzieja nigdy nie umiera, pomyślała. Nieprzyzwyczajona do picia alkoholu, pomyślała, że czerwone wino, które przyniósł, jest nie tylko wyjątkowo mocne, ale też ma dosyć dziwny smak, ale Edwin wydawał się tym nie przejmować. Rachel ze swej strony nie mogła pozwolić, by jej kaprysy przekreśliły szansę pojednania.

- Chodź - powiedział Edwin, kiedy opróżnili butelkę. - Idziemy do Montenegro. Tam jest przyjęcie. - Pociągnął ją, by wstała.

- Och, Edwinie, nie jestem pewna, czy mogę. - Rachel czuła, że szumi jej w głowie i że nie stoi zbyt pewnie.

- Oczywiście, że możesz, kochanie. - Objął ją ramieniem w tali. - Świeże powietrze postawi cię na nogi.

- Dobrze więc. Ssskoro ty tak mówisz.
Edwin był dla niej taki miły i podtrzymywał ją przez całą drogę do Montenegro.

Wszystko przebiega dokładnie według planu, cieszył się w duchu Brady. Przez moment wydawało mu się, że Rachel mogła dostrzec, jak dosypuje jej narkotyku do szklanki, ale najwyraźniej nic nie zauważyła. Wcześniej Brady miał pewne wątpliwości co do tego planu, ale teraz wydawał mu się doskonałym rozwiązaniem. Nie będzie pierwszym mężczyzną, który wypłacie się z nieznośnej sytuacji w taki sposób. No i bądź co bądź, to zapewne lepsze, niż po prostu porzucić Rachel w ogarniętym wojną obcym kraju. Co innego porzucić kobietę w Anglii, gdzie miałyby wsparcie ze strony rodziny i parafii.

Dwie noce wcześniej Brady dokładnie zapoznał się z propozycją Ralpha Mortona. Całą noc pili i grali w karty, a Brady od czasu do czasu rzucał pogardliwe uwagi na temat zrzędliwych kobiet.

- Może po prostu nie wiesz, jak sobie poradzić ze swoją. - Morton ostentacyjnie mrugnął do Harveya Willisa i Freda Pottera, swoich stałych kompanów. Obaj zarechotali.

- Myślisz, że ty poradziłbyś sobie lepiej, co? - zapytał zadziornie Brady.

- Może - odpowiedział cicho Morton. - Ale nieważne. Jesteśmy tu, żeby grać w karty, co nie?

Brady naburmuszył się i umilkł, ale zamówił kolejną flaszkę i zgodził się dalej grać. Trzy godziny i kilka szklaneczek później Morton znowu wyłożył na stół zwycięskie karty.

- Nie wiem, jak ci się to ciągle udaje - powiedział zdenerwowany Brady.

- Szczęście, kolego. Po prostu zwykłe szczęście. - Ton Mortona był jowialny i protekcyjony zarazem.

- Zastanawiam się... - wymamrotał Brady, ale zaraz skinął na Willisa, by ten znowu rozdał karty.

Morton powstrzymał Willisa.

- Dasz mi szansę się odegrać, prawda? - zapytał Brady, nawet nie zdając sobie sprawy, jak żałośnie brzmi jego głos.

- Już jesteś mi winien całkiem sporą sumkę - powiedział Morton. - Ponad sześć gwinei.

- Sześć gwinei to sporo jak na pobory sierżanta, co dostaje szylinga i sześć pensów na dzień - odezwał się Willis.

Potter gwizdnął.

- Dwumiesięczny żołd, i to nawet nie licząc opłat, jakie Z nas ściągają!

Brady rozważył to z ponurą miną, ale miał ochotę na kolejną szklaneczkę i miał ochotę dalej grać.

- Słuchaj. Wiesz, że jestem w tym dobry.

- Nie przy takim szczęściu, jak dziś. - Morton przyglądał mu się spod krzaczastych brwi, nieproporcjonalnie bujnych przy rzednących włosach.

Brady wytrzymał jego spojrzenie, kiedy Morton niedbale bawił się stosikiem leżących przed nim monet. Brady nienawidził uśmiešku wyższości na twarzy Mortona prawie tak samo, jak nie znosił pretensji Rachel.

- Powiem ci, co zrobię - odezwał się Morton. - Zawsze skarżysz się na tę swoją żonkę. Odkupię ją od ciebie za to, co mi jesteś winien.

Brady widział, że Willis i Potter aż otworzyli usta ze zdumienia, słysząc tę szaloną propozycję, wypowiedzianą całkiem poważnym tonem. Na miłość boską, przecież do tej pory taki pomysł zawsze traktowali jako żart!

- C-co? Ja nie mogę... ty nie mówisz poważnie...

- Oczywiście, że możesz - powiedział spokojnie Morton.

- Chcesz, żebym sprzedał swoją kobietę za sześć gwinei?

Brady podniósł głos, zaskoczony i oburzony- Nie zważając na to, że obecni na sali mężczyźni zwrócili na nich uwagę.

- Dobrze więc. Niech będzie za dziesięć.

- O rety! - wykrzyknął młody Potter. - To więcej niż trzymiesięczny żołd!

- Hmm. - Pomysł był niedorzeczny, ale Brady przyłapał się na tym, że rozważa go poważnie. Czyż sam od niechce-

nia nie zagroził Rachel czymś takim? Byłoby przyjemnie uwolnić się od ciągłego zmagania się z kobietą, uwieszoną u szyi jak kamień młyński. - No nie wiem...

- Dobrze, przemyśl to. Dziesięć gwinei. - Morton rzucił Potterowi monetę. - Fred, przynieś nam jeszcze po szklanczce, możesz?

- Pewnie.

Brady siedział w milczeniu do chwili, kiedy Potter wrócił z pełnymi szklanicami. Wtedy powiedział:

- Osobiście znam tylko jeden taki przypadek, a i to wydarzyło się ponad dwadzieścia lat temu.

- Jednak nadal tak się robi. A ja proponuję ci dziesięć gwinei.

Brady uciekł spojrzeniem przed przenikliwym wzrokiem Mortona. Wypił kolejny potężny łyk.

- To by musiało zostać przeprowadzone jak należy - powiedział powoli.

- Co to znaczy: „jak należy”? - zapytał Morton.

- No wiesz, w kraju takie rzeczy robi się tak samo, jak aukcje bydła, na targu miejskim.

- Chcesz przeprowadzić aukcję? - zapytał wyzywająco Morton.

- No cóż, myślę tylko, że to powinno wyglądać jak prawidłowo przeprowadzona aukcja - argumentował Brady. - W Anglii sprzedawanie żon jest legalne tylko wtedy, jeśli sprzedaż odbywa się publicznie. Tyle to ja wiem.

- Uch... Nie wydaje mi się, żeby nawet wtedy to było legalne - wtrącił Willis.

- Ty się trzymaj od tego z daleka - warknął Morton i Willis skurczył się na swoim krześle. - Może i nie jest legalne w ścisłym znaczeniu - dodał Morton z uporem - ale nawet sądy uznają skutki takiej sprzedaży.

Przez chwilę siedzieli wszyscy w milczeniu.

- No i jak, Brady? - nalegał Morton.

- Nie wiem...

- Nie próbuj wyciągnąć ze mnie więcej. Dziesięć gwinei, to ostatnie słowo.

- To nie o to chodzi. Ja nie wiem, jak mam namówić Rachel, żeby na to przystała.
Morton zaśmiał się.

- Och, coś tam wymyślisz.
I tak się stało.

Major lord Jacob Forrester wygładził kurtkę od munduru i odwrócił się w stronę Hastingsa i Traversa.

- Jestem gotów. - Sięgnął po szablę i przymocował ją do pasa.

- Czyż nasza trójka nie wygląda jak marzenie? - spytał Travers. - Piękne panie, strzeżcie się dziś wieczorem!

Po raz kolejny we trzech dzielili kwaterę, tym razem były to pokoje w domu pewnego kowala i jego żony. Przygotowywali się do wyjścia na bal, wydany przez pułkownika Ashwortha z Drugiej Dywizji. W ciągu ostatnich miesięcy dla załagodzenia zimowej nudy odbyło się kilka takich balów.

Ten miał się zaliczać do najbardziej eleganckich.

- Myślę, że wpadłem w oko ślicznej rudowłosej córce pułkownika Clarka - powiedział żartobliwie Hastings - więc niech żaden z was nie próbuje smalić do niej cholewek.

Travers lekceważąco wzruszył ramionami.

- Czy to nie aby tylko twoje pobożne życzenie?

Usłyszeli głośnie pukanie do drzwi na dole, a po chwili senora Ramirez zawołała po hiszpańsku:

- Majorze Forrester, ma pan gościa.

Jake zszedł po schodach w towarzystwie Hastingsa i Traversa i ujrzał najwyraźniej zdenerwowanego kaprała Collinsa.

- Co się stało, Collins? - zapytał Jake.

- Czy... czy mogę zamienić z panem słowo na osobności, sir? Razem wyszli za drzwi i wtedy Jake zapytał raz jeszcze:

- Co się dzieje? Właśnie mieliśmy wychodzić.

- On chce ją sprzedać, sir! - Młodzieniec był wyraźnie poruszony do głębi.

- Zaczekajcie. Kto sprzedaje kogo?
Collins wziął głęboki oddech.

- Ten cały Brady. Sprzedaje swoją żonę innemu żołnierzo-
wi ze swojego regimentu.

- On co?... To niedorzeczne. Ludzie nie sprzedają swoich
żon w naszych czasach - powiedział Jake, tak absurdalny po-
mysł nie mieścił się w głowie.

- Mówię panu, sir, on to robi. Dziś wieczorem. W gospo-
dzie zwanej Montenegro.

- Jak zdobyliście taką informację? Może to tylko plotka.

- Nie, sir, to nie plotka. Tych dwóch, Potter i Willis, to oni
sami mi powiedzieli, a oni przyjaźnią się z człowiekiem, który
chce ją kupić. Tylko że widzi pan, Brady mówi, że powinna
się odbyć aukcja jak należy i dzisiaj wieczorem ją organizują.
Rozeszły się wieści i mnóstwo ludzi planuje tam przyjść.

Jake poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Dobry Bo-
że. Rachel - słodka, życzliwa, dumna, wrażliwa Rachel - ma
doznać takiego upokorzenia.

- Ona na to nie zasługuje, sir. - Collins głośno wypowie-
dział to, co pomyślał Jake.

- Zajmę się tym - obiecał Jake, przysięgając sobie w duchu,
że choćby porwie ją sprzed nosa kupującemu, jeśli zajdzie
taka potrzeba.

- Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, sir, czy ja i Hum-
phrey możemy iść z panem?

- Znajdźcie sobie jakieś wierzchowce. Nie. Nieważne. Wy i
sierżant Humphrey możecie skorzystać z moich dodatkowych
koni.

- Dziękuję, sir.

Jake wrócił do domu, gdzie czekali zaciekawieni Hastings i
Travers.

- Potrzebne mi wszystkie pieniądze, jakie możecie mi dać -
oznajmił Jake bez zbędnych wstępów, kierując się po
schodach
na górę. Żaden z kolegów nie odmówił temu niezwykłemu żą-
daniu.

Kiedy major przerzucał swoje ubrania, szukając własnej sa-
kiewki, przyjaciele poszli do swoich pokoi, żeby uczynić to
samo. Po chwili znów spotkali się we trzech u podnóża
schodów.

- Masz. - Hastings wręczył mu woreczek monet. - Sądzę, że jest tu jakieś dwadzieścia gwinei.
- Ja mam tylko dziesięć, ale przyjmij je, proszę. - Travers wręczył Jake'owi swoje zasoby.
- Dzięki - powiedział Jake. - A ja mam prawie trzydzieści. Miejmy nadzieję, że to wystarczy.
- Na co? - Hastings i Travers zapytali jednocześnie.
 - Żeby kupić kobietę.
- Kupić kobietę? - Hastings spojrzął na niego badawczo. - Od kiedy to niejaki Jacob Forrester musi kupować kobietę? I to jeszcze za taką niebotyczną kwotę?

Jake wyjaśnił pospiesznie, w czym rzecz. Jego przyjaciele byli wstrząśnięci. Obaj spotkali Rachel zaledwie przelotnie, ale mieli pełną świadomość, że major zawdzięczał jej życie. Jednak wydawało się, że mają zastrzeżenia co do pomysłu Jake'a.

Hastings zmarszczył brew, pełen wątpliwości.

- Jesteś pewien, że chcesz to zrobić, Forrester?

- Tak, jestem pewien. Dlaczego nie miałbym być?

- No cóż... to po prostu takie niespotykane. Mam na myśli mieszanie się w osobiste sprawy żołnierzy.

- Generałom się to nie spodoba - dodał Travers.

Jake zastanowił się przez moment. Przyjaciele mieli rację.

Wszak istniała przepaść dzieląca oficerskie szarże od zwykłych żołnierzy. Była konieczna, by utrzymać dyscyplinę decydującą o sprawnym funkcjonowaniu wojennej maszyny.

Ale zaraz jego myśli wróciły do Rachel, do jej łagodności, uśmiechu, jej współczucia dla innej ludzkiej istoty, zwłaszcza cierpiącej.

- To ryzyko, które muszę podjąć - powiedział. - Bóg wie, że to nie byłby pierwszy raz, kiedy jakiś dowódca nie byłby ze mnie zadowolony.

- Zawsze buntowniczy, ech, co nie, przyjacielu? - Hastings poklepał go po ramieniu. - Czy to wychodzi z ciebie sir Galahad? Chyba pamiętam, jak ratowałeś jakiegoś biedaka na uniwersytecie, kiedy inni się na niego uwzięli.

- Masz na myśli Helmana?

- Tegoż właśnie.

- On nie zasłużył sobie na to, jak go traktowano. - Głos Jake'a zabrzmiał stanowczo. - Tak samo jak Rachel... pani Brady. Zobaczyl, jak Hastings i Travers wymieniają spojrzenia, kiedy posłużył się jej imieniem.

- Nie, to też nie to, co myślicie.

- Skoro tak mówisz - odparł Hastings. - A więc... postanowiłeś pospieszyć jej na ratunek?

-Tak.

Travers raz jeszcze wymienił spojrzenia z Hastingsem, po czym powiedział:

- Idziemy z tobą. Mogą być kłopoty.

I tak, wraz z Collinsem i Humphreyem na dodatkowych wierzchowcach Jake'a, pięciu jeźdźców pognąło w kierunku Montenegro, oddalonego o jakieś dwanaście mil.

Och, Boże, modlił się po cichu Jake, proszę, pozwól mi to przerwać. Proszę, pozwól mi tam dotrzeć na czas.

Rachel w towarzystwie swego męża wkroczyła do Montenegro lekko zamroczona. Chciało jej się spać i widziała siebie i Edwina tak, jakby z bardzo daleka patrzyła na obce osoby.

Dwukrotnie omal nie upadła, ale Edwin podtrzymał ją w porę.

W gospodzie panował niesłychany ścisk. Klientela składała się w większości z mężczyzn, ale tu i tam było parę kobiet.

Rachel kilkakrotnie zamrugęła, próbując rozpoznać zebranych

- a przynajmniej niektórych z nich - lecz wszystkie twarze

zamazywały się jej przed oczami. Nie potrafiła zrozumieć,

dlaczego z takim trudem rozróżnia szczegóły otoczenia. Głosy także wydawały się zlewać, kiedy kilka osób mówiło naraz.

To chyba senny koszmar? Gdyby tylko Rachel mogła zwinąć się w kłębek i zasnąć...

- Oto i ona!

- Pierwsza klasa, to fakt.

- Hej! Musisz mieć postronek - rzuciła jakaś kobieta, rechocząc odrażająco.

- Trzymaj. Użyj tego. - Rozległ się odgłos rozdieranej tkaniny. Rachel niemal nie była świadoma tego, że ktoś związuje

pasy podartego obrusa. Po chwili nałożono jej przez głowę luźną pętlę. Towarzyszyły temu salwy śmiechu. Rachel potoczyła dookoła nieobecny wzrokiem, nie mogąc rozpoznać twarzy. Tak. Jedną z nich jednak poznała. Twarz przyjaciela Edwina, Mortona. Nie spodobał jej się wyraz pożądania i triumfu, jaki dostrzegła na tej twarzy. Nachyliła się bliżej do Edwina.

- Tu jest tak ciepło - powiedziała, sądząc, że mówi cicho i tylko do męża.

- Pewnie zrobi ci się naprawdę gorąco, zanim ta noc się skończy. - Znowu rozległ się wulgarny rechot jakiejś kobiety.

Rachel usłyszała, jak z jej własnych ust dobywa się chichot, ale nie miała pojęcia, co ją rozbawiło. Potrząsnęła głową, próbując uporządkować myśli. Pragnęła zrozumieć, co się dzieje dookoła, ale otaczała ją bezładna masa dźwięków, kolorów i ruchów. Czyżby była chora? Czy dlatego czuła lęk i ogarniającą ją panikę?

- No dalej. Kończmy to! - rozległ się głos Mortona. władczy i pełen złości.

Kończmy co? pomyślała Rachel niemal obojętnie.

- Postaw ją na stole, żebyśmy mogli zobaczyć - zawołał ktoś z sali.

Rachel poczuła, że ktoś podnosi ją i stawia na stole, który się chwia. Powoli potoczyła wzrokiem po morzu nierozpoznawalnych twarzy, zwróconych w jej stronę. Skoncentrowała się na utrzymaniu równowagi. Nie może spaść. Nie może spaść. Próbowwała odnaleźć Edwina wśród rozmazanej ludzkiej masy. Potem usłyszała coś, co zabrzmiało jak jego głos, ale dobiegający z bardzo daleka niczym echo.

- Zaczynamy licytację.

- Mam siedem szylingów - odezwał się jakiś wyraźnie pijany mężczyzna.

- Dwa funty - powiedział inny.

- Pięć gwinei - zawołał jeszcze inny.

Rachel rozejrzała się po sali, ale nie była w stanie się zorientować, co, u licha, jest przedmiotem licytacji. Znowu

próbowała znaleźć Edwina. Musi mu powiedzieć, że naprawdę powinna już wracać do domu.

Poczuła powiew chłodnego powietrza, kiedy otworzyły się drzwi do gospody. Ach, jak przyjemnie. Próbowała zobaczyć, kto przyszedł, ale nie była w stanie odwrócić głowy.

- Dziesięć gwinei! — Ten głos zabrzmiał mocno, stanowczo. Morton. Za co Ralph Morton chciałby zapłacić aż dziesięć gwinei?

Tłum nagle całkiem ucichł. Wydawało się, że wszystkie oczy zwróciły się na drzwi. Rachel znów wysiliła się, żeby się obrócić, raz jeszcze jej się nie powiodło. Czowała też, że ledwo może utrzymać równowagę na chwiejącym się stole.

- Chyba jest moja za dziesięć gwinei. - To znowu głos Mortona. Tym razem brzmiała w nim satysfakcja.

- Pięćdziesiąt! - zawołał ktoś od strony drzwi. W gospodzie rozległ się szmer niedowierzania.

- Co on powiedział?

- Pięćdziesiąt. Daję pięćdziesiąt gwinei - powtórzył głos.

Czyżby rozpoznawała ten głos? Czy to głos majora Forrester? Nie, to nie może być on. Nie tu, w Montenegro. Zatem czyj to głos?

- No to zobaczymy! - Znowu Morton. Głos brzmi groźnie. - Brady, czy ty próbujesz mnie oszukać?

Dlaczego Edwin Brady miałby oszukiwać przyjaciela? Poza tym czyż Rachel nie słyszała, że to Mortona posądza się o oszukiwanie?

- Bierz pięćdziesiąt - zawołał ktoś.

Teraz wydarzenia potoczyły się tak szybko, że myśli Rachel nie były w stanie za nimi nadążyć. Silne ramiona objęły ją w pasie i została zdjęta ze stołu. Pętla zniknęła z jej szyi i ktoś ją wziął na ręce. Poczuła zapach drzewa sandałowego.

- Tutaj, Travers. Zapłać temu bękartowi.

To był głos majora, ale do Rachel docierał tak, jak gdyby dobiegał spod wody. Nagle wszystko odpłynęło w nicość, ale mimo to poczuła się bezpieczna - gdziekolwiek się znalazła.

Jake już na pierwszy rzut oka zorientował się, że Rachel została odurzona. Była na wpół przytomna, toczyła dookoła nieobecny wzrokiem. Kiedy podszedł bliżej, zauważył, że źrenice jej oczu nawet przy tak słabym oświetleniu są małe jak łebki szpilek.

- Hej! On nie może tak po prostu tu przyjść i w ten sposób wtrącać się w nasze sprawy. - Mężczyzna nazwiskiem Morton najwyraźniej tracił głowę z wściekłości. Czyż w innym przypadku odważyłby się tak odzywać w obecności oficera?

- Sądzę, że właśnie to zrobiłem - oznajmił Jake. - I jeżeli nie chcecie trafić przed sąd za niesubordynację, nie powiecie już nic więcej, żołnierzu.

- Daj spokój, Morton - powiedział ktoś. - To Forrester, pupilek starego Nosala.

Morton spojrzał na trzech oficerów w paradnych mundurach i na towarzyszącego im żołnierza w stroju mniej rzucającym się w oczy. Coś w ich postawie musiało sprawić, że zmienił zamiary, bo odwrócił się, przeklinając „tych cholernych oficerów, którym się wydaje, że świat do nich należy”.

Te słowa - „Daj spokój, Morton. To Forrester” - poruszyły jakąś strunę w pamięci Jake'a, ale teraz się nad tym nie zastanawiał. Potem będzie czas na myślenie o takich rzeczach.

W tej chwili musiał zabrać Rachel daleko stąd. Daleko od tłumu, który niczym stado hien wyczekiwał na swoją kolej, by się rzucić na ofiarę. Daleko od lubieżnych oczu, mierzających i wążących jej ciało.

Kiedy odwracał się, żeby zanieść ją do drzwi, przez chwilę mignął mu przed oczyma Edwin Brady. Zobaczył, że Tra-

vers daje mężowi Rachel pieniądze. Brady nie przerwał przeliczania ich nawet wtedy, kiedy Jake opuszczał gospodę z Rachel w ramionach. Travers i Hastings podążyli za nim.

- Co teraz? - zapytał Hastings.

Jake szybko zbierał myśli. Co teraz? Do tej pory myślał tylko o tym, by Rachel uratować.

- Wy dwaj idźcie na bal do Ashwortha. Będziecie spóźnieni, ale na pewno nie odmówią wam wstępu.

- Nie. Raczej nie. Oficerski bal tu, w Hiszpanii czy Portugalii, to nie całkiem to samo co udział w spotkaniu u Almacka w Londynie.

- Potrzymaj, Hastings. - Jake podał przyjacielowi bezwładną Rachel, po czym wsiadł na konia, sadowiąc się za siodłem.

- A teraz daj mi ją tutaj.

Hastings pomógł mu i Jake ulokował Rachel w siodle, przed sobą. Niewygodnie było mu sięgać nogami do strzemion.

- Czy pani Brady jest ranna, majorze? - zapytał Collins, który pilnował koni przed gospodą.

- Myślę, że nie. - Przynajmniej nie fizycznie, dopowie dział w myśli. Jak, na Boga, kobieta taka jak Rachel zareaguje, kiedy odzyska pełną świadomość?

Droga powrotna zajęła Jake'owi znacznie więcej czasu niż szalona jazda do Montenegro. Nic dziwnego, musiał wszak podtrzymać bezwładną Rachel i jednocześnie ostrożnie prowadzić konia. Hastings i Travers, za namową Jake'a, udali się na bal. Jake wiedział, że może polegać na ich dyskrecji, tak samo jak na milczeniu Collinsa i Humphreya. Jednak za sobą zostawili całą salę pełną żądnych sensacji lubieżników. Wieść o tym wydarzeniu niczym pożar rozprzestrzeniła się w całej armii na Półwyspie. Biedna Rachel.

Jake w jednej ręce zaciskał wodze, a drugą przytrzymywał Rachel. Wciąż była nieprzytomna, a jej głowa opierała się na jego piersi. Co jakiś czas pasemko jej włosów łaskotało go w podbródek. Czuł też aromat ziół, których musiała używać do mycia włosów. Nie potrafił nazwać własnych uczuć. Oczywiście dominował wśród nich potężny, niepokonany gniew

na mężczyzn, którzy zrobili Rachel coś takiego. Starał się wmówić sobie, że taki sam gniew odczuwałby wobec każdego, kto użył przemocy w stosunku do niewinnej osoby. Do pewnego stopnia była to prawda. Jednak Jake wiedział doskonale, że nigdy żadnej innej kobiety nie pragnął otoczyć tak troskliwą opieką. Nigdy też nie odczuwał tak ogromnej wdzięczności za to, że ktoś jest bezpieczny. Przytulił ją mocniej.

Nagle zdał sobie sprawę, że wcześniej właściwie nie dotykał Rachel, nie licząc uścisku dłoni. Dlaczego więc teraz, trzymając ją w ramionach, miał poczucie, że to takie oczywiste - tak całkowicie właściwe?

Hola, Forrester. To nadal kobieta zamężna. Należy do innego.

Nie. Teraz należy do mnie. On ją sprzedał. A ja ją kupiłem. I wtedy to do niego dotarło.

Kupił ją. Co, u licha, Jake Forrester, oficer armii Jego Wysokości, ma zrobić z kobietą tu, na wojennym szlaku?

Co ma z nią zrobić jutro? Dzisiaj?

- Collins. Humphrey.

- Tak, sir? - odezwali się jednocześnie.

- Czy któryś z was wie, gdzie kwateruje sierżant Paxton? Służy u Granta, w dziewięćdziesiątym czwartym.

- Ja wiem, sir. - Humphrey wymienił nazwę wioski, w której stacjonowała większa część regimentu Paxtona.

- Jedźcie tam i poproście panią Paxton, żeby przyjechała z wami do mojej kwatery.

- Dziś wieczorem, sir? - zapytał Collins.

- A co z jej synkiem i z jej mężem? - dodał Humphrey.

- Macie rację - odparł Jake. Cóż, pomyślał tylko o tym, iż Rachel będzie potrzebowała swojej przyjaciółki, kiedy się obudzi.

- Powiedźcie im, ale pamiętajcie, dyskretnie, i poproście ich, żeby przyjechali rano. Podeślę im jakiś pojazd. Myślę, że pani Brady będzie długo spała.

Rozstali się na skrzyżowaniu dróg i Jake sam przejechał z Rachel ostatnie dwie mile. Kiedy dotarł do swojej kwatery, ucieszył się, że dorośli członkowie rodziny Ramirezów

nie udali się jeszcze na spoczynek. Señora Ramirez zmarszczyła czoło i pokręciła głową, kiedy Jake pojawił się na progu z Rachel w ramionach. Pokiwała karcąco palcem i szybko wyrzuciła z siebie po hiszpańsku:

- Nie. Nie. Nie. Żadnych kobiet, majorze. Powiedziałam już. Moje dzieci...

- Pani nie rozumie - przerwał jej i niemal równie płynnie jak ona posługując się jej rodzimym językiem, wyjaśnił, co się stało.

Opowiedział nawet señorze o tym, jak Rachel uratowała mu życie, i dodał, że jego obowiązkiem jest jej pomóc.

Wyraz twarzy kobiety łagodniał w miarę, jak słuchała historii Rachel.

- Ale ja nie mam pokoju dla damy - zaprotestowała señora Ramirez.

- Może tej nocy skorzystać z mojego pokoju - odparł Jake.

-Ja prześpię się na kanapie w innym pokoju albo na fotelu.

Myślę, że nie powinna zostawać sama. Na razie zajmijmy się nią ja i Henry. Jutro postaram się o pomoc.

Señora Ramirez nadal miała obiekcje, ale kiedy jej mąż zapewnił ją, że nie dzieje się nic niestosownego, wzruszyła ramionami i przystała na plan Jake'a. Mruknęła pod nosem coś, co zabrzmiało jak: „Och, ci Anglicy. Co dalej?”.

Jake zaniósł Rachel do własnego pokoju, gdzie Henry drzemał przy kominku. Zaraz jednak poderwał się i spytał zdumiony:

- Pani Brady?

Jake wyjaśnił mu, co się stało.

- Wiedziałem, że ten cały Brady to niezłe ziółko. Ten diabelski pomiot należałoby wybatożyć - powiedział Henry z gniewem.

- Należałoby. - Jake położył Rachel na łóżku i zdjął jej szal i buty. Zauważył, że jej bawełniane pończochy były łatanie już wiele razy. Potem obaj z Henrym przykryli ją starannie.

- Mówi pan, że została odurzona, sir?

- Tak przypuszczam. Zapewne sporą dawką laudanum.

- To znaczy, że będzie spała dosyć długo.

- Też tak myślę - przyznał Jake. - Ale nie chcę, żeby była sama, kiedy się obudzi. Posłałem po panią Paxton.

Przez resztę nocy Jake i Henry na zmianę czuwali przy łóżku śpiącej. Było już dobrze po północy, kiedy wrócili Hastings i Travers. Nie okazali zdziwienia, widząc Rachel w łóżku majora. Mówili cicho.

- Historia już się rozniosła - powiedział Hastings.

- Do licha! - mruknął Jake. - Jak?

- Kto wie? Pewnie ktoś z gospody nie mógł usiedzieć spokojnie i koniecznie chciał być zwiastunem takiej sensacji.

- Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby przedstawić sprawę z najlepszej strony - rzekł Travers.

- Dziękuję. Doceniam to, ale wątpię, czy tu jest jakaś najlepsza strona.

Travers przytaknął i powiedział ze smutkiem:

- Ze też taka szlachetna kobieta musi przechodzić takie rzeczy.

- Racja - zgodził się z nim Hastings. - Na szczęście wydaje się, że pani Brady nie ma związków z wyższymi sferami, więc kiedy wróci do Anglii, nikt nie będzie rozsiewał plotek na jej temat.

Obaj oficerowie wrócili do pokoju, który dzielili. Jake tymczasem odtwarzał w myślach całe zajście. Znowu zabrzmiał mu w uszach ten głos. „Daj spokój, Morton. To Forrester...”

Te słowa snuły się po zakamarkach pamięci Jake'a niczym Smugi dymu. „Daj spokój, Morton...” Nie. Coś w tym obrazie nie było, jak należy. „Daj spokój...” Jake zamknął oczy i oparł głowę na fotelu. „Daj spokój... stary!” To było to!

I wtedy wszystko mu się przypomniało. Las. Młoda kobieta i dwaj mężczyźni. Właściwie to dopiero chłopcy, niewiele starsi niż sam Jake w tamtym czasie. Jake miał wtedy - ile? - szesnaście lat? Zapamiętał doskonale twarze tamtych dwóch młodzieńców, jednego zakłopotanego i zawiedzionego, drugiego rozwścieczonego. I nagle przed oczyma stanęło mu to samo oblicze pełne wściekłości, tyle że już należące do dorosłego człowieka - Brady'ego! To był on.

Tylko, że tamten nie nazywał się Brady. Tego Jake był pewien, nie potrafił sobie jednak przypomnieć właściwego nazwiska. Być może przypomni je sobie później. Tak czy inaczej, nie miał wątpliwości, że mężem Rachel był ten niedoszły gwałcień, spotkany dawno temu, pewnego letniego popołudnia, w Devon. Raz jeszcze Jake zadał sobie pytanie, jak kobieta taka jak Rachel mogła związać się z tego rodzaju mężczyzną.

Następnego dnia wczesnym rankiem sierżant Humphrey przywiózł panią Paxton do domu, w którym kwaterowała Forrester.

- Przyjechałam tak prędko, jak tylko mogłam - powiedziała Clara.

Jake podniósł się z krzesła stojącego przy łóżku Rachel.

- Dziękuję. Przykro mi, że oderwałem cię od rodziny.

- Nie szkodzi. Jak wiesz, Joe ma swoje obowiązki, a pani Stevens zaofiarowała się, że popilnuje Benny'ego. Zostanę tak długo, jak długo Rachel będzie mnie potrzebować.

- Jeszcze się nie obudziła - rzekł Jake - chociaż od jakiejś godziny wydaje się bardziej niespokojna. Jak mniemam, Humphrey opowiedział ci, co zaszło?

- Tak. Niczego nie pragnę bardziej, jak tylko skrócić kark temu Edwinowi Brady'emu - odparła ponuro.

- Obawiam się, że musiałabyś ustawić się w dość długiej kolejce, żeby mieć tę przyjemność.

W tym momencie nadszedł Henry. Przywitał się z panią Paxton i zapytał:

- Czy pani Brady wróciła już do przytomności?

- Nie. - Jake spojrział na jedno, potem na drugie. - Czynie to niechętnie, ale muszę was opuścić. Mam dziś rano odprawę w sztabie, a Bóg jeden wie, co tu się wydarzy.

- Poradzimy sobie - zapewnił Henry. - Zwłaszcza teraz, kiedy jest tu pani Paxton.

Jake i Henry zebrali ubrania i przybory toaletowe Jake'a i zostawili Clarę samą z Rachel. Wychodząc, major ze współczuciem popatrzył na śpiącą. Był niezadowolony, że musi zo-

stawić Rachel, ale pocieszał się, że zapewne przyjmie ona obecność Clary z daleko większą radością niż jego towarzystwo.

Było już prawie południe, kiedy Rachel nareszcie się obudziła. Powoli otwierała oczy; powieki miała ciężkie i piekące. Szybko opuściła je znowu. Słońce świeciło stanowczo za jasno, a okno znajdowało się w złym miejscu! Ból świdrował jej czaszkę. Nie była w stanie powstrzymać się od jęku.

- Och. Obudziłaś się? - zapytał kobiecy głos.

Rachel natychmiast otworzyła szeroko oczy.

- Clara? Co ty tu robisz? - Rozejrzała się wokół ze zdumieniem. - Co... co ja tu robię? I... i gdzie ja jestem?

- Jesteś w pokoju majora Forreстера.

- W pokoju majora Forreстера... - Rachel starała się przyswoić sobie tę nowinę. - Wielkie nieba! Jak ja się tu znalazłam?

Clara przysunęła krzesło bliżej łóżka i wzięła Rachel za rękę.

- Co pamiętasz z ostatniej nocy?

- Ja... pamiętam, że Edwin przyszedł do domu z butelką wina. Widzisz, on... on nie pokazał się w domu poprzedniej nocy. - Poczula się nieco niezręcznie, wyznając to Clarze. - To...

wino... miało być czymś w rodzaju prezentu na pojednanie, jak mi się zdaje. - Rachel zdziwił wyraz twarzy Clary, odzwierciedlający zarówno wściekłość, jak i niedowierzenie. -

Nie chciałam go... nie za bardzo... ale on był taki miły...

- A to szubrawiec! - mruknęła Clara. - Czy nie wydało ci się, że wino ma dziwny smak?

- Cóż, tak, rzeczywiście. Ale jak wiesz, nie nawykłam do picia wina, a Edwin powiedział, że jest dobre. - Rachel nagle poczuła podpełzający do serca lęk.

- Co jeszcze pamiętasz?

- Poszliśmy do Montenegro... Tam chyba kwateruje przyjaciel Edwina. Wydaje mi się, że go tam widziałam, tego przyjaciela. Ale... ale nie pamiętam niczego więcej.

- Nie pamiętasz sprzedaży?

- Sprzedaży? - Zaskoczona i przerażona Rachel usiłowa-

ła przypomnieć sobie cokolwiek z tego, co nastąpiło po tym, jak znaleźli się w Montenegro. - Pamiętam tylko cały tłum ludzi mówiących naraz, i to bardzo głośno. Ja... ja chyba patrzyłam na nich z wysoka.

- Tak było. Och, moja droga, droga przyjaciółko - powiedziała ze współczuciem Clara i ujęła Rachel za rękę.

- Co się dzieje? Czy Edwin został ranny?

- Gdybyż to było takie proste.

Clara zaczęła opowiadać o wydarzeniach ostatniej nocy. Kiedy skończyła mówić, Rachel wpatrywała się w nią z niedowierzaniem i przerażeniem. Wreszcie wyszeptała ledwo słyszalnie:

- On mnie sprzedał? On naprawdę mnie sprzedał? A... ja ja się na to zgodziłam?

Clara jeszcze mocniej ścisnęła dłoń przyjaciółki i potrzęsła nią.

- Nie. Ty się nie zgodziłaś. Byłaś odurzona. Laudanum, zapewne w tym winie.

Rachel podniosła się i usiadła.

- Och, mój Boże! Proszę! To nie może być prawda.

Zakryła sobie oczy dłońmi, żeby na nic nie patrzeć.

Wreszcie musiała przyznać, że Clara powiedziała prawdę. Edwin, jej własny mąż, który kiedyś przysięgał kochać ją i otaczać opieką, potraktował ją jak niepotrzebny przedmiot.

Powstrzymując łzy, Clara przesiadła się z krzesła na krawędź łóżka. Przytuliła przyjaciółkę i trzymała ją w objęciach, póki Rachel się nie wyplakała.

Wreszcie Rachel uspokoiła się nieco.

- Czuję się taka chora - oznajmiła głosem wypranym z wszelkich emocji. - Nie wiem sama, co boli mnie bardziej, ciało czy dusza.

- Twoja dusza nie ma powodów do cierpienia - powiedziała Clara z zawziętością w głosie i szybko dodała: - Ale twoim fizycznym dolegliwościom możemy zaradzić. Przytnię ci herbatę i grzankę. Tam w garderobie jest nocnik, a także miednica i trochę wody. - Wskazała przyjaciółce przyległy pokój i wyszła.

Rachel przez dobrą chwilę siedziała na łóżku. Okropnie bolała ją głowa i czuła się oszołomiona; było jej niedobrze.

Wreszcie wstała i powoli powędrowała w stronę małej gotowalni, gdzie natychmiast chwyciły ją gwałtowne torsje. Ku własnemu zdziwieniu niemal od razu poczuła się lepiej. Nudności minęły, chociaż głowa nadal bolała ją straszliwie.

Rachel przepłukała usta i zwilżyła sobie twarz. To ją orzeźwiło. Gdy wróciła do sypialni, Clara czekała już na nią z herbatą i grzanką.

- Przyniosłam ci też jajko na twardo. - Clara postawiła tacę na małym stolczku przy łóżku.

- Dziękuję. - Przysiadłszy na skraj łóżka, Rachel wypić łyk herbaty i skubnęła trochę jedzenia. Po chwili znów opadła na poduszkę.

- Za chwilę poczujesz się lepiej - zapewniła ją Clara. - To po prostu skutki przedawkowania alkoholu, nawet jeśli ty sama nie jesteś sobie winna!

Rachel uśmiechnęła się blado, widząc, jak jej przyjaciółka usiłuje zachować bez troskę. Jak mogła mieć takie szczęście przy wyborze przyjaciół i jednocześnie takiego pecha przy wyborze męża? Zamknęła oczy, bardziej potrzebowała ochrony przed jaskrawym światłem słonecznym niż snu. Chciała zastanowić się nad swoją przyszłością, ale wątpiła, czy uda się jej wymyślić coś sensownego, dopóki będzie się czuła tak żałośnie.

Major Forrester siedział na odprawie w sztabie, jednym tylko uchem słuchając słów pułkownika i generała, powtarzających swoje wypowiedzi sprzed tygodnia. Najwyraźniej Wellington zamierzał tej wiosny i lata przejść do ofensywy. Biorąc pod uwagę porażkę pod Burgos zeszłej jesieni, mieli obejść to ufortyfikowane miasto, zwracając się na południe i maszerując dalej w kierunku Pirenejów.

- Odpowiednie miejsce na wielką potyczkę po tej stronie gór - mówił pułkownik Kingsley - znajduje się zapewne w okolicach Vitorii.

- Czy mamy jakieś wiarygodne mapy? - zapytał major Tucker, dowódca jednego z regimentów Trzeciej Dywizji.

- Niestety, nie. Straż Konna wykazała się pożałowania godną niedbałością pod tym względem. Musimy polegać na tych, które przygotowują nasi zwiadowcy, i na tych, które zdobyliśmy na nieprzyjacielu.

- Można by przypuszczać, że Hiszpanie będą mieli przynajmniej porządne mapy własnego kraju - gderał inny major zasiadający za stołem.

- Tak można by przypuszczać - przyznał siedzący u szczytu stołu generał Powers. - Jednak oni nie są przygotowani lepiej niż my. Mniemam, że nigdy nie pomyśleli nawet, że wojna mogłaby przenieść się na ich własne terytorium.

- A więc - odezwał się major Tucker dość stanowczym tonem, mimo że zwracał się do generała - mamy pomaszerować w te górskie rejony, mając zaledwie blade pojęcie, jak się przez nie przedostać?

Powers był człowiekiem o imponującej posturze i zawsze zachowywał się z wielką godnością.

- Dokładnie tak, żołnierzu. I co więcej, wypełnimy ten rozkaz bez szemrania.

- Tak jest, sir.

Pułkownik Kinsley próbował załagodzić sytuację:

- Nasi zwiadowcy są teraz w górach i sporządzają mapy, a także zyskują nam przyjaciół - powiedział. - Miejscowa ludność jest skłonna sprzyjać bardziej nam niż Francuzom. Nie są zadowoleni, że Francuz zasiada na hiszpańskim tro nie. Oni znają góry i z chęcią przeprowadzą nas przez nie.

Jake kręcił się na krześle, zniecierpliwiony. Jak dotąd, usłyszał niewiele nowych informacji. Jego myśli wciąż wracały do ważnej kwestii, która zaprzętała go od co najmniej piętnastu godzin: co zrobić z Rachel.

Nie za bardzo znał się na niuansach prawa, ale mimo to wiedział, że transakcji dokonanej ubiegłej nocy nie można uznać za legalną. Więzów małżeńskich nie dało się tak łatwo zerwać. Jednak, choć bardzo rzadko, dochodziło do sprzedaży żon. Co więcej, znane były przypadki, gdy sądy uznawały jej skutki pomimo protestów, jakie gazety i od czasu do

czasu członkowie Parlamentu podnosili przeciwko takim praktykom.

Faktem było, że sprzedaż się odbyła - i to w dodatku na oczach tuzinów świadków. Chcąc czy nie, Jake Forrester kupił sobie kobietę... i jeżeli transakcja nie zostanie cofnięta, musi teraz stawić czoła jej skutkom. Anulowanie sprzedaży nie wchodziło w grę. Brady na pewno nie rozstałby się z fortuną, która tak nieoczekiwanie wpadła mu w ręce. Nawet gdyby to zrobił, czy nie powtórzyłby tego niecnego postępuku, i to kto wie, z jakim skutkiem dla Rachel?

Odprowa dobiegła końca. Major Tucker poklepał Jake'a po ramieniu i uśmiechnął się niemal lubieżnie, mówiąc odrobinę za głośno:

- Ach, Forrester. Słyszałem, że byłeś na aukcji i kupiłeś sobie niezłe cacko.

Uśmiech Tuckera wydał się Jake'owi wręcz nieprzyzwoity. Jake nigdy nie lubił tego człowieka, bezwzględniego karierowicza, który piał się w górę, depcząc po innych.

- Pan wybaczy - powiedział Jake lodowato i stanowczym gestem zdjął dłoń Tuckera ze swojego ramienia. - Wczoraj w haniebny sposób potraktowano uczciwą kobietę i najlepiej było, gdyby wszyscy dobrze to sobie zapamiętali. - Spojrzał Tuckerowi prosto w oczy, mając nadzieję, że to surowe spojrzenie będzie dla niego wystarczającym ostrzeżeniem.

- Przepraszam - odparł Tucker tonem niewiniątka. - Nie miałem pojęcia, że to dla pana taki drażliwy temat. - Tucker odszedł, uśmiechając się ironicznie, a Jake miał wielką ochotę zetrzeć mu ten uśmiezek z twarzy własną pięścią.

Nie tutaj, Forrester. Nie tutaj, powtórzył w duchu. Uświadomił sobie, że dwukrotnie w czasie krótszym niż dwadzieścia cztery godziny zapragnął zdzielić kogoś w gębę z powodu Rachel Brady. W słusznym gniewie. Być może te treningi w Klubie Pięściarskim Jacksona podczas ostatniego urlopu jednak się wreszcie przydadzą.

Najwyraźniej wszyscy się orientowali, że dla majora For-

restera sprawa aukcji może być drażliwa i nikt nie wspominał o niej przy Jake'u do końca dnia.

On sam jednak nie unikał tego problemu. Cały dzień myślał o Rachel. Co miał z nią zrobić?

Zdarzało się, że żołnierze czy oficerowie wozili ze sobą kobiety, które nie były ich żonami. Jednak były to zwykle rodowite Hiszpanki lub Portugalki, czasem wdowy po żołnierzach. Nie były to uczciwe Angielki poślubione innym, żyjącym żołnierzom! Tolerowano te kobiety, ale nie darzono ich szacunkiem. Dzielily z mężczyznami łóżce, ale rzadko życie. Jake nie dopuszczał myśli, że Rachel mogłaby zostać sprowadzona do takiej roli.

Kiedy późnym popołudniem powrócił do swojej kwatery, nie był ani trochę bliższy rozwiązania problemu niż rano. Zastał Rachel w swoim pokoju. Siedziała na krześle, wpatrzona nieobecny wzrokiem w okno.

- Dobry wieczór - powiedział, dając jej znak, że już wrócił.

Rachel spojrzała na majora przelotnie, po czym odwróciła twarz, najwyraźniej nie będąc w stanie lub nie chcąc patrzeć mu w oczy.

- Ja... chciałam podziękować panu za to, co pan zrobił. - Mówiła cicho i Jake'owi przyszło do głowy, że zapewne Rachel zмага się 'ze sobą, by powstrzymać łzy.

- To niepotrzebne - odparł. - Wobec tego, co pani uczyniła dla mnie prawie rok temu, to była zaledwie błahostka.

Stanął przed nią, po czym przysiadł na parapecie okna, podpierając się obiema rękoma, by powstrzymać się przed porwaniem Rachel w ramiona.

- Nie. To wcale nie była błahostka i sędzę, że pan dobrze o tym wie. - Rachel podniosła wzrok i spojrzała na niego z napięciem. - To... stawia zarówno pana, jak i mnie w bardzo niezręcznej sytuacji.

Jake wytrzymał jej wzrok i skinał głową.

- Oczywiście, ma pani rację. Ale daję słowo, nie mogłem postąpić inaczej... i zrobiłbym to jeszcze raz, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Za co najszczerzej panu dziękuję, majorze.

Zamilkła, ale wciąż była spięta. Jake zastanawiał się, co też czuła na wspomnienie wydarzeń wczorajszego wieczora. Rozumiał jednak, że teraz nie jest najlepszy moment, by poruszać tę kwestię, zwłaszcza że sam nie uporządkował jeszcze swych własnych myśli i uczuć.

Postarał się, by jego głos zabrzmiał pogodnie.

- Proszę to uważać za spłatę długu zaciągniętego dawno temu.

- Jeżeli w ogóle istniał jakiś dług, choć ja tak nie uważam, to sam pana postępek sprawił, że wszystko zostało spłacone w zupełności. - Uciekła spojrzeniem w bok i dodała zmęczonym głosem: - Postaram się, aby odzyskał pan swoje pieniądze, choćby miało mi to zabrać całe życie.

Jake odsunął się od okna i przykucnął obok Rachel. Ujął jej dłoń, drobną, delikatną i chłodną.

- Spójrz na mnie! - poprosił. Kiedy wreszcie skierowała na niego wzrok, mówił dalej: - Pieniądze nie mają znaczenia.

W Anglii mam mnóstwo pieniędzy, chociaż przyznaję, że wczorajszego wieczora pożyczyłem od Hastingsa i Traversa.

•■ - Naprawdę? - zapytała zdumiona.

- Tak. A oni z ochotą pomogli w tej nagłej potrzebie.

Przez chwilę milczała, przyswajając sobie to, co usłyszała.

- Myślę, że dla nas obojga tacy przyjaciele są błogosławieństwem losu. - Delikatnie cofnęła dłoń.

Ucieszony myślą, że Rachel być może zalicza go do swoich błogosławieństw losu, wstał i zapytał jakby od niechcenia:

- A skoro mowa o przyjaciółach, gdzie jest pani Paxton?

- Odesłałam ją z powrotem do jej własnej rodziny. Mogę teraz sama o siebie zadbać, chociaż jestem jej wdzięczna za pomoc. - Rachel znów spojrzała majorowi w oczy. - I panu, że to sprawił.

- Tak. No cóż. Wczoraj wydawało mi się to właściwe. - Przerwał na chwilę. - Pytanie tylko, co jest właściwe dziś?

Rachel spędziła cały dzień w pokoju Jake'a, na przemian zasypiając i budząc się, i rozmawiając z Clarą w chwilach, gdy nie spała. Dwukrotnie zaglądał do nich Henry, w tym raz po to, by przynieść tacę z południowym posiłkiem. Clara swoim zwyczajem trajkotała o codziennych wydarzeniach z życia armii rozlokowanej na zimowych kwaterach. Rachel słuchała niezbyt uważnie. Wciąż myślała o postępkach Edwina i o tym, że musi poczynić jakieś plany na przyszłość.

W końcu jednak poprosiła Clarę, by opowiedziała jej szczegółowo o wydarzeniach wczorajszego wieczora. Clara uczyniła to z chęcią, rozumiejąc pragnienie przyjaciółki, by poznać każdy szczegół. Po południu Rachel fizycznie poczuła się lepiej. Potrzebowała czasu i spokoju, by zebrać myśli, odesłała więc Clarę do Joe'go i malutkiego Benny'ego.

- Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym z tobą została? -
upewniała się Clara.

- Nie. Nie. Wracaj. Poradzę sobie. - Rachel uściśliła mocno przyjaciółkę i powiedziała: - Bardzo dziękuję, że tu przyjechałaś. Cieszę się, że to właśnie ty przekazałaś mi te smutne nowiny.

Resztę popołudnia Rachel spędziła na rozmyślaniach. Nurtowały ją zwłaszcza dwa pytania. Pierwsze brzmiało: dlaczego? Dlaczego Edwin uczynił rzecz tak nikczemną? Jak mogła się aż tak bardzo pomylić w ocenie tego przystojnego, czarującego mężczyzny, do którego poślubienia tak zachęcali ją krewni? Co takiego zrobiła, że zwrócił się przeciwko niej? Bądź co bądź, na początku byli w sobie zakochani - ale czy naprawdę? Wtedy Rachel nawet nie wiedziała, czym jest miłość. Czy Edwin kiedykolwiek ją kochał? I czy ona

naprawdę go kochała? Czy może było to tylko młodzieńcze zauroczenie, które ją zwiódło? Czy mogła postąpić inaczej?

Drugim pytaniem było: co teraz? Co oznaczała ta sprzedaż? Czy była nadal zameźna, czy nie? Głupie pytanie.

Tylko Kościół lub Parlament mogły rozwiązać związek małżeński - a każda z tych instytucji czyniła to wyłącznie w przypadku osób najbogatszych i najbardziej wpływowych. Czy wobec tego miała wracać do Edwina, jeżeli on w ogóle przyjąłby ją z powrotem?

Czy ma zgadzać się na zbliżenia, na łakomy dotyk mężczyzny, który wcześniej sprzedał ją tak, jak mógłby sprzedać niepotrzebną krowę? Rachel zadrzała na samą myśl. A co, jeśli zechciałby sprzedać ją ponownie? Wtedy może nie być w pobliżu majora Forrestera, który pospieszy na ratunek. Jak żywy stanął jej przed oczami Morton, jej niedoszły właściciel, i Rachel znowu zadrzała.

Naprawdę była przerażona. I sprawiła to nie tylko obawa przed powrotem do Edwina ani przed oddaniem jej Mortonowi. Była sama na obcej ziemi, gdzie nawet język, którym posługiwali się jej mieszkańcy, był dla niej obcy. Nie miała pieniędzy, środków do życia, żadnego sposobu, by wrócić do ojczyzny.

Oczywiście, wiele kobiet podążało w długim „ogonie” ciągnącym się za brytyjską armią. Należały do nich żony żołnierzy, tak jak Clara - i jak do niedawna Rachel. Inne jednak po prostu wędrowały w ślad za wojskiem - były to kobiety, które wdawały się w przelotne romanse z żołnierzami i w ten sposób stawały się częścią rozciągniętych taborów. Przeważnie oferowały swoje wdzięki w zamian za choćby cień opieki i ochrony.

Mówiąc wprost, pomyślała Rachel, to były dziwki. Taki też teraz dokładnie był i jej status. Własny mąż uczynił z niej dziwkę! Ukryła twarz w dłoniach i znowu się rozplakała. Po długiej chwili otarła oczy. Siedziała potem, wpatrując się nieobecny wzrokiem w okno, dopóki powitanie majora Forrestera nie wyrwało jej z odretwienia.

A teraz on zapytał, co byłoby właściwe.

- Myślę, że nic nie jest „właściwe” w całej tej okropnej sprawie - powiedziała zrozpaczona.

- Z tym całkowicie się zgadzam. - W jego głosie również zabrzmiał smutek. - Musimy jednak stawić czoła konsekwencjom wydarzeń, na które nie mamy wpływu.

Rozległo się pukanie do drzwi i Forrester rzekł:

- Proszę wejść.

Pojawił się Henry, obciążony ogromną tacą. Major opróżnił mały stolik stojący przy łóżku i przesunął go bliżej Rachel.

- Herbatę przyniosę za chwilę, sir.

- Poprosiłem, żeby przyniesiono nam kolację tutaj, na górę

- wyjaśnił Jake, przysuwając drugie krzesło.

- Ja... nie jestem specjalnie głodna - odparła Rachel.

- Mimo to musi pani coś zjeść. A może kieliszek wina? -

Napełnił kieliszek winem i podał go Rachel.

- Nie! - zaprotestowała. Widząc jego zdumione spojrzenie, dodała: - Przepraszam. To czerwone wino... wczoraj...

- Narkotyk był w czerwonym winie? -

Tak.

- Czy Henry ma przynieść jakiś sok owocowy?

- Nie. Woda w zupełności wystarczy, a później herbata.

To była skromna kolacja, na którą złożył się gulasz z królika i pieczywo. Rachel nerwowo skubała kromkę chleba, zastanawiając się, czy jego lordowska mość spodziewa się, że po kolacji spędzi z nim noc. Nieco urażona zauważyła, że major cieszył się znakomitym apetytem.

Podczas posiłku rozmawiali uprzejmie na obojętne tematy. Jake poinformował ją, że armia prawdopodobnie wyruszy w ciągu najbliższego tygodnia, a Rachel mówiła coś o pogodzie i łagodnej hiszpańskiej zimie.

Henry wrócił po tacę i za chwilę pojawił się znowu, przynosząc na niej herbatę, jabłka i ser.

- Kapitan Hastings chciałby z panem porozmawiać — powiedział Henry.

- Oczywiście - odparł major. Poprawił się w krześle i złożył nogę na nogę, wyraźnie zadowolony, kiedy Rachel napełniła filiżanki i podała mu jedną. W pokoju rozszedł się aromat świeżo zaparzonej herbaty, przywodząc na myśl do-

mową atmosferę. Mimo to Rachel nie była już w stanie dłużej znosić targających nią emocji.

- Co... co ma stać się ze mną? - Starła się mówić spokojnie niczym podczas towarzyskiej rozmowy, ale wiedziała, że nie potrafi ukryć napięcia.

- Prawdę mówiąc, sam nie jestem pewien - odparł major, spoglądając Rachel prosto w oczy. - Wiele zależy od tego, czego pani sama chce.

- Czego ja chcę? - zapytała z goryczą. - Z pewnością musi pan wiedzieć, że kobiety mają w życiu niewielką możliwość czynienia wyborów, nawet w nowoczesnej, oświeczonej Anglii. A tutaj... - Głos Rachel zamarł.

- Dopilnuję, żeby pani miała przynajmniej jako taki wybór. Rachel milczała, czekając na dalsze słowa majora.

- Na przykład, być może da się zmusić pani męża, by wypełniał swoje zobowiązania względem pani... jeżeli tego sobie pani życzy. - Major Forrester przerwał, pozwalając, by te słowa zawisły w powietrzu, ale w żaden sposób nie okazał, że stara się wpłynąć na jej odpowiedź.

- Myślałam o tym - przyznała zrezygnowanym tonem -ale prawdę mówiąc, uważam, że to mogłoby tylko pogorszyć moją sytuację. Edwin zapewne znalazłby sposób, żeby zrobić to samo raz jeszcze.

Rachel na moment przymknęła powieki, próbując wygnać z myśli wstyd i upokorzenie. Otworzywszy je ponownie, dostrzegła w oczach majora tylko pełną zrozumienia sympatię.

- Z czasem będę w stanie załatwić wszystko tak, by mogła pani wrócić do swojej rodziny w Anglii.

- Ja... nie mam rodziny w Anglii.

- Z pewnością jest ktoś...?

- Nie, nie ma nikogo. Mam tylko ciotkę, przyrodną siostrę mego ojca, ale ona mnie nie przyjmie.

- Hmm. To komplikuje sprawę.

- Naprawdę, sir, nie musi pan zajmować się rozwiązywaniem moich kłopotów. Już zrobił pan dość. Być może Mac... doktor MacLachlan... okaże mi pomoc.

- Odrzuca pani moją pomoc? - zapytał major.

- Nie, oczywiście, że nie. To tylko...

- Zatem proszę nie mówić nic więcej.

Pukanie do drzwi zapowiedziało pojawienie się wysokiego, tyczkowatego kapitana Hastingsa, dźwigającego płócienną torbę. Kapitan postawił torbę na łóżku i sam przysiadł obok, chociaż tylko dwa z krzeseł znajdujących się w pokoju były zajęte.

- Zajęło to trochę czasu, ale namówiłem sefiore, żeby pozwoliła pani Brady tu zostać.

Major Forrester uśmiechnął się szeroko.

- Nigdy nie wątpiłem w moc uroku Hastingsa.

- Tak. No cóż. Pomogło i to, że armia wkrótce wyruszy i to dla senory ostatnia okazja, żeby zdobyć jeszcze trochę gotówki.

- Co tam masz? - Major Forrester wskazał na torbę leżącą na łóżku.

- Rzeczy pani Brady. Poszedłem do kwatery Brady'ego, jak zasugerowałaś, ale gospodyni powiedziała, że on wszystko wyniósł. Zostawił tylko ubrania żony.

- Wszystko? - Zaniepokojona Rachel wstała, by otworzyć torbę. Przetrząsnęła ją, po czym odetchnęła z ulgą, wyjmując swój dziennik i książkę, którą podarował jej major Forrester.

Wymieniła z nim porozumiewawcze spojrzenie.

Forrester spytał kapitana Hastingsa:

- To on zniknął? Znalazł nową kwaterę?

Hastings wzruszył ramionami.

- Nie wydaje mi się. Rozpytywałem o niego tu i tam. Nikt go nie widział od zeszłej nocy. Porucznik Hoskins, jego dowódca, jest wściekły jak diabli.

- Dezercja? - zapytał major Forrester.

- Tak przypuszczam - odparł Hastings. - Cała ta suma, rozumiesz. To więcej niż roczny żołd sierżanta. Jak pani myśli, pani Brady?

Rachel, zaskoczona, że zapytano ją o zdanie, odpowiedziała powoli:

- Ja... nie jestem pewna. Wydaje mi się, że to możliwe.

Wszystko jest możliwe. Najwyraźniej nie znałam go tak dobrze, jak mi się zdawało.

Hastings wydawał się zmartwiony tym, że wprawił Rachel w zakłopotanie.

- Proszę mi wybaczyć, madam. Nie ma powodów, by pani musiała tego słuchać.

- A co z tym drugim typem, Mortonem? - zapytał Forrester.

- On ciągle tu jest. Narzeka, że go oszukano. Jednak świadkowie widzieli, jak Brady spłacał mu jakiś stary dług. - Hastings wstał. - I dalej, przyjaciele, moja wiedza już nie sięga. Życzę wam dobrej nocy.

Rachel spojrzała na kapitana z nieśmiałym uśmiechem.

- Dziękuję panu za przyniesienie moich rzeczy.

- Cała przyjemność po mojej stronie, madam. - Hastings skłonił się lekko i wyszedł.

Major Forrester także skierował się w stronę drzwi i zawałał Henry'ego. Kiedy pojawił się ten nieoceniony pomocnik, major powiedział:

- Pozbieraj moje rzeczy i zabierz je stąd, Henry. Na razie będę dzielił pokój z Hastingsem i Traverssem.

- Tak jest, panie.

Henry szybko i sprawnie wykonał polecenie, rzucając tylko przelotne, zaciekawione spojrzenie na Rachel.

- Majorze Forrester - odezwała się. - Muszę zaprotestować. Nie mogę zmuszać pana do opuszczenia pana własnego pokoju. Zeszła noc to jedno, ale kolejne to już zupełnie co innego.

-Ależ pani mnie nie zmusza - odparł. - To najbardziej sensowna rzecz, jaką można teraz zrobić. Później zobaczymy, jak to się rozwinie.

Po tych słowach opuścił pokój, a Rachel zaczęła się zastanawiać, co też major mógł mieć na myśli, enigmatycznie wspominając o tym „później”.

Następnego dnia, niepewna własnego statusu i pełna obaw, jak też senora zareaguje na jej obecność, Rachel nie miała ochoty wychodzić z pokoju. Kiedy odpowiedziała na

pukanie do drzwi, zobaczyła na progu Henry'ego z tacą ze śniadaniem — herbatą i chlebem z dżemem.

- Śniadanie, madam - oznajmił z dumą. - Lord Jacob polecił, żebym je pani przyniósł.

- Och, dziękuję. Jak to miło ze strony was obu. Ale proszę, panie Henry, niech pan nie myśli, że musi pan dodawać obsługiwaniu mojej osoby do listy swoich obowiązków. Jeśli zechce mnie pan oprowadzić po domu, z powodzeniem poradzę sobie sama.

- Tak jest, madam. Zatem oto śniadanie, a ja przyjdę później i pokażę pani, co i jak, że się tak wyrażę.

Po niedługim czasie tak właśnie zrobił. Rachel doszła do wniosku, że oboje są nieco zakłopotani i nie bardzo wiedzą, jak się nawzajem traktować.

Południowy posiłek spożyli w kuchni Ramirezów. Rachel zaproponowała swoją pomoc przy przygotowywaniu późniejszego posiłku, ale uprzejmie jej podziękowano. "Wróciła więc do swojego pokoju, gdzie zajęła się robótką na drutach i czytaniem tomiku poezji, który podarował jej major. Wieczorem zjadła kolację w towarzystwie wszystkich trzech oficerów, zaś oni zaprosili ją potem jako czwartą do gry w karty.

Upływały kolejne dni, jeden podobny do drugiego, a jedyną odmianą był samotny popołudniowy spacer lub wieczorna przechadzka z majorem Forresterem. Rachel zaczęła niecierpliwie wyczekiwać tych szczególnych spędzanych wspólnie chwil.

Któregoś dnia zjawiała się Clara, ciągnąc mały chłopski wózek, w którym siedział roześmiany Benny.

Rachel spotkała ich na ścieżce i zaraz uniosła dziecko wysoko nad głowę. Okręciła chłopczyka dokoła, a on pisał z radości.

- Och, Benny! Jak ty wyrosłeś!

Postawiła roześmianego chłopca na ziemi, ale on od razu wyciągnął rączki i powiedział:

- Hop! Hop! Clara
zaśmiała się.

- Teraz masz za swoje, Rachel! On już ci nie da spokoju.

Rachel podniosła chłopca i znowu zakreśliła nim wkoło. Potem oddała go matce, która z surowym „nie” ulokowała go z powrotem w wózku i podała mu zabawkę, żeby go czymś zająć. Obie kobiety przechadzały się powoli, a Clara ciągnęła swój wózek.

- Musiałam przyjść, żeby zobaczyć, jak sobie radzisz - powiedziała Clara.

- Umieram z nudów, nie mam nic do roboty.

- Ciesz się tym, póki możesz. Słyszałam, że wyruszamy za parę dni.

- Prawie zatęskniłam za trudami na szlaku - odparła Rachel.

- Niestety, obawiam się, że będziesz musiała zmierzyć się z czymś więcej niż tylko zwyczajne trudy. - W tonie Clary zabrzmiała ostrzegawcza nuta, której Rachel nie zlekceważyła.

- Plotki już się rozeszły, jak rozumiesz?

- Nieczęsto się zdarza, by mąż sprzedawał swoją żonę.

- Powiedz mi wszystko - zażądała Rachel.

Clara wyglądała na zmieszaną, ale zdecydowaną.

- No cóż, są tacy, którzy uważają, że nie wysłaś na tym tak źle, przechodząc pod opiekę majora.

' - A przez tę „opiekę” rozumieją...?

- Dokładnie to, co myślisz, że rozumieją - powiedziała Clara. Rachel westchnęła.

- Tego się spodziewałam. Ale to nieprawda.

- Nieprawda? - Clara starała się nie okazywać ciekawości. - Cóż, to się zapewne zmieni.

-Claro!

- Przepraszam. Nie chciałam cię urazić. Po prostu obydwoje jesteście takimi miłymi ludźmi i zaprzyjaźniliście się,

L. - Clara umilkła. Zapadła kłopotliwa cisza.

Rachel poklepała przyjaciółkę po ramieniu.

- Nic się nie stało. Nie uraziłaś mnie. - Jednak słowa majora Forrestera: „później zobaczymy, jak to się rozwinie”, znowu zabrzmiały jej w uszach i poczuła, że oblewa się ru mieńcem.

Clara popatrzyła w niebo i powiedziała:

- Robi się późno. Muszę wziąć nasze racje i wrócić z Ben-
nym do domu. Czas go położyć.
- Miło było cię zobaczyć - powiedziała Rachel, do głębi
uradowana niezachwianym zaufaniem i przyjaźnią Clary.

Mijał czas. Lord Wellington wydał już armii rozkaz do
wymarszu na północ, a Jake wciąż nie wiedział, co dalej po-
cząć z Rachel. Tak naprawdę sytuacja robiła się coraz bardziej
skomplikowana w miarę tego, im więcej czasu spędzał w jej
towarzystwie.

Podczas długich spacerów wypytywał Rachel o jej rodzinę,
a ona opowiadała mu o swoim dzieciństwie i młodości.
Niektóre z podawanych przez nią faktów wydały mu się
dziwnie znajome.

- Czy opowiadała mi to pani już wcześniej?

Rachel uroczo się zarumieniła.

- No cóż, tak. Prawdę mówiąc, opowiedziałam kiedyś panu
z tego co nieco.

- Naprawdę?

- Nie był pan w stanie odpowiedzieć, ale wydawało się, że
był pan spokojniejszy, gdy ktoś do pana mówił. W Bada-joz,
zaraz po tym, jak odniósł pan rany.

- A więc to pani była tą osobą?

- Przypuszczałam, że zareagował pan po prostu na kobiecy
głos. - Oczy zabłyśły jej figlarnie, kiedy spojrzała na niego, a
on miał ochotę pocałować ją tu i teraz, na środku wioski. -
Sam pan wie, że wielu rannych żołnierzy wzywa swoje matki
albo ukochane.

- Och? - Major udał wyniosłość. - I pani pomyślała, że je-
stem taki sam jak cała reszta?

Ucieszył się, kiedy podjęła grę i udawała, że chce ułago-
dzić jego urażoną dumę.

- Och, nie. Nigdy. - Przerwała na moment. - Ja wiedzia-
łam, że pan taki jest.

Zachichotała, a jej rozbawienie lepiej niż cokolwiek innego
świadczyło o tym, że Rachel jest już na drodze do
ozdrowienia.

- A więc? Proszę dalej. Proszę opowiedzieć mi coś więcej o tej Addy - nalegał.

W miarę tego, jak poznawał historię Rachel, zdawał sobie sprawę z jej trudnej sytuacji. W Anglii naprawdę nie miała nikogo, do kogo mogłaby wrócić. Rachel wyrażała wdzięczność dla ciotki i wuja, ale major zauważył w jej słowach chłód i obojętność.

- A co z rodziną pani matki? - zapytał.

- Nic o nich nie wiem - odparła ze smutkiem. - Papa rzadko o nich mówił. Powiedział, że mamie pękło serce, kiedy jej papa ją wydziedziczył.

- Zna pani jej panieńskie nazwisko?

- Hendon.

- Hm. Nie kojarzę go, ale może mój brat będzie je znał.

W oczach Rachel znowu pojawiły się ogniki.

- Dziękuję panu za zawołany komplement, ale wątpię, aby ktokolwiek związany z wiejskim lekarzem ze Szkocji obracał się w takich elitarnych kręgach.

- Teraz pani niech nie będzie taka wyniosła wobec mnie, moja droga - upomniął ją żartobliwie. - Powiedziała mi pani, że matka nauczyła ją doskonałych manier i że różniła się od matek pani przyjaciółek.

- To prawda, lecz...

- I czy nie powiedziała mi pani, że to właśnie ona nalegała na łożu śmierci, żeby otrzymała pani porządne wykształcenie?

- Tak, ale papa i tak by tego dopilnował.

Przez chwilę spacerowali w milczeniu. Wreszcie major powiedział:

- Jest coś z Romea i Julii w historii życia pani rodziców.

- Tak. To niezwykle romantyczne, choć zarazem mocno tajemnicze.

Od tej chwili zaczęli rozmawiać o Szekspirze. Jake pożyczył Rachel tom jego dzieł i wiedział, że w ciągu dnia, kiedy on był poza domem, z lubością czytywała dramaty wielkiego barda.

Chociaż spędzali razem uroczne chwile i wiele rozmawiali, nie pomogło to majorowi w rozwiązaniu dręczącego go problemu.

Powtarzał sobie, że nic lordowi majorowi Jacobowi Forresterowi po kobiecie na wojennym szlaku. A jednak wykluczał możliwość, że mógłby zrezygnować z roztaczania nad nią opieki.

Nie, nie powinna przyłączać się do Paxtonów ani do swoich nowych przyjaciół Binghamów. Teraz, kiedy zabrakło jej męża, nie miała prawa do przydziału racji żywnościowych. Jake z kolei nigdy nie wykorzystywał pełnego przydziału dla służących, jakich miał prawo mieć przy sobie jako major. Buntował się wewnętrznie przeciw przyjęciu na służbę Juana, ale skoro chciał pomóc temu małemu chłopcu, nie miał wyboru. Podobnie jak teraz nie miał wyboru w sprawie Rachel.

Wspomniała, oczywiście, o doktorze Macu. Jednak zdaniem Jake'a lekarz nie zaoferowałby jej nic ponad to, co mógł jej dać on sam. Zignorował ukłucie zazdrości, jakie poczuł na myśl, że Rachel mogłaby udać się po pomoc do doktora.

Kiedy nadszedł rozkaz wymarszu, torbę z żalonym dobytkiem Rachel umieszczono na grzbiecie muła dźwigającego bagaż majora.

Dla Rachel ostatnie dni na zimowych kwaterach były czasem dochodzenia, przynajmniej w pewnym stopniu, do wewnętrznej równowagi. Nie potrafiła jeszcze pojąć, dlaczego Edwin tak ją potraktował, ale zaczęła akceptować konsekwencje jego postępu. Jaki inny miała wybór? Po prostu przyjmowała wszystko to, co zesłał jej los.

Gdy kampania zaczęła nabierać tempa, Rachel znów podjęła pracę w szpitalu. Tam mogła chodzić z podniesioną głową. Wiedziała, jakie krążą plotki, i widziała spojrzenia, jakimi ją obrzucano - niektóre ciekawskie, inne ukradkowe i porozumiewawcze - kiedy przechadzała się wieczorami z majorem.

Któregoś wieczora wrócili ze spaceru później niż zwykle. Gdy dochodzili już do drzwi jej pokoju, Rachel odwróciła się do majora.

- Proszę wejść na chwilę - powiedziała.

Spojrzał na nią badawczo, ale spełnił jej prośbę. Rachel zamknęła drzwi i stanęła tuż obok Jake'a.

- O co chodzi? - zapytał.

- Ja... ehm... czy chciałby pan wprowadzić się z powrotem do swojego własnego pokoju? - zapytała szybko.

- To znaczy...?

- Wiem, że spanie na tamtym polowym łóżku nie może być wygodne dla takiego wysokiego mężczyzny jak pan. Tak samo jak dzielenie z przyjaciółmi ciasnego pokoiku.

- Ale w tym domu nie ma więcej pokoi.

- Ja... wiem.

- Rachel? - Jake ujął ją delikatnie pod brodę, zmuszając, by spojrzała mu w oczy. Uświadomiła sobie, jak rzadko wymawiał jej imię. - Co ty chcesz zrobić? - zapytał cicho.

Z trudem przełknęła ślinę, ale nie odwróciła wzroku.

- Ja... proponuję, żebyśmy dzielili sypialnię.

- Dlaczego?

- Przecież i tak wszyscy tak myślą, że... I... i za to przecież zapłaciłeś na tej aukcji. - Zabrzmiało w tych słowach więcej goryczy, niż Rachel zamierzała w nie wlać.

Jake przez chwilę uważnie patrzył jej w oczy. Potem objął ją i mocno przytulił.

- Och, moja droga. Niczego nie pragnąłbym bardziej! Opierając głowę na jego piersi, poczuła znajomą woń drzewa sandałowego, zmieszaną z nikłą nutką tytoniu, wełny, z której uszyta była bluza od munduru, i zapachem jego ciała. Kiedy tak stali w zupełnej ciszy, Rachel przesunęła dłoń po jego piersi.

- Nie mam nic więcej, co mogłabym ci ofiarować. - Jej słowa stłumił mundur, w który wtuliła twarz.

- Nie musisz mi nic ofiarowywać. Z pewnością nie to, nie tak, jak... jak...

- Jak dziwka - powiedziała dobitnie. - Mój mąż zrobił ze mnie dziwkę.

- Nie! Nie zrobił! - Głos Jake'a zabrzmiał ostro. Odsunął Rachel na tyle, żeby znowu spojrzeć jej w oczy. - Nigdy, przenigdy, nie używaj tego słowa w odniesieniu do siebie.

- Ale...

- Nie. - Położył jej palec na ustach. - Tylko jedna osoba może sprowadzić cię do takiego poziomu. Ty sama. A ja nie pozwolę ci tego zrobić.

- Ja... rozumiem - powiedziała cicho i próbowała wysunąć się z jego objęć, ale Jake mocno trzymał ją w ramionach.

- Nie, nie wydaje mi się, że rozumiesz. Rachel, posłuchaj mnie. Jesteś ciepłym, życzliwym człowiekiem, i z pewnością jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie znam. Ale nie będziemy razem w taki sposób.

- Nie chcesz mnie? - A więc upokorzyła się tylko po to, żeby on ją teraz odrzucił? Płonęła ze wstydu.

Jake potrząsnął ją delikatnie za ramiona.

- Oczywiście, że cię chcę! Każdy mężczyzna zdrowy na umyśle pragnąłby ciebie.

- Mój mąż nie.

- Jak powiedziałem...

Rachel uśmiechnęła się blado i podniosła głowę, żeby pocałować go w policzek.

- Jest pan wspaniałym człowiekiem, majorze Forrester.

- Może tak. A może nie. - Nadal trzymał ją blisko siebie. -

Musisz wiedzieć jedno. Kiedy będziemy się kochać, chcę, żeby to stało się dlatego, że pragniesz tego równie mocno, jak ja. To może zdarzyć się tylko za zgodą obojga i na równych prawach. I nie będzie nawet mowy o tym, że któreś z nas „winne” jest drugiemu cokolwiek oprócz niebiańskiej rozkoszy.

- Kiedy? Nie jeżeli!

- Kiedy - powiedział stanowczo.

I wtedy ją pocałował - mocno i długo. Jego usta początkowo były delikatne, badające, poszukujące, ale wkrótce stały się zdecydowane i żądały odpowiedzi, której Rachel z ochotą udzieliła. Wreszcie odsunął się - pomyślała, że niechętnie.

Podszedł do drzwi.

- Muszę powiedzieć ci dobranoc, zanim silna wola mnie zawiedzie.

- Dobranoc, majorze.

Odwrócił się.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, czy nie mogłabyś zdobyć się na to, żeby mówić mi po imieniu? Brzmi ono „Jake”, jak wiesz.

- Tak, wiem.

- Jeżeli nadał będziesz zwracać się do mnie tak oficjalnie, będę musiał nazywać cię „panią Brady”, a prawdę mówiąc, nie chciałbym zwracać się do ciebie nazwiskiem tego łobuza.

- Dobrze więc, majorze. - Rachel posłała mu przekorny uśmiech. - Chciałam powiedzieć, Jake. Sądzę jednak, że w towarzystwie powinniśmy przestrzegać konwenansów. Czy zgodzisz się tu ze mną?

- Ostro się pani targuje, madam.
Pocałował ją szybko i wyszedł.

14

W ciągu następnych dni Rachel starała się zachowywać i tak, jak gdyby między nią a majorem nic nie zaszło. Jake nawet nie próbował jej pocałować, ona zaś nie uznała, że zachował się w stosunku do niej bardzo szlachetnie, lecz tak czy inaczej ją odrzucił.

Przeżywała rozterkę. Z jednej strony pragnęła, żeby Jake jej pożałował tak, jak ona jego. Z drugiej jednak strony miała świadomość, że ich wzajemne relacje nie powinny wykraczać poza przyjaźń. Wcale nie była już pewna, czy w końcu nie pokochałaby tego człowieka - a musiała się przed tym uchronić. Gdy zapraszała majora do sypialni, wydawało jej się, że jest w stanie zaangażować się w związek czysto fizyczny, wolny od najgłębszych emocji.

Edwin był w stanie sprawić jej tyle bólu właśnie dlatego, że ofiarowała mu za wiele z siebie samej. Aby się przed tym uchronić, postanowiła, że nigdy więcej nie będzie tak bezbronna. Tak więc jakaś część jej samej odczuła zadowolenie,

185

że nie została wystawiona na ostateczną próbę. Reakcja na pocałunek Jake'a uzmysłowiła Rachel wyraźnie, że niebezpieczeństwo było o włos. Teraz także major udawał, że nic się nie zmieniło, choć od czasu do czasu zauważała jego nieodgadnione spojrzenie. Wydawało się jej, że kiedy przypadkiem dotkną swoich dłoni albo otrą się o siebie, ich ciała przenika ten sam dreszcz.

Pod koniec kwietnia i na początku maja pogoda przez kilka dni okazała się łaskawa, dzięki czemu zwierzęta, niezbędne armii Wellingtona do transportu i zaopatrzenia w żywność, miały pod dostatkiem świeżej paszy. Wojsko otrzymało rozkaz do wymarszu.

- Może powinnam przyłączyć się do zespołu medycznego od razu, zanim wyruszymy na szlak? - spytała Rachel podczas wieczornego spaceru z Jake'em.

- Dlaczego? Czyżby źle ci tu było z nami? Mam nadzieję, że Travers ani Hastings nie powiedzieli czegoś, co sprawiłoby ci przykrość.

- Och, nie. Nie, nic takiego.

- A zatem...? - Jake zawiesił głos.

- To po prostu tak, że... cóż... może tak byłoby stosowniej...

- Byłoby stosowniej, gdybyś podróżowała z MacLachlanem i Fergusonem, a nie ze mną? Przyznam, że nie widzę w tym sensu.

Rachel musiała się z nim zgodzić, ale mimo to powiedziała:

- Jednak chciałabym wrócić do pracy przy rannych.

- To żaden problem - uznał Jake. Po chwili dodał: - Mógłbym zatrudnić jakąś kobietę. Będzie podróżowała z nami jako twoja służąca, żeby było stosownie.

- Wątpię, żeby to mogło powstrzymać plotki. Poniósłbyś tylko kolejny wydatek, i to taki, który jeszcze powiększałby mój dług u ciebie. A ja jestem przyzwyczajona do tego, by radzić sobie sama.

- Jak sobie życzysz - odparł.

Na tym zakończyli rozmowę.

Na trasie przemarszu armii, która niczym gigantyczny, wielo-

nogi stwór torowała sobie drogę na północny wschód, zdarzały się drobne potyczki. Każdej grupie żołnierzy towarzyszyła gromada cywilów podążających za wojskiem oraz wozy z bagażami. Kwatermistrzowie codziennie wyjeżdżali przed kolumnę, żeby poszukać kwater. Jednak często armia musiała spędzać noc na dworze. Rachel wiedziała, że ponieważ Brytyjczycy płacili za swój pobyt, mieszkańcy wiosek przyjmowali ich chętnie. Jednak tak nagły napływ ludzi, których trzeba było gdzieś pomieścić, musiał być uciążliwy, i Rachel czuła się przez to nieswojo. Poza tym w biwakowaniu na dworze było coś ożywczego.

- Teraz żołnierze mają przynajmniej namioty - powiedział Henry, kiedy wraz z Thompkinsem rozbijali obóz któregoś dnia na początku wędrówki.

- Nie zawsze je mieliście? - zapytała ze zdumieniem Rachel.

- Oficerowie mieli, bo wozili ze sobą własne, ale prości żołnierze nie. Mówi się, że lord Wellington długo i ostro o to walczył. Ostatecznie Parlament ustąpił.

Rachel przerwała na chwilę rozpakowywanie przyborów kuchennych.

- Wielkie nieba! Z pewnością rząd zdaje sobie sprawę, o ilez bardziej oplaca się chronić życie ludzi, którzy już są tutaj, niż stale wysyłać nowych!

- Słyszałem, że to właśnie był argument, który ich ostatecznie przekonał - powiedział Henry. - Niektórzy żołnierze skarżyli się, że rozstawienie namiotów zabiera więcej czasu i zachodu, niż to warte. Ale większość jest z nich zadowolona.

Rachel, podróżująca z grupą towarzyszącą Forresterowi, postanowiła, że skoro ma być uważana za prawdziwego jej członka, powinna znaleźć sobie w niej miejsce. Nie przyszło jej to łatwo. Henry, być może przejąwszy nastawienie od swego pana, nalegał, by traktować ją jak honorowego gościa. Rachel podejrzewała, że tak naprawdę Henry z trudem akceptował pojawienie się kobiety w tej małej społeczności, tworzonej do tej pory wyłącznie przez mężczyzn.

Był dla niej jednak niezmiennie uprzejmy i ciągle miał w pamięci pomoc, jaką okazała majorowi Forresterowi. Rachel

dwukrotnie usłyszała, jak wychwalał przed kimś jej medyczne umiejętności. Była jednak świadoma tego, że ona sama jest kimś nadliczbowym w tej małej, zżytej jak rodzina grupie. Zaoferowano jej namiot, w którym poprzednio zamieszkiwali wspólnie Henry, Thompkins i Juan. Początkowo Henry, na polecenie majora, przeniósł swoje posłanie do namiotu Jake'a, a pozostali przy ładnej pogodzie sypiali na dworze. Kiedy padało, Thompkins także rozkładał sobie posłanie w namiocie majora, a Juan z przyjemnością dzielił namiot z Rachel.

Podczas pierwszego starcia poległ niejaki kapitan Kenmore i jak to było w zwyczaju, jego wojskowy ekwipunek wystawiono na aukcję, by dochód z niej, wraz z osobistymi rzeczami, wysłać rodzinie w Anglii. Jake zaopatrzył się więc w dodatkowy namiot dla męskiej części swej asysty. Dokupił też jeszcze jednego muła, wyjaśniając, że przyda się później.

Podczas marszu Rachel prowadziła jednego z trzech mułów. Henry prowadził pozostałe, a Juan był odpowiedzialny za kozy. Sam Thompkins zajmował się dwoma luznymi wierzchowcami majora. Towarzyszył im też mały piesek imieniem Poco, który dreptał tuż przy chłopcu i sypiał z nim na posłaniu. Rachel upierała się, że zajmie się zmywaniem naczyń po posiłkach i pomoże przy praniu, ale Henry się nie zgodził.

Stopniowo jednak Rachel przejęła od Henry'ego część obowiązków przy przygotowywaniu kolacji i wkrótce stało się jasne, że jest znacznie lepszą kucharką niż Henry.

- Nie wiem, na czym to polega - przyznał Henry nieco naburmuszonym, ale przyjacielskim tonem - ale pani gulasz smakuje znacznie lepiej niż mój.

- Trochę przypraw. Odrobina ziół. To wszystko. Z przyjemnością wyjaśnię.

Henry uniósł dłoń w geście protestu.

- Nie, nie. To nie będzie konieczne. - Zniżył głos do teatralnego szeptu. - Muszę wyznać, że naprawdę nie znoszę gotować. Im mniej wiem, tym mniej zobligowany jestem to robić.

- Zatem dobrze. Chętnie będę pomagać przynajmniej pod-

czas przygotowywania wieczornych posiłków. Zawsze lubi-
łam gotować.

- Niech będzie! - odparł Henry.

Hastings i Travers często przyjmowali zaproszenia na kola-
cję, przynosząc w zamian trochę warzyw czy owoców. Wresz-
cie na mocy niepisanej umowy stali się stałymi gośćmi
podczas wieczornych posiłków przy ognisku w obozie
Forrestera. Wraz ze służbą - każdy z nich miał po jednym
służącym - do wykarmienia było dziewięć osób. Służący
zawsze jedli szybko i wracali do swoich obowiązków, do
których należało zmywanie. Rachel z radością powitała
okazję, by czuć się przydatna, ale była zadowolona, że inne
posiłki mniej celebrowano.

Od czasu do czasu zdarzało się, że regiment, w którym
służył sierżant Paxton, maszerował lub biwakował na tyle
blisko gromadki majora Forrestera, że Clara i Rachel mogły
się odwiedzać. Z przyjemnością spotykała się też Rachel z
Nellie Bingham.

Miała jednak świadomość, że nie cieszy się powszechną
Sympatią wśród przedstawicielek własnej płci. Wśród kobiet
podążających za armią istniała swego rodzaju hierarchia.
Miejsce kobiety wyznaczał stopień wojskowy mężczyzny, z
którym była związana. Na szczycie tej drabiny stały żony i
córki generałów i pułkowników. Także żony wojskowych
niższych stopniem darzono pewnym szacunkiem. Najgorzej
traktowano kobiety, które choć nie związane z nikim for-
tialnie, wędrowały za wojskiem. Rachel stwierdziła, że zo-
stała zdegradowana do tej właśnie grupy.

Wszyscy wiedzieli o sprzedaży. Niektórzy mężczyźni uzna-
wali teraz Rachel za kobietę łatwą i kiedy tylko mieli okazję
Spotkać ją sam na sam, składali jej nieprzyzwoite propozycje.
Kiedy Rachel przydarzyło się to po raz drugi, zauważył to
Henry. Przecisnął się przez maruderów wlokących się za
kolumną.

- Zna pani tego człowieka? - Gestem wskazał mężczyznę,
który ją przed chwilą zaczepił.

- Tylko z nazwiska. To Dinkins. Był w regimencie mojego
męża.

- Czy on panią niepokoił?
- Cóż, tak, był dość wulgarny w swoich propozycjach.
Henry zacisnął wargi.
- Poinformuję lorda Jacoba. On zrobi z tym porządek.

- Och, proszę tego nie robić - poprosiła Rachel. - Major Forrester ma już i tak dość spraw na głowie. Dinkins to właściwie tchórz. Nie sędzę, żeby niepokoił mnie znowu.

- Jak sobie pani życzy, madam - powiedział Henry. - Jednakowoż uważam, że jego lordowska mość chciałby wiedzieć...

Z kobietami trudniej było sobie radzić, ponieważ nie wyrażały swej dezaprobaty tak bezpośrednio. Niektóre po prostu przestały rozmawiać z Rachel, a spotykając ją przypadkiem, udawały, że jej nie widzą. Wyróżniła się wśród nich niejaka pani Hardwent, która nie robiła tajemnicy ze swojej pogardy dla okrytej niesławą Rachel.

Pani Hardwent była żoną pułkownika lorda Richarda Hardwenta, barona posiadającego bardzo skromny majątek we wschodniej Anglii. Pułkownik lord Hardwent całkiem niedawno otrzymał swój tytuł, zaś jego żona otaczała się tą świeżą godnością niczym płaszczem królewskim, domagając się, by cała służba - a ona i jej mąż podróżowali z ośmiorgiem służących - na każdym kroku zwracała się do niej „jaśnie pani”. Ubierała się modnie (albo przynajmniej w to, co było modne w Londynie rok temu). Zawsze miała na głowie słomkowy kapelusz-budkę, udekorowany sztucznymi kwiatami w jaskrawych kolorach, i nosiła koronkową parasolkę, cokolwiek nie na miejscu w wojennej scenarii.

Podczas przemarszu zawsze jechała na mule na samym przedzie bez względu na to, który regiment przewodził kolumnie w danym dniu, miała bowiem „delikatną awersję do kurzu”. Jeden ze służących pułkownika musiał maszerować obok niej, by od czasu do czasu ponieść jej mopsika, bez którego nigdzie się nie ruszała.

Pułkownik Hardwent został dowódcą 51. regimentu, w którym służył Edwin Brady. Jako żona sierżanta Rachel miała z pułkownikową ograniczony kontakt, ale pani Hardwent sa-

ma wyłowila Rachel spośród kobiet już w kilka tygodni po tym, jak państwo Brady dołączyli do regimentu. Wysłała wiadomość do szpitala, oznajmiając, że przyjmie żonę sierżanta w swojej kwaterze tego dnia po południu o wskazanej godzinie.

Rachel nie mogła zignorować takiego „zaproszenia”.

Pani Hardwent nie traciła czasu na zbędny wstęp. Poprosiła tylko Rachel, by usiadła, i poleciła pokojówce przynieść lemoniadę.

- Doszło do mnie, że spędza pani dużo czasu w szpitalu - rzekła pani Hardwent.

- Tak, proszę pani. - Odpowiedź Rachel była krótka, gdyż nie miała pojęcia, do czego zmierza ta rozmowa.

- Cóż, moja droga, oczywiście doceniam szlachetność pani intencji. Ja sama długo wspierałam działania dobroczynne w mojej parafii w Anglii. Ale musi pani wiedzieć, że kobieta posiadająca odpowiednie maniere nie powinna czynić takich rzeczy.

- Ja... że co proszę? - Rachel była naprawdę zaskoczona, ale starała się też zyskać trochę czasu, by zebrać myśli. Ucieszyła się, kiedy pokojówka przyniosła lemoniadę i pani pułkownikowa zajęła się osobiście tacą.

Po chwili gospodyni odezwała się znowu:

- Z pewnością wiadomo pani, że nie jest to postępowanie godne damy i odpowiednie dla młodej kobiety, zamężnej czy nie, żeby przebywać w nieustannym towarzystwie tak wulgarnych osobników, jakimi są w większości żołnierze najniższych stopni.

Rachel odpowiedziała dość sztywno:

- Tak się składa, że sama jestem żoną jednego z takich wulgarnych osobników, milady.

- Och, moja droga, nie miałam nic złego na myśli, oczywiście. Poinformowano mnie, że pani mąż to człowiek posiadający pewne wykształcenie, powyżej zwyczajnego, że się tak wyrażę.

- Tak, rzeczywiście. - Rachel nie widziała potrzeby mówienia tej kobiecie prawdy o Edwinie.

- Musi pani wiedzieć, że nie pomoże mu w karierze woj-

skowej to, że jego żona będzie zaangażowana w tak poniżającą działalność.

Tłumiąc w sobie gniew, Rachel wypila łyk lemoniady i odstawiła szklanę.

- Nie jestem pewna, czy dobrze rozumiem. Czy sugeruje pani, że pomaganie innym to coś poniżającego?

- Och, nie, oczywiście, że nie. Ale nie trzeba wystawiać się na kontakty z niższymi sferami, żeby pomagać innym. Są inne rzeczy, które można robić... - Rachel zauważyła, że jaśnie pani nie zdołała wymienić, jakie to też mogłyby być te „inne rzeczy”.

- Moim zdaniem - odrzekła Rachel powoli - wszyscy powinniśmy pomagać innym w taki sposób, w jaki potrafimy.

- Och, z całą pewnością. Ale to wcale nie znaczy, by delikatna kobieta stykała się z rzeczami tak odrażającymi. - Pani Hardwent przybrała ton stanowczy i jednocześnie protekcyjny. Podniosła się i wycedziła: - Mam nadzieję, że rozważy pani moje słowa jak należy.

- O tak, madam. Z całą pewnością tak uczynię.

Rachel opowiedziała o tym spotkaniu doktorowi MacLachlanowi, który poklepał ją po ramieniu i rzekł:

- Proszę się nie przejmować. Pani Hardwent jest trochę zbyt wścibska, ale myślę, że jej mąż rzadko słucha tego, co ona ma do powiedzenia.

Teraz pani Hardwent okazała się jedną z tych kobiet, które wręcz wychodziły z siebie, żeby uświadomić znieśliwionej Rachel, jak nisko upadła. Zachowanie pani Hardwent i innych kobiet jej pokroju tylko umacniało w Rachel przekonanie, jak bardzo powinna cenić lojalność i dobrą wolę okazywane przez Clarę i Nellie.

Któregoś dnia dowódcy zarządzili wcześniejszy postój w trakcie męczącego marszu, by zmęczeni żołnierze mogli choć trochę odpocząć w okolicy, gdzie było dość trawy dla zwierząt. Kobiety, spora grupa żołnierzy i służba skorzystali z okazji, żeby zrobić pranie i wykapać się w pobliskim strumieniu.

Rachel i Clara znalazły miejsce na brzegu wśród innych kobiet, które uderzały mokrymi ubraniami o kamienie, żeby sprać

z nich kurz i pot. To była ciężka, nużąca praca, którą uprzyjemniały sobie ploteczkami. Nagle uwagę piorących przykuł władczy kobiecy głos, dominujący nad wszystkimi innymi.

- Niektóre z nas radzą sobie całkiem nie najgorzej, prze skakując z łóżka sierżanta do łóżka majora, ot co.

Rachel nie miała wątpliwości, że ta kobieta mówi o niej. Zaraz też poczuła na sobie spojrzenia wszystkich nad rzeką, ciekawych jej reakcji.

- To Madge Selkins - powiedziała cicho Clara. — Nie zwracaj na nią uwagi.

Rachel wiedziała, że owa kobieta należy do tego paskudnego typu ludzi, którzy uwielbiają wywoływać niesnaski. Madge nic nie radowało bardziej niż prowokowanie bójek wśród mężczyzn. Teraz najwyraźniej zapragnęła doprowadzić do awantury wśród kobiet. Rachel podniosła wzrok i założyła sobie za ucho opadający kosmyk włosów. Posłała Madge Selkins pytające spojrzenie. Oczy tamtej zabłyśły triumfalnie.

Rachel wróciła do prania.

- Trudno ignorować taką rażącą napaść - powiedziała pod nosem.

- Wiem - odparła Clara ze współczuciem. - Ale takie zawsze mają coś do powiedzenia, nie liczą się z tym, jakie to jest mylne czy krzywdzące.

- Hej, Madge - rozległ się inny głos, także najwyraźniej obliczony na to, by usłyszeli go wszyscy dookoła. - Myślisz, że majora da radę zatrzymać w swoim łóżku dłużej niż sierżanta?

Nellie Bingham z furją cisnęła sztuką odzieży o kamień i zawołała:

- Nie spodziewam się, żeby wam dwóm, mądrule, przyszło w ogóle do głowy, że on może nie dzielić z nią sypialni?

Madge zaśmiała się szyderczo.

- Nie. Tak jak nigdy nie przyszło nam do głowy, że świ nie potrafią latać!

Przyjaciółka Madge, kobieta imieniem Florrie, dodała, chichocząc:

- To się dopiero trzeba nieźle napocić w łożku, żeby odrobić pięćdziesiąt gwinei, co nie?
- Ty wiesz to najlepiej, Florrie - powiedziała Nellie. - Ale może nie powinnaś sądzić innych wedle siebie.
 - Słuchaj, ty stara...

Słowa Florrie przerwał mrożący krew w żyłach krzyk Z drugiego brzegu. Właśnie tam Clara zostawiła synka pod opieką Juana.

- Escorión! - wrzeszczał Juan. - Benny! Escorión!
- Och, mój Boże! Nie! - Clara pobiegła do wrzeszczącego synka i chwyciła go w ramiona.

Rachel podążyła za nią, zatrzymując się tylko na moment, by wziąć garść błota z rzeczki.

- Gdzie ukąsił?

- Aquí. - Juan wskazał czerwoną opuchliznę na pulchnym udzie młodszego dziecka.

Rachel przyłożyła błoto do spuchniętego miejsca.

- Zanieś go do wody, gdzie będzie to można zastąpić czymś chłodniejszym.

Clara posłuchała jej, szepcząc synkowi bezładne słowa pocieszenia.

- Błoto pomoże wyciągnąć truciznę, tak myślę - powiedziała Rachel.

- On nie...? On nie...?

Rachel zrozumiała, że Clara nie jest w stanie wypowiedzieć słów wyrażających jej najgorsze obawy.

- Oczywiście, że nie - powiedziała stanowczo Rachel. - Skorpiony żyjące w tej okolicy nie są aż tak jadowite. Ale ich ukąszenie może u dziecka wywołać chorobę.

Kiedy Clara trzymała płaczącego synka, Rachel polewała zimną wodą ranę, żeby zmyć błoto, które już zrobiło się ciepłe. Potem nałożyła nową porcję gęstej, chłodnej gliny. Po chwili płacz chłopca przeszedł w kwilenie. Rachel posłała Juana do obozowiska po naczynie, w które można by zabrać więcej błota na później.

Pozostałe kobiety skupiły się dookoła. Niektóre obserwo-

wały tę scenę w milczeniu, inne cicho wypowiadały słowa współczucia.

- Biedactwo.

- Sza, sza.

Jakaś kobieta, która Rachel ledwo знаła, poklepała ją po ramieniu.

- Dobrze się pani spisała, pani Brady.

Inne przytaknęły. Rachel zdumiała się w duchu nagłym zwrotem w ich postawie, po tym jak reagowały wcześniej na drwiny Madge. Wróciła jednak do ważniejszych spraw.

- Benny może mieć gorączkę - powiedziała Clarze. - Jeśli zacznie gorączkować, powinna pomóc słaba herbatka z kory wierzby.

- Dziękuję ci, Rachel. Po prostu nie wiem, co bym zrobiła, gdyby ciebie tu nie było.

- Zapewne to samo, co ja.

Rachel zajęła się zbieraniem ich rzeczy, a Juan, który tymczasem wrócił z obozowiska, pomógł jej. Co chwila przerywał pracę, żeby poklepać Benny'ego i powiedzieć mu coś na pocieszenie w swoim śpiewnym języku.

Następnego dnia Benny miał nadal czerwoną opuchliznę na nóżce, ale znowu był sobą - gaworzącym i bawiącym się radosnym smykem.

Do połowy czerwca wojska sprzymierzone pod wodzą Brytyjczyków pokonały ponad czterysta mil w czterdzieści dni. Marsz był długi, wyczerpujący i obfitował w niebezpieczne sytuacje. Choć Francuzi wyraźnie wycofywali się, nie rezygnowali z walki. Podczas licznych starć stawiali opór Brytyjczykom i ich sprzymierzeńcom. Na czas przemarszu Wellington

podzielił swoją armię, liczącą osiem tysięcy ludzi, na dwie grupy. Chodziło mu o to, by nieprzyjaciel nie miał pewności, która z grup okaże się głównym oddziałem bojowym. Starał się wprowadzać wroga w błąd także osobiście, przemieszczając się z małym oddziałem, a większą grupę wysyłając na bardzo trudny północny szlak. Podróżując w tej większej grupie, Jake i jego świta często musieli zmagać się z przeszkodami, jakie stawiała przed nimi matka natura. Z pewnością nie podróżowali tak zwaną królewską drogą!

Omijając łukiem Burgos - miejsce porażki po serii ubiegłorocznych zwycięstw - Jake nie był do końca przekonany o słuszności tej decyzji. Pomyślał, że lord Wellington musiał odczuwać to samo. Jake sądził, że nawet i w tej chwili generał z radością ruszyłby na Burgos, ale oblężenie tej wciąż doskonale ufortyfikowanej twierdzy zabrałoby zbyt wiele czasu. Jake wiedział, Wellington był zdecydowany, by zepchnąć Francuzów na północną stronę Pirenejów, z powrotem do Francji. Zaś Francuzi, jak dowiedział się od pojmanego francuskiego oficera, pozostawali teraz pod rozkazami króla Józefa, który odesłał marszałka Soulta z powrotem do Paryża. Józef ogromnie chciał się wykazać jako wódz, powstrzymując siły brytyjskie na południe od rzeki Ebro. Doszło już do zażartych i krwawych starć w kilku potyczkach.

Zagrożeniem byli nie tylko Francuzi. Topniejące śniegi w górach zmieniły strumyki w huczące potoki. Najtrudniejsza do przebycia okazała się rzeka Esla. Podczas pierwszej próby jej pokonania rzeka porwała dziesięciu ludzi i wóz pełen ekwipunku. Kiedy część oddziałów znalazła się po drugiej stronie, saperzy byli w stanie przerzucić most pontonowy, po którym reszta armii przekroczyła rzekę stosunkowo łatwo.

Piechurzy byli już na północ od Burgos, kiedy dotarł do nich odgłos niesamowitej eksplozji. Huk wyraźnie dobiegał z Burgos, ale dopiero po paru godzinach Jake dowiedział się, co się stało.

- Słyszałeś? - zapytał podekscytowany Travers, kiedy zarządzono postój na południowy posiłek.
- Wszyscy słyszeliśmy ten wybuch - powiedział Jake.

- Nie chodzi mi o sam wybuch, ale o to, co go spowodowało.

- A więc co to było?

- Jeden z naszych zwiadowców powiedział, że Francuzi wysadzili miasto i odeszli! Przygotowali się na oblężenie, a myśmy po prostu zostawili Burgos za sobą. Myślę, że nie byli w stanie zabrać całego prochu i amunicji, a z całą pewnością nie chcieli, żebyśmy je przejęli, więc je po prostu wysadzili!

- Sądzę, że masz rację - przytaknął Jake. - Kiedy nasze oddziały poszły dalej, miasto nie miało już dla Francuzów żadnej wartości strategicznej. A jednak to wielka szkoda. To mogło być ładne miasteczko.

- Ha! Mnie tam nie szkoda - powiedział Travers. - Zeszłej jesieni straciliśmy tam dobrych żołnierzy.

- Traciliśmy dobrych żołnierzy w każdym starciu.

- Wiem, ale...

Dyskusję przerwał im rozkaz do wymarszu.

Tego wieczora kolumna wozów z zaopatrzeniem nareszcie dogoniła główne siły maszerującej armii. Dostawy często były nieregularne, chociaż sytuacja i tak się poprawiła, odkąd portem dostawczym stał się Santander w Zatoce Biskajskiej. Poprzednio dostawy płynęły z Anglii do Lizbony lub Oporto na atlantyckim wybrzeżu Portugalii. W portach zapasy przeladowywano na muły i wozy zaprzężone w woły, by mogły dotrzeć do tych, którzy ich potrzebowali.

- W jednym trzeba się zgodzić z Bonapartem - zauważył Jake. - Armia naprawdę maszeruje „na brzuchu”. A przynajmniej pod dyktando tego organu.

Jake, Travers i Hastings siedzieli wokół ogniska, czytając listy i dzieląc się wieściami z domu, gdyż wozy z zaopatrzeniem przywiozły także pocztę. Przybycie poczty do wojskowego obozowiska zawsze wносиło świąteczną atmosferę.

Jake otrzymał paczkę zawierającą listy od matki i brata oraz kilka gazet i książkę, która zdaniem Roberta, intelektualisty, mogła zainteresować jego brata żołnierza.

Hastings wziął do ręki książkę i obejrzał ją.

- „Duma i uprzedzenia”? Autorstwa „pewnej damy”? Mó-

wię ci, Forrester, twój brat ma o tobie raczej dziwaczne zdanie, chyba się nie mylę?

- Być może - odparł Jake z zamyśleniem, nadal zaabsorbowany listem Roberta. Podniósł wzrok. - Ale on zwykle wie, co jest interesujące. To musi być jakieś wyjątkowe dzieło.

- I chyba takie jest - powiedział Travers. - To znaczy... moja matka mówiła, że takie jest. Nawet księciu regentowi się podoba.

- Hm. - Hastings oddał książkę Jake'owi. - Może i ja ją przeczytam, kiedy ty skończysz.

- Dlatego, że tak sobie cenisz zdanie księcia? - zapytał Jake ze śmiechem.

- Nie - odparł krótko Hastings. - Ale cenię sobie swoje, a skoro uważasz, że książka jest warta przeczytania...

- Dam ci znać, jak skończę.

List od Roberta był szczególnie interesujący, ponieważ stanowił odpowiedź na wcześniejszy list Jake'a. Jake opisał w nim bratu incydent ze sprzedażą Rachel i swoje kłopoty z identyfikacją Brady'ego. Po omówieniu ze szczegółami spraw związanych z nieruchomościami Jake'a, Robert przeszedł do opisu ogólnej euforii na wieść o zwycięstwie pod Salamanką i triumfalnym wkroczeniu do Madrytu. Te sukcesy zostały dobrze przyjęte, napisał Robert z charakterystyczną powściągliwością, ale nadal oczekujemy na prawdziwie decydujące zwycięstwo. Dalej przeszedł do innego tematu:

Przeszukałem nasze archiwa tu, w Lounsbury, i nie znalazłem nikogo o nazwisku Edwin Brady, kto miałby z nami związek. Była kiedyś pokojówka nazwiskiem Elizabeth Brady, ale musiała zapewne odejść ze służby w czasie, kiedy Ojciec ponownie się ożenił. Nie zachowałem jej w pamięci, a w księgach nie ma o niej wzmianki po roku 1781. Nadal jednak będę kontynuował poszukiwania i dam ci znać, jeżeli na coś natrafie.

A przy okazji, Hendon to rodowe nazwisko Ayleswortha.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Jake i przeczytał ostatnią linijkę jeszcze dwa razy.

- Złe wieści? - zapytał Travers.

- Ehm... nie. Tylko zaskakujące. Mój uczony brat ma całym niezłą głowę do interesów. Ucieszysz się, kiedy ci powiem, że przesłał mi wystarczającą kwotę na spłatę długu, jaki u was zaciągnąłem, i to z procentem!

- Przecież wiesz, że nie jesteśmy lichwiarzami. - W głosie Traversa zabrzmiała lekka uraza.

Hastings uśmiechnął się szeroko.

- Ale ten pomysł rodzi pewne możliwości. Moglibyśmy domagać się zamiast tego funta mięsa, jak Shylock*.

- Ja zgodzę się na jeszcze jedną porcję tych racuszków z jabłkami, które usmażyła Rachel - powiedział Travers.

Pogrążony w myślach Jake nie zwracał większej uwagi na ich pogaduszki. Nie podzielił się z przyjaciółmi informacjami od Roberta, tak samo jak nigdy nie wspominał im o tym, że za młodu zetknął się z Bradym. Chciał w ten sposób chronić Rachel, chociaż nie był pewien, czy zatajanie informacji przed Traversem i Hastingsem miało cokolwiek wspólnego z jej ochroną. Bądź co bądź, obaj przyjaciele byli nadzwyczaj godni zaufania.

Aylesworth! Aylesworth był księciem! Czy to możliwe, że Rachel ma jakiś związek z tą rodziną - jedną z najstarszych w Anglii? Takie przypuszczenie wydawało mu się zdecydowanie zbyt nieprawdopodobne. Chociaż...

Jake zaczekał, aż Travers i Hastings oddalą się do własnych namiotów, zanim podjął ten temat w rozmowie z Rachel. Siedziała właśnie po drugiej stronie ogniska przez większą część wieczoru, cichutko robiąc na drutach, i tylko od czasu do czasu wtrącając jakąś uwagę. Jake przesunął połowy stołeczek i usiadł bliżej niej.

*Nawiązanie do „Kupca weneckiego” Williama Shakespeare’a. Udzielający pożyczki Shylock zażądał od dłużnika funta ciała, gdyby ten nie spłacił długu w terminie (przyp. tłum.).

- Rachel, czy nazwisko Aylesworth mówi ci cokolwiek?
- Aylesworth. Aylesworth. - Rachel starannie je wymówiła.
- Nie. Nie wydaje mi się. A powinno?
- A może książkę Aylesworth?
- Książkę? - zaśmiała się. - A czemuż to niby miałabym znać jakiegoś księcia?
- To jego tytuł. A jego rodowe nazwisko brzmi Hendon. Rachel była zaskoczona. Po chwili zaśmiała się jeszcze bardziej serdecznie.
- No cóż, jeżeli istnieje tu jakiś związek z moją matką, to z pewnością bardzo daleki! Hendon to dość popularne nazwisko.
- Być może...
- Och, Jake. - W oczach Rachel zabłyśły radosne ogniki. - Naprawdę nie powinieneś starać się robić klejnotu ze zwykłego kamyka.
- Jake udał, że poczuł się urażony.
- Ja, madam, jedynie próbuję rozwiązać tajemnicę kobiety o imieniu Rachel.
- Cóż, powiedziałabym raczej, że mógłbyś odnieść większe sukcesy, szukając informacji na jej temat wśród osób stanu żołnierskiego, a nie szlacheckiego!
- Być może... - powtórzył Jake.
- Czy to takie ważne? - Teraz jej ton był poważny.
- Może nie. Ja tylko pomyślałem... no cóż... że ta wojna nie będzie trwać wiecznie. Mówi się, że Napoleon poniósł straszliwą klęskę w Rosji.
- Rosjanie pobili wielkiego zdobywcę Europy? - Jake'owi podobało się w Rachel także to, że potrafiła zadawać takie pytania.
- Nie tyle sami Rosjanie, co raczej ich zabójcza zima.
- Zima? - zapytała.
- Rosyjska armia również, oczywiście. Francuzi uciekali przed Rosjanami na łeb, na szyję. Ale to wyraźnie mroźna pogoda pokonała Boneya i jego ludzi - wyjaśnił Jake. - Dziesiątki tysięcy z nich po prostu zamarzło na śmierć.

- Dziesiątki tysięcy?

- Tak mówią doniesienia. Wielki zdobywca wyruszył do Rosji z armią blisko sześciuset tysięcy ludzi. Wraca do Francji, prowadząc mniej niż dziesięć procent z nich.

- Jakież to straszne - powiedziała. - Te wszystkie zniweczone żywoty. Te wszystkie rozpaczające kobiety...

- To jest straszne - zgodził się Jake. - Przeróżające świadectwo pychy jednego człowieka. Ale rzecz w tym, że to może być zwiastun końca. Jak powiedziałem, wojna nie będzie trwać wiecznie. Być może jeśli będziemy mogli znaleźć twoje rodzinne powiązania... - Jake zastanowił się, czy naprawdę chciał znaleźć takie powiązania. Zaraz w myślach zganił sam siebie. Oczywiście, że chciał. Bądź co bądź, czy było inne wyjście dla Rachel?

- Tak. Rozumiem, co masz na myśli. - Wyraz jej oczu stał się nieprzenikniony. - Jednak nie chciałabym, żebyś czuł się nazbyt odpowiedzialny za mnie. W końcu pojawi się wskazówka, która poprowadzi mnie ku jakiemuś wyjściu.

Jake podejrzewał, że w tych słowach więcej jest brawury niż wiary, ale nie sprzeczał się. Teraz musiał pozwolić, by Robert zajął się wszystkim. Mimo to właśnie on, Jake, czuł się odpowiedzialny, i jeśli Rachel myślała, że mógłby zaniechać tego obowiązku, to diabelnie się myliła.

Rachel życzyła Jake'owi dobrej nocy, zaś on pozostał jeszcze przy ognisku przez jakiś czas, zapatrzony w dogasające węgle. Zastanawiał się jakby od niechcienia, czy postępowałby tak samo, gdyby w podobnej sytuacji znalazła się inna kobieta.

Czyż pomoc udzielona Rachel nie była tym samym, co przyjsię z pomocą Juanowi? I nie była odległa od tego, co uczynił, spiesząc na ratunek tamtej uroczej mleczarce dziesięć lat wcześniej.

Był szczęśliwy, widząc, jak mleczarka bezpiecznie umyka do domu, zaś wobec Juana odczuwał coś w rodzaju braterskiego - czy może raczej ojcowskiego? - przywiązania. Kiedy jednak Rachel była w pobliżu, jego zmysły wpadały w zwariowany taniec.

No i dobrze. Przyznał to. Pragnął Rachel. Być może był

głupcem, odrzucając jej rozkoszną propozycję, by dzielić z nią sypialnię.

Natychmiast odpędził od siebie tę myśl.

Nie. Przyjęcie propozycji Rachel byłoby przejawem wielkiego egoizmu z jego strony. To, co jemu przyniosłoby wiele satysfakcji, dla Rachel mogłoby się okazać niszczące.

Jej propozycja narodziła się z rozpaczy, nie z pożądania - pomimo tego, jak ciepło odpowiedziała na jego pocałunek.

Wspomnienie tego pocałunku podpowiadało mu, że między Rachel a nim istnieje coś niedopowiedzianego.

Jake skupił się ponownie na liście Roberta. Brat, podpisując list, dodał: P.S. Celia przesyła pozdrowienia.

Zdumiało go, że był w stanie przeczytać te słowa bez najmniejszej choćby nutki nostalgii. Pomyślał, że przynajmniej potrafi stanąć twarzą w twarz ze swoją dawną miłością, a teraz bratową, czyniąc to w miarę obojętnie. To zatem prawda - czas leczy rany.

Obecność Rachel w grupce asystującej Jake'owi sprawiła, że nie tylko zwiększyła się liczba osób zasiadających przy wieczornym ognisku, ale zmieniła się też atmosfera tych spotkań. Mężczyźni zaczęli bardziej dbać o swój wygląd i opowiadali mniej niewybrednych dowcipów. Jake zauważył, że jego obóz stał się najczęstszym miejscem spotkań żołnierzy. Oficerowie wszystkich szarż zaglądali tu ze względu na serdeczność, z jaką ich witano, mogli też dowiedzieć się, jakimi bieżącymi sprawami żyje wojsko.

Nie tylko oficerowie bowiem czuli się jak u siebie w obozie majora Forrestera. Gościł tu często sierżant Humphrey, który służył z Forresterem w Indiach, zaś sierżantowi zazwyczaj towarzyszył pogodny, powszechnie lubiany kapral Collins i jeden lub dwóch innych żołnierzy. Humphrey najwyraźniej wziął Collinsa pod swoje skrzydła i uczył go, jak przetrwać w armii, podobnie jak to robił z młodym porucznikiem w Indiach prawie dziesięć lat temu.

Jake dobrze pamiętał, że w Indiach najchętniej przebywał

z Humphreym i innymi zwykłymi żołnierzami. Równi mu stopniem oficerowie często dystansowali się od niższych szarzy swej własnej armii, a także od miejscowej ludności. Jake

został kiedyś skarcony za swoje nieregularne zachowanie. Pułkownik Moulsson pełnił służbę w Indiach od czterdziestu lat i ściśle trzymał się zasad starej, sztywnej szkoły. Jake pamiętał, jak pewnego wieczora pułkownik wytknął mu niestosowność jego zachowania podczas jakiegoś nieformalnego zebrania przed oficjalnym obiadem, na który mieli się stawić wszyscy oficerowie.

- Spoufalanie się, mój chłopcze, niszczy dyscyplinę. Nie powinieneś przeciwstawiać się stuleciom doświadczeń.

- Czy zrobiłem coś złego, sir? - zapytał młody porucznik Forrester.

- Złego? No cóż, nie ująłbym tego dokładnie tak. Na ile się orientuję, nie złamałeś regulaminu, ale zbyt wiele czasu spędzasz z podległym ci sierżantem, i, co gorsza, z tubylcami.

- Z całym należnym szacunkiem, sir, w ciągu sześciu tygodni nauczyłem się więcej od sierżanta Humphreya niż przez cały poprzedni rok. Dzięki Hindusom zaś poznaję języki i kulturę tego kraju. To także jest fascynujące.

Moulsson skinął lekceważąco ręką, uznając rozmowę za skończoną.

- To nie jest potrzebne. Tubylcy muszą przystosować się do naszych reguł. Wystarczy, jeśli oni będą mówić naszym językiem.

Jake wiedział, że nie powinien się już odzywać, ale nigdy nie potrafił potulnie siedzieć cicho.

- Ależ moim zdaniem to wszystko jest bardzo interesujące, pułkowniku. Przed przyjazdem tutaj nie miałem pojęcia, jak niesłychanie złożony jest ten kraj; ich religie, kasty, cały ich sposób życia.

- Większość z tego to zwykłe bzdury. Lepiej nie nabijać sobie nimi głowy. Posłuchaj mojej rady, chłopcze. Należy zachować dystans. Utrzymywać barierę pomiędzy nami a nimi.

- Nami a nimi?

- Pomiędzy oficerami a żołnierzami. Tubylcami i ich panami. Spoufalanie się to pożywka dla pogardy. Pogarda prowadzi do rewolucji. Tylko popatrz, co się stało we Francji. Utrzymuj dyscyplinę, chłopcze.

- Tak jest, sir.

Jake wiedział doskonale, że z tak ograniczonym człowiekiem nie warto dyskutować. Jednak pułkownik nie wydał mu bezpośredniego rozkazu, czyż nie? Tak więc niepokorny młody porucznik dalej robił dokładnie to, na co miał ochotę.

Ulubieńcem zasiadających wieczorami przy ognisku w obozie Jake'a był Juan. Chłopiec zwykle siedział w milczeniu, tuląc do siebie psiaka, a jego błyszczące oczy - tak ciemnobrązowe, że wydawały się czarne - były czujne i bystre. Rachel uszyła dla dziecka wojskową bluzę, którą Juan nosił z wielką dumą. Jake cieszył się, że ludzie okazują Juanowi tyle serca. To przynajmniej częściowo rekompensowało chłopcu utratę całej rodziny.

Codziennie życie w armii było często nudne, męczące i monotonne. Dowódcy korzystali z każdej okazji, żeby poprawić morale podkomendnych. Śpiewano marszowe pieśni i przyśpiewki. Urządzano zawody między kompaniami i regimentami, żeby odwrócić uwagę od poranionych stóp, obołałych pleców, a nieraz i od pustych żołądków.

Któregoś wieczora kapral Collins odszukał Juana, który jak zwykle siedział na trawie u stóp swego bohatera, Jake'a. Ramionami obejmował się za kolana, a wierny POCO wyciągnął się obok niego na ziemi.

- Hej, Juan - powiedział Collins. - Tak sobie myślę, czy mógłbym pożyczyć jutro twojego szczeniaka?
- Pozy... pozy...? - Juan z konsternacją spojrział na Jake'a.
- On chce pożyczyć twojego psa - wyjaśnił Jake po hiszpańsku.

- Mojego POCO?

Poco był bez wątpienia kundelkiem, ale gdzieś w galerii przodków miał też teriera. Mały, prawie cały brązowo-biały, miał dużą czarną łatę na jednym uchu i koło oka. Niektórzy

żołnierze żartowali sobie z Juana, nazywając jego psiego przyjaciela piratem. Słyszając swoje imię, piesek skoczył na równe nogi i polizał twarz Juana. Chłopiec zachichotał i przygarnął do siebie pupila.

- No tak, Poco. Obiecuję, że nic złego mu się nie stanie. - Collins wydawał się dobrze rozumieć, jaka może być pierwsza myśl Juana. Tym razem Jake nie musiał tłumaczyć.

- Nic... złego? - zapytał powoli Juan.

- Nic złego - powtórzył Collins.

Chłopiec z powagą spojrział na młodego kaprała. Po chwili skinął głową.

- Dobry chłopak! - Collins zmierzwił czuprynę chłopca i poklepał jego psa. - Przyjdę po niego jutro rano. Wróci do ciebie po godzinie.

Juan spojrział prosząco na Jake'a, żeby ten przetłumaczył, po czym uśmiechnął się szeroko i znowu skinął głową.

- Gracias! - powiedział Collins i szybko odszedł do siebie.

Najpewniej nie chciał, by go pytano, do czego może mu być potrzebny pies Juana. Jednak Jake ufał Collinsowi i nie wątpił, że młodzieniec zadba o to, by Juanowi czy Poco nie stała się jakakolwiek krzywda. Jake wzruszył ramionami i odesłał chłopca spać. Wraz z Poco.

Następnego ranka Jake nie pamiętał już o niezwyklej prośbie Collinsa. Regiment majora Forrestera miał tego dnia zająć miejsce na końcu kolumny. Wiedział, że oddziałowi na przedzie, bez względu na to, na kogo wypadła kolej, będzie towarzyszyła pani Hardwent w swoim frymuśnym kapelusiku i z parasolką z falbankami.

Ta kobieta irytowała żołnierzy; często musieli zmieniać rytm marszu, żeby się dostosować do niej. Często też zwracała się do nich z najróżniejszymi żadaniami, a niewielu miało odwagę je ignorować, skoro pochodziły od żony pułkownika.

Gdyby przynajmniej okazywała choć najmniejszy cień wdzięczności za ich życzliwość, zapewne zaakceptowano by ją łatwiej. Jednak madam Hardwent nie kryła się ze swoją opinią, że większość niższych stopniem żołnierzy armii Jego Kró-

lewskiej Mości nie zasługuje nawet w polowie na taki szacunek, jak mały, kudłaty biały piesek, z którym podróżowała.

Poprzedni dzień był ciężki. Słońce paliło, droga była kiep-ska, a do tego wozy z zaopatrzeniem znowu się spóźniały. Po-szczególnych żołnierzy, a potem całe kompanie ogarniało przygnębienie. Sporadyczne próby zaintonowania marsza czy przyśpiewki szybko gasły. Nie było słycać prawie nic oprócz tupotu zmęczonych stóp i przekleństwa od czasu do czasu.

Powodem dodatkowej irytacji był unoszący się cały czas kurz.

Nagle gdzieś na przedzie kolumny Jake usłyszał daleki wybuch śmiechu. Potem fala głośnego śmiechu przetoczyła się wśród maszerujących ludzi. Wreszcie zrozumiał powód tego rozbawienia. Wzdłuż całej kolumny, od samego jej czoła, w kierunku tyłów truchtał Poco, szukający swego pana. Psina została przystrojona w upleciony naprędce słomkowy kapelusik, ozdobiony wielkim pomarańczowym kwiatem. Do paska na brzuchu pieska przymocowany był patyczek, na którym powiewało kółko z różowej koronki, przypominające parasolkę z falbankami.

Jake także wybuchnął śmiechem.

Wkrótce Poco odnalazł swego pana, który, śmiejąc się, wziął na ręce swego wystrojonego przyjaciela.

Nastroje - tak jak i tempo marszu - stały się bardziej dziarskie. Późnym popołudniem rozdzielone dotąd człony wielkiej armii Wellingtona połączyły się. Nastroje wszystkich poprawiły się jeszcze bardziej dzięki świątecznej atmosferze towarzyszącej spotkaniom przyjaciół, którzy dzielili się wieściami o wydarzeniach ostatnich tygodni.

Następnego ranka wzdłuż kolumny przebiegły szept, że Vitoria, ten lśniący jasnym światłem klejnot północnej Hiszpanii, jest już zaledwie o kilka godzin drogi. Większość ludzi była doskonale świadoma faktu, że właśnie w Vitorii zatrzyma się wycofujący się Józef Bonaparte - brat Napoleona, marionetka, której francuski imperator powierzył tron hiszpański. Nazywany „niechcianym królem” przez hiszpańskich poddanych, sprzeciwiających się cudzoziemcowi na swym tronie, Jó-

zef w trakcie odwrotu obdzierał Hiszpanię z tyłu skarbów, ile tylko dawało się wywieźć. Złoto, srebro, dzieła sztuki - wszystko to zostało upchnięte na wozach, których kolumna towarzyszyła mu w ucieczce.

Późnym popołudniem Jake przypadkiem znalazł się w pobliżu taborów, przy których szła Rachel. Zsiadł więc z konia i zaczął iść obok niej.

- A więc to jutro? - zapytała Rachel.

- Na to wygląda - odparł.

- Wśród żołnierzy daje się wyczuć nastrój oczekiwania.

Można by nawet powiedzieć, że to gorliwość.

- Zawsze tak jest przed bitwą - powiedział Jake.

Rachel spojrzała na niego pytająco.

- Nie rozumiem tego. Jutro wielu może zginąć albo odnieść rany. A mimo to panuje tu wręcz jakaś radość.

- Żaden żołnierz nie myśli, że to właśnie on znajdzie się pomiędzy rannymi czy zabitymi. Jesteśmy już blisko celu.

Właśnie po to maszerowaliśmy. I to ich cieszy.

- Mężczyźni! Chyba nigdy nie zrozumieć, dlaczego postępują w ten sposób.

Jake zaśmiał się i spojrzał na nią przekornie.

- Być może więc powinnaś się skupić tylko na jednym, że by zrozumieć wszystkich.

W odpowiedzi Rachel uśmiechnęła się szeroko.

- Być może powinnam. Masz na myśli konkretną osobę?

- Nadziałem się na własną minę - powiedział Jake, ale nie czuł się dość pewny siebie, żeby odpowiedzieć jej na pytanie.

Po chwili milczenia Rachel zapytała, tym razem już poważnie:

- Jakie będą jutro nasze szanse?

- Pół na pół, powiedziałbym. My mamy więcej ludzi, ale oni mają znacznie więcej ciężkiej artylerii. Jak w przypadku większości bitew, o wszystkim zadecydują zapewne dwa czynniki: szczęście i dowodzenie.

- Słyszałam, że król Józef wydaje się być bardzo pewien jednego i drugiego - powiedziała Rachel. - Czy to prawda,

że wybudował platformy widokowe, żeby kobiety i mieszkańcy miasta mogli przypatrywać się jego zwycięstwu? Jake skinął głową.

- To właśnie przekazali nam nasi szpiegzy.

- Cóż za pewność siebie!

- Chciałaś powiedzieć: „cóż za arogancja”, czyż nie? - zapytał.

- Czasami bardzo wąska granica oddziela pewność siebie od arogancji - odparła. - Król Józef przywoździ mi na myśl starożytnego króla, który przed wyruszeniem na Persję zapytał wyroczni delfickiej, jaki będzie rezultat jego wyprawy. Usłyszał, że jeżeli zaatakuje Persję, upadnie potężne imperium.

Jake podjął opowieść.

- To Krezus. Przekroczył rzekę Halys i jego własne imperium zostało zniszczone. Zapomniał zapytać, o jakie imperium chodziło.

- Być może ten Francuz też zapomniał o jakimś istotnym szczególe - powiedziała Rachel.

- Możemy tylko mieć taką nadzieję.

W tym momencie dotarli na szczyt wzgórza i ich oczom ukazała się przepiękna dolina leżąca u ich stóp. Pomiędzy zieloną i bujną roślinnością wiała się rzeka Zadorra. Tu i ówdzie pasły się owce. Dolina sprawiała złudne wrażenie oazy spokoju.

- Och, jak tu pięknie - powiedziała Rachel z zachwytem.

- W rzeczy samej - zgodził się Jake. Wskazał na coś w oddali. - Tam jest Vitoria. - Objął Rachel ramieniem, żeby skierować jej wzrok w odpowiednim kierunku. - Nie ta mała wioska na pierwszym planie, tylko to miasto za nią.

Pomiędzy nadciągającymi sprzymierzonymi oddziałami a Vitorią rzeka meandrami toczyła swoje wody przez dolinę, układając się w cztery wielkie zakola. W oddali Jake i Rachel mogli dostrzec także obozowiska francuskich żołnierzy, rozciągające się od ich brzegu rzeki aż po miasto Vitoria.

- To nie będzie łatwe. Jest kilka mostów, ale na pewno będą silnie bronione. - Tkwiący w Jake'u żołnierz bardziej myślał teraz na głos, niż konwersował z Rachel.

Ale ona wydawała się go rozumieć. I to go uderzyło - że

ona zawsze wydawała się rozumieć. Jednak teraz nie miał czasu zastanawiać się nad tym.

- Chodź - powiedział. - Musimy zejść z tego wzgórza i rozbić własny obóz, zanim przeszkodzą nam ciemności.

16

Dla Rachel dzień bitwy pod Vitorią zaczął się bardzo wcześnie. Po niespokojnie przespanej nocy obudziła się zmarznięta od wilgotnej mgły. Kiedy krzątała się, żeby ożywić prawie wygasłe ognisko i nastawić imbryk na wrzątek do herbaty, dołączył do niej Jake.

- Wcześnie dziś wstałeś - powiedziała.

- Nie mogłem spać. Zbyt wiele drobnych spraw, wymagających uwagi.

- Ten deszcz wszystko utrudni, prawda? - zapytała.

- Mógłby, ale sądzę raczej, że nasze oddziały dostrzegą w nim dobry omen, znak od Boga.

- Znak od Boga? - Rachel nie starała się nawet ukryć sceptycyzmu.

- Tak, madam! - powiedział dobitnie Jake. - Naszym największym zwycięstwom w tej kampanii towarzyszyły deszcze i burze. Badajoz. Salamanka. I teraz Vitoria.

- Jeszcze nie zwyciężyliśmy.

- Jeszcze nie. - Jake uśmiechnął się do niej promiennie.

Rachel uciekła spojrzeniem w bok i zajęła się przygotowaniem herbaty. Zaniepokojona, a nawet pełna obaw, nie chciała, żeby dostrzegł troskę w jej oczach. Tego dnia Jake potrzebował wiele optymizmu i starała się go nim natchnąć.

Potem Rachel zgłosiła się do MacLachlana. Pracował w wielkim namiocie szpitalnym, który rozstawiono wcześniej, by pomieścić żołnierzy rannych w potyczkach na trasie

209

przemarszu. Ci mieli powrócić wkrótce do swoich normalnych obowiązków. Inni, poważniej ranni, zostali już odesłani do szpitali w pobliżu portów. Zastała Maca przy stole pod płóciennym zadaszeniem przy wejściu do szpitala. Uważnie studiował naprędce naszkicowaną mapę, a Ferguson zaglądał mu przez ramię.

- Ta rzeka stwarza problem - powiedział Mac. - Musimy ulokować szpital po jej drugiej stronie, ale nie możemy tego zrobić, dopóki nie znajdą się tam nasi ludzie.

- Zaś do tej pory - dodał Ferguson - szpital będzie już bardzo przydatny.

- Całe szczęście, że nie potrzeba wiele czasu na rozłożenie ruchomego szpitala. - Rachel starała się dodać im otuchy.

Mac skinął głową.

- Tak. Przynajmniej na tę innowację zgodził się lord, kiedy McGrigor ją zaproponował.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego lord Wellington odrzucił plan McGrigora, by wykorzystać ambulansy do transportowania rannych - powiedział Ferguson niemal płaczącym tonem.

- Ja także nie rozumiem - odparł Mac. - Dobrze służyły Francuzom, podczas gdy nasi biedni chłopcy nadal są przywożeni do nas na łapu-capu, jak tylko się da.

- Można by pomyśleć, że stary Nosal odrzucił ten pomysł tylko dlatego, że wcześniej zaaprobował go Napoleon - powiedział Ferguson z wyraźną ironią.

- Tak. To okropna myśl. - Ton Maca był równie niechętny.

Rachel przeglądała instrumenty chirurgiczne, upewniając się, czy wszystkie są czyste.

Usłyszeli pierwsze odgłosy ognia artyleryjskiego zaraz po ósmej, ale nowi ranni nie pojawili się jeszcze przez godzinę. Jednak i wtedy było ich niewielu. Mac miał rację, przewidując, że przeprowienie się przez Zadorrę nie pójdzie szybko. Wreszcie ktoś przybył z wiadomością: „Przeszliśmy!” i cały zespół medyczny znowu się spakował i przekroczył rzekę, korzystając z jednego z kilku mostów.

Pospiesznie rozłożyli swój ruchomy szpital na dziedziń-

cu klasztoru, który kiedyś był samodzielnie utrzymującą się zakonną społecznością w pobliżu wioski Arinez. Klasztor, jak z przerażeniem dowiedziała się Rachel, został złupiony kilka tygodni wcześniej przez Francuzów, którzy podejrzewali przeoryszkę o dostarczanie informacji nieprzyjacielowi.

- Nieszczęsna kobieta była brutalnie torturowana - powiedział jej Ferguson. - A i nad kilkoma innymi zakonnicami znęcano się w najbardziej haniebnym sposób.

- Wielkie nieba! - zawołała Rachel. - Dlaczego? Większość Francuzów to także katolicy.
Ferguson wzruszył ramionami.

- Najwyraźniej dostrzegają ogromną różnicę między francuskimi katolikami a hiszpańskimi katolikami.

Rachel potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- Zatem wszystkie zakonnice stąd odeszły?

- Nie. Część nadal tu jest. Jednak większość uciekła. Spośród tych, które pozostały, niektóre zaoferowały pomoc, kiedy dowiedziały się, że zamieniamy ich siedzibę na szpital.

- To wielkodusznie z ich strony.

- Prawdziwie po chrześcijańsku, rzekłbym - dodał Ferguson.

Walki trwały cały dzień, ale ludzie pracujący w połowym szpitalu nie mieli jasnego obrazu, jak rozwijała się bitwa. Rannych żołnierzy wnoszono na dziedziniec, gdzie pospiesznie oceniano ich obrażenia. Szczęśliwców, którzy odnieśli tylko powierzchowne rany, zszywano i bandażowano. Inni musieli czekać, aż zapracowani chirurdzy znajdą dla nich czas.

Od czasu do czasu rozlegały się jęki bólu, ale na ogół w szpitalu było nadzwyczaj cicho. Rachel przypomniała sobie, że właśnie ta cisza ją zaskoczyła, kiedy po raz pierwszy weszła do przyfrontowego szpitala. Spokój w obliczu cierpienia był czymś zwyczajnym. Rachel nie raz była świadkiem, jak żołnierz, choć nie podano mu nic na złagodzenie bólu, leżał spokojnie, podczas gdy chirurg amputował mu ramię albo nogę.

Zapamiętała zwłaszcza pewnego kapitana, wyraźnie starszego od większości oficerów równych mu stopniem. Kapitan leżał na stole operacyjnym całkowicie przytomny podczas ara-

putacji ramienia, strzaskanego na wysokości łokcia. Wciągnął tylko głęboko powietrze, kiedy chirurg przepiłowywał mu kość, i to wszystko. Gdy kikut został już zabandażowany, kapitan gwałtownie wstał, ale utrata krwi spowodowała, że zrobiło mu się słabo. Oparł się o towarzysza, ale wyprostowany zaczął iść w kierunku wyjścia. Po chwili odwrócił się.

- Och! Prawie bym zapomniał. Czy byłby pan tak uprzejmy, doktorze, i zdjął mój pierścień z tego czegoś? - Wskazał na stos amputowanych kończyn leżących w pobliżu stołu. - Moja żona byłaby niepokieszona, gdybym stracił ten drobiazg. To był jej ślubny prezent dla mnie.

Dzisiejsi ranni wykazywali się taką samą wytrzymałością. Rachel zadawała sobie pytanie, jaki jest przebieg bitwy. Chirurdzy i ich pomocnicy chwyтали tylko strzępki informacji. Nacechowane podnieceniem, często przeinaczone wieści od rannych i tych, którzy ich przynosili, nie pozwalały personelowi medycznemu w pełni odtworzyć tego, co działo się w ciągu dnia.

- Nigdy nie widziałem, żeby Francuzi tak podwijali ogony i wiali, jak dzisiaj.

- Właśnie przeszliśmy przez most. Bez jednego strzału.

- Te ich ciężkie działa na wzgórzu dały się nam we znaki.

- Mosty były nienaruszone i słabo bronione. Trafiło się nam.

- Co za głupota ze strony Józefa. Wierzcie mi, gdyby Soult dowodził, to by była zupełnie inna historia!

- Dlaczego Soulta tu nie ma?

- Słyszałem, że został wezwany, czy raczej odesłany, do Paryża.

- To dla nas szczęśliwy traf, że dobrego wodza Soulta zastąpił ten nieudacznik Józef. Ciekawe, dlaczego Napoleon na to pozwolił?

- Ostrzał z dział jest głośny i przeraża, ale strzały ze strzelb są o wiele bardziej niebezpieczne.

- Przynajmniej dzisiaj nie będziemy głodni, tyle tam martwych owiec.

- Czy to prawda? Dopadli pułkownika?

Spiesząc od pacjenta do pacjenta, Rachel usłyszała to peł-

ne niepokoju pytanie, które ranny Szkot zadał dopiero co położonemu na sąsiedniej pryczy towarzyszowi.

- Tak. Ale do samego końca zachowywał się jak na Szkoła przystało. Kazał nam wnieść się na szczyt wzgórza, żeby obserwować działania regimentu. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Ufam Bogu, że to będzie dzień triumfu dla Anglii”.

Rachel poruszyła ta relacja o śmierci dzielnego człowieka, ale na Boga! tego dnia raniono lub zabito tylu dzielnych ludzi!

Wczesnym popołudniem Ferguson wziął ją pod ramię i poprowadził kruzgankami do ogrodu przylegającego do przyklasztornej kaplicy.

- Pracuje pani bez przerwy od pięciu godzin - powiedział, delikatnie popychając ją, by usiadła na kamiennej ławce. - Potrzebuje pani odpoczynku. Proszę. - Wręczył jej kawałek chleba i trochę sera.

Zaprotestowała.

- Tak samo pan, Mac i inni pracujecie tu cały dzień.

- Mężczyźni są twardsi - odparł, siadając obok niej.

- Co za odpowiedź! - Jednak z wdzięcznością przyjęła jej dźwignię i skorzystała też z okazji, by usiąść choćby tylko na chwilę. - Jak się rzeczy mają?

- Nadal nic pewnego, ale wydaje się, że ataki lorda Wellingtona z czterech czy pięciu stron naraz pomieszały Francuzom szyki pomimo ich taktycznej przewagi i silniejszego uzbrojenia.

Rachel zmarszczyła czoło, zmieszana, ale zanim zdążyła poprosić o wyjaśnienie, Ferguson już jej odpowiedział.

- Najwyraźniej Francuzi spodziewali się jednego wielkiego ataku frontального. Kiedy zdali sobie sprawę ze swojej pomyłki, było już za późno na zmianę pozycji.

Centralnym punktem bitwy - miejscem najbardziej zaciętych, najbardziej desperackich walk - było wzgórze nad wioską Arinez. Rachel wiedziała, że w samym środku tych walk znalazł się regiment Jake'a. Przez cały dzień starała się wynajdywać jakieś zajęcia, żeby nie zostawiać sobie czasu na rozmyślanie. Teraz, w chwili odpoczynku, jej troski napłynęły z powrotem.

Ferguson wstał.

-Ja muszę iść, ale pani niech tu zostanie przez co najmniej dziesięć minut.

Rachel posiedziała jeszcze pięć minut i dokończyła posiłek. Potem i ona dołączyła do bitwy toczonej w szpitalu - bitwy o ocalenie rannego przed śmiercią lub kalectwem. Przyszło jej do głowy, że ta praca przypominała trochę sprzątanie bałaganu po niszczącym wszystko wokół dziecku. Jednak postęпки tego dziecka, zwanego wojną, były celowe i śmiertelnie groźne.

Z zamyślenia wyrwało Rachel pojawienie się pewnego szczególnego pacjenta. Przyniesiono kaprała Collinsa z kulą z muszkietu nadal tkwiącą w piersi.

- Cholera! To boli! - powiedział, kiedy nosze znalazły się na ziemi. Wtedy zauważył stojącą nieopodal Rachel. - Prz... przepraszam... pani Brady. - Oddychanie przychodziło mu z trudem.

Jeden z muzyków, którzy znosili rannych, obrócił się twarzą do Rachel i plecami do Collinsa. Nieznacznie skinął głową i powiedział:

- To na nic.

Rachel przyklękła przy młodym człowieku i odsłoniła jego nasiąkniętą krwią bluzę, żeby zbadać ranę. Muzyk miał rację.

Przybrała spokojny wyraz twarzy, zanim pozwoliła, by jej spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem kaprała Collinsa.

- Ja nie... nie da rady, żeby... prawda? - zapytał z pewnym zdziwieniem.

- Nonsens. Oczywiście, że da pan radę - skłamała. - Po prostu musimy tu trochę połatać.

- Połatać? - Zakaszła i na jego wargach pojawiły się czerwone bąbelki. Rachel otarła je skrajem fartucha i zawołała na sanitariusza, żeby przyniósł miednicę z wodą i chustę.

- Pić - wyszeptał Collins.

Rachel odkręciła manierkę, którą zawsze nosiła przy sobie na froncie, opiekując się rannymi. Podtrzymała kapralowi głowę, kiedy łapczywie pił.

- Czy... napisze pani... do mojej... matki? - zapytał.

Rachel wzięła go za rękę, drugą dłonią ścierając czarne pozostałości prochu z jego twarzy.

- Oczywiście, zrobię to.

- Humphrey... ma jej adres. - Collins znowu zakaszłał. - Niech jej pani powie... powie... że nie będę mógł... pozbierać... jabłek. Musi sprowadzić... Neda, żeby... - Znow zaczął kaszleć.

Rachel ścisnęła jego dłoń i ponownie otatla mu twarz. Powiedziała łagodnie:

- Nic nie szkodzi, Pete. Ona wie.

Odwrócił twarz w kierunku, skąd dobiegał jej głos, ale oczy już zachodziły mu mgłą.

- Mamo? Czy... to ty? Boli... Mamo.

- Wiem, kochanie. - Rachel z trudem powstrzymywała łzy.

Pochyliła się i pocałowała umierającego w czoło.

Ścisnął mocniej jej dłoń.

- Mamo? - Słowo utonęło w długim, drżącym westchnieniu i uścisk na dłoni Rachel zwiotczał. Kapral Collins odszedł.

- Żegnaj, Pete - szepnęła, drugą dłonią przesuując po jego twarzy i zamykając mu oczy. Teraz mogła pozwolić sobie na łzy, siedząc nieruchomo przez kilka minut i trzymając bezwładną dłoń chłopaka, który zaledwie dzień wcześniej dzielił się ze wszystkimi przepelniającą go radością. Wreszcie usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu. Podniosła się, by wrócić na swój front, do walki ze śmiercią.

Bardzo wyczerpany major Forrester tego wieczora długo szukał swojego obozu. Całe obozowisko, nie tylko jego namioty, wyglądały jak opuszczone. Hastings, z ręką na temblaku, był już na miejscu wraz z Traversem. Na twarzach obydwu malowało się potworne znużenie. Jedli posiłek, upichcony naprędce przez Henry'ego i przez nich samych.

Jake rozejrzał się wokoło i zapytał:

- Gdzie jest Ra... pani Brady?

- W szpitalu - odpowiedział Travers.

- Nadal?

- Nadal.

- Jeżeli wkrótce nie wróci, Henry, proszę iść i ją sprowadzić.

- Tak jest, panie.

Jake wszedł do swojego namiotu i tęsknie spojrzął na przyczę. Jeszcze nie, starszku, powiedział do siebie. Musisz się najpierw przekonać, czy z nią wszystko w porządku. Ochlapał sobie twarz zimną wodą, stał z niej sporo brudu i wrócił do towarzyszy.

Przyjął od Henry'ego talerz z jedzeniem.

- Jak rozumiem, zaopatrzenie nareszcie nas dogoniło.

Odezwał się na to Hastings.

- Nie, ale to nie ma znaczenia. Dookoła jest tyle zabitych owiec, że mięsa starczy dla wszystkich. Twój zdumiewający Henry zdołał nawet zdobyć trochę warzyw od jakiegoś wieśniaka.

- Co ci się stało? - Jake wskazał na ramię Hastingsa.

- Nic poważnego. Kula tylko mnie drasnęła, naprawdę.

Wydarła mi jednak dziurę w mundurze - powiedział z niesmakiem.

Trzej oficerowie omawiali wydarzenia minionego dnia, a każdy starał się ułożyć ze strzępków informacji pełny obraz całości. Do godzin popołudniowych brytyjscy alianci przełamali środkową część francuskiej obrony. Dwie godziny później nadeszła wieść, że król Józef zarządził odwrót wszystkich swoich sił. To wywołało kompletną panikę wśród mieszkańców miasteczka i cywilów wędrujących z armią francuską. Zarówno wycofującym się żołnierzom francuskim, jak i napierającym na nich aliantom, wiele kłopotów sprawiały blokujące drogę tłumy ciągnące za wojskiem, a później porzucone przez nich pojazdy.

- Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem! - stwierdził Hastings. - Tam były setki pojazdów, chłopskie wozy, elektryczne karoce i podwozy, i... nie wiem, jak to ponazywać!

- I to wszystko porzucone w jednej chwili - dodał Travers.

- A miejscowi Hiszpanie i nasze własne wojska pełzały po całym tym dobrze niczym pszczoły po opadłych owocach!

- Ten sam problem, co zawsze. - Hastings zaproponował najedzonemu już Jake'owi kieliszek brandy. - Kiedy tylko

brytyjski żołnierz poczuje okazję do rozpusty i plądrowania,
cały porządek diabli biorą!

- A tym razem to dopiero jest łup! - powiedział Travers. -
Józef i jego ludzie zrabowali z Hiszpanii, co tylko się dało.
Złoto i srebro, zarówno z kościołów, jak i z domów. I obrazy!
Wycinali je prosto z ram i zwijali, żeby łatwiej przewozić.

- Nie wspominając już o szkatułach i kufrach z biżuterią i
pieniężmi - dodał Hastings - a także drogocennych szatach -
zachichotał. - Widziałem jedną z naszych kobiet, jak
rozbierała się tu, na środku ulicy, żeby przywdziać wymyślną
suknię balową! Ściągnęła wszystko aż do kusej bielizny,
mówię wam! Nie wiem, jak ona sobie poradzi na długim szla-
ku w tej sukni, kiedy za jakiś czas podejmiemy marsz.

- Och, jakoś sobie poradzi. - Jake przez chwilę siedział w
milczeniu, popijając małymi łydkami brandy i pozwalając, by
znużenie powoli opadało. Wtedy przyciągnął jego uwagę jakiś
ruch poza granicą światła z ogniska. W zasięgu wzroku majora
znalazła się Rachel w towarzystwie muzyka. Teraz Jake
bardziej odczuł niż świadomie pomyślał, że naprawdę może
się odprężyć.

- Kapitan MacLachlan polecił mi odprowadzić panią Bra-
dy do jej kwatery - oznajmił muzyk, który nie mógł mieć
więcej niż czternaście lat. - Kapitan powiedział, że mam ją
zabrać, czy będzie tego chciała, czy nie. No to i jest. - Chłopak
zakończył z nutką triumfu w głosie.

- Dziękuję ci, synu - powiedział Jake, stawiając kieliszek i
podnosząc się z miejsca. Zaalarmowało go wyczerpanie,
wyraźnie widoczne w ruchach Rachel, i pełen cierpienia
wyraz jej oczu.

- Och, Jake! - Potknęła się, a on chwycił ją w ramiona.
Przywarła do niego, rozpaczliwie szukając jedności z drugą
ludzką istotą i nie zważając na patrzących na nich ludzi. -Och,
Jake. - Jej głos zamierał. - On nie żyje. Nie byłam w stanie go
uratować.

- Kto? Kto nie żyje, Rachel? - Jake starał się, by jego głos
brzmiał spokojnie i dodawał jej otuchy.

- Pete. Kapral Collins.

- Ach, Boże. Nie. - Jake poczuł falę żalu i gniewu z powodu straty kolejnego człowieka. Przytulił Rachel jeszcze mocniej, dzieląc jej ból. Wreszcie, choć niechętnie, puścił ją i skierował w stronę stołka, na którym poprzednio sam się dział. Wsunął jej w dłoń kieliszek brandy. - Masz. Wypij to.

Rachel posłusznie wypiała, po czym zaczęła kasłać.

- Robi się od tego ciepło w środku.

- Tak. Tak właśnie ma być. - Jake przykucnął przed nią i skinął na Henry'ego, żeby przyniósł coś do jedzenia. Kiedy talerz znalazł się na kolanach Rachel, chciała zaprotestować, ale Jake rozkazał stanowczo: „Zjedz to”. Dopiero kiedy z początku z ociąganiem, a potem z apetytem pochłonęła już prawie wszystko, Jake powiedział:

- Teraz opowiedz nam o Collinsie.

Relacja Rachel o śmierci młodego człowieka zasmuciła wszystkich. Cicho przypomnieli jedną czy dwie anegdoty o nim, jak to czynią ludzie, wspominając kogoś, kto odszedł. Potem siedzieli w milczeniu, każdy zatopiony we własnych wspomnieniach.

- Henry - Jake wydał wreszcie polecenie. - Proszę, idź, od szukaj Humphreya i przekaz mu tę wiadomość.

Pół godziny później Henry powrócił i powiedział tylko:

- Przyjął to dosyć ciężko.

- Tego się spodziewałem - odparł Jake.

Travers i Hastings udali się już na spoczynek i Jake nalegał, żeby Rachel zrobiła to samo. Przemknęły mu przez myśl słowa: „sen, niewinny sen, który zwikłane węzły trosk rozplata”*, po czym, siedząc jeszcze przez chwilę beczynn timer, pomyślał ze smutkiem, że sam już nie pamięta, skąd pochodzi ten cytat.

Rachel obudziła się następnego ranka, czując się niemal tak samo zmęczona i przygnębiona, jak poprzedniego wieczora.

Zacisnęła powieki, chroniąc oczy przed słonecznym

*William Shakespeare, „Makbet”, Akt 2, scena 2. Przekład Józefa Paszkowskiego, wyd. Nasza Biblioteka Ossolineum, Wrocław 1970, str. 88.

blaskiem, i próbowała na powrót usnąć, ale była już rozbudzona. Równie dobrze mogła stawić czoła porankowi. Przy najmniej tego dnia nie padało. Rachel wyszła ze swojego namiotu i zobaczyła, jak Henry pakuje rzeczy, żeby je później przenieść. Przywitała się z nim i nałożyła sobie śniadanie złożone z resztek gulaszu i herbaty.

- Czy major już wyszedł? - zapytała.

- Tak, proszę pani. Wygląda na to, że lord Wellington nadal ma zamiar natychmiast wyruszyć w pościg za Francuzami.

- Naprawdę? - Rachel była zaskoczona; wiedziała wszak o pijaństwie i rozpuszceniu, jakim wczoraj oddawali się żołnierze.

- Lord Jacob powiedział, że jeśli nie otrzymamy rozkazu, by ruszać dalej, zapewne przeniesiemy się do miasta.

- Rozumiem. Postaram się zostawić moje rzeczy w porządku, kiedy wyjdę do szpitala.

- Słusznie. Thompkins i ja dopilnujemy przeprowadzki, z pomocą Juana, oczywiście. - Henry uśmiechnął się do Juana, który właśnie wrócił od swoich kóz. - Jeden z nas przyjdzie po panią i odprowadzi do naszej nowej kwatery.

Kiedy Rachel dotarła do szpitala, zastała MacLachlana wściekłego jak nigdy dotąd. Już wchodząc na dziedziniec mogła usłyszeć jego okrzyki. Na dziedzińcu kilka osób wyraźnie skamieniało, słuchając wrzasków lekarza.

- Ty głupi, bezmyślny, niekompetentny, cholerny idioto! - wrzeszczał Mac. Język i ton całkowicie nie przystawały do tego wielkiego, łagodnego, barczystego mężczyzny. Mac zwracał się do kogoś stojącego w kaplicy, w której - jak wiedziała - na słomianych pościelach leżało wielu rannych.

- Co się dzieje? - Rachel zapytała porucznika Fergusona.

- Brewster - odparł Ferguson.

- Drugi chirurg?

Ferguson przytaknął.

Znowu usłyszeli głos Maca.

- Zabieraj swoje manatki i swoją żalostną osobę precz z tego szpitala, i to już! Jeżeli kiedyś jeszcze przyłapię cię w po-

blizu jakiegoś rannego, dopilnuję, byś dostał taką chłostę, że
pożałujesz, żeś się w ogóle urodził!

Padła słabo słyszalna odpowiedź, której treść nie dotarła do
osób zgromadzonych na dziedzińcu, po czym Mac odezwał
się znowu:

- Cóż, poradzimy sobie równie dobrze bez takich, jak ty.

Drzwi kaplicy otworzyły się z trzaskiem i Mac wypadł na
zewnątrz. Jego spojrzenie padło na Rachel i lekarz zmieszał
się.

- Przykro mi, że pani tego słuchała, pani Brady.

Rachel tylko skinęła głową, a on mówił dalej.

- Brewster! Nic dziwnego, że żołnierze nazwali go „Rzeź-
nik Brewster"! Zabił dziś rano wspaniałego człowieka. Tutaj,
na stole operacyjnym. On naprawdę nie musiał umierać.

Niech to piekło pochłonie! On nie musiałby nawet stracić tej
nogi, ale Brewster po prostu uwielbia odrąbywać kończyny.

Myśli, że jest jakimś przekętym drwalem czy co. - Mac
przerwał na chwilę. - Przepraszam za mój język...

- Nic nie szkodzi. Z pewnością ma pan powód do gniewu. -
Rachel wiedziała, że ostatniej nocy Mac zapewne nie spał
dłużej niż dwie godziny.

- Każdy student pierwszego roku potrafiłby wykonać tę
operację bez przecinania głównej tętnicy. Potem on po prostu
pozwolił, że człowiek wykrwawił się na śmierć.

- Wielkie nieba! - wyszeptała Rachel.

Wydawało się, że Mac nie jest w stanie pohamować
gniewu.

- Wymagają, żeby krawcy, szewcy i stolarze przeszli naj-
pierw porządne terminowanie w Anglii, ale każdy, dosłowo
nie każdy może się najać do armii jako drugi chirurg! Mó-
wię pani, to po prostu zbrodnia. Morderstwo, ot co.

Rachel przytaknęła i Mac na chwilę się uspokoił. Potem
posłał jej ponury uśmiech.

- To nie jest pierwszy niekompetentny chirurg w naszych
szeregach. Ale na Boga! Nienawidzę, gdy niepotrzebnie
umierają ludzie.

Na tym jego tyrada się zakończyła. Brewster odszedł, a in-
ni zajęli się najpilniejszą pracą. Nadal docierali ranni z pola

bitwy, z których wielu zostało wczoraj zapomnianych przez kolegów ogarniętych szaleństwem płańdrowania francuskich taborów. Sam szpital również miał zostać przeniesiony do miasta odległego o jakieś cztery czy pięć mil.

Nowy szpital ulokowano w ogromnej katedrze w mieście. Rachel zastanawiała się, jak to jest z budowlami kościelnymi, że zawsze wydawały się stanowić odpowiednie miejsce dla pracy medyków. Wiedziała, że chodziło właśnie o to - o miejsce. Dużo miejsca. Zapewne jednak nie szkodziło właśnie w domu Bożym udzielać pomocy tym, którzy jej tak potrzebowali.

Późnym popołudniem tempo ich pracy zmalowało. Rachel była już całkiem gotowa do wyjścia, kiedy Juan przyprowadził dwa muły, żeby zabrać ją do nowej kwatery. Na zewnątrz się ochłodziło. Rachel rozmawiała z Juanem, posługując się łamaną angielszczyzną i łamanym hiszpańskim. Poco biegł truchcikiem obok muła prowadzonego przez Juana.

Vitoria była miastem otoczonym murami, o wąskich, krętych, brukowanych uliczkach. Nawet w ciągu tak krótkiego czasu Juan zdążył nauczyć się drogi na pamięć. Doprowadził Rachel do przestronnej stajni i wyjaśnił, że służyła ona ich domostwu i dwóm sąsiednim. Juan zsiadł z muła, otworzył wrota stajni i wprowadził oba muły do chłodnego, ciemnego wnętrza.

- Ja... pomóc senora na dół? - zapytał Rachel.

Wzrok Rachel nie przyzwyczaił się jeszcze do mrocznego wnętrza stajni. Bardziej wyczuła, niż zobaczyła, że w pobliżu poruszył się jakiś kształt.

- To nie będzie potrzebne - warknął męski głos. Czyjaś ręka odepchnęła Juana.

Zaskoczona Rachel obróciła się.

- To ty! - Patrzyła teraz prosto w niezbyt czystą twarz podbitego Ralpa Mortona.

Morton uśmiechnął się od ucha do ucha, aż zęby zabłysły mu na tle ginącej w ciemności twarzy, pokrytej parodniowym zarostem.

- No. To ja, ko teczko. Miałś być moja, to teraz będziesz. - Morton brutalnie ściągnął ją z muła.

- Nie! - krzyknęła Rachel. Potknęła się i byłaby upadła na ziemię, ale on już ją trzymał. Poczula, że jej kostka wykręca się boleśnie.

- Nie! - wrzasnął Juan i uderzył mężczyznę, ale ten tylko pacnął dziecko niczym natrętą muchę, ani na chwilę nie zwalniając chwytu na ramieniu Rachel. Wtedy POCO wydał z siebie złowrogi pomruk i zatopił ząbki w nodze Mortona.

Morton potrząsnął nogą i wymierzył psu kopniaka.

- Nie! - zawołał znowu Juan. Chwytał ulubieńca na ręce i wybiegł na zewnątrz.

- Dobrze, że uciekł - powiedział Morton. - Niepotrzebny nam tu bachor, żeby się kręcił, jak mamy ze sobą sprawy do załatwienia, co nie? - Chwytał Rachel jeszcze mocniej i pchnął ją w kierunku pustej przegrody.

Potem przyciągnął ją do siebie i Rachel poczuła woń jego długo niemytego ciała, zepsuty oddech i odór tytoniu i brandy. Morton pochylił się, żeby ją pocałować, ale odwróciła twarz.

- Puść mnie - powiedziała, starając się ukryć przerażenie.

- Ani mowy nie ma, moja śliczna. Już za długo na to czekałem. - Złapał ją za włosy i przyciągnął jej głowę na tyle, żeby dosięgnąć jej warg i brutalnym pocałunkiem stłumić krzyk. Popchnął Rachel na stertę słomy i przygniótł własnym ciężarem. - Nie szarp się i lepiej się tym ciesz, bo i tak zamierzam wziąć to, co od początku było moje!

- Ja nigdy...

Rachel broniła się rozpaczliwie, aż wreszcie Morton chwycił ją za podbródek, zmuszając, by spojrzała mu w twarz.

- Jeśli się dalej będziesz ze mną szarpać, kobieto, to ci przyłożę, no i wcale nie będę miły.

- Nie. Nie rób tego. Proszę — błagała.

- Ostrzegłem cię. - Morton zamachnął się, żeby uderzyć. Ale cios nie padł.

Zamiast tego potężna pięść grzmotnęła w głowę Mortona, tak że wyładował na ścianie przegrody. Kiedy Morton leżał oszołomiony, Rachel niezdarnie stanęła na nogi.

- Jake! - zawołała z ulgą.

- Odsuń się - nakazał jej Jake.

Rachel posłuchała go. W kostce czuła przeszywający ból.

Była przerażona, ale też zawstydzona i zakłopotana.

Jak przez mgłę obserwowała to, co działo się potem. Jake poderwał Mortona na nogi, ale zanim podpity napastnik zdołał stanąć pewnie, Jake z całej siły trzasnął go w twarz.

Niedoszły gwałcieł szybko się podbierał i starał się wymierzyć kopniaka w krocze Jake'a. Chybił celu, ale powalił przeciwnika na podłogę i skoczył mu do gardła, najwyraźniej chcąc go zadusić. Zasłaniając się kolaniem akurat w chwili, gdy Morton rzucił się naprzód, Jake zadał mu nieplanowany cios prosto w genitalia. Morton zwinął się w kłębek, a z jego okrwawionych ust wydobywało się skomlenie.

Jake przykucnął i szarpnięciem uniósł głowę sierżanta.

Przemówił, a każde słowo brzmiało wyraźnie i dobitnie.

- Jeżeli jeszcze kiedykolwiek choćby na nią spojrzysz, za biję cię. Zrozumiałeś?

Morton tylko gapił się tępym wzrokiem.

- Zrozumiałeś mnie? - odezwał się znowu Jake.

Morton skinął głową. Jak większość nędzników, lubujących się w znęcaniu nad słabszymi, wobec silniejszego okazał się tchórzem.

Jake podniósł się, postawił sierżanta na nogi i wypchnął go za drzwi.

Potem, nadal oddychając ciężko, odwrócił się, żeby wziąć Rachel w ramiona.

Jake tulił w ramionach drżącą Rachel, ona zaś objęła go, wtuliła twarz w jego pierś i wybuchnęła niepohamowanym płaczem.

- Sza. Już dobrze, Rachel. Już jesteś bezpieczna. - Jake kołysał ją w ramionach. - Nie pozwolę, żeby ktoś cię skrzywdził. Proszę, przestań płakać, najdroższa.

Sam nie zauważył, jak czułym słowem ją nazwał. Teraz, kiedy zagrożenie minęło, on także drżał z kipiących w nim emocji - z obawy o Rachel i ślepej furii, jaką odczuwał wobec potwora, który nie tylko ośmielił się ją tknąć, ale chciał ją skrzywdzić. Płacz Rachel ucichł i Jake oparł głowę na jej głowie, czerpiąc z bliskości ukochanej tyle samo pociechy, ile dawał jej. Nie miał pojęcia, jak długo stali tak, wtuleni jedno w drugie. Wreszcie Rachel poruszyła się lekko i Jake podniósł głowę. Wziął ją delikatnie za podbródek, by spojrzeć jej w twarz. I wtedy na policzku zobaczył siniec, a na dolnej wardze małe rozcięcie.

- Och, Rachel. - Jake nie potrafił wyrazić gniewu, jaki odczuwał, ostrożnie dotykając ustami jej policzka. - Tak mi przykro, że coś takiego ci się przydarzyło.

- Dzięki Bogu, że nadszedłeś w porę! - Rachel zadrzała. - Jake? - Przez długą chwilę spoglądała mu w oczy, a potem uniosła ramiona, by przysunąć jego głowę do swojej, i pocałowała go, początkowo nieśmiało, potem z pasją.

Jake był zaskoczony. Po chwili odpowiedział na jej pragnienie swoim własnym. Wargi Rachel rozchyliły się zapraszająco. Jake gorliwie przyjął to, co mu zaofiarowała.

Oderwał usta od jej ust tylko po to, by delikatnie muskać wargami jej powieki, policzki, nosek. Czuł, jak całe jego ciało przenika zachwyty nad cudownością tej chwili - i oczekiwanie na coś więcej.

- Rachel - szepnął. - My... ech... powinniśmy... może... Odsunęła się i uciekła spojrzeniem w bok, zawstydzona.

- Ja... Ja nie chciałam...

Jake uspokajającym gestem położył jej palec na ustach.

- Proszę. Niech ci nie będzie przykro.

Rachel znów podniosła wzrok i długo spoglądała mu prosto w oczy.

- Och, wcale nie jest mi przykro. Ja... cóż... to wydawało się jakoś tak... właściwie.

Przytulił ją mocniej.

- Mnie również. - Musnął wargami jej czoło, po czym puścił ją. - Musimy wracać. Thompkins przyjdzie tu wkrótce nakarmić zwierzęta.

- Tak - powiedziała krótko. Cofnęła się o krok, ale gdy tylko to zrobiła, krzyknęła z bólu.

- Co się dzieje? - zapytał zaalarmowany Jake.

- Moja kostka. Skręciłam ją, kiedy on... kiedy on ściągnął mnie z muła. Czy zechciałbyś podać mi ramię?

Zamiast tego Jake podniósł ją, jednym ramieniem obejmując ją pod ramiona, a drugim pod kolana, i ruszył w kierunku domu oddalonego o jakieś dwadzieścia czy trzydzieści jardów.

Rachel objęła go za szyję. Jake poczuł zapach czegoś, co stosowała do mycia włosów. Może to zioła? Tuż za drzwiami stajni czekał Juan ze swoim psem.

- Czy ten człowiek zranił sefiorę? - zapytał Juan we własnym języku, którego zawsze używał w rozmowie z Jake'em, chociaż jego angielszczyzna była coraz lepsza.

- Nie - odparł Jake. - A przynajmniej nie poważnie, dzięki tobie. Dobrze się spisałeś, Juan. Wykazałeś się bystrością.

Chłopiec zaczerwienił się z dumy, słysząc tę pochwałę, mruknął coś o zajęciu się kozami i znikł. Jake wniósł Rachel do domu, potem po schodach na górę do sypialni na pierwszym piętrze. Zawołał na Henry'ego, który wyszedł z kuchni na parterze.

- Przynies apteczkę, Henry. Jeżeli się nie mylę, musimy usztywnić tę kostkę.

- Tak jest, panie.

Na pierwszym piętrze były dwie sypialnie i salon. Jake wniósł Rachel do jednej z nich, którą wcześniej wraz z Henrym przeznaczyci właśnie dla niej. Henry i dwóch pozostałych ulokowało się w pokojach dla służby piętro wyżej. Jake posadził Rachel na niewielkiej sofie, która wraz z dwoma wyściełanymi krzesłami, małym stolikiem i ogromnym łóżkiem stanowiła umeblowanie pokoju. Przykleknął przed Rachel, kiedy nadszedł Henry, niosąc takie środki opatrunkowe, jakimi dysponowali.

- A teraz zajmijmy się tą kostką. - Jake wziął stopę Ra-

chel w dłonie i zaczął zdejmować solidny skórzany trzewik.

- Nie. Naprawdę. Nie ma takiej potrzeby. Ja sama mogę się tym zająć. - Rachel była wyraźnie zakłopotana intymnością tego gestu.

- Zaklinam panią, niech pani nie będzie cały czas taka niezadowolona, madam - powiedział z udawaną surowością. - Dziś twoja kolej, by zachowywać się jak przystało na grzeczną pacjentkę.

- Tak jest, sir - odparła z przesadną potulnością.

Jake uniósł brew, ale nie odpowiedział. Ostrożnie zdjął jej trzewik. Usłyszał, jak zaniepokojony Henry cicho gwizdnął.

- Już zrobiła się opuchlizna, panie.

- Tak. - Jake wziął w dłonie stopę Rachel, teraz w samej pończosze, i obmacał kostkę. Obracał stopą, starając się robić to możliwie najdelikatniej. Usłyszał bolesne westchnienie, ale Rachel nie płakała. - Wydaje mi się, że kość nie jest złamana - powiedział.

- Nie, nie sędzę, żeby była złamana - potwierdziła Rachel. - Przydałby się lód, ale skoro go nie ma, trzeba to ciasno zbandażować.

Henry chrząknął znacząco.

- Czy możesz zdjąć pończochę? - zapytał Jake, jak gdyby odczytując myśli Henry'ego.

Rachel oblała się rumieńcem.

- Tak. Proszę nie patrzeć.

Jake poczuł rozbawienie. Czyżby to ta sama kobieta, która całowała go tak namiętnie zaledwie kilka minut wcześniej? On i Henry posłusznie odwrócili się plecami i po chwili uszyszeli cichutki szelest jej ubrań i stłumiony jęk bólu.

- Już - powiedziała.

Oczywiście, bez pończochy na nodze opuchlizna była jeszcze bardziej widoczna. Jake ciasno owinał kostkę bandażem, mocno zawiązując jego końce. Miał cały czas świadomość, jak wiele intymności było w tym, co robił, bo najlżejszy dotyk jej nagiej skóry rozpałał jego zmysły.

- To powinno wystarczyć. Już jest lepiej - powiedziała Rachel lekkim tonem.

Nieco zbyt lekkim, pomyślał Jake. Czyżby więc i ona to poczuła?

- Przyniosę pani kolację, madam - oznajmił Henry, odkładając resztę bandaży.

- Przynies i dla mnie - poprosił Jake, po czym zwrócił się do Rachel: - To znaczy, jeżeli wolno mi się przyłączyć?

- Będzie mi ogromnie miło - odparła Rachel uprzejmie, lecz z zawstydzeniem.

- To dobrze. Tylko zmyję z siebie trochę tego kurzu i zaraz przyjdę.

Kiedy Jake wrócił, ubrany tylko w koszulę, spodnie i w wygodnych pantoflach na nogach, zauważył, że Rachel tymczasem umyła twarz, uczesała włosy i pozbyła się drugiego buta. Zobaczył też, że Henry nie tylko zdążył już przynieść jedzenie, ale także przysunął stolik w pobliże sofy i ustawił po drugiej stronie jedno z wyściełanych krzeseł.

- Widzę, że Henry jak zawsze wszystkim się zajął - stwierdził Jake.

- Nawet więcej. To wspaniały służący. Znalazł mi nawet laskę! - Rachel podsunęła Jake'owi laskę do obejrzenia.

- Dobrze się spisał. Ale nie wychwalaj go zbyt głośno, bo będę musiał podnieść mu pobory.

- I tak na pewno to zrobisz.

Posiłek był prosty, składał się z pieczonej jagnięciny, gotowanej marchewki i chleba. Jake był zdumiony, widząc deser

- ciasto z owocami.

- Henry powiedział, że znalazł je w spiżarni - wyjaśniła Rachel.

Gawędzili przyjaźnie o przyziemnych sprawach. Tak, liczba rannych dowożonych do szpitala zmalała. Nie, lord Wellington nie mógł wydać jeszcze rozkazu do wymarszu, gdyż jego oddziały nie byłyby w stanie go wykonać. Za jakiś czas miała się odbyć aukcja zdobytych dóbr. Rachel i Jake rozmawiali nawet o pogodzie - najwyraźniej o wszystkim, o czym tylko się dało, aby uniknąć mówienia o tym, co zaszło między nimi tak niedawno.

Kiedy Henry przyszedł, by zabrać tacę, przyniósł zastawę do herbaty oraz butelkę brandy i dwa kieliszki.

- Czy to wszystko, panie?

- Tak, Henry. Dziękuję i dobrej nocy.

Teraz Jake przeniósł się z krzesła na sofę, obok Rachel.

Objął ją ramieniem, przysuwając bliżej.

- A teraz... na czym stanęliśmy?

- N-na... na herbacie? - zapytała blahym tonem i wyciągnęła rękę po dzbanek.

Powstrzymały ją jego ręce.

- Herbata poczeka.

Pocałował ją wolno, ostrożnie, i został nagrodzony czułą odpowiedzią. Rachel nie zdradzała już nawet śladu poprzedniej nerwowości ani wahania; jej usta ochoczo szukały jego ust. Całował ją miejsce przy miejscu, wędrując wargami po twarzy i wzdłuż szyi. Wplotła palce w jego włosy, nie pozwalając mu się oddalić. Jej oddech stawał się coraz szybszy, tak samo jak jego.

Zaczął delikatnie pieścić jej piersi, przez cienki materiał sukni i halki czując twardniejące sutki. Ucieszył się, że tak jak większość młodych kobiet towarzyszących armii nie nosiła gorsetu. Westchnęła głośno, kiedy z wyczuciem pieścił jej pierś, ale zamiast cofnąć się, pochyliła się ku niemu, zachęcając go, by nie przerywał.

Sięgnęła po rąbek sukni i przesunęła jego dłoń po swojej zdrowej nodze, nadal osłoniętej pończochą umocowaną podwiązką nad kolanem. Gładził jej delikatną, ciepłą skórę nad podwiązką i czuł, jak gwałtownie reaguje jego własne ciało. Powędrował dłonią wyżej, odkrywając czekające tam na niego wilgotne tajemnice. Poczuł, jak zadrzała, ale też wyraźnie odprężyła się, z chęcią przyjmując jego pieszczoty.

- Rachel? - wyszeptał. - Jesteś pewna? Nie będzie już po wrotu, jeśli posuniemy się dalej.

Ujęła jego twarz w dłonie i spojrzała mu prosto w oczy.

- Wiem. I tak, jestem pewna. Pragnę cię, Jake. Pragnę tego. Z tobą.

Wstał, przytulił ją do siebie i zaniósł do łóżka.

Siedząc na skraju łóżka, Rachel pociągnęła i* końce wstążek, mocujących jej suknię.

- Pozwól mnie to zrobić. - Jake szybko poradził sobie ze ściągnięciem z niej sukni, którą rzucił na krzesło. - I halkę też - powiedział, pozbywając się ostatniej przeszkody.

Rachel nigdy dotąd nie uświadamiała sobie, jak powabne jest jej ciało. Teraz, czując na sobie wzrok Jake'a i słysząc, że wstrzymał oddech z podziwu, była jednocześnie uradowana i zmieszana. Bądź co bądź, Jake to nie tylko bardzo atrakcyjny mężczyzna, ale także lord, jeden z najbardziej uprzywilejowanych ludzi w Anglii. Zapewne nie mógł uskarżać się na brak powodzenia wśród kobiet.

- Jesteś piękna - szepnął.

Rachel podciągnęła koc i ułożyła się na łóżku, patrząc, jak Jake zdejmuje resztki ubrania i przygaszą lampy, lecz nie do końca. Onieśmielona przypatrywaniem mu się wprost, rzu-

Zaśmiał się.

- Wszystko w porządku, Rachel. Nie mam nic przeciwko temu, że na mnie patrzysz.

Upajała się jego widokiem. Przypominał się jej oglądany niegdyś rysunek, przedstawiający Dawida dłuta Michała Anioła. Jake mógłby być modelem dla tego niezwykłego dzieła sztuki. Kiedy odwrócił się do niej, Rachel zauważyła blizny na jego ciele - stare blizny, które widziała już wcześniej, pielęgnując go, i te nowe, na brzuchu i na udzie. Kiedy stanął przy łóżku, wyciągnęła dłoń, by dotknąć blizny na jego nośce.

- Zagoiła się ładnie - powiedziała, po trosze po to, by przeciągnąć tę chwilę, a po trosze z obawy przed tym, co miało nadejść.

- Tak. Miałem doskonałą opiekę medyczną. - Jego rzeczowy ton dopasował się do jej własnego.

Położył się obok niej, a ona rozkoszowała się dotykiem jego nagiej skóry na swojej własnej. Wsunął jej ramię pod głowę i przygarnął ją do siebie.

- Jesteś pewna? - zapytał raz jeszcze. - Wciąż możesz zmienić zdanie. Zrozumiem.

- A czy ty chcesz zmienić zdanie?

- Wielki Boże, nie! Czy wyglądam, jakbym chciał zmienić zdanie? Czy coś mówi ci, że chciałbym je zmienić?

Odpowiedziała na to pytanie cudownym pocałunkiem. Jego dłoń gładziła jej ciało, rozbudzając w niej jeszcze większą namiętność. Przypomniały jej się pełne poezji słowa „własnym ciałem cię miłuję”, ale nie wypowiedziała ich na głos. On nie przestawał jej dotykać, gładzić i pieścić, delikatnie poznając ciało ukochanej, każdym musnięciem palców ofiarowując jej satysfakcję. A potem jego usta podążyły tropem dłoni, całując i pieszcząc, dopóki nie zaczęła wprost wić się w rozkosznym aż do bólu oczekiwaniu.

- Jake... proszę...

- Jeszcze nie, kochanie.

Przez chwilę leżała nieruchomo.

- A zatem... - W jej głosie zabrzmiała nutka przekornej groźby. Zaczęła przesuwać dłońmi po jego ciele, wplatając palce w delikatne, miękkie futerko na jego piersi, wodząc dłońmi po twardych mięśniach ramion, piersi i brzucha, pieszcząc wojenne blizny swego rycerza, które nosił z taką nonszalancją. Uśmiechnęła się, kiedy nagle zabrakło mu powietrza, gdy jej palce dotarły w okolice jego naprężonej męskości i muskały go leciutko jak piórko.

- Rachel! - wykrztusił.

- Taaak? - odezwała się tonem niewiniątka, zwiększając intensywność pieścizny.

- Och, taki

Przesunął się tak, by znaleźć się nad nią, i wszedł w nią, cały czas patrząc jej w oczy. Oderwał wzrok tylko na krótką chwilę, by złożyć na jej ustach pocałunek. Nawet niesiona falą własnej, rozszalałej namiętności, Rachel miała świadomość, że Jake powstrzymuje się, czekając na nią. Kiedy ekstaza przesywała jej ciało, raz po raz szeptała jego imię.

- Jake. Jake. Och, Jake.

Dotarłszy na szczyt z okrzykiem rozkoszy, osunął się na nią. Leżała nieruchomo, zachwycona poczuciem zjednoczenia.

Wtedy Jake podniósł się.

- Och, mój Boże, tak mi przykro, Rachel.

- Przykro? - Nie potrafiła ukryć, jak zraniły ją te słowa. - Myślałam, że to było coś naprawdę niezwykłego, naprawdę pięknego... A tobie jest przykro?

- To było niezwykle. I piękne. Och, uwierz mi, że było! - Przetoczył się na bok, ułożył przy niej i przytulił ją mocno. - Powiedziałem tak dlatego, że nie chciałem... To znaczy chciałem... wycofać się tuż przed końcem. I nie zrobiłem tego.

- Och. Martwisz się, że moglibyśmy spłodzić dziecko?

- Tak. Nie chciałbym, żeby moje dziecko przyszło na świat jako nieślubne.

- Nie sądzę, żeby to się mogło stać.

Opowiedziała mu o specjalnych ziołach, które nadal piła, głównie z przyzwyczajenia, nawet po tym, jak Brady zniknął z jej życia, jak się wydawało, na dobre.

- Jesteś pewna, że to działa? - zapytał sceptycznie.

- No cóż, nie zaszłam ponownie w ciążę po tym incydencie w Badajoz...

- Niemniej jednak następnym razem obiecuję narzucić sobie więcej dyscypliny.

Pocałował ją raz jeszcze, a ona delektowała się już w myślach zapowiedzią „następnego razu”.

I nie musiała nawet długo czekać, bo ów „następny raz” zdarzył się jeszcze tej samej nocy - i to dwukrotnie.

Następnego ranka Jake wstał wcześniej i pocałował wciąż śpiącą Rachel w policzek. Szepnęła coś sennym głosem, ale nie obudziła się. Jake stał chwilę przy łóżku, spoglądając na nią. Jeszcze nigdy dotąd nie wydała mu się tak piękna jak teraz, przez sen promieniejąca radością. Wiedział, że ta noc rozkoszy pociągnie za sobą konsekwencje - konsekwencje, o których po prostu nie chciał myśleć w chwilach gorączki oczekiwania i euforii spełnienia.

Jednak nie żałował ani jednej chwili, nawet sekundy, i już niecierpliwie wyczekiwał następnego razu. Jacob Forrester

w przeszłości z pewnością nie stronił od kobiet. Nie pamiętał jednak, by kiedykolwiek tak zatracił się w jednej z nich. Zawsze udawało mu się zachować pewien dystans. Ostatnia noc przyniosła mu poczucie zjednoczenia, pełni i wspólnoty, które było dla niego czymś całkowicie nowym.

Ale fakt pozostawał faktem - a cała ta sprawa ze sprzedażą nic tu nie Zmieniła - Rachel zgodnie z prawem była żoną innego mężczyzny.

Przeczesał palcami i tak dostatecznie już zmierzwił włosy, pozbierał rozrzucone ubranie i poszedł do swojego pokoju. Henry już przyniósł tam gorącą wodę do golenia. Jake siedział cierpliwie, kiedy Henry zdrapował dwudziestoczerogodzinny zarost z jego twarzy. O poranku Henry'emu zazwyczaj nie zamykały się usta, dzielił się wieściami i własnymi poglądami na wszystko, od małżeńskich problemów księcia regenta po miejscowe opowieści o lordzie Wellingtonie czy o jakichś wyjątkowo zabawnych wyczynach Juana. Dziś jednak Henry zerknął tylko raz czy dwa na nietknięte łóżko Jake'a, ale nie otworzył mocno zaciśniętych ust, by powiedzieć cokolwiek oprócz: „Dzień dobry, panie”.

A więc, pomyślał Jake, konsekwencje już się zaczęły.

Takie były właśnie niedogodności posiadania służących, którzy towarzyszyli swoim panom od dzieciństwa. Wiedzieli wszystko i jeżeli byli ludźmi uczciwymi i troskliwymi - a

Henry z pewnością taki był - należało się liczyć z ich zdaniem.

Jake westchnął.

- No dobrze, Henry. Miejmy to za sobą. Wiem, że wprost skrećasz się z niecierpliwości, żeby rzucić gromy na moją głowę.

Henry powiedział lakonicznie:

- Nie mam prawa nic takiego czynić, panie.

Czyżby Henry nagle stał się takim doskonale ułożonym służącym?

- A kiedy niby to cię wcześniej powstrzymywało?

Henry zmarszczył nos.

- Ja tylko mam nadzieję, że pan wie, w co się wplątuje,

sir. Pani Brady nie jest jedną z pańskich tuzinkowych spódniczek.

- Moich „tuzinkowych spódniczek”? - powtórzył Jake.

- Powiedziałem to w ogólnym znaczeniu, panie. To dobra kobieta.

- Tak, Henry, to prawda. I przyrzekam ci, że mam zamiar zadbać o to, żeby nie stała jej się żadna krzywda, ani z mojej strony, ani nikogo innego.

- Bardzo słusznie, panie.

- A teraz, jeżeli twoje wrażliwe poczucie moralności zostało usatysfakcjonowane, poślij Thompkinsa do tego piekielnego szpitala, niech wyjaśni, że pani Brady dzisiaj nie przyjdzie. Wątpię, czy w najbliższym czasie będzie mogła stanąć na tej nodze.

- Dopilnuję, by tak się stało, sir.

Jake mógł łatwo dostrzec, że Henry potrzebuje trochę czasu, by zaakceptować nową sytuację. A jakie zdanie na ten temat będą mieli Travers i Hastings - albo Humphrey? Wszystkich tych ludzi Jake lubił i poważał. Z drugiej strony, akceptacja z ich strony nie była dla niego aż tak istotna, by wpływać na to, co działo się między nim a Rachel. Cokolwiek by to miało być.

Kiedy Rachel się obudziła, najpierw zadała sobie pytanie, gdzie się znalazła. Potem przed oczyma zaczęły się jej przesuwać wydarzenia ostatniego popołudnia i wieczoru. Usta wciąż miała obolałe po tym, jak potraktował ją Morton. Na nadgarstku i ramieniu nadal widniały brzydkie siniaki. Kostka początkowo nie pozwalała jej w ogóle stanąć bez przeszywającego całego ciała bólu. Rachel z drżeniem przypomniała sobie przerażenie, jakie odczuwała, kiedy Morton próbował ją zmusić do uległości.

Jednak wszystko to bladło i stawało się niczym wobec wspomnienia cudownej nocy w ramionach Jake'a. Rachel nie pozostawała nieczuła na miłość ze swoim mężem, zwłaszcza na początku ich małżeństwa, ale tak naprawdę nie miała pojęcia o wyżynach, na jakie można się przy tym wznieść.

Brady dzie-

lił z nią łóżko; Jake dzielił z nią magię miłości. Nawet gdyby miał nie zbliżyć się do niej już nigdy więcej, nadal byłaby mu wdzięczna za odkrycie głębi swej własnej namiętności.

Schodząc z trudem po schodach i postukując przy każdym kroku laską, denerwowała się tym, że zaraz spotka Henry'ego i Thompkinsa. Musieli wiedzieć, że Jake spędził tę noc w jej łóżku. Nie brała tego pod uwagę, kiedy w nocy rozkoszowała się jego obecnością.

Henry'ego, Thompkinsa i Juana zastała w kuchni. Była wdzięczna, że żaden z mężczyzn nie dał jej do zrozumienia ani spojrzeniem, ani zmianą tonu, że w jakikolwiek sposób potępiają jej zachowanie. Oczywiście, Juan nie był świadom, że początkowo czuła się dziwnie i niezręcznie.

- Lord Jacob wysłał już wiadomość o pani wypadku do kapitana MacLachlana - poinformował ją Henry. - Thompkins ją zaniósł.

- Dziękuję.

-Ja mu tylko powiedziałem, że pani miała wypadek i skreśliła kostkę. Pomyślałem sobie, że może mu pani sama powiedzieć tak dużo albo tak mało, jak pani zechce.

Tego ranka Rachel poczuła się najszczęśliwsza od miesiący - nie, od lat! Zamierzała chwytać to szczęście dzień po dniu, bo kto może wiedzieć, co przyniesie przyszłość?

18

Wellington ostatecznie zdołał na nowo poderwać swą armię do marszu, ale dopiero po tym, jak zagroził powieszeniem każdego żołnierza, który nadal będzie uczestniczył w gwałtach i pładrowaniu, trwających nieprzerwanie od trzech dni.

- On jest gotów to zrobić - Travers powiedział Jake'owi, kiedy obaj wracali do swoich kwater w mieście. Spędzili dzień

234

w polu, starając się pozbierać swoje oddziały i zaprowadzić jako taki porządek. - Ustawił szubienicę na głównym placu.

- Wiem już nawet, kto mógłby być do niej pierwszym kandydatem.

Travers spojrział na Jake'a z sympatią.

- Słyszałem, co spotkało panią Brady.

Zapadła krępująca cisza. Jake zastanawiał się, czy porucznik słyszał też już o tym, że on sam zaczął spędzać noce z Rachel. Cóż, nawet jeśli nie, wkrótce się tego domyśli, kiedy znowu wyruszą na szlak.

- W każdym razie - mówił dalej Travers - wygląda na to, że powinniśmy już niedługo znów być w drodze.

- Co za szkoda, że nie dało się wyruszyć wcześniej. Kto wie, ilu ludzi moglibyśmy ocalić?

- Masz rację - zgodził się Travers. - Ale wątpię, czy któryś z naszych dzielnych chłopców skojarzy własną chciwość, która go tu zatrzymała, z francuską kulką, która może go dosięgnąć w górach.

- Te góry same w sobie będą groźne, jeżeli nie przedrzemy się przez nie, zanim spadnie śnieg.

- Trudno nawet myśleć o śniegu, kiedy tutaj jest tak piekielnie gorąco.

Kilka dni później to nie śnieg stał się poważną przeszkodą na drodze maszerujących kolumn. Ponieważ Francuzi kontrolowali większość dogodnych przejść przez góry, wojska sprzymierzone musiały szukać nowych dróg przez zdradliwe okolice. Oficerowie skarżyli się na niedokładne mapy lub wręcz ich brak i musieli zdać się na miejscowych wieśniaków jako przewodników.

- Na szczęście - rzekł Jake do Rachel - mieszkający tu Baskowie w większości sympatyzują z nami. Przez stulecia gnębieni przez Francuzów po północnej i Hiszpanów po południowej stronie gór, nie darzą wielką miłością żadnego ze swoich sąsiadów.

- Myślę, że nie bez znaczenia jest i to, że płacimy im za przysługi i jedzenie - odpowiedziała.

- Nie mówiąc już o grabieżach po każdej bitwie. - Ton Jake'a był ironiczny.

Przywykł do tego, by coraz częściej dzielić się z Rachel takimi opiniami. Dzielił z nią też namiot. Henry, Thompkins i Juan zajmowali sąsiedni. Jake był zdumiony, jak chętnie nie tylko jego służący - po których zresztą nie spodziewał się niczego innego - ale także jego przyjaciele zaakceptowali tę zmianę. Wszyscy wydawali się po prostu przyjmować obecność Rachel jako coś oczywistego.

Zaś Jake był szczęśliwy. Z Rachel łączyła go nie tylko rozkoszna intymność wspólnych nocy; coraz silniejsze było przywiązanie i przyjaźń. Jake mógł zwierzać się Rachel z trosk, którymi nie chciał dzielić się z Hastingsem i Traverssem, a ona zatrzymywała je dla siebie. Udzielała mu dobrych rad, kiedy zwracał się do niej z jakimś problemem. Śmiała się z jego dowcipów, ale co ważniejsze, umiała go rozbawić. Dyskutowali o tym, co przeczytali. Jake uważał, że Otello był znamienitym żołnierzem; Rachel powiedziała, że był najgłupszym z mężczyzn. Przerzucali się cytatami z wierszy Wordswortha i Cole-ridge'a, licytując się, kto więcej zapamiętał. Do tej pory Jake porozumiewał się tak doskonale tylko z bratem i z matką.

Obecność Rachel u boku cieszyła go coraz bardziej, ale jego troska o nią rosła. Życie na szlaku było wyczerpujące. „Drogi” często okazywały się stromymi, kamienistymi ścieżynami, wydeptanymi przez niezliczone raciczki drepzczących tędy kóz i owiec. Góry pięły się ku tak niebotycznym szczytom, że czasami trudno było dostrzec dna dolin. Jeden fałszywy krok i było po wszystkim. Żołnierze często musieli maszerować gęsiego tymi wijącymi się jak wstążki szlakami. Konie i muły prowadzono, nikt nie jechał wierzchem.

Pod koniec dnia wyczerpanie brało górę.

A mimo to, myślał Jake, nie sposób było nie odczuwać piękna i dzikiego majestatu tego krajobrazu. Trudny teren i niedostatek paszy dla zwierząt zmusiły lorda Wellingtona do podzielenia oddziałów na małe grupy, choć przez to stawały się bardziej podatne na ataki nieprzyjaciela. Jednak

Francuzi stopniowo, ale nieuchronnie byli spychani w kierunku granicy.

Ranni podróżowali teraz razem z cywilami i często można było znaleźć Rachel przy wozach wiozących niedomagających żołnierzy. Gawędziła z nimi, śpiewała im lub z nimi, a Jake pocieszał ją w żalu, gdy śmierć wyciągała rękę po któregoś z jej podopiecznych.

Kiedy wieczorem rozbijano obóz, to ona przygotowywała posiłek, chociaż Henry był chętny do pomocy. Po kolacji, kiedy inni zmywali, Rachel zajmowała się pisaniem listów w imieniu rannych lub do rodzin poległych.

- Za wiele pracujesz, zbyt się przemęczasz - zaprotestował Jake, kiedy którejś nocy wreszcie wróciła do namiotu.

- Wiem. Ale nie mogłam pozwolić, żeby matka szeregowego Cathcarta dowiedziała się o jego śmierci, czytając listę poległych. Ta biedna kobieta zasługuje na coś więcej.

- A więc wymyśliłaś dla niej stosowną historyjkę. - Jake przesunął się, robiąc Rachel miejsce w łóżku, a raczej posłaniu rozłożonym na słomie.

- Hm. Uwielbiam, kiedy wygrzewasz dla mnie łóżko.

- Nie zmieniaj tematu - powiedział, przyciągając ją do siebie.

- Cóż, może i odrobinę upiększyłam prawdę - przyznała.

- Przykro mi, że go straciliśmy, ale prawdę mówiąc, Rachel, Cathcart był równie leniwy, jak głupi.

- Może i był. Ale jego matce będzie lżej, kiedy usłyszysz, że był dzielny i że myślał o niej w godzinie śmierci.

- Nawet jeśli wcale tak nie było?

- Nawet - odparła, ziewając.

- Jesteś aniołem. - Pocałował ją. - A teraz odpocznij trochę. Jutro szlak zrobi się gorszy.

- Hm. To niemożliwe... - Jej głos utonął w głębokim, rytmicznym oddechu, gdy zasnęła.

Jake leżał jeszcze przez chwilę, nie śpiąc i ciesząc się jej bliskością. Potem i jego ogarnął sen.

Pomimo trudów wędrówki i niekiedy bolesnych przeżyć, towarzyszących pracy z rannymi, Rachel czuła się w tym czasie wyjątkowo szczęśliwa. Praca pielęgniarki dawała jej poczucie własnej wartości, a noce u boku Jake'a były cudownymi chwilami odkryć i spełnienia.

Któregoś dnia wcześniej niż zwykle zarządzono postój w niewielkiej górskiej dolinie, w której natrafiono na nieoczekiwane dobre pastwiska dla zwierząt. Clara odnalazła Rachel i obie przysiadły na kamieniach, odpoczywając, podczas gdy Juan nieopodal bawił się z Bennym.

- Wyglądasz teraz jak kobieta szczęśliwa w miłości. — Clara uśmiechnęła się szeroko, widząc rumieniec na twarzy Rachel.

- Jeśli o to chodzi - powiedziała Rachel - nie jestem pewna, czy miłość ma z tym wiele wspólnego, ale jestem teraz... bardziej zadowolona.

- A ja myślę, że to miłość - stwierdziła stanowczo Clara.

- Nie wiem. Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że tak nie jest. Clara spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Masz nadzieję, że to nie jest miłość? Na miłość boską, dlaczegóż to?

- Nie miałam tyle szczęścia w miłości co ty. Kiedyś ci zazdrościłam. - Rachel spojrzała gdzieś w dal, ale nie dostrzegła gry światła i cieni na wzgórzach po drugiej stronie drogi. Przed oczyma pojawiły jej się tylko okropne sceny z jej życia z Bradym.

- Zazdrościłaś mi? - zapytała Clara.

- Tak. Joe nie tylko dba o ciebie, on naprawdę lubi cię jako osobę.

- Tak, myślę, że tak. - W stwierdzeniu Clary nie było nawet cienia pychy.

- No i masz też Benny'ego. - Obie siedziały przez chwilę w milczeniu. Potem Rachel odezwała się znowu. Pragnęła uporządkować sobie pewne sprawy, a Clara była dobrym słuchaczem. Być może kiedyś Rachel będzie mogła podzielić się takimi myślami z Jake'em. Ale jeszcze nie teraz. - Kie-

dy Edwin i ja się pobieraliśmy - zaczęła cicho - myślałam, że go Kocham. Ja go naprawdę kochałam.

- Oczywiście, że tak.

- I byłam pewna, że on też mnie kocha. Och, miało być tak cudownie. - Przerwała na chwilę. - Potem... ja naprawdę nie mam pojęcia, co się stało ani kiedy to się zmieniło. Ale tak się stało. Były... inne kobiety.

- Wiem. Joe mi powiedział.

- Ale ja mówię o tym, co się działo, zanim tu przyjechaliśmy. Znikał na kilka dni, zostawiając mnie samą. Któregoś razu nie było go przez całe dwa tygodnie. On dalej... ehm, zbliżał się do mnie, rozumiesz, ale wcale mnie nie lubił. Rozumiesz, co mam na myśli?

Clara objęła Rachel ramieniem.

- Tak. Myślę, że rozumiem cię lepiej niż ty sama.

Rachel spojrzała na nią pytająco.

- Rachel, czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że Edwin Brady poślubił osobę z lepszej sfery niż on sam, kiedy cię dostał za żonę?

- Z lepszej sfery niż on? Ubogą krewną oberżysty? Chyba sobie żartujesz!

- Nie umniejszaj tak samej siebie - powiedziała ostro Clara.

- Jesteś bystrzejsza od niego. Masz lepsze wykształcenie albo lepiej je spożytkowujesz. To zapewne było trudne do zaakceptowania dla mężczyzny takiego jak Brady.

- No cóż, ja nie...

Clara potrząsnęła Rachel za ramię.

- Nie. Posłuchaj.

- Dobrze, pani nauczycielko - zażartowała Rachel, żeby poprawić nieco nastrój.

- Myślę, że Brady jako młody człowiek radził sobie w życiu dzięki swojemu wdziękowi, temu czarującemu uśmiechowi i urodziwej twarzy. Jest w nim taka zadziorność i brawura, która przemawia też do niektórych mężczyzn.

Rachel przytaknęła.

- Ale to wszystko pozory - ciągnęła dalej Clara, mrużąc oczy

od słońca. - To wszystko jest powierzchowne. A w tobie nie ma nic powierzchownego. Jesteś piękna. Jesteś inteligentna. Troszczysz się o innych. A ludzi przyciąga ta głębia, jaką w tobie odnajdują. Brady nie mógł znieść, że jego żona go przewyższa.

- Sugerujesz, że był po prostu zazdrosny? O własną żonę?

Clara zwolniła uścisk na ramieniu Rachel i rozejrzała się za synkiem. Widząc go, uspokoiła się. Podciągnęła kolana pod brodę i mówiła dalej:

- Nie. Myślę, że to wcale nie jest takie proste. Joe mówi, że wielu mężczyzn celowo szuka kobiet gorszych od siebie.

- A wiele kobiet jest na tyle sprytnych, żeby pozwalać im myśleć, że znaleźli to, czego szukali - powiedziała z goryczą Rachel. - Ja po prostu nie byłam dosyć sprytna, by tak robić.

- A ty znówu swoje. Mój ojciec zwykł mawiać, że to kalwińskie wychowanie sprawiło, że moja matka brała na siebie winę, kiedy nie było za co. Ona też była Szkotką, jak ty.

Rachel zaśmiała się.

- Trudno dorastać w Szkocji i nie przesiąknąć takimi zasadami. - Zastanowiła się chwilę. - Ale kalwinizm daje też twardość i odporność.

- Cóż, z pewnością tak jest w twoim przypadku, moja droga. - Clara uśmiechnęła się przekornie. - A ja tam nadal uważam, że wyglądasz na kobietę szczęśliwą w miłości.

Rachel lekceważąco machnęła ręką.

- Może któregoś dnia. Ale nie teraz. Może nigdy.

- Zaufaj swojemu sercu, Rachel.

- Raz już tak zrobiłam... i popatrz, do czego mnie to doprowadziło.

- Ale teraz twoje serce dojrzało. - Zawoławszy synka, Clara podniosła się i otrzepała spódnicę z kurzu i skalnych okrucichów. - Muszę już iść. Mężczyźni niedługo wrócą.

Po powrocie do obozu Rachel rozmyślała nad słowami Clary. Clara miała rację w paru kwestiach, ale fakt pozostawał faktem: najlepszym sposobem na uniknięcie bólu było przede wszystkim unikanie głębokiego uczucia. Przyjaźń, nie miłość. Oto odpowiedź. A przyjaźń ze wspomniałą miłością fi-

tyczną? Rachel uśmiechnęła się sama do siebie. To właśnie jak lukier na torcie.

Rachel równie dobrze zdawała sobie sprawę z plotek krążących teraz tak samo, jak i przed Vitorią. Wtedy trzymała się na uboczu i starała się prezentować nieskazitelny wizerunek.

Na próżno; nie ochroniło jej to. Plotkary takie jak Madge Selkins i tak miały zawsze coś do powiedzenia. Teraz nie afiszowała się przed innymi ze swoim postępowaniem, ale i nie starała się przesadnie go ukrywać. Bo i zresztą i po co? , Jednak nie chciała, aby jej czyny kładły się cieniem na innych.

- Czy możemy porozmawiać na osobności, Mac? - zapytała któregoś ranka wkrótce po tym, jak opuścili Vitorię.

- Oczywiście. - Doktor wyprowadził Rachel z namiotu, który służył mu jednocześnie jako gabinet lekarski i oddział szpitalny. - O co chodzi?

- Ja... ehm... zapewne słyszał pan plotki o mnie?

- To znaczy o majorze Forresterze?

Rachel przytaknęła, zadowolona, że Mac nie owija w bawełnę.

- No więc w czym rzecz?

- To... ta plotka nie jest zbyt miła...

- Plotka nigdy nie jest miła, moja droga. Do czego pani zmierza?

- Są tacy, którzy mówią, że nie... że nie ma pan prawa obrażać dzielnych żołnierzy, pozwalając, by ktoś taki jak ja się nimi opiekował.

- Och, na miłość boską! - sapnął zniecierpliwiony Mac z niesmakiem. - Pani chyba nie daje posłuchu takim bredniom?

- Cóż, teraz... to już nie plotka, tylko prawda. - Rachel poczuła, że oblewa się rumieńcem. - I pomyślałam, że mógłby pan nie chcieć... to znaczy, że może czułby się pan lepiej, gdybym... - Przerwała, zakłopotana.

- Drogie dziecko! - Gestem wskazał namiot za sobą. - To są ludzie, których sam Wellington nazwał „szumowinami angielskiej ziemi"! Uważają się za szczęściarzy, gdy ktoś się nimi

opiekuje. Żaden z nich nie powiedział pani złego słowa, prawda? - Z jego tonu larwo można było wyczytać, że gdyby któryś spróbował, usłyszałby niejedno od kapitana MacLachlana.

- Nie. Och, nie - zapewniła go Rachel.

- Tak samo jak żadna z tych, co tak miały ozorami, nie miałyby ochoty wykonywać pracy, jaką pani tutaj wykonuje.

- Nie, nie wydaje mi się, żeby chciały.

- A zatem przestańmy marnować czas na takie gadanie. - Złapał ją za ramiona, zmuszając, by spojrzała mu prosto w oczy. - Jest pani cennym członkiem mojego personelu. To, co pani i major robicie w życiu prywatnym, to tylko pani sprawa.

- Dziękuję panu, Mac.

Puścił ją.

- Jednak jeśliby skrzywdził panią w jakikolwiek sposób... - powiedział to ni to żartując, ni to ostrzegając.

Rachel poklepała go po ramieniu i uśmiechnęła się.

- Nie zrobi tego.

Dzielenie z Jake'em namiotu i łóżka oznaczało też dzielenie jego marzeń. Rachel zdumiała się, że człowiek, którego uważała za żołnierza do szpiku kości, tak naprawdę nie mógł się doczekać życia cywila.

- Nie będzie ci brakowało życia w armii?

- Pewnych jego aspektów, tak. Ale tak ogólnie, to nie sądzę. - Jake leżał na łóżku, przyglądając się, jak Rachel rozczesuje włosy i zaczyna je splatać, jak zwykle na noc, w pojedynczy warkocz. - Zostaw je dziś rozpuszczone, dobrze?

Rachel spojrzała na niego figlarnie, ale posłusznie zrobiła tak, jak prosił. Położyła się obok niego i zapytała:

- Dlaczego?

- Bo lubię to uczucie, jak dotykają mojej skóry.

- Nie, pytałam, dlaczego będziesz taki zadowolony opuszczając armię?

Jake otoczył ją ramieniem, przyciągając bliżej i przytulając do niej głowę. Aby zachować swoje słowa tylko dla siebie, rozmawiali szeptem, gdyż w nieruchomym, górskim powietrzu głos doskonale niósł się z namiotu do namiotu.

- No cóż - zaczął powoli - jak większość mężczyzn, wstąpiłem do armii jako nieopierzony młodzieniaszek, który chciał się wyrwać z domu i poszukać przygód. Wydaje mi się, że teraz jestem zmęczony walką, chociaż prawdę mówiąc, w wojsku prawdziwa walka pochłania bardzo niewiele czasu.

- A cała reszta to długie przygotowania do walki - zauważyła Rachel.

- Tak. Ktoś to kiedyś opisał, rzekłbym, że trafnie: „długie okresy wielkiej nudy przerywane chwilami wielkiej grozy”. Niezłe podsumowanie, nieprawdaż?

- Dotyczy to tych, którzy czekają, jak i tych, którzy walczą. - Pocałowała go. - Ale czym zamierzasz się zająć w cywilnym życiu?

Rachel nie była pewna, dlaczego właściwie zadała to pytanie. Zwykle nie pozwalała sobie na myślenie o przyszłości, bo wiedziała, że w przyszłości lorda Jacoba Forrestera nie może być miejsca dla Rachel Brady, porzuconej żony jakiegoś byłego sierżanta.

- Mój dziadek ze strony matki nie miał synów. Pozostawił jej dość dużą posiadłość pod warunkiem, że ma ona przejść na jej syna, a nie zostać włączona do dóbr rodu Loundsbury.

Wiedział, że jest mało prawdopodobne, by jego wnuk kiedykolwiek otrzymał tytuł Loundsbury.

- Zatem zostaniesz dżentelmenem farmerem? - szturchnęła go w bok.

- Coś w tym rodzaju. Mam dobrego zarządcę, a Robert dogląda teraz spraw w moim imieniu. Ma też decydujący wpływ na obsadę trzech czy czterech miejsc w Izbie Gmin. Z powodzeniem mogę jedno z nich zająć.

- Chcesz zostać członkiem Parlamentu? - Rachel była trochę zaskoczona.

- Prawdę mówiąc, tak. Tak mi się wydaje. Skoro ta przedłużająca się wojna z republiką francuską niczego nas nie nauczyła, widać, że potrzebne są reformy. Chciałbym mieć w tym swój udział.

- A twoja matka? - zapytała Rachel, żeby zmienić temat.

- Mieszka głównie w mieście, odkąd Robert się ożenił.
- Nie lubi życia na wsi?
- Bardzo je lubi - odparł. - Myślę, że chciała tylko pozwolić nowej markizie prowadzić dom tak, jak jej się podoba.
- Wyjątkowa teściowa.
- A ty? - zapytał. - Lubiłabyś życie na wsi?
- Rachel wiedziała, że to pytanie jest o wiele bardziej znaczące, niż sugerowałby zwyczajny ton. Odpowiedziała ostrożnie:
- Tak. Sądzę, że tak. Lubiłam mieszkańców wioski, kiedy mieszkałam z ciotką i wujem. Ale chyba powinnam jakoś urządzić się w mieście.
- Nigdy nie wiadomo - powiedział pogodnie.

W ciągu następnych tygodni Jake miał niewiele czasu na powracanie do tej rozmowy, gdyż gorączka dnia dzisiejszego usunęła przyszłość w cień. Wellington postanowił skierować swoje oddziały nie ku jednemu, lecz ku dwóm istotnym celom jednocześnie. Na ważnym przejściu przez Pireneje usadowiło się silnie ufortyfikowane miasto Pampeluna. Wellington nie odważył się zostawić go w rękach Francuzów, kiedy parł w głąb gór, gdyż to oznaczałoby stałe zagrożenie na tyłach.

Nad brzegiem morza równie dobrze ufortyfikowane miasto San Sebastian sprawowało kontrolę nad portem Pa-sajes, który lord chciał uczynić portem dostawczym dla transportów z zaopatrzeniem w czasie natarcia w głąb Francji. Obie te dwie twierdze odległe były od siebie zaledwie o pięćdziesiąt mil, ale rozdzielały je nieprzebyte góry - i wszechobecne oddziały francuskie. Obie twierdze oblegano długo i mozolnie. Nie tylko tam rozegrały się zacięte bitwy. Jake wiedział, że nazwy takie, jak Sorauren, Elizon-dro, Irurzun, a przede wszystkim przełęcz Maya, na zawsze wyryją się w jego pamięci.

Wellington ustanowił kwaterę główną sztabu w wiosce zwanej Lesaca, pomiędzy Pampeluna i San Sebastian, i tam też ulokowano główny szpital. Jake cieszył się, że Rachel jest

stosunkowo bezpieczna, choć był pewien, że się przepracowuje. Powierzył jej opiece Juana. Raz jeszcze - za namową Jake'a - Rachel dzieliła kwaterę z Clarą Paxton. Niedaleko kwaterowała także Nellie Bingham.

Bitwa o Pireneje okazała się najtrudniejszym doświadczeniem w wojennej karierze Jake'a - i samego lorda Wellingtona.

Walki rozpoczęły się w połowie lipca i trwały aż do końca października. Forrester, Travers i Hastings spędzali sporo czasu w dość prymitywnych obozowiskach, chociaż od czasu do czasu, w przerwach między bitwami, przyjeżdżali do sztabu. Tam mogli choć na chwilę odpocząć od grzmotu dział, żmudnych marszów i krwawych starć. Tam też mogli otrzymać wieści z domu, gdyż do miejsca pobytu Wellingtona poczta docierała w miarę regularnie.

W połowie sierpnia walczący na Półwyspie dowiedzieli się wreszcie, jakie były reakcje w Anglii po czerwcowej bitwie pod Vitorią.

- Posłuchajcie tego. - Jake zwrócił się do całkiem sporej grupy zgromadzonej wokół stołu w domu w Lesace. Byli tam Paxtonowie, Binghamowie i Humphrey, a także Hastings, Travers i oczywiście Rachel, która usiadła możliwie najbliżej Jake'a. Pomachał listem, który właśnie przeczytał.

- To od mojej matki... O, tutaj.

Gazety rozpisują się o zwycięstwie pod Vitorią. Księżę regent nie może się wprost nachwalić Wellingtona. Przypuszczam, że wiesz już, że teraz mianował Wellingtona marszałkiem polnym, obok wszystkich tytułów, które ten człowiek już dzierży! (Dla mnie brzmi to raczej z francuska, ale przynajmniej się do głębokiej ignorancji w sprawach wojskowych).

Gazety określają to mianem zdecydowanego zwycięstwa w wojnie na Półwyspie. Mam tylko nadzieję, że się nie mylą, i że wkrótce powrócisz do domu cały i zdrowy.

Parlament przegłosował także kolejną wysoką nagrodę pieniężną dla twójego wodza. Sądzę, że nadali mu już najwyższy tytuł, jaki mogli mu przyznać. Zastanawiam się tyl-

ko, czy zaczną go nazywać księciem przed powrotem do kraju, czy wcześniej? Pomyśl tylko, jaką minę miałby regent!

- Mój ojciec pisze prawie to samo - powiedział Hastings - chociaż w dalece mniej zabawny sposób niż lady Lounsbury.

Rachel na ogół nadała za informacjami o bitwach w Pirenejach dzięki rannym, przynoszonym do szpitala.

- Klnę się, że stary Nosal musi zajeżdżać więcej koni niż cała kawaleria do kupy wzięta. Nigdy nie wiesz, gdzie się pokaże.

- A żołnierze zawsze cieszą się jak wariaci, kiedy się zjawi.

- Słyszałem, że raz czy dwa żabojadom naprawdę strach w oczy zajrzał, kiedy ciekawość ich żarła, z czego my się, do pioruna, tak cieszymy.

- Raz Francuzi pomyślały, żeśmy dostali posiłki, podwięły ogony pod siebie i nawiały. A ich było więcej niż naszych!

- Widok jego lordowskiej mości na polu bitwy jest wart tyle samo, co cały regiment u twego boku.

- On tam pewno nie jest taki szczęśliwy z takimi oficerami, co to nie słuchają rozkazów.

- Walki pod San Sebastian były tak zacięte, że kiedy się ostatecznie przedarliśmy, niemal wszyscy oficerowie polegli.

Słyszając to, Rachel odmówiła w myślach modlitwę, dziękując Bogu za to, że Jake był wtedy na przełęczy Maya. Ale potem usłyszała kolejny strzęp pogłoski:

- Słyszałem, że na tej przełęczy Maya straciliśmy cały regiment.

Proszę, Boże, nie, modliła się bezgłośnie i pocieszała się tym, że może to tylko plotka.

- Mnie dwa dni zajęło, żeby się dostać tu do szpitala. Niektóre biedne chłopaki... normalnie wykrwawili się na amen tam, gdzie padli.

- Wieśniacy i ranni zatarasowali drogę. Nie mogliśmy udzielić wsparcia dziewięćdziesiątemu drugiemu regimentowi, jak było zaplanowane.

- Wycofywaliśmy się tak szybko, że musieliśmy zostawić

rannych. Wkładaliśmy im w dłonie kartki z prośbą do Francuzów, żeby zajęli się nimi tak, jak zajęliby się własnymi ludźmi.

- Zrobią to - odpowiedział ktoś pocieszająco. - My to dla nich robimy.

Rachel wiedziała, że to prawda. Sama opatrywała wielu francuskich jeńców.

- Grabieże w San Sebastian były jeszcze gorsze niż w Badajoz czy Vitorii.

- Nie przeżyło dostatecznie wielu oficerów, by temu zapobiec.

- Niektórzy Hiszpanie mówią, że celowo zniszczyliśmy miasto, żeby osłabić ich handel, kiedy wojna się skończy.

- Cóż, musicie przyznać, że Hiszpania i Anglia zawsze rywalizowały o dominację na morzach.

Nareszcie, pod koniec października, nadeszła wieść o przełomie.

- Pampeluna padła.

- Zagłodzili się, o tak.

- Przejście przez te góry byłoby znacznie łatwiejsze, gdyby Bonney nie wysłał przeciwko nam Soulta.

- Lord poradzi sobie z Soultem. Zobaczycie.

- Już wkroczył do Francji. Już tam jest.

- Planuje przezimować w Bayonne.

- To dopiero będzie Napoleonowi solą w oku. Słyszałem, że ogromnie lubi Bayonne.

Ostatnią dobrą nowiną podzielił się z Rachel MacLachlan, Itiedy tylko usłyszał ją od pojmanego rannego francuskiego ©ficera. Sprzymierzone wojska pokonały samego Napoleona pod miastem o nazwie Lipsk.

- To naprawdę może być początek końca - powiedział Mac. - Mały kapral wraca do Paryża.

W pierwszym tygodniu listopada oddziały na krótko pojawiły się w obozie, by zaraz znów wyruszyć. Raz jeszcze Rachel przemierzała drogę - jeśli to można było nazwać drogą - do Bayonne, kierując się ku zimowym kwaterom. Ale był z nią Jake, więc nie skarżyła się na nic.

Teraz zima stała się największym wrogiem Brytyjczyków i ich sprzymierzeńców, z trudem posuwających się wzdłuż rzeki Bidassoa, a potem rzeki Nive. Francuzi traktowali obie te rzeki jako główne naturalne bariery i zamierzali bronić ich za wszelką cenę. Marszałek Soult - wezwany znów z wygnania do Paryża - musiał nie tylko utrzymać linię obrony, stawiając opór nacierającym wojskom sprzymierzonych, ale też zepchnąć je z powrotem do Hiszpanii.

Rachel ciężko znosiła trudy zimowego marszu, ale wiedziała, że inni cierpią bardziej niż ona. Żołnierze, którzy od paru lat nie otrzymali przydziału na nowe mundury, teraz mieli na grzbietach łachmany.

Maszerującym rozpaczliwie brakowało też obuwia. Znoszone buty już dawno zaczęły się rozpadać. Niejeden żołnierz owijał stopy skórą świeżo zabitych zwierząt. Drogi, którymi wędrowało wojsko, znaczyły krwawe odciski stóp.

Pomimo usilnych starań Wellingtona, by zapewnić swoim oddziałom należyte wyżywienie, wojsko często było głodne. Niekiedy dyktat żołądka skłaniał żołnierzy do bratania się z nieprzyjacielem.

- Choć i głód jest przyczyną, najczęściej to nuda popycha naszych do nawiązywania bliższych kontaktów z tamtymi - narzekał któregoś wieczora Hastings. - Strażnicy po naszej stronie mostu gwizdzą porozumiewawczo do tych po drugiej stronie i wkrótce spotykają się pośrodku, handlując alkoholem i tytoniem!

- Pod mundurem wszyscy są tacy sami - skomentowała Rachel. - To czyni całe to zabijanie jeszcze bardziej bezsensownym.

- Zapewne.

Rachel usłyszała o pewnym wydarzeniu, które potwierdzało tę prawdę. Francuskim żołnierzom zaginał wół, którego zamierzali zjeść. Zwierzę wpadło w ręce Brytyjczyków. Kiedy Francuzi zjawili się z białą flagą po zwrot swojej własności i wyjaśnili, że od jakiegoś czasu nie dostają racji żywnościowych. Brytyjczycy, cierpiący taki sam głód, zgodzili się oddać przeciwnikom połowę sprawionego już wołu - a potem posłali im jeszcze trochę chleba jako rekompensatę.

- Gdyby tylko taka współpraca mogła dotrzeć aż do samej góry - powiedziała Rachel do Jake'a, kiedy skończyła opowiadać mu tę historię.

- Gdyby mogła... - zgodził się.

Ostatecznie, niczym ogromne zwierzę zapadające w sen zimowy, armia rozlokowała się na zimowych kwaterach w wioskach w pobliżu Bayonne, ale samo miasteczko pozostawało w rękach Francuzów. Przeważnie na czas zimy obie armie zawieszały walki, tak więc Rachel nie miała wiele do roboty w szpitalu.

Majorowi Forresterowi przydzielono kwaterę w oberży. Dzielił ją z Hastingsem i Taversem. W trakcie podróży stadko kóz Juana zmniejszyło się o jedno zwierzę. Jake i inni z pewnością chłopca, że to wilk dopadł jedną z jego ulubienic, ale dorośli nie bez kozery podejrzewali, że ten głodny wilk chodził na dwóch nogach. Teraz Juan jeszcze usilniej dbał i strzegł dwóch pozostałych kóz.

Mimo klęski Napoleona pod Lipskiem i mimo że Brytyjczycy twardo usadowili się na skrawku francuskiej ziemi, nad końcówką kampanii na Półwyspie zaciążyło poczucie fatalizmu. Walki nadal trwały, choć żołnierze Wellingtona tęsknie wypatrywali już końca - i powrotu do domu.

- Co się stanie z tymi wszystkimi ludźmi, którzy z nami szli, kiedy wyjedziemy? - któregoś wieczora zapytała Jake'a Rachel. Siedziała na sofie przy kominku, cerując.

Jake spojrzął na nią znad gazety sprzed miesiąca, którą właśnie otrzymał.

- Jakimi ludźmi?
- Przecież wiesz. Tymi Hiszpankami i Portugalkami, no i osobami takimi jak Juan.
- Naprawdę nie zastanawiałem się nad tym - odparł.
- Cóż, a teraz, kiedy się nad tym zastanawiasz, to co myślisz?
- Hm. Szczerze wątpię, czy zostaną zabrane do Anglii, chyba że okażą ważny akt ślubu.
- Rachel była wstrząśnięta.
- Ale niektóre z tych kobiet mają dzieci z brytyjskich ojców! A ty mi mówisz, że po prostu zostaną w porcie? Wraz z dziećmi?
- Zapewne tak się stanie - powiedział. - Z tego, co wiem, miejscowe kobiety, które podążają za wojskiem, nie mają żadnych praw w armii Jego Królewskiej Mości.
- A co z brytyjskimi kobietami, które wędrują z armią? - zapytała Rachel z nieco ściśniętym gardłem.
- Jake odłożył gazetę i podniósł się z krzesła. Zestawił koszyk z przyborami do szycia na podłogę, żeby usiąść blisko Rachel, i objął ją ramieniem. Nie wtuliła się w niego, jak to zwykle robiła.
- Rachel, nie musisz się martwić takimi sprawami. Ja się o ciebie zatroszczę. Nigdy cię nie porzucę.
- Tych parę słów rozproszyło lęk Rachel i przyjęła pocałunek, który złożył na jej ustach.
- Ale to takie niesprawiedliwe - powiedziała. - Jestem pewna, że wiele z tych kobiet i mężczyzn jest sobie tak bliskich, jak... jak...
- Jak my - dokończył za nią Jake. - Wiem, że masz słusność, ale brak mi środków na to, by wynająć dla nich statek, nawet gdyby jakimś cudem rząd zgodził się na ich przyjazd do Anglii.
- A Juan? - zapytała, w napięciu wstrzymując oddech. Jake nie wahał się ni chwili.
- On także popłynie do Anglii wraz ze mną.
- Och, Jake, tak się cieszę!
- Pomyślałaś, że mógłbym go tak po prostu zostawić, niepełna dziesięcioletnie dziecko, całkiem samo?

- Nie wiedziałam... Przepraszam. - Rachel zorientowała się, że jej wątpliwości zraniły Jake'a. Pocałowała go w policzek, a on objął ją mocniej.
- Muszę mieć Juana pod ręką, bo dzięki niemu czuję się kimś ważnym - zażartował.
- Dla niego jesteś Rolandem, Cydem i sir Lancelotem w jednej osobie.
- To dlatego, że wciąż nabijasz mu głowę tymi opowieściami o przygodach rycerzy - powiedział.
- Każdy mały chłopiec potrzebuje bohatera - odparła. - Cieszę się, że on ma ciebie.
- . Cmoknął Rachel tuż pod uchem.
- A czy wiesz też, czego potrzebują duzi chłopcy, o ty moja najmędrsza z niewiast? - mruknął.
- Hm. Postaram się zgadnąć.

Rachel poruszyła kwestię, która zaprzętała Jake'a od tygodni. Nigdy nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby nie Zabrać jej do Anglii - tak samo jak Juana. Z pewnością bez trudu jakoś urządzi chłopca. To bystry dzieciak; kiedy tylko lepiej opanuje język, z pewnością poradzi sobie z nauką. Pozostawało jednak pytanie, co począć z Rachel, kiedy już znajdą się na angielskim brzegu. Z każdym dniem trudniej było Jake'owi wyobrazić sobie, że mogłoby jej zabraknąć u jego boku.

Okazało się, że inni żołnierze Wellingtona mieli jeszcze poważniejsze zmartwienia. Humphrey, siwiejący sierżant, który Z armią przemierzył dwa kontynenty, poprosił któregoś wieczora majora Forrestera o rozmowę na osobności. We dwóch skierowali się ku stajni, na pozór po to, żeby obejrzyć chorego konia. Zatrzymali się pod oknem, tak że snop światła padał na ogorzałą twarz Humphreya. Jake'a zaskoczyło to, że sierżant wyglądał na onieśmiałego czy może zakłopotanego.

- Co was gnębi, sierżancie?
- No więc, sir, nie chciałbym, żeby pan sobie pomyślał, że chcę skorzystać z okazji czy coś, ale faktycznie mam parę spraw.

- Słucham.

- Zna pan tę zakonnice, siostrę Luizę? Te, co to dołączyła do nas po Vitorii?

- Tak. - Jake przypomniał sobie, że wraz z grupą hiszpańskich i portugalskich kobiet, porzuconych przez Francuzów podczas odwrotu, do Brytyjczyków przyłączyło się kilka zakonnice ze zniszczonego klasztoru. Brytyjczy żołnierze otoczyli je opieką. Luiza była kobietą mocno po trzydziestce lub tuż po czterdziestce. Jake przypomniał sobie jej przyjazne, brązowe oczy i zaróżowione policzki, ale habit zakonny wykluczał dalsze spostrzeżenia.

Humphrey patrzył w ziemię i nerwowo szarpał kołnierzyk.

- No bo, widzi pan, sir, ja i Luiza... chcemy się pobrać.

- Co?!

- Chcemy się pobrać - powtórzył Humphrey bardziej stanowczym tonem. - Ona nigdy nie chciała być zakonnice. To jej ojciec zmusił ją do tego. Zdaje się, że Hiszpanie często tak robią z kobietami w swoich rodzinach, po prostu ofiarowują je Kościołowi, zwłaszcza jeśli kobieta nie ma ochoty poślubić mężczyzny, za którego krewni chcą ją wydać. - To była wyjątkowo długa przemowa jak na milczącego zazwyczaj Humphreya.

- A czy ona mówi po angielsku? - zapytał Jake z ciekawości, ale też i po to, żeby zyskać trochę czasu i rozważyć zaskakującą prośbę Humphreya.

- Tak, sir. Całkiem niezłe. Miały tam irlandzkiego księdza, w tym ich klasztorze.

- Rozumiem.

- W każdym razie wiemy, że ona nie może jechać z nami do Anglii, jeżeli nie będzie moją żoną. A są jakieś trudności, kiedy żołnierze chcą się żenić z miejscowymi kobietami.

- I nie bez przyczyny - powiedział Jake. Położył Humphreyowi dłoń na ramieniu. - Ale ta zasada została wprowadzona, żeby chronić młodzieniaszków przed popełnieniem błędu, który mógłby im zrujnować całe życie. Nie kogoś takiego, jak wy.

- To pomoże nam pan, sir?

- Będę zaszczycony. - Jake wyciągnął dłoń. - Gratuluje, sierżancie.
- Dziękuję, sir.
- Mówiliście, że jest jeszcze coś?
- Wydawało się, że Humphrey nie kwapi się z odpowiedzią.
- Może to tylko pogłoska, majorze, ale pomyślałem, że powinienem to panu powiedzieć.
- No i...?
- Wie pan, że niektórzy z naszych skumali się z miejscowymi.
- Cóż, to źródło dostarcza nam nieraz cennych informacji - odparł Jake.
- Dlatego pomyślałem, że może być w tym trochę prawdy, tym bardziej że to wyszło od Eda Nelsona. To dobry człowiek. No więc wygląda na to, że w okolicy grasuje banda renegatów.
- Macie na myśli angielskich dezertersów?
- W tej akurat bandzie są Anglicy, Francuzi, a nawet jacyś Hiszpanie. Grabią i gnębią miejscowych, okradają też żołnierzy obu armii, kiedy tylko nadarzy się okazja.
- Tyle i ja wiem - powiedział Jake.
- Ed mówi, że widział wśród nich tego gościa, Brady'ego.
- Jake wzdrygnął się.
- Naprawdę? Teraz, niedawno?
- Tak, sir. I Brady rzucał pogrożki wobec Anglii w ogóle, ile pana w szczególności. Ed mówi, że Brady był wtedy oczywiście pijany.
- Hmm. Dziękuję, że mi to mówicie - odparł Jake.
- Jest jeszcze coś, sir.
- Jeszcze coś?
- Humphrey zakreślił czubkiem buta kółko na ziemi.
- Wygląda na to, że Brady gadał, że chce swoją żonę z powrotem. Gadał, że da panu nauczkę, czy coś takiego.
- Dobry Boże!
- Humphrey ciągnął:
- Ja tam tego akurat nie widziałem i nie mogę udowodnić, ale słyszałem, że i Morton miał jakieś kłopoty z tymi renegatami.

- Wcale mnie to nie dziwi - mruknął Jake.
- Ja tam na pańskim miejscu to bym miał oczy naokoło głowy i pilnował pani Brady.
- Tak zrobię, sierzancie. Z pewnością tak zrobię. I dziękuję wam.
- Nie, sir. To ja dziękuję. Jeśli pomoże pan mnie i Luizie, będę panu wdzięczny do końca życia.
- Zrobię, co w mojej mocy, sierzancie.

Jake nie powtórzył Rachel, czego dowiedział się od Humph-reya. Ani przez moment nie wątpił, że sierżant mówił prawdę, ale nie chciał martwić ukochanej. Teraz, kiedy zdołała już poczuć się bezpiecznie, Jake nie chciał zobaczyć znowu jej przerażonego spojrzenia. Poinformował jednak o groźbach Brady'ego Hastingsa i Traversa, a także Henry'ego i Thompkinsa.

Hastings, po nocy spędzonej w głównej sali oberży na raczeniu się winem, powiedział Jake'owi na osobności:

- Fatalnie, że nie możesz się z nią ożenić, co nie? Ale przypuszczam, że nie jest to jedyna przyczyna. Forresterowie pewnie żenią się tylko z równymi sobie.
- Nie wspominając już o tym, że Rachel jest już zamężna - odparł Jake z sarkazmem.
- Ale on ją porzucił - mruknął kapitan między napadami czkawki.
- To prawda. Jednak jej małżeństwo nie przestało być prawdziwie - cierpliwie tłumaczył Jake mniej trzeźwemu koledze.
- A jednak. Cholernie źle. Jesteś w niej wyraźnie zakochany.
- A ty, przyjacielu, jesteś wyraźnie pijany. Chodź, pomogę ci się położyć.

Później Jake wybrał się na samotną przechadzkę w mroźnym powietrzu grudniowej nocy, rozmyślając o tej rozmowie. Hastings miał rację. Jake był zakochany. Mówi szczerze, był zakochany w Rachel od chwili, kiedy, czytając mu „Iliadę”, przekomarzała się z nim na temat Achillesa i innych bohaterów homeryckiego eposu. Ale Jake także miał i cję. Rachel nadal była prawnie poślubiona komuś innemu.

Zapytał jednak sam siebie, czy poślubiłby ją, gdyby bytu

wolna? Jako Forrester dorastał w przekonaniu, że prędzej czy później poślubi kobietę ze swojej sfery - taką jak Celia. Teraz, kiedy poznał głębię namiętności, czułości i przyjaźni, jakie ofiarowała mu Rachel, nie mógł wprost wierzyć, że kiedyś zwracał sobie głowę kimś tak próżnym jak jego dawna bratowa. A jednak społeczeństwo przyklasnęłoby związkowi tak dobranej pary. Czy raczej - niedobranej. Z czasem zaczęłby nienawidzić małżeństwa z Celią, powiedział sam sobie. Zaskoczyła go ta myśl, ale jeszcze bardziej zdumiał go fakt, że nie przyszło mu to do głowy przed laty.

Odpowiedź na najważniejsze pytanie brzmiała „tak”. Do diabła z towarzystwem i tradycją. Tak. Poślubiłby Rachel - gdyby tylko była wolna. I... gdyby go chciała.

Pośpieszył z powrotem do oberży. Został Rachel w nocnej koszuli, zapisującą coś w swoim dzienniku. Odłożyła pióro, kiedy podszedł do drzwi.

- Rachel, usiądź ze mną przy kominku. Muszę z tobą porozmawiać.

- O czym? Czy coś się stało? Nie wezwano cię chyba do sztabu o takiej porze!

- Nie. Nic z tych rzeczy. - Zasiadł w narożnym fotelu przy kominku i pociągnął ją na swoje kolana.

- Jesteś w dziwnym nastroju - zauważyła.

- Rachel, czy gdybyś była wolna, wyszłabyś za mnie?

- Jake! Dlaczego o to pytasz?

- Wyszłabyś? - nalegał, pytając niecierpliwie.

- Ja... ja nie wiem... ja... Zaskoczyłeś mnie. Chyba nie piłeś. A może?

Jake zaśmiał się.

- Nie tyle, żeby to miało znaczenie. - Uściskał ją szybko i mocno. - A teraz mi powiedz, wyszłabyś za mnie, gdybyś mogła?

Rachel milczała przez tak długą chwilę, że powoli zaczynał coś rozumieć.

- Rachel? Nie mogę uwierzyć, że nic dla ciebie nie znaczę. Objęła go za szyję i pocałowała mocno. Poczwała aromat miętowej herbaty, którą pił tego wieczora.

- Och, Jake. Tak. Znaczysz dla mnie bardzo wiele. Bardzo wiele. Ale...

- Ale nie wyszłabyś za mnie, gdybyś mogła?

- Ja... po prostu nie wiem. Przynajmniej nie w tej chwili. Pochodzimy z tak różnych światów. No i... nie jestem wolna. Oboje to wiemy.

To ponure stwierdzenie faktu zawisło między nimi jak ciemna chmura i długo siedzieli w milczeniu. Po chwili Jake lekko potrząsnął Rachel.

- Posłuchaj mnie, Rachel. Ta wojna skończy się za kilka ty godni, najdalej za kilka miesięcy. Wcześniej, jeśli Napoleon ma przynajmniej tyle rozumu, ile Stwórca dał choćby gęsi.

Rachel pocałowała go szybko.

- Wiem. A potem wrócimy do Anglii i pójdziemy własny mi drogami.

Jake pomyślał, że powiedziała to odrobinę zbyt pogodnym tonem.

- Ale ja chcę, żebyś była ze mną - rzekł stanowczo. - Kocham cię.

- Och, Jake, to się nie uda. Naprawdę, nie uda się.

- Dlaczego? - zapytał szorstko.

- W twoim życiu w Anglii mogłabym zaistnieć tylko jako twoja kochanka, tak jak tutaj.

- Jako ktoś, kogo kocham - poprawił ją.

- To też. Ale nie mogłabym wejść do twojej rodziny, prawda? Mężczyźni nie przedstawiają swych kochanek swoim krewnym.

To, co powiedziała, było szczerą prawdą. Co więcej, Rachel nie należała do kobiet, które zadowolilyby się pozycją metre-sy, zawsze gotowej na skinienie mężczyzny, kiedy ten może jej poświęcić chwilę przerwy w swoim „prawdziwym” życiu.

Mówiła dalej nieskończenie smutnym tonem:

- Którego dnia ożenisz się i będziesz miał dzieci. Nie chciałabym na to patrzeć. Ani zadawać cierpień innej kobiecie. Co więcej, wątpię, czy ty także byś to zniósł.

Nagle Jake zdał sobie sprawę, jak głębokiego bólu do-

świadczyła kiedyś Rachel - i że ono wcale się jeszcze nie skończyło. I miała też rację co do niego. Nie widział siebie w roli męża zdradzającego żonę. Poczul, że ogarnia go rozpacz.

- Nie mam zamiaru poślubić jakiejś gąski z wyższych sfer - zapewnił. Potem dodał cicho: - A ty i ja moglibyśmy mieć dzieci...

- Urodzone z nieprawego łoża? Żadne z nas by tego nie chciało.

- No to nie będziemy mieli dzieci. Ale ja nie pozwolę ci odejść. Poza tym, gdzie, albo do kogo, miałbym pozwolić ci odejść? Na pewno nie do tego łotra Brady'ego. Jeżeli mnie nie odrzucisz, jestem twój, moja droga. I zamierzam cię kochać i troszczyć się o ciebie.

- Och, Jake. Jesteś słodkim, cudownym, niemądrym człowiekiem. Jak mogłabym nie rozważyć takiej oferty? Jednak zauważył, że nawet kiedy ich usta się spotkały, Rachel nie potwierdziła, iż tę ofertę przyjmuje.

W uczuciach Rachel zapanował chaos. Była niebotycznie szczęśliwa, że Jake wyznał jej miłość. Jednocześnie zastanawiała się, czy nie będzie straszliwym egoizmem z jej strony, jeśli zgodzi się nadal być jego metresą. Kochanką, poprawiła sama siebie i uśmiechnęła się.

Tak naprawdę jaki miała wybór?

Mac przyjął ją do swojego personelu tu, na Półwyspie, ale nie stała się dzięki temu prawdziwym medykiem. Zaś w Anglii nie będzie dla kobiety pracy w szpitalu. Nie umiała szyć aż tak dobrze, żeby zostać szwaczką. Jako kobieta samotna mogłaby zostać zatrudniona jako guwernantka w jakimś uboższym szlacheckim domu. Jednak dla porzuconej żony, i do tego kochanki innego mężczyzny, taka posada była nieosiągalna. Rachel doskonale wiedziała, że jej przeszłość z pewnością prędzej czy później wyszłaby na jaw.

Nie. Naprawdę nie miała innego wyboru, jak tylko zrobić dokładnie to, czego pragnęła z całych sił - zostać z Jake'em. Ale co, jeśli któregoś dnia on zechce poślubić inną i mieć

rodzinę? Mieć żonę, która mogłaby pełnić honory pani domu, zabawiając podczas przyjęć członków Parlamentu?

Na samą myśl o Jake'u w ramionach innej kobiety przeszył ją ból. Być może pewnego dnia potrafił się z tym pogodzić, ale nie teraz.

Najbardziej niepokoił ją ten brak możliwości wyboru i zdanie na łaskę innej osoby - nawet jeśli był to ktoś, komu ufała bez reszty, jak Jacobowi Forresterowi. Ale kiedyś ufała także Edwinowi, czyż nie? A ciotce i wujowi? Czy i to szczęście mogłoby obrócić się w pył? Wróciła do punktu wyjścia - jako kobieta, do tego kobieta bez środków do życia, po prostu nie miała innego wyboru, jak tylko podążać tam, gdzie los zechce ją rzucić.

A przynajmniej w tej chwili los się do niej uśmiechał. Lepiej mieć choć połowę głównej wygranej niż nic...

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Brytyjczycy czynili wszelkie starania, by zachować narodowe tradycje i radosny nastrój tych dni. Nareszcie przysłano nowe mundury i dla wielu był to dodatkowy powód do radości. W głównej sali oberży ustawiono w kominku tradycyjne świąteczne polano, było grzane wino i kolędy. Rachel zaskoczyła swoją „rodzinę” i przyjaciół świąteczną ucztą, na którą złożyły się między innymi pieczona gęś i pudding śliwkowy. Francuski oberżysta i jego żona z ochotą pozwolili jej porządzić się w kuchni i sami także przyłączyli się do świętowania, dostarczając wino.

Żona oberżysty zwierzyła się Rachel, że woli brytyjskich gości.

- Francuscy żołnierze po prostu brać, kraść, oni nie płacić. To samo ci brudni Hiszpanie. Hiszpanie naprawdę być źli dla nas Francuzów.

- Słyszałam o tym - powiedziała ze współczuciem Rachel.
-Słyszałam też, że lord Wellington odesłał jedną kompanię hiszpańską z powrotem do Hiszpanii, bo nie mógł inaczej ukrócić ich grabieży i złego traktowania miejscowych ludzi - dodała Rachel.

- Tres hien! - zawołała madame Aubert.

W głównej sali nakryto dwa stoły, a jako goście zjawili się między innymi Paxtonowie i Binghamowie oraz sierżant Humphrey ze swoją Luizą. Wśród oficerów, oprócz Jake'a, do stołu zasiedli: Hastings, Travers, MacLachlan i Ferguson. Każdy postarał się przynieść coś od siebie jako dodatek do świątecznej uczy. Rachel uparła się, aby do stołu zasiedli też Henry, Thompkins i Juan, podobnie jak dwóch służących Traversa i Hastingsa.

- To bardzo uprzejme z pani strony, pani Brady - powiedział Henry - ale naprawdę, to nie uchodzi, żeby służba zasiadała wraz ze szlachtą, a na to by wyszło.

- Nonsens - odparła. - To Boże Narodzenie i ja nalegam. A poza tym wasza obecność sprawi, że państwo Paxton i państwo Bingham będą się czuli bardziej swobodnie.

- Cóż... patrząc na to w ten sposób...

Później, kiedy Rachel i Jake wreszcie udali się do swojego pokoju na noc, Jake objął ją i powiedział:

- Jesteś naprawdę aniołem, moja kochana. To było cudowne przyjęcie.

- Prawda? Ale dlaczego uważasz, że to takie niezwykle?

- Nie znam innej kobiety, która byłaby w stanie zmienić grupę tak różniących się od siebie ludzi w tak znakomitą kompanię, jak przy tym stole - odparł.

- Oni wszyscy to przecież tacy mili ludzie.

- Oczywiście - zgodził się Jake. Przez chwilę zaabsorbowało go ściąganie wysokich butów, po czym zapytał: - Co sądzisz o Luizie sierżanta Humphreya?

- Myślę, że jest przeurocza. Była jedną z tych, które zaoferowały swą pomoc przy rannych pod Vitorią. - Rachel uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. - Ta biedna kobieta chodziła cały czas ze łzami w oczach, widząc, w jakim położeniu są ranni. Miło było zobaczyć ją teraz roześmianą.

- Napotkaliśmy pewne trudności przy organizowaniu jej ślubu z Humphreym.

- Nic takiego, czego nie potrafiłbyś rozwiązać, mam nadzieję.

- Ja też mam taką nadzieję.

Przygarnął Rachel do siebie i pochylił głowę, by dotknąć ustami jej ust. Kiedy odpowiedziała na jego pocałunek, myśl o kłopotach innej pary wyleciała mu z głowy.

Kilka dni później Rachel i Jake spacerowali po wiosce, jak to mieli w zwyczaju robić po południu, zanim wszystko ogarniała ciemność. Niekiedy towarzyszyli im Hastings i Travers. Czasem i Juan skakał wokół nich z nieodłącznym Poco. Ale tego dnia byli tylko we dwoje, chociaż Hastings obiecał, że „wróci za kilka minut”. Idąc pod rękę, gawędzili o codziennych sprawach, gdy nagle Rachel dostrzegła dobrze sobie znaną i znenawidzoną osobę - Mortona. Widywała go od czasu do czasu po incydencie w Vitorii, ale starannie go unikała. Teraz zniknął im z oczu między budynkami. Rachel słyszała plotki, że w jednym z nich mieścił się burdel - chociaż wiedziała także, że miała nie wiedzieć o jego istnieniu.

- Robert pisze, że Vauxhall Gardens planuje wielkie widowisko, sceny z bitwy pod Vitorią, jako jedną ze swoich głównych atrakcji - mówił Jake. - Wyobrażasz sobie, jakie to będzie nieprawdziwe?

Najpierw Rachel dostrzegła broń - śmiertelny pistolet. Potem spomiędzy budynków wyszedł Morton i z bardzo bliska wycelował w pierś Jake'a.

- Neeee! - krzyknęła i rzuciła się na Jake'a, popychając go tak, że się potknął.

Poczuła przeszywający, palący ból w barku i ramię Jake'a, powstrzymujące ją przed upadkiem. Usłyszała kolejny donośny huk i przez głowę przemknęła jej myśl: On zabił Jake'a!

Potem nie słyszała już ani nie czuła nic.

- Rachel! Och, mój Boże! Rachel!

Przerażony widokiem krwi sączącej się po piersi ukochanej, Jake ukląkł, osłaniając ją własnym ciałem. Usłyszał pospieszne czyjeś kroki, ktoś minął go w biegu. Usłyszał też drugi strzał, ale nie zdołał się zorientować, skąd padł.

- Do diabła! - mruknął, wyciągając własny pistolet. Od czasu jak ostrzegł ich Humphrey, żaden z przyjaciół, towarzysząc Rachel, nie wychodził bez nabitej broni. Nagle zmaterializował się Hastings, nadchodząc z kierunku, gdzie padł strzał.

- Nie żyje.

- Brady?

- Nie. Morton. Czy ona...?

- Żyje - odpowiedział Jake, wstając, by podnieść ranną. - Sprowadź MacLachlana, dobrze?

- Już się robi.

Jake zaniósł Rachel z powrotem do obojczy, szepcząc w kilku językach wszystkie modlitwy, jakie kiedykolwiek usłyszał.

20

- Dzięki Bogu, to nie jest zbyt poważne - powiedział Mac Lachlan. - Kula mogła jednak drasnąć obojczyk i pani Brady z pewnością nie będzie mogła posługiwać się tą ręką przez jakiś czas.

Kula przebiła mięsień i MacLachlan wyjął ją bez problemów. Jake musiał mocno wziąć się w garść, żeby znieść widok chirurga rozgrzebującego ranę, chociaż był już świadkiem wielu takich scen.

Nareszcie MacLachlan wyprostował się i umył ręce. Wycierając je, powiedział:

- Kiedy zaczniesz siadać czy wstawać, będzie potrzebowała temblaka, żeby zmniejszyć nacisk na ranę.

- Dopilnuję tego - zapewnił go Jake.

- Mógłby pan też postarać się o jakąś kobietę do opieki.

- Ja mogę się nią opiekować - odparł Jake niemal z urazą.

- Nie wątpię, że pan może, majorze, ale sądzę, że będzie

261

się czuła swobodniej, mając kobietę do pomocy w pewnych sytuacjach.

Jake zdał sobie sprawę, że doktor ma rację, ale nie mógł odciągać Clary od jej dziecka, a Nellie Bingham była chora na grypę. Uznał, że mógłby poprosić madam Aubert, żeby pomagała Rachel. A potem przyszła mu do głowy Luiza i natychmiast posłał po nią.

Tak naprawdę, pomyślał Jake, zatrudnienie Luizy jako pielęgniarki Rachel mogło się okazać rozwiązaniem więcej niż tylko jednego problemu.

Luiza z radością zaofiarowała swoją pomoc. Wraz z Jake'em na zmianę czuwali w pokoju rannej, dopóki Rachel nie odzyskała przytomności. Mac miał rację. Rachel wdzięczna była za obecność kobiety, zwłaszcza w tych chwilach, kiedy Jake nie mógł być przy niej. Wiedział, że cierpiała, a do tego wykonywanie nawet zwyczajnych czynności jedną ręką było dla niej frustrujące.

- Na pewno nabrałam nowego szacunku dla ludzi, którzy stracili kończynę - wyznała mu.

Choć ból wyraźnie jej dokuczał, Rachel na trzeci dzień odmówiła dalszego przyjmowania laudanum. Oświadczyła, że woli zachować świadomość. Udzielała Jake'owi i Luizie szczegółowych wskazówek, jak mają przygotowywać gorące okłady. MacLachlan oświadczył, że jest zupełnie zadowolony z poprawy jej stanu.

Wkrótce Rachel odzyskała siły na tyle, żeby nie tylko opuścić łóżko, ale też posiedzieć w głównej sali i przyjmować licznych gości. Jako pierwsi zjawili się Clara i Joe wraz z sierżantem Binghamem.

- Nellie też chciała przyjść - powiedział Bingham - ale boi się, że mogłaby nadal zarażać tą gorączką, na którą chorowała.

- Proszę jej powiedzieć, że tęsknię za jej uśmiechniętą twarzą - odparła Rachel.

Hastings regularnie pytał o jej stan. Kiedy po raz pierwszy pokazała się w towarzystwie innych osób, też tam był, żeby sprawdzić osobiście, czy szybko dochodzi do zdrowia.

Jake i Luiza kręcili się w pobliżu, pilnując, żeby się nie przemęczała. Kiedyś Jake wrócił do oberży i zastał Rachel na parterze, przyjmującą gości. Rzucił pytające spojrzenie Luizie.

- Nie mogłam jej zatrzymać w łóżku - odpowiedziała Hiszpanka.

- Nie złość się na Luizę - odezwała się Rachel. - To był mój pomysł. A ty nie powinieneś być aż taką troskliwą kwoczką. - Uśmiechnęła się, żeby go ułagodzić.

- On po prostu chce zatrzymać panią tylko dla siebie - droczył się Hastings. - Zawsze był z niego taki samolubny brutal.

- Jake mówił mi, że to pan przyszedł nam na ratunek - powiedziała z wdzięcznością Rachel.

- Powiniennem dołączyć do was wcześniej ^ odparł przepaszającym tonem. - To by się mogło nie wydarzyć, gdybym nadszedł w porę.

- Zapewne - przytaknęła. - Ale nie możemy być tego pewni. Sądzę... Sądzę, że sierżant Morton nie mógł feyć przy zdrojowych zmysłach.

Hastings parsknął.

- Ja bym powiedział, że kompletnie poprzewracało mu się we łbie.

- W każdym razie przykro mi, że stałam się przyczyną jego śmierci, jakkolwiek nie bezpośrednio.

Hastings wymienił z Jake'em porozumiewawcze spojrzenie, zanim się odezwał:

- W żadnym razie nie ma pani powodu obwiniać siebie o to, co zaszło, droga pani. Jego celem najwyraźniej był pa ni towarzysz.

- Sądzę, że ma pan rację - odpowiedziała.

Hastings uśmiechnął się do niej łobuzersko.

- Mam nadzieję, że nauczyła się pani, że delikatne ciało ślicznej kobiety to całkiem nieodpowiednia tarcza przeciwko kulom.

- Praca w szpitalu unaocznia, że żadne ciało nie jest skuteczną tarczą - odparła.

Hastings przytaknął.

- Racja.

Rachel gawędziła beztrąsko z Hastingsem i innymi, dopóki

Jake nie zaczął nalegać, że powinna odpocząć. Kiedy zniecierpliwiony chwycił ją w ramiona, by zanieść z powrotem na górę, zaprotestowała.

- Postaw mnie na ziemi! Zeszłam na dół o własnych siłach.

- Ale wrócisz, korzystając z moich - odparł.

Świadkowie tej scenki zaczęli się śmiać.

- To moje ramię nie działa, jak należy, a nie nogi!

Jake pochylił głowę, przybliżając usta do jej ucha, i szepnął:

- Wiem. Ale lubię czuć cię dokładnie tu, gdzie teraz jesteś.

Rachel oblała się rumieńcem i ustąpiła, obejmując go zdrową ręką za szyję.

Wkrótce potem Henry przyniósł tacę z kolacją dla Rachel i Jake'a.

- Rachel, musimy porozmawiać - powiedział Jake, kiedy już podjedli sobie solidnie.

- Naprawdę, mój stan się poprawia. - Rachel od razu zaczęła się bronić.

- Tak, rzeczywiście - zgodził się Jake. Zawahał się chwilę, po czym kontynuował: - Jeszcze tydzień czy dwa i będziesz mogła podróżować.

- Podróżować? Nie mów mi, że armia już wyrusza. Jest środek zimy!

- Nie armia. Ty.

- Nie rozumiem. - W jej głosie zabrzmiała nutka lęku.

Jake chwycił jej zdrową rękę i uniósł do ust.

- Nie chciałem cię niepokoić, kochanie. - Po czym podzielił się z nią informacjami, które wcześniej przyniósł mu Humphrey.

- Ty... więc ty myślisz, że sierżant Morton próbował cię zastrzelić na polecenie Edwina?

- Po prostu nie wiem. Ale trafił cię, a ja nie mogę ryzykować, że to się powtórzy.

Po chwili namysłu Rachel zapytała:

- A zatem zamierzasz mnie odesłać? Samą? Bez ciebie?

- Beze mnie, ale tylko na krótko. I nie samą. Z Luizą. - Nadal trzymając dłoń Rachel, Jake bezwiednie gładził kciukiem jej palce.
- Najlepiej zacznij od samego początku - powiedziała tonem godnym niemal nauczycielki.
- Bardzo proszę. Napisałem do mego brata. On wyjedzie ci na spotkanie...
- Odsyłasz mnie do Anglii? - Nutka obawy w jej głosie teraz zmieniła się w przerażenie.
- Wysłuchaj mnie, Rachel. Proszę. Jeżeli zostaniesz tutaj, będziesz wciąż narażona na niebezpieczeństwo. Martwię się o ciebie od tygodni, od chwili kiedy Humphrey mi powiedział. Jak dotąd, udawało nam się ciebie chronić.
- Kapitan Hastings nie znalazł się tam przypadkiem, prawda?
- Nie, moja droga, nie przypadkiem.
- Powinieneś był mnie uprzedzić - odrzekła z pretensją.
- Być może powinienem. - Ale tak naprawdę sam w to nie wierzył. - Jednak nie to jest najważniejsze.
- A co...?
- Rzecz w tym, że zostając tutaj, będziesz zagrożona, zwłaszcza kiedy będziesz poza szpitalem, gdzie chroni cię MacLachlan.
- A Henry... - Rachel próbowała chwycić się brzytwy.
- To dobry człowiek i oddany sługa. Ale słabo się zna na broni. A Thompkins ma i tak sporo do roboty.
- Rozumiem. - Ramiona Rachel opadły w geście rezygnacji i skrzywiła się z bólu.
- Robert wyjedzie ci na spotkanie i znajdzie dla ciebie miejsce, w którym poczekaś na mnie. Ja dołączę tam do ciebie tak szybko, jak tylko będę mógł.
- Ty już zorganizowałeś to wszystko? Od jak dawna spiskowałeś za moimi plecami, majorze Forrester? - Rachel była teraz bliska gniewu.
- Jake mocniej ścisnął jej dłoń, kiedy próbowała ją wyrwać.
- Planowałem, nie „spiskowałem”. Napisałem do Rober-

ta, ale on nie miał jeszcze czasu, by odpowiedzieć. Nie zawiadzie mnie jednak. Nigdy mnie nie zawiódł. Rachel milczała przez chwilę.

- Ty... powiedziałaś, że nie pojedę sama.

- Nie pojedziesz sama. Będzie ci towarzyszyć Luiza jako twoja pokojówka.

- Luiza? Jako pokojówka?

- Tak. Humphrey uznał, że to dobry pomysł, a ona też ma chęć jechać z tobą. Widzisz, nie byliśmy w stanie załatwić im tego ślubu.

- Myślę, że gdyby był oficerem, to ci generałowie by się zgodzili. - Myśli Rachel na moment odbiegły od jej własnego problemu.

- Racja. - W tym jednym słowie Jake zawarł własną złość na autokratyczną biurokrację, która była częścią wojskowej maszyny. - Armia nie robi wyjątków dla mężczyzn dojrzałych i poważnych, liczy się tylko szarża.

- To niesprawiedliwe.

- Tak, masz rację. Ale jeśli Luiza będzie w Anglii, kiedy Humphrey wróci do domu, to cóż, na angielskiej ziemi on może się ożenić gdziekolwiek i z kimkolwiek tylko chce.

- I ona jedzie jako moja pokojówka?

Jake widział już, że Rachel dała się przekonać.

- Pokojówka. Dama do towarzystwa. Pielęgniarka. Będzie towarzyszyła brytyjskiej obywatelce i będzie miała odpowiednie dokumenty. Robert o to też się postara.

Rachel odwróciła dłoń, tym razem delikatnie ściskając rękę Jake'a.

- Ten twój Robert to chyba wspaniały człowiek.

- O tak. Ale przydaje się też to, że jest markizem. - Jake podniósł się i pociągnął ją za sobą, by wstała. Delikatnie otoczył ją ramionami, przygarniając tak blisko, na ile pozwalała jej zraniona ręka. - Pojedziesz więc?

- A czy mam wybór?

Jake cofnął się o krok i podłożył palec pod brodę ukochanej, unosząc jej twarz i spoglądając w oczy.

- Tak, Rachel. Masz wybór. Przy mnie zawsze będziesz miała wybór. Chcę, żebyś to zrobiła, ale jeśli odmówisz, uczynię, co będę mógł, żeby nie stała ci się żadna krzywda.

- Ostro się targujesz, sir. - Oboje pomyśleli, że to niemal te same słowa, które już kiedyś Jake powiedział do Rachel. Uśmiechnęli się do siebie i pocałowali. To był słodko-gorz- i pocałunek, zapowiedź nadchodzącej rozłąki.

- Zrobisz to? - zapytał.

-Tak.

Pod koniec stycznia Rachel znalazła się na pokładzie trzymasztowego okrętu zmierzającego ku Anglii. Obie z Luizą Zełzami w oczach stały na pokładzie statku, nie zważając na mróz. Spoglądały w kierunku portu, gdzie pożegnały Jake'a i Humphreya. Obie stały tak dopóty, dopóki port w oddali stał się nie większy od łebka szpilki. HMS Mary Eliza dostarczył zaopatrzenie i posiłki dla sił lorda Wellingtona, a teraz wracał do Portsmouth, wioząc angielskich rannych i francuskich jeńców, z których niektórzy także byli ranni.

Jake umówił się z kapitanem okrętu, że zabierze panią Brady oraz jej pielęgniarkę i towarzyszkę pannę Luizę Lo-pez. Kapitan z najwyższą gotowością zadośćuczynił życzeniu brata markiza Lounsbury. Kapitan Taylor oddał na potrzeby swych pasażerów płci pięknej własną kajutę. Panie jadały wraz z oficerami. Chirurg okrętowy, jak się okazało, znał MacLachlana ze szkoły i odwiedził dawnego kolegę, kiedy Mary Eliza stała w porcie.

- Mac bardzo pochlebnie się o pani wypowiadał, pani Brady - powiedział pan Johnson pierwszego wieczoru przy obiedzie.

- Naprawdę? Jak to miło z jego strony.

- Opowiedział mi o pewnych raczej nieortodoksyjnych metodach, jakie pani zastosowała. Jeżeli byłaby pani tak łaskawa, chciałbym pomówić z panią o tym, kiedy znajdzie pani trochę czasu.

- Oczywiście, sir. Z przyjemnością z panem porozmawiam. I jeśli tylko pozwalała na to pogoda, Rachel spędzała mnó-

stwo czasu na pokładzie, rozmawiając o medycynie z lekarzem okrętowym.

- Gdyby nie ta ręka na temblaku, madam, pani doświadczenie mogłoby się przydać pod pokładem.

Zaznawszy już życia na niższych pokładach podczas podróży do Portugalii - kiedy to było? - ponad dwa lata temu, Rachel mogła się tylko cieszyć, że ma wymówkę, by tam nie schodzić. Ani Rachel, ani Luiza nie przepadały za morzem, chociaż na szczęście morska choroba dokuczała im rzadko.

Aż w pewnej chwili - wydawało się, że nastąpiło to nagle - obie kobiety i ich bagaże zostały spuszczone do łodzi w Portsmouth i już za chwilę stały na angielskiej ziemi. Urzędnicy portowi leniwie machnęli na nie, by przechodziły dalej.

Umowa Jake'a z kapitanem obejmowała też znalezienie podróżnym miejsca w gospodzie na noc i zorganizowanie im transportu do Londynu. Dwa i pół tygodnia po rozstaniu z Jake'em i Hum-phreym obie kobiety znalazły się w recepcji hotelu „Grillon”.

- Brady? Tak, proszę pani. Oczekiwaliśmy pań. - Pełen szacunku ton urzędnika wyjaśnił się, kiedy ten dopowiedział: - Przyjazd pań został zorganizowany pod auspicjami markiza Lounsbury. Życzył sobie, aby powiadomiono go natychmiast o przyjeździe pań. - Urzędnik pstryknął palcami na dwóch młodzieńców w uniformach i wręczył jednemu z nich klucz.

Rachel i Luiza zostały zaprowadzone do najbardziej eleganckiego apartamentu, jaki Rachel kiedykolwiek widziała - i miała w nim zostać! Służący przekazał im klucz i powiedział, że lekkie przekąski zostaną zaserwowane natychmiast, zaś kolację będą mogły zjeść później w hotelowej jadalni. Dodał jeszcze, o której godzinie, i wyszedł.

- Nie mogę w to uwierzyć! - powiedziała Rachel. - Że będę mieszkać w takim luksusie!

- Ależ oczywiście - odparła Luiza ze swym uroczym akcentem. - Mój Will mówi... mówił... że major Forrester ma w rodzinie bardzo ważnych ludzi.

- Wiem, ale... - Rachel wskazała dookoła zdrową ręką.

- Tu jest całkiem miło - zgodziła się cicho Luiza. Później

Rachel przypomniała sobie, że przecież Luiza sama pochodziła z liczącego się hiszpańskiego rodu. Być może była przyzwyczajona do takiej elegancji.

Kiedy zeszły na dół, na kolację, Rachel miała cały czas niepełną świadomość, jak niemodne są suknie, które nosiły ona i Luiza. Jake zadbał, żeby miały przyzwoite odzienie, ale te stroje już dawno wyszły z mody. Kiedy jadły posiłek w zacisznym kąciku, do którego je zaprowadzono, pojawił się kelner, przynosząc Rachel bilecik na srebrnej tacy.

Robert Forrester, Jego Wysokość Markiz Lounsbury, złożył wizytę pani Brady o godzinie jedenastej rano dziesiątego lutego 1814 roku.

- Jakież to oficjalne - powiedziała Rachel, pokazując bilecik Luizie.

- Si. Tak. Ktoś taki nie zadbałby o zwykłego sierżanta, jak 80 zrobił nasz major.

Rachel przypomniała sobie, jak Jake sformował tę ich „przyszywaną rodzinę” w Badajoz i jak nalegał, żeby zwracali się do niego po imieniu. Och, jakże za nim tęskniła! I była bardzo ciekawa spotkania z jego bratem.

Nie chciała wracać do Anglii bez Jake'a. Jednak tam, na kontynencie, byłaby dla niego ciężarem. Poza tym, odsyłając ją, mógł jednocześnie rozwiązać problem Humphreya. Kiedy Rachel bliżej poznała Luizę, była zadowolona, że mogła pomóc starszej parze - i cieszyła się z towarzystwa Hiszpanki.

Luiza była prawie w wieku kobiet, do których lepiej przystawałyby matka Rachel. Na pierwszy rzut oka wydawała się dość przeciętnej urody, ale kiedy się uśmiechała, stawała się piękna. Sprawiały to ciepłe, brązowe oczy i małe dołeczki w policzkach. Pomoc, jaką Luiza okazywała Rachel, wydawała się wynikać bardziej z autentycznej troski niż z zobowiązania wobec dobroczyńcy sierżanta Humphreya. W trakcie podróży obie kobiety naprawdę się zaprzyjaźniły. Teraz, po długiej jeździe dyliżansem i pełnym emocji dniu, kiedy coraz

to nowe widoki i doświadczenia wymagały od nich uwagi, obie kobiety były wyczerpane i wcześniej położyły się spać.

Punktualnie o jedenastej następnego dnia pukanie do drzwi zapowiedziało przybycie gościa.

- Pani Brady? Jestem Lounsbury.

- Jak się pan miewa, sir? Pozwoli pan, że przedstawię moją towarzyszkę, pannę Luizę Lopez.

Rachel i Robert wymienili wszystkie zwyczajowe grzeczności, ale Rachel zauważyła, że markiz bacznie się jej przyglądał, oceniając ją, tak samo jak ona jego. Nie był tak wysoki jakjake i jej zdaniem nie aż tak atrakcyjny. Jednak rzucało się w oczy, że byli braćmi. Przyrodni braćmi, przypomniawszy sobie. Mieli takie same bujne czupryny rudawych włosów i intensywnie niebieskie oczy. Jake miał ciemniejszą cerę i więcej piegów - Rachel pomyślała, że to od słońca - ale z drugiej strony Jake opisywał jej swego brata jako kogoś w typie uczonego. Elegancko ubrany markiz miał na sobie strój, który - jak sądziła Rachel - musiał być szczytem męskiej mody. Zauważyła, że zdjął płaszcz i kapelusz przed wejściem na górę.

Zaprosiła go, by zajął miejsce w salonie. Odmówiwszy po częstunku, zasiadł na wygodnym wyściełanym krześle i założył nogę na nogę. Rachel usiadła naprzeciwko niego, a Luiza, nie rzucając się w oczy, zajęła krzesło przy stole, przy którym wcześniej pisała list.

- Jak pani z pewnością wiadomo, pani Brady, mój brat powierzył mi nader miłe zadanie zadbania o pani wygodę do czasu, aż sam powróci do Anglii.

- Poinformował mnie o tym.

- Zgodnie z jego instrukcjami zorganizowałem dla pani przeprowadzkę do umeblowanego mieszkania w szacownym domu. Otrzyma pani co miesiąc środki, które, mam nadzieję, pozwolą pani i pani Lopez na pokrycie wydatków. Oto kwota na pierwszy miesiąc. - Sięgnął do wewnętrznej kieszy ni surduta i wyjął małą paczuszkę, którą położył na stole. - Kolejne sumy będą pani dostarczane pierwszego dnia każdego miesiąca aż do czasu, kiedy wróci Jacob.

Rachel była zakłopotana. Nie czuła się wcześniej jak utrzymanka, ale ta rozmowa o pieniądzach uzmysłowiła jej, że to teraz część jej życia.

- Dziękuję, sir - powiedziała cicho.

- Mój brat zwrócił mi także uwagę, że obie panie powinny ubierać się w bardziej modne stroje niż te, które były paniom dostępne w ciągu ostatnich miesięcy.

- Doprawdy? - Rachel była szczerze zaskoczona, że Jake pomyślał o czymś takim.

Uśmiech Roberta wyraźnie był reakcją na jej zdumienie. To był prawie uśmiech Jake'a i bardzo złagodził jego oficjalne zachowanie.

- Już poczyniłem pewne ustalenia z niejaką madame Celeste. Powiedziano mi, że szyje dla kilku bardzo eleganckich dam. Otrzymała już instrukcje i będzie, oczywiście, przesyłała swoje rachunki do mnie. Oto jej adres. - Robert położył kartkę na paczusce z pieniędzmi. - Ponadto - ciągnął dalej Lounsbury, jak gdyby wymieniał kolejne pozycje z listy - za trudniłem małżeństwo, pana i panią Ellison, jako pani służących. W pani apartamencie są dla nich pokoje i oboje już tam zamieszkali. Sądzę, że będą mogli odpowiedzieć na wiele pytań dotyczących mieszkania i tym podobnych.

Rachel była tym wszystkim przytłoczona.

- Ja... pan... i major Forrester... wydaje się, że pomyśleliście o wszystkim. Doprawdy nie wiem, jak mam panu dziękować.

- Wystarczy mi satysfakcja z wypełnienia życzeń mego brata, madam. Doprawdy niewiele mogłem zrobić dla niego przez te wszystkie lata.

- Doceniam więc, że jestem beneficjentką pańskiego poczucia obowiązku. Napiszę zaraz do Jaco... do majora Forrester... i opowiem mu o pana uprzejmości.

- Pozwolę sobie złożyć pani wizytę od czasu do czasu, żeby zobaczyć, jak się pani miewa - powiedział markiz.

Rachel uśmiechnęła się.

- Czy to również było w jego instrukcjach?

- Ależ oczywiście - odparł Robert, wyraźnie zaskoczony. Potem znów uśmiechnął się takim samym uśmiechem jak Jake, z błyskiem w oku. - Jednak i tak bym nie omieszkał. - Robert wstał, zbierając się do odejścia. - Jeżeli czegoś pani będzie potrzebna, proszę mnie tylko zawiadomić. Mój adres jest tu na karcie wizytowej. - Wskazał na paczuszkę na stole.

Rachel także się podniosła.

- Dziękuję panu, sir.

Zrobił krok w stronę drzwi, ale zawahał się.

- Och... Zakładam, że wiedzą panie, że nie powinny chodzić po Londynie bez eskorty? Obie panie mogą wychodzić razem w ciągu dnia. - Zerknął na Luizę. - Jednak są pewne dzielnice w tym wspaniałym mieście, które po prostu nie są takie wspaniałe... i nie byłyby tam panie bezpieczne nawet w dzień. Ellisonowie będą mogli paniom doradzić i towarzyszyć w razie potrzeby.

- Raz jeszcze wygląda na to, że pomyślał pan o wszystkim, sir.

- Staralem się. Życzę paniom miłego dnia. - Robert skłonił się każdej z nich i wyszedł.

- Wielkie nieba! - powiedziała Rachel. - Jake opowiadał mi, że jego brat jest mistrzem skutecznego działania, ale to przechodzi moje wyobrażenia.

- Odgrywa rolę... dobrej wróżki - odparła Luiza.

- A więc, Luizo, co zrobimy najpierw? Obejrzymy nasz nowy dom czy odwiedzimy krawcową? Och, jest tyle rzeczy do zrobienia i do zobaczenia w tym mieście! - Rachel okręciła się jak mała dziewczynka, którą rozsadza entuzjazm.

Luiza uśmiechnęła się.

- Nasz nowy dom i Ellisonowie najpierw, potem ubrania, a potem zwiedzanie.

- Tak, oczywiście. Co ja bym zrobiła bez ciebie i Jake'a, którzy układacie mi życie?

Robert Forrester, markiz Lounsbury, opuścił hotel „Grillon” bardzo zmieszany.

- To cię nauczy, żeby nie wyciągać pochopnych wniosków
-mruknął sam do siebie.

Ta kobieta była zupełnie inna, niż się spodziewał - chociaż, prawdę mówiąc, niewielkie miał pojęcie, czego miał się spodziewać. Całymi tygodniami - od kiedy Jake napisał o swoim planie - Robert łamał sobie głowę, w jaki sposób ukrócić ten romans między Jake'em a zamężną kobietą, żeby uchronić swego ukochanego młodszego brata przed wpadnięciem w drapieżne szpony jakiejś podstępnej wiedźmy. Teraz miał ochotę zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby jej pomóc - choćby dla dobra Jake'a, jeśli nie dla niej samej.

Pani Brady była osobą delikatną i Robert był pewien, że także posiadającą pewną ogładę i wykształcenie. Wydawała się być świadoma swojej sytuacji i zakłopotana z tego powodu. Jednak iskierki w jej oczach, kiedy mówiła o Jake'u, wystarczyły, żeby Robert zaczął zazdrościć bratu.

Zastanawiał się, jak długo to może potrwać. O ile wiedział, inne związki Jake'a z kobietami były tylko przelotnymi miłostkami. Ten wydawał się nie mieć nadziei na przyszłość.

Zresztą to nie jego sprawa!

Drugim zadaniem Roberta tego dnia - także na życzenie brata - było odebranie raportu od detektywów Bow Street Runners, których wynajął z poleceniem wysledzenia informacji o człowieku nazwiskiem Edwin Brady. „Runners” pracowali w niepozornym biurze, ale zwykle bywali skuteczni.

Pan Darby, detektyw, z którym Robert nawiązał kontakt,

wprowadził markiza do pokoju na zapleczu. Pokoik był niemal pusty, stało tam tylko biurko i trzy czy cztery proste krzesła. Robert domyślił się, że częstszym przeznaczeniem tego miejsca były przesłuchania podejrzanych.

- Przykro mi, panie, ale mam nader skromne informacje do przekazania - oznajmił Darby.

- Cóż, proszę mówić, co pan wie - powiedział Robert zrezygnowanym tonem.

Darby zajrzał do notesu.

- To tylko przypuszczenie, ale wydaje się, że ten pana człowiek nie nazywa się Brady, tylko Mullens.

- Mullens? - Zaskoczony Robert powtarzał to nazwisko, mrużąc do siebie. - Mullens. Mullens. Wiem, że powinienem znać to nazwisko.

- Słusznie, panie. To nazwisko farmera z pańskiej posiadłości w Devon, dokładnie stamtąd, skąd brat pański zapamiętał spotkanie z owym Bradym.

- Jaki jest zatem związek z farmerem?

- Zapisy kościelne wskazują, że w 1782 roku ochrzczono dziecko o nazwisku Edwin Michael Brady Mullens. To z pewnością ten sam Edwin Brady, którego brat pański spotkał na Półwyspie.

- Zatem kiedy Edwin Mullens stał się Edwinem Brady? I dlaczego? - zastanawiał się Robert.

- To tylko domysł, sir... ale nauczyłem się, że warto polegać na przeczuciach w tym interesie... i rzekłbym, że Brady to mogło być nazwisko panięskie jego matki.

Robert klepnął się dłonią w czoło.

- Oczywiście! To jest to.

- Co takiego? Ma pan coś? - zapytał czujnie detektyw.

- Mielśmy w Lounsbury pokojówkę nazwiskiem Elizabeth Brady. Odeszła rok wcześniej, niż ochrzczono to dziecko. To musi być ta sama kobieta. Odeszła, żeby wyjść za mąż.

Darby przewrócił parę stron w swoim notesie.

- Taaak. Nazwisko matki brzmiało Elizabeth B. Mullens; ojca Thaddeus Mullens.

- Zatem Mullens stał się Bradym - powiedział Robert nieobecny tonem. - Zastanawiam się, czy wziął ślub pod fałszywym nazwiskiem, czy też on i jego żona zmienili je później?

- Tego się jeszcze musimy dowiedzieć - odparł Darby. - Mam nadzieję, że zapisy w archiwach wojskowych rzucają nam jakieś światło na tę sprawę. Powinny. Wojskowi uwielbiają archiwa.

Robert wstał.

- Dobrze więc, niech pan pracuje dalej, panie Darby. I proszę mi wysłać wiadomość, kiedy tylko będzie pan coś miał.

- Tak, panie. Uch... sir? Jest jedna interesująca kwestia.

- Co takiego?

- Wygląda na to, że ktoś jeszcze szuka tego całego Brady'ego - powiedział Darby.

- Naprawdę? Czy wie pan, kto? Albo dlaczego?

- Wikary, który pokazał mi księgi parafialne, powiedział tylko, że był już u niego ktoś, kto pytał o to samo, jakiś miesiąc wcześniej.

- Doprawdy, interesujące - odparł Robert.

Rachel i Luiza stwierdziły, że ich nowe mieszkanie jest jeszcze świetniejsze, niż opisał je markiz. Pokoje, umeblowane z nieco wyblakłą i staromodną elegancją, były przestronne.

Państwo Ellison okazali się sympatyczną parą, chętną do pomocy. Kwota w paczusce była tak spora, że Rachel od razu wynajęła pokojówkę, żeby przejęła część pracy przy sprzątanii, gdyż pani Ellison pełniła też obowiązki kucharki.

Zyskała tym wielką wdzięczność Ellisonów.

Wyprawa do krawcowej przyniosła kolejny dowód hojności Forrestera - czy raczej markiza Lounsbury. Rachel, ku wielkiemu rozczarowaniu madam Celeste, zgodziła się tylko na najbardziej niezbędne stroje, jakich potrzebowała ona sama i Luiza.

- Ależ markiz powiedział...

- Markiz nie ma pojęcia o naszych potrzebach - odparła Rachel. - Zamówimy suknie codzienne i płaszcze, i po jednej bardziej eleganckiej sukni dla każdej z nas, ale muszą mieć

praktyczny kolor i fason, żeby nadawały się na różne okazje.

- Dobrze, madam.

Rachel usłyszała, jak madame Celeste mówi do swojej asystentki coś, co zabrzmiało jak: „Równie dobrze mogłabym ubierać... guwernantkę!”

Rachel tylko potwierdziła złożone zamówienie. Później, kiedy dostarczono suknie, dołączony był do nich liścik od markiza.

Pozwoliłem sobie skorzystać z rady madame Celeste w sprawie garderoby pań. Jak mniemam, jej gust co do stylu i kolorów zadowoli panie i teraz z pewnością będą panie odpowiednio wyposażone na każdą ewentualność.

Lounsbury

W paczce znalazło się kilka strojów więcej niż te zamówione przez Rachel.

- Niebywałe, co za arogancki, władczy... - Rachel aż brakło słów. - No i ta kobieta! Już sama myśl, żeby zrobić za moimi plecami coś takiego!

- Musisz przyznać, moja droga, że te suknie są śliczne - powiedziała Luiza.

- Tak są - przyznała niechętnie Rachel. - I z pewnością jesteśmy przygotowane na każdą ewentualność, choć Bóg jeden wie, co by to miało być! Przecież nie zostaniemy przedstawione na dworze!

- Och, nie sądzę, żeby znalazła się wśród nich suknia na królewski dwór - Luiza wyraźnie starała się załagodzić niezadowolenie Rachel.

Rachel roześmiała się.

- Och, rety. Jestem niewdzięczną jędzą, prawda? Większość kobiet nie posiadałaby się z radości, dostając tyle nowych sukien.

Musiała przyznać, że znacznie lepiej się poczuła, kiedy już mogła wyjść między ludzi, nie przyciągając swoim strojem liściowych spojrzeń. Bo wraz z Luizą zaczęły wychodzić. Zwie-

dziły główne atrakcje miasta - Opactwo Westminsterkie, katedrę św. Pawła, twierdzę Tower, plac Piccadilly. Namówiły nawet Ellisonów, żeby któregoś wieczora towarzyszyli im do Vauxhall Gardens. Rachel i Luiza bardzo krytycznie oceniły inscenizację przedstawiającą bitwę pod Vitorią, ale podobały im się popisy akrobatów i sceny ze zwierzętami.

Chociaż inscenizacja w Vauxhall w znacznym stopniu wy-paczała rzeczywiste wydarzenia, dokładnie uzmysłowiła Rachel, gdzie walczył Jake i jakim niebezpieczeństwem - bardzo realnym - stawiał czoła dzień po dniu. Jeden rzut oka na Luizę pozwolił jej zgadnąć, że i jej myśli powędrowały ku południowej Francji.

Obie kobiety rozpoczynały dzień od przeglądania w gazetach doniesień dotyczących kampanii Wellingtona. Każda lękała się ujrzeć znajome nazwisko na liście ofiar i każda wydawała z siebie głębokie westchnienie ulgi, nie znajdując tego, czego szukała. Panie dowiedziały się, że Wellington minął Bayonne, zostawiając tam tylko mały oddział oblegający miasto. Lista poległych w głównym starciu pod koniec lutego pod Orthez była przerażająco długa.

Nasz dzielny wódz był bardzo bliski dostania się do niewoli - napisał Jake w liście, który dotarł do nich w połowie marca. - Jego szczęśliwa passa jednak trwa, podobnie jak poprzednio, a jego obecność na polu bitwy jest najlepszą zachętą dla naszych ludzi.

Dalej Jake przekazywał im wieści o przyjaciółach. Juan często pytał o Rachel, a Henry marudził, że znowu musiał przejąć obowiązki kucharza. Clara i Nellie wypytywały go szczegółowo i przekazały swoje pozdrowienia. Jak zatem widzisz, moja kochana, wszyscy tęsknimy za tobą okropnie -ale nikt tak bardzo, jak ja!

Rachel miała łzy w oczach, kiedy doczytała do końca.

- Will pisze, że posunęli się naprzód - powiedziała Luiza. - Francuzi są stale spychani w kierunku Paryża.

- Wydaje mi się, że Times donosił, jakoby Soult schronił się do Tuluzy na południu Francji - odparła Rachel. - W ar-

tykule pisali, że to silnie ufortyfikowane miasto, ale chodzą słuchy, że jest tam sporo rojalistów i ich sympatyków.

- Dla republikańskich sił Bonapartego to nie są dobre wieści - zauważyła Luiza.

Rachel niezmiernie cieszyła się z faktu, że mogła rozmawiać o takich sprawach z Luizą - tak samo, jak miała w zwyczaju rozmawiać o nich z Jake'em. Dla byłej zakonnicy dwadzieścia lat w klasztorze z pewnością nie oznaczało dwudziestu lat izolacji. Krok po kroku Luiza wyjawiała kolejne fakty z historii swego życia. Wysłana do klasztoru przez swego rozgniewanego i upartego ojca, Luiza z pogodą ducha czerpała z tej nieznośnej sytuacji to, co mogła najlepszego.

- Cela klasztorna nie jest złą alternatywą, jeśli do wyboru masz łoże mężczyzny, który napawa cię wstrętem - stwierdziła Luiza.

Opowiedziała też Rachel o odwadze przeoryszy, która wraz z irlandzkim księdzem aktywnie pomagała partyzantom walczącym z Francuzami.

- Była bardzo dzielna i bardzo lojalna - mówiła ze smutkiem Luiza. Ona sama też przy różnych okazjach przносиła wiadomości.

- Muszę przyznać, że ty też byłaś dzielna - powiedziała Rachel

- Och, nie. Habit zakonnicy jest jak zbroja, nikt nie podejrzywa... jak to się u was mówi? pokornej siostrzyczki o takich czynach.

Rachel uśmiechnęła się i poklepała dłoń Luizy.

- A ja nadal twierdzę, że byłaś bardzo dzielna.

Bezczynność bardzo ciążyła Rachel. Starła się wyszukiwać sobie zajęcia, ale wycieczki po mieście z czasem przestały już być takie atrakcyjne. Odkąd podczas jednego ze wspólnych wyjść odkryła księgarnię Hatcharda, przeczytała kilka książek. Zajął się haftowaniem, ale stwierdziła, że to dość bezsensowne zajęcie. Wyciągała Luizę na długie spacerowiska do czasu, aż ta wyjątkowo zgodna dusza zaczęła protestować. Żyła w oczekiwaniu na przybycie poczty z Francji, która napływała z przerwami i nieznośnie wolno.

Robert odwiedzał Rachel, tak jak obiecał. Najwyraźniej zdając sobie sprawę z ich izolacji i samotności, zaproponował, by obie panie wybrały się wieczorem do teatru. Rachel była zachwycona tym pomysłem. Podobały jej się kiedyś występy kilku wędrownych trup, jakie oglądała z Bradym niedługo po ślubie.

Markiz przysłał po nie powóz i umówił się z niejakimi panem i panią Larson, parą w średnim wieku, że będą im towarzyszyć. Okazali się sympatycznym towarzystwem. Dowiedziawszy się, że pan Larson jest prawnikiem markiza, Rachel wywnioskowała, że ta wyprawa była dla prawnika raczej służbowym obowiązkiem, ale za to przyjemną rozrywką dla jego żony, ogromnie przejętej tak szczególnym traktowaniem.

- Jakież to uprzejme ze strony lorda Lounsbury, że użyczył nam swojej łoży - powiedziała pani Larson, kiedy zajęli miejsca w olśniewającym teatrze Drury Lane.

- Tak, rzeczywiście - zgodziła się grzecznie Rachel. Przytaczały ją splendor bijący od zgromadzonego audytorium i eleganckie stroje wielu bywalców. Nie chciała wypaść jak prowincjonalna gąska, ale nie mogła się oprzeć, by nie chłonąć każdego szczegółu otoczenia.

Sama sztuka była zabawną, lecz błahą komedią obyczajową, której akcja toczyła się w poprzednim stuleciu. Jednak dla Rachel - jak i dla Luizy - największą atrakcją była sama możliwość przeżycia czegoś nowego. Rozmawiały o przedstawieniu w drodze do domu i jeszcze sporo następnego dnia.

Ale potem ich osamotnienie i nuda zaczęły się od nowa. Któregoś ranka pewna niewielka wzmianka w gazecie podsunęła Rachel pewien pomysł.

- Posłuchaj tylko, Luizo. Według tego, co tu napisano, w mieście jest szpital dla żołnierzy i weteranów.

- Doprawdy? - zapytała jej towarzyszką.

- Czy chciałabyś pomagać tam jako wolontariuszka?

- Och, moja droga. Wcale nie jestem pewna, czy to jest coś, co robi większość kobiet w tym mieście.

- My nie należymy do większości kobiet - odparła Rachel.

- Nie, nie należymy, prawda? Cóż, robiłam to już przed-

tern, w Vitorii. Nie mam nic przeciwko, żeby robić to znowu - powiedziała jak zawsze chętna do współpracy Luiza.

Obie wybrały się więc do głównego administratora szpitala, wysokiego, chudego człowieka nazwiskiem Jonathan Fitzsimon, który wyglądał jak cierpiętnik.

Kiedy sanitariusz wprowadził panie, Fitzsimon, podnosząc wzrok znad zasypanego papierami biurka, strząsnął kosmyk gęstych, siwych włosów z czoła.

- Tak? O co chodzi?

- Sir, to są pani Brady i panna Lopez. Chciałyby z panem mówić. - Sanitariusz natychmiast wyszedł.

Fitzsimon wstał, ale nie wyszedł z za swojego biurka.

- W czym mogę paniom pomóc?

- Tak właściwie - odezwała się Rachel - pomyślałyśmy, że to my mogłybyśmy zrobić coś dla pana, sir.

Fitzsimon przyjrzał się im uważnie. Wydawało się, że ocenił je po modnych sukniach, i w jego głosie zabrzmiało powątpiewanie, kiedy spytał:

- A cóż by to miało być?

Rachel wyjaśniła, że właśnie wróciła z Półwyspu, gdzie jej mąż walczył w armii brytyjskiej, i że panna Lopez towarzyszyła jej w drodze powrotnej do Anglii.

- Obie mamy pewne doświadczenie w pracy przy pielęgnowaniu rannych - zakończyła.

Fitzsimon wysłuchał jej w milczeniu, po czym potarł sobie brodę gestem, który przypominał jej Maca.

- Hm. Sam nie wiem. W naszej placówce mamy bardzo mało kobiet. Pacjenci mogą być dość nieokrzesani, jak można by się spodziewać.

- Nie mamy złudzeń co do prostych brytyjskich żołnierzy, sir, ani też żadnych uprzedzeń - zapewniła Rachel.

- No cóż, mogłyby panie pomagać oficerom i w ten sposób odciążać nieco moich ludzi. Wiedzą panie, poczytać pacjentom, może pisać listy.

Rachel starannie ukryła swoje rozdrażnienie.

- Tak, z pewnością mogłybyśmy robić to także, ale prze-

kona się pan, iż jesteśmy w stanie pełnić też inne obowiązki.

Popatrzył na nią, nie ukrywając sceptycyzmu.

- Zobaczymy. Mogą panie przychodzić na dwa popołudnia tygodniowo, jeśli panie chcą. A teraz, panie wybaczą...

Rachel i Luiza pospiesznie opuściły szpital, gratulując sobie, że ich oferta przynajmniej nie została odrzucona. Zaczęły pracować na oddziale dla oficerów, ale wkrótce pomagały także na innych.

Rachel była zaskoczona i ucieszona, kiedy spotkała kilku pacjentów, pamiętających ją z Ciudad Rodrigo, Badajoz i innych polowych szpitali. Najwyraźniej w ciągu kilku dni do lekarzy i Fitzsimona dotarła wiadomość, że pani Brady to fachowa pomoc, którą należy szanować.

Któregoś popołudnia pod koniec marca Rachel i Luiza siedziały w swoim salonie, kiedy Ellison zapowiedział gościa.

- Niejaki pan Carstairs, madam - powiedział, podając Rachel kartę wizytową tego człowieka.

Wynikało z niej, że to prawnik.

- Proszę go wprowadzić - odezwała się zaciekawiona Rachel.

Carstairs, dość korpulentny jegomość w średnim wieku, ubrany był w ciemny strój i dźwigał ze sobą teczkę. Spojrzał na Rachel, potem na Luizę i znów na Rachel.

- Pani Brady?

Rachel wstała, wyciągnęła dłoń i poprosiła go, by usiadł.

- Pani Brady, reprezentuję księcia Aylesworth.

- Aylesworth? - zapytała zdumiona, po czym uśmiechnęła się, przypominając sobie zabawną rozmowę z Jake'em, podczas której padło to nazwisko.

- Tak, madam. - Prawnik zerknął na Luizę. - Być może wolałaby pani usłyszeć to, co mam jej do powiedzenia, na osobności.

Luiza zareagowała na tę niezbyt subtelną uwagę i pozbierała swoje robótki.

- Będę w pokoju obok. - Cicho zamknęła za sobą drzwi.

Rachel obrzuciła swego gościa badawczym spojrzeniem.
Carstairs otworzył teczkę i pogrzebał w papierach.
- Napotkałem pewne trudności w odnalezieniu pani, ma-
dam. Ach. Tutaj jest. - Wziął do ręki papiery i zaczął czytać. -
Czy pani jest Rachel Alison Cameron Brady?

-Tak.

- Pani ojcem był Duncan Alexander Cameron?

- Tak. - Ciekawość Rachel rosła z każdym słowem.

- Pani matką była Margaret Mary Alicia Hendon?

- Tak. Sir, muszę zadać pytanie... O co w tym wszystkim
chodzi?

Prawnik spojrział na nią podejrziwie.

- Nie jest pani świadoma, że Margaret Hendon była córką
zmarłego księcia Aylesworth?

- Cooo? - Rachel poczuła, że oczy rozszerzają się jej ze
zdumienia. - Nie. To musi być jakaś pomyłka.

Carstairs raz jeszcze sprawdził zapiski.

- Margaret Hendon poślubiła Duncana Camerona
w Edynburgu w 1787 roku. W 1788 roku urodziła syna, któ-
remu na chrzcie nadano imiona James Alexander Cameron,
ale który niestety zmarł w tym samym roku. W 1791 roku
urodziła córkę, ochrzczoną jako Rachel Alison Cameron. -

Prawnik podniósł wzrok znad papierów. - To pani, jak
mniemam. - Czytał dalej. - W 1798 roku Margaret Hendon
Cameron zmarła w połogu. Dziecko także odeszło. W 1804
roku Duncan Cameron stracił życie podczas epidemii gry-
py, a jego córka została wysłana do jego przyrodniej sio-
stry, niejakiej pani Brockton. W 1808 roku owa córka za-
warła związek małżeński z mężczyzną podającym się za
Edwina Brady'ego. - Carstairs przerwał i znów spojrział na
Rachel. - To się zgadza, czyż nie?

Rachel była wstrząśnięta. Sucha litania faktów z jej życia,
wyczytywana przez prawnika, zaskoczyła ją. Ale oczywiście
najbardziej zdumiewająca była informacja o jej matce. Jej
matka córką lorda? Niemożliwe! A jednak tak było. I cała
reszta informacji, jakie miał ten człowiek, też się zgadzała.

- Tak - powiedziała, a jej głos zabrzmiał głucho. - To się zgadza, ale...

Prawnik uśmiechnął się wypranym z wesołości, profesjonalnym uśmiechem.

- Moim zdaniem nie zaszła tu pomyłka, madam.

- Ja... to dla mnie takie niespodziewane - odrzekła, niezdolna pozbiierać myśli. - Dlaczego pan... ja nie rozumiem...

Carstairs powkładał swoje papiery z powrotem do teczek.

- Moim zadaniem było odnaleźć panią. Udało mi się wypełnić to zadanie. Książę Aylesworth, pani wuj, bez wątpienia będzie sobie życzył skontaktować się z panią wkrótce. -

Prawnik podniósł się. - Życzę miłego dnia, madam.

- Luizo! - wykrzyknęła Rachel, upewniwszy się, że drzwi dłokładnie zamknęły się za panem Carstairssem.

Luiza pospieszenie wyszła z sąsiedniego pokoju.

- O co chodzi? Czy ten człowiek przyniósł złe nowiny?

- Nie. Och, nie. - Rachel zaśmiała się niemal histerycznie. - Nie uwierzysz w to. Boże, ja sama prawie nie mogę w to uwierzyć!

I Rachel zaczęła przekazywać Luizie usłyszane wieści.

Luiza klasnęła w dłoń.

- To wspaniała wiadomość, czyż nie?

Rachel zastanowiła się przez chwilę.

- Mam nadzieję. - Teraz była już trochę bardziej opanowana. Naprawdę nie miała pojęcia, co te nowiny mogą dla niej oznaczać. Rozmyślała nad tym do końca dnia i przez cały wieczór, ale w końcu poddała się i postanowiła zaczekać, co się stanie.

Następnego dnia, tak jak zapowiedział Carstairs, zjawił się książę Aylesworth. Towarzyszyła mu żona. Ellison natychmiast wprowadził tę parę, tak jak poinstruowała go wcześniej Rachel, zaś Luiza znów grzecznie się wycofała.

Rachel denerwowała się, przyjmując tak wysoko postawionych gości. Książę i księżna Aylesworth byli urodziwą parą po trzydziestce. Książę, mężczyzna średniego wzrostu, był dość krępej, lecz atletycznej budowy. Jego żona była za-

pewne równa wzrostem mężowi, ale bardzo szczupła, wydawała się niższa od małżonka. Oboje mieli brązowe włosy, chociaż włosy księcia były ciemniejsze.

Po wstępnych powitaniach księżna spojrzała na Rachel z uznaniem i powiedziała:

- Wielkie nieba, Charles, ona wygląda zupełnie jak twoja matka! Mogłaby pozować do tego portretu w studiu we wschodnim skrzydle.

- Masz całkowitą rację, moja droga - odparł, kiedy wszyscy troje usiedli. Zapadła niezręczna chwila milczenia. Potem książę odchrząknął i nawiązał do sprawy, o której wszyscy myśleli. - Cóż, wydaje się, że znaleźliśmy się teraz w nader niezwyklej sytuacji.

- Rzeczywiście, wasza wysokość - przyznała cicho Rachel.

- Przypuszczam, że powinniśmy zacząć od opowiedzenia sobie nawzajem swoich historii, że się tak wyrażę. Przedtem jednak pragnę wyznać, że księżna i ja cieszymy się, że nareszcie cię odnaleźliśmy.

Rachel zrobiło się przyjemnie po takim wstępie, ale zastanawiała się, czy nadal by się tak cieszył, gdyby znał jej historię ze szczegółami.

- Muszę przyznać, wasza wysokość, że pan Carstairs sprawił mi wczoraj niesłychaną niespodziankę, informując mnie o pochodzeniu mojej matki.

- Zatem - wtrąciła się księżna - mamy nad tobą przewagę, moja droga, gdyż wiedzieliśmy o twoim istnieniu już od prawie roku. Tak bardzo jesteśmy radzi, że wreszcie możemy się poznać.

Jej mąż podjął opowieść.

- Twoja matka była ode mnie o jakieś dziesięć czy jedenaście lat starsza. Jak to zwykle bywa z rodzeństwem, po między którym jest taka różnica wieku, nie byliśmy sobie bardzo bliscy. Byłem poza domem, w szkole, kiedy uciekła z Cameronem. Gdy wróciłem do domu na wakacje, ojciec nadal był wściekły. Oczywiście wydziedziczył ją i zabronił wspominać o niej w jego obecności.

- Och, mój Boże... - szepnęła Rachel.

- Tak. Potrafił być bardzo surowy, kiedy się gniewał - powiedziała księżna. - A jak przypuszczam, lady Margaret rozgniewała go straszliwie, kiedy odmówiła poślubienia kandydata, którego on jej wybrał, i uciekła z kimś, kogo wybrała sama.

Przynajmniej uchroniła się przed wysłaniem do klasztoru, pomyślała Rachel, gdyż historia jej matki przywiodła jej na myśl Luizę.

Księżę kontynuował.

- Ileś lat później, nie jestem nawet pewien kiedy, dowiedziałem się o śmierci Margaret, ale do chwili, kiedy mój ojciec był umierający, nie wiedziałem, że miała dziecko.

- To było jedno z tych wyznań na łożu śmierci - dopowiedziała jego żona. - Pod koniec życia zapragnął przebaczenia za grzech popełniony przeciw własnej córce, ale ponieważ nie mógł już tego wynagrodzić jej samej, rekompensata musiała trafić do jej córki.

Rachel spoglądała to na jedno, to na drugie.

- Grzech? Rekompensata? Obawiam się, że nie rozumiem, wasza wysokość.

- Ostatnim świadomym czynem mego ojca - powiedział księżę - było powiadomienie mnie o dziecku Margaret i o spadku, który powinna była otrzymać moja siostra.

- Skąd on wiedział... o moim istnieniu? - zapytała Rachel.

Odpowiedziała księżna.

- Twój ojciec do niego napisał. Najwidoczniej lady Margaret odziedziczyła po ojcu nieco uporów, więc sama nie chciała tego uczynić. Doktor Cameron przesłał bardzo krótką, bardzo oficjalną wiadomość o twoich narodzinach. -

Uśmiechnęła się. - Czy wiesz, że twoje imię, Rachel, zostało ci nadane po twojej babce ze strony matki?

- Nie. Doprawdy?

- Och! To będzie takie zabawne, uczyć cię wszystkiego o twojej rodzinie! - stwierdziła księżna.

Jej mąż tylko prychnął.

- Ona może nie chcieć mieć z nami nic wspólnego, kiedy usłyszy całą tę historię.
- Wręcz przeciwnie, wasza wysokość. Zawsze pragnęłam mieć rodzinę. - Rachel nie potrafiła ukryć głębokich uczuć, jakie towarzyszyły tym słowom. Dostrzegła, że księżę wymienia z żoną porozumiewawcze spojrzenie.
- Cóż, moja droga - powiedziała księżna. - Możesz w przyszłości uznać, że powinnaś być ostrożniejsza, wypo wiadając życzenia. Same nasze dzieci, a mamy ich czworo, są już wystarczająco zniechęcające. A jest jeszcze pod dostat kiem kuzynów. Będziesz przytłoczona rodziną!
- Księżę znów odchrząknął znacząco.
- Wyprzedzasz fakty, kochanie.
- Tak, mój drogi - odparła księżna potulnie, parodiując typową posłuszną żonkę, i Rachel natychmiast poczuła się swobodnie w ich towarzystwie.
- Jest spadek, który należy do ciebie - powiedział księżę prosto z mostu.
- Rachel wykrztusiła tylko:
- Spadek?
- To był jeden z punktów intercyzy zawartej przed ślubem moich rodziców. Po śmierci mojej matki spadek ów powinien przejść na Margaret, a po niej na jej córkę. Mój ojciec nie dopuścił, by tak się stało.
- Czyż nie mówiłam, że był trudnym człowiekiem? - wtrą ciła księżna.
- Na łożu śmierci ojciec nalegał, żebym cię odnalazł i na początek zwrócił ci to, co prawnie należało się twojej matce.
- Charles i tak by to zrobił — oznajmiła księżna z dumą w głosie.
- Sprawy urzędowe możemy uporządkować potem - mówił dalej księżę. - Teraz Zaś chcemy cię powitać w naszej... w twojej rodzinie, ale żeby to zrobić, musimy najpierw omówić pewną bardzo istotną sprawę. Dotyczy ona twojego mał- żeństwa.
- Jego głos przybrał bardzo ponury ton i Rachel poczuła,

jak strach chwytła ją za gardło. Tak blisko. Była już tak blisko tego, by mieć rodzinę.

- Wy... wiecie o sprzedaży - powiedziała matowym głosem.

- O sprzedaży? - Księżę wyraźnie nie zrozumiał, ale nie pozwolił, by to przerwało mu wątek. - Nie, nie wiem nic o żadnej sprzedaży. Ale mogę wiedzieć więcej o twoim małżeństwie niż ty sama.

Rachel w milczeniu patrzyła na księżną, która odpowiedziała jej spojrzeniem pełnym ogromnej sympatii.

- Starając się odszukać ciebie, oczywiście zaczęliśmy od praktyki lekarskiej twojego ojca, co zaprowadziło nas do Brockstonów, a potem do Brady'ego. Wszyscy oni to nie przyjemni ludzie.

Rachel uśmiechnęła się słabo na tę uwagę. Bądź co bądź, była to trafna ocena.

Księżę spojrział jej prosto w oczy.

- Zakładam, że poślubiając Brady'ego, nie miałaś pojęcia, że już jest żonaty.

22

Rachel poczuła, jak jej ciało drętwieje. Wiedziała, że cała krew musiała odpłynąć jej z twarzy, i z trudem łapała powietrze.

Księżna podniosła się z krzesła, żeby usiąść na sofie przy młodszej kobiecie i otoczyć ją ramieniem.

- Och, Charles! Mogłeś przekazać jej tę nowinę w jakiś bardziej dyplomatyczny sposób. - Księżna wyjęła filiżankę i spodeczek z trzęsących się rąk Rachel. - No już, już, moja droga. Pochyl głowę i oddychaj głęboko. Tak właśnie. Doprawdy, Charles!

- Najmocniej przepraszam was obie - powiedział księżę. -

287

Ale musiałem wiedzieć, czy córka Margaret była rzeczywiście wplątana w tak haniebną historię! Jego żona wyglądała na urażoną.

- No cóż, to teraz już wiesz.

- On., on... już był... żonaty? - Rachel dosłownie wystękała te słowa.

- Tak, moja droga. - Ton księcia był teraz znacznie serdeczniejszy. - Poślubił kobietę we wschodniej Anglii.

- A więc moje małżeństwo było... było...

- Nieważne. Kilka lat wcześniej ożenił się z Anną Dempsey. Mają dwoje dzieci.

- Dzieci? On ma też dzieci?

- Tak. Jak mi się zdaje, w raporcie napisano, że jedno ma osiem lat, a drugie cztery, może pięć lat.

- Cztery lub pięć? Och, wielkie nieba! - Błyskawiczne obliczenia w myśli uzmysłowiły jej okrutną prawdę, że to drugie dziecko zostało poczęte i urodziło się już po jej rzekomym ślubie.

- Tak mi przykro, Rachel. Możemy nazywać cię Rachel, prawda? - zapytał księżę.

Rachel skinęła głową, a księżę mówił dalej.

- Ta informacja dotarła do nas, jak już powiedziałem, w wyniku poszukiwań na różnych placówkach, na których pełnił służbę Brady.

- Zonę. On miał żonę. I... dzieci. I nigdy nie powiedział... Och, Edwinie! Jak mogłeś? Nawet jak na ciebie... - Rachel zakończyła szlochem.

- Charles, podaj jej trochę wody albo brandy - nakazała księciu żona.

- W... w kredensie - powiedziała Rachel, wskazując.

W chwilę potem księżę wsunął jej kieliszek w dłoń, a ona posłusznie wypila łyk brandy. Wreszcie wykrztusiła boleśnie:

- Bardzo, bardzo trudno to wszystko zrozumieć. Dawno

zdałam sobie sprawę, że Edwin jest człowiekiem słabym, ale to...

to graniczy... z czymś demonicznym. - Przestała łkać i dodała z

go ryczą; - Nawet nie byłam jego, kiedy mnie sprzedawał!

- Sprzedawał? - W głosie księżnej zabrzmiało zadziwienie.
 - Wspominałaś już o jakiejś sprzedaży - zachęcał ją książę.
 Rachel wypila jeszcze jeden łyżeczek brandy i odstawiła kieliszek. Musiała im wyznać całą prawdę, chociaż to z pewnością oznaczało, że ją odrzucą. Powoli, niechętnie, zapoznała ich z ponurą historią swojego małżeństwa.
 Kiedy doszła do relacjonowania szczegółów sprzedaży, dostrzegła rosnące przerażenie na twarzy księżnej i coraz większy gniew w oczach księcia.
 - Cóż za... to po prostu barbarzyństwo! - zawołała księżna.
 - Forrester? - zapytał książę. - A więc dlatego zainteresowałeś się tobą Lounsbury. Muszę przyznać, że ten związek nas intrygował.
 - Tak. Jac... major Forrester poprosił swego brata, by się nami zaopiekował.
 - Nami? - podchwyciła księżna.
 - Mną i Luizą. - Rachel opowiedziała im pokrótce o Luizie i sierżancie Humphreyu.
 - Cóż - powiedział książę stanowczym tonem. - Nie muszą się już dalej martwić. Twoja rodzina zadba o ciebie, no i o twoją towarzyszkę.
 Rachel była zakłopotana, ale czuła, że para książęca po prostu musi zrozumieć całą sytuację, Zanim podjęte zostaną jakieś kroki.
 - Sądzę, że powinniście wiedzieć, że major Forrester i ja... to znaczy, my... - Nie potrafiła tego powiedzieć wprost.
 Księżna dokończyła za nią.
 - Major Forrester wykorzystał twoją trudną sytuację? - zapytała wstrząśnięta.
 Rachel poczuła, że fala gorąca oblewa jej twarz.
 - Nie. Nie, nic takiego. To znaczy...
 - Hm. Ja... ehm, rozumiem.
 Na chwilę zapadła kłopotliwa cisza.
 - Zatem widzicie, wasze książęce mości, że sytuacja jest dość skomplikowana. Wiele osób na Półwyspie wie o... ehm, naszej sytuacji, i o tej niesławnej sprzedaży. Sądzę, że teraz

już się o tym wiele nie mówi, ale czy moje nazwisko powinno być związane z waszym? Cóż, to mogłoby okazać się nie-stosowne.

Księżę uśmiechnął się pobłaźliwie do Rachel i wymienił z żoną rozbawione spojrzenie.

- Obawiam się, że nie doceniasz potęgi książęcego tytułu, moja droga. I być może nie wiesz, że księżna Aylesworth jest jedną z najpierwszych dam z towarzystwa. Ośmielam się twierdzić, że każdy, kogo ona otacza względami, zostanie zaakceptowany przez inne lwice salonowe.

- Jeżeli nadal chcą figurować na mojej liście gości - dodała księżna.

- O właśnie. Widzisz? - powiedział książę.

- Jesteście oboje tacy wielkoduszni dla mnie, wasze książęce mości, ale naprawdę, ja...

Księżę podniósł rękę, powstrzymując ją.

- Nie. To, co powiedziałem wcześniej, nie było zbyt precyzyjne. Nie ma potrzeby, żeby rodzina wspierała cię finansowo. Posiadasz środki, żeby utrzymywać się sama. Spadek po Pattersonach od początku był całkiem pokaźną kwotą, a jeszcze urósł dzięki pewnym roztroprnym inwestycjom. Jesteś kobietą niezależną materialnie.

- Jednakże - wtrąciła jego żona - rodzina z pewnością wesprze cię w towarzystwie. Przyszliśmy tu dzisiaj, żeby osobiście zaproponować gościnę u nas na czas tak długi, jak tylko będziesz sobie życzyć. Tobie i twojej towarzysze.

- To wszystko jest dla mnie trudne do ogarnięcia - wyznała Rachel. - Po prostu potrzebuję trochę czasu, żeby to przemyśleć.

- Oczywiście, moja droga. Zastanawiaj się tak długo, jak długo chcesz. - Księżna poklepała dłoń Rachel i dała znać mężowi, że ich misja na dziś została wypełniona.

Księżę wstał.

- Odwiedzę cię jutro, Rachel, jeśli to ci odpowiada. Upo rządkiem dokumenty z prawnikiem, żebyś miała kontrolę nad swoimi sprawami, i przedstawię ci twojego bankiera.

- Dziękuję...

Ustalili godzinę i po chwili księcia i jego żony już nie było. Rachel siedziała oszołomiona. Dobra wiadomość o spadku zbladła, kiedy Rachel dowiedziała się o perfidii swego męża. Nie. Nie swego męża. Nigdy nie był jej mężem. Poczula się zbrukana. Czy Brockstonowie wiedzieli? Zapewne nie, ale zastanawiała się, czy to by im rzeczywiście robiło różnicę, gdyby mieli tę świadomość.

Dokładnie przypomniała sobie ból i poczucie straty po dwóch poronieniach. Nic dziwnego, że Edwin był tak obojętny wobec jej ciąży. On już miał dzieci. A ona tak rozpaczła nad ich utratą! Ale przynajmniej teraz nie ma dzieci, które musiałyby nosić piętno bękartów.

- Usłyszałam, jak powóz odjeżdża - powiedziała Luiza, wystawiając głowę zza drzwi. - Och, moja droga, czy wszystko w porządku?

- Tak. Nie. Nie, nie w porządku. - Rachel załapała się łzami.

Luiza usiadła obok niej i podtrzymała przyjaciółkę, kiedy ta, łkając, wyrzucała z siebie żal i złość. Wreszcie Rachel rozejrzała się za chusteczką do nosa, osuszyła oczy i wydmuchała nos.

- Nie odrzucili cię chyba, prawda? - Luiza wydawała się gotowa poczuć urazę w imieniu Rachel.

- Nie. Nic podobnego. Tak właściwie byli wyjątkowo łaskawi i wielkoduszni. - Opowiedziała Luizie całą historię. Luiza od czasu do czasu wydawała jakiś okrzyk po hiszpańsku, ale słuchała bez przerywania.

Relacjonowanie całej historii pomogło Rachel ogarnąć, co się właściwie stało, i wreszcie zrozumiała, że wszystko się zmieniło. Teraz miała wybór. Już sama świadomość, że będzie mogła kontrolować własne życie, była zachwycająca.

Następnego dnia Rachel odkryła, że otworzyły się przed nią imponujące możliwości. Ayiesworth określił spadek jako skromną sumę, ale dla Rachel to była olśniewająca fortuna.

- Myślę, że byłoby roztropnie, moja droga, zostawić twoje sprawy w rękach ludzi, którzy tak dobrze się nimi dla ciebie zajmowali do tej pory - zasugerował książę.

- Zgadza się z tym. Przynajmniej do czasu, aż sama na biorę lepszego zrozumienia dla takich spraw.

Odprawiając Rachel od powozu do drzwi domu, książę powiedział:

- Omal bym nie zapomniał. Księżna zmyłaby mi głowę. - Wręczył jej liścik i poszedł za nią, żeby zaczekać na odpowiedź.

Księżna zaprasza Rachel i Luiza na przyjęcie następnego wieczora. Miało w nim uczestniczyć około trzydziestu osób. Rachel była wdzięczna, że księżna uwzględniła także Luiza podczas tego jej pierwszego wyjścia na salony.

Przynajmniej będzie miała bliską duszę.

Rachel szybko napisała potwierdzenie i wręczyła liścik księciu.

- Jak widzę, małżonka waszej wysokości nie marnuje czasu, kiedy coś sobie postanowi.

Uśmiechnął się.

- Ona potrafi być niestychanie zdeterminowana.

I rzeczywiście, w tym przypadku okazało się to prawdą. Dopiero po chwili Rachel zdała sobie sprawę, jak starannie księżna Aylesworth musiała układać swoją listę gości, żeby wprowadzić siostrzenicę męża w wyższe sfery. Wśród pań i panów znaleźli się przedstawiciele różnych grup. Między tymi ostatnimi czterech członków Parlamentu, w tym markiz Lounsbury, któremu towarzyszyły żona i macocha, wdowa po poprzednim markizie Lounsbury. Matka Jake'a była wciąż ładną kobietą w wieku około pięćdziesięciu lat.

Rachel rozmawiała z markizem, już wcześniej tego dnia. Wysłała mu bilecik z prośbą o przybycie, a on stawiał się od razu. Rachel poinformowała go o zwrocie, jaki nastąpił w jej życiu, włączając w to także prawdę o swoim małżeństwie.

- Tak więc, jak pan widzi, sir, nie ma pan już żadnych zobowiązań wobec mnie, chociaż jestem panu z całego serca wdzięczna, że wspierał mnie pan tu od początku.

- Jakaż to szczęśliwa odmiana dla pani - powiedział Robert. - Jestem pewien, że Jake także się ucieszy się pani szczęściem.

- Napisałam do niego. List został wysłany dziś rano, ale

oczywiście nie ma gwarancji, że on go kiedykolwiek otrzyma.

- Na poczcie na Półwysp i stamtąd tutaj nigdy nie można zbytnio polegać.

- Za pańskim pozwoleniem, sir, chciałabym otrzymać zestawienie wydatków, jakie poniósł pan na moją rzecz. Teraz jestem w stanie za wszystko płacić i wolałabym tak zrobić.

- Jak sobie pani życzy, madam.

Rachel uśmiechnęła się.

- Wliczając w to, jeśli łaska, także cały rachunek od ma dame Celeste.

Robert popatrzył na nią nieco zmieszany, ale też się uśmiechnął.

- Ten jeden chyba powinienem zapłacić sam, jako nauczkę.

- Nie. Nie. Nalegam. Jak się okazało, miał pan całkowitą rację.

Później, na przyjęciu u Aylesworthów, Robert przedstawił Rachel kobietom ze swej rodziny - z rodziny Jake'a - niczym osobę godną, by się z nimi spotkać.

A co, głuptasku. Czego się spodziewałaś? - zapytała sama siebie. Raczej nie oświadczyłyby im przecież: „Och, a tak przy okazji, przywitajcie się z kochanką Jake'a”.

Jednak gdy żadna z pań Lounsbury nie okazała Rachel szczególnego zainteresowania, Rachel odgadła, że Robert nie podzielił się z nimi tym, co o niej wiedział. Przedstawiając ją, Robert oznajmił:

- Pani Brady znała Jacoba na Półwyspie. - Spojrzał na Rachel, dając jej do zrozumienia, że może teraz rozwijać ten temat tak, jak sama zechce.

Książę i księżna Aylesworth naradzili się wcześniej z Rachel w sprawie jej nazwiska i wszyscy troje zgodzili się, że powinna nadal być nazywana „panią Brady”. Słowkiem szepniętym tu i tam zasugerowali, że była wdową po żołnierzu poległym na Półwyspie, choć żadne z nich nie skłamało wprost. Wspomnieli tylko, że pani Brady straciła męża na Półwyspie - co z pewnością było w pewnym sensie prawdą. Zainteresowanie Rachel sięgnęło zenitu, kiedy dowiedziała

się, jak brzmi imię aktualnej markizy Lounsbury. „Celia”. To było imię, które Jake wykrzykiwał w gorączce - kiedy? - całe wieki temu. Lady Lounsbury była śliczną kobietą. Wysoka, jasnowłosa i pewna siebie, zawładnęła sobie uwagę wszystkich obecnych na przyjęciu mężczyzn, a także większości kobiet.

- Zatem poznała pani Jacoba, czy tak? - Celia zapytała Rachel, kiedy panie wróciły do salonu, zostawiając panów przy kieliszku porto. - Jak sądzę, łamał serca Hiszpanek tak, jak wcześniej Angielek.

- Celia! - upomniała ją markiza wdowa. - Doskonale wiesz, że mój syn nic takiego nie robił.

- Cóż, musisz przyznać, najdroższa mamo, że był rozrywany, kiedy wrócił do domu z Indii, zanim wyjechał na Półwysep.

- Przystojny młodzieniec z dobrej rodziny, niezależny materialnie... Oczywiście, że był rozrywany!

Celia z wdziękiem wzruszyła ramionami i powiedziała do Rachel:

- Mam nadzieję, że miał się dobrze, gdy widziała go pani ostatnio?

- Tak, owszem. - Rachel obawiała się ujawnić więcej, niż Jake mógł sobie życzyć. Ucieszyła się, kiedy księżna Aylesworth przysłała jej z odsieczą i zmieniła temat.

Kiedy wszyscy inni goście oprócz Rachel i Luizy już wyszli, Aylesworthowie zaprosili swoje podopieczne do biblioteki. Książę poczęstował panie odświeżającym kieliszeczkiem miętówki na lepszy sen, nalał też i sobie.

- Tak! Sądzę, że poszło bardzo dobrze. - W głosie księżnej zabrzmiała nutka triumfu.

- Spędziłam cudowny wieczór - odparła grzecznie Rachel.

- Ja również - odpowiedziała jak echo Luiza.

- Wydaje mi się, że nasz generał miał na celu coś więcej niż tylko zwykłą rozrywkę. - Aylesworth gestem wskazał żonę.

- I osiągnęłam to - powiedziała księżna z dumą. - Jutro będzie się mówiło w całym mieście, że siostrzenica Ayleswortha to dama o znakomitych manierach. Zauważ, moja

droga, że zapewne historia będzie się dyskretnie roznosić, ale się rozejdzie.

- Och, nie - Rachel zmartwiła się takim obrotem sprawy. Księżna lekceważąco machnęła ręką i powiedziała:

- Jutro się przekonasz, że zostaniesz zasypana zaproszeniami.

- Ale... ale ja wcale nie pragnę bywać na salonach. - Rachel zerknęła na Luizę i mówiła dalej: - Długo rozmawialiśmy z Luizą o naszym położeniu i zgodziłyśmy się, że obie wolimy zostać tam, gdzie teraz, dopóki nie wróci sierżant Humphrey i nie pobiorą się. A potem... - Rachel wzruszyła ramionami.

- Hmm. - Księżna zastanawiała się chwilę, po czym wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z mężem. - Cóż, sądzę, że dopóki Luiza jest twoją towarzyszką, nie wzbudisz wielkiego zainteresowania jako wdowa mieszkająca we własnym mieszkaniu. Kiedy panna Lopez wyjdzie za mąż, być może rozważysz przyjazd do nas.

- Tak zrobię, wasza wysokość.

- A teraz jeszcze jedna sprawa, Rachel. - Księżna przyjęła surowszy ton. - Jesteś naszą rodziną. Musisz przestać zwracać się do nas „wasza wysokość”. „Ciociu” i „wuju” także brzmi nie najlepiej. Bądź co bądź, nie jesteśmy tak wiele starsi od ciebie. Zatem może będziesz nas nazywać Charles i Libby, przynajmniej w gronie rodzinnym? Tak naprawdę mam na imię Olivia, ale w rodzinie nigdy nikt nie nazywał mnie inaczej, jak Libby.

- Dziękuję, wasza wys... Libby.

Później, leżąc już w łóżku, zbyt podekscytowana, by usnąć, Rachel rozmyślała nad szalonym wirem wydarzeń kilku ostatnich dni. Wciąż trudno jej było pogodzić się z postępami Edwina. Nie mogła się pozbyć uczucia, że została okrutnie wykorzystana, zbrukana, napiętnowana na zawsze. Cóż, została okrutnie wykorzystana, i to było wstrętne, ale przecież ona sama nie uczyniła nic złego! Dlaczego więc miała tak silne poczucie wstydu, a nawet winy? Wstyd i wina, jakkolwiek bolesne, gwałtownie zmieniły

się w gniew - gniew, który nie miał ujścia. Rachel w daremnej frustracji waliła pięściami w poduszkę. Było mało prawdopodobne, żeby jeszcze kiedykolwiek spotkała Edwina Brady'ego. A poza tym po co miała go spotykać? Czy to widok Edwina w więzieniu przyniósłby jej ukojenie? Zadała sobie pytanie, czy jego żona - ta jego prawdziwa żona - wiedziała o wszystkim. Na pewno nie...

Rachel zmusiła się do skierowania myśli na przyjemniejszą tory. Była niezmiernie wdzięczna babce, której nigdy nie znała. Jej babka, zmarła księżna Aylesworth, podarowała Rachel nieoceniony prezent - wolność. Wolność od ograniczeń biedy. Ta wolność niosła za sobą w dużym stopniu także wolność od ograniczeń społecznych. Już nigdy więcej Rachel nie będzie musiała naginać swojej woli do woli kogoś innego. Dla osoby, której wolność od dzieciństwa tłamszono, było to naprawdę ekscytujące doznanie.

Rachel była też wdzięczna Jake'owi, lordowi Lounsbury i księciu Aylesworth, wiedziała bowiem, że wszyscy trzej to ludzie honorowi i prawi. Ale największą wdzięczność odczuwała wobec Jake'a. Jednak to przecież nie z wdzięczności zaprosiła Jake'a do swego łóżka.

Nie. To było gorące pożądanie, odpowiedział jej wewnętrzny głos.

Nie tylko, sprzeciwił się inny głos. Było w tym coś więcej niż tylko samo pożądanie.

Być może... ale czy to miłość?

Nie! Nie była jeszcze gotowa, by cieszyć się taką myślą. Miłość niosła tyle cierpienia.

Na początku kwietnia gazety triumfalnie oznajmiły o abdykacji Napoleona. Cesarz odszedł, wygnany na wyspę Elbę. Na francuskim tronie zasiadł król Ludwik z linii Burbonów. W ślad za tymi wieściami nadeszła wiadomość o bitwie pod Tulużą, ostatniej bitwie w wojnie na Półwyspie.

Rachel czytała relacje z bitwy z najwyższym przerażeniem.

- Och, Luizo! Napoleon abdykował szóstego kwietnia.

A ta bitwa rozegrała się dziesiątego! To się w ogóle nie musiało wydarzyć!

- Lord Wellington z pewnością nie wiedział o abdykacji Napoleona - powiedziała Luiza.

- Nie, na pewno nie wiedział.

Jeszcze raz uważnie przeglądały długą listę ofiar, obawiając się znaleźć szczególnie dwa nazwiska.

Rachel przesuwała palcem po alfabetycznie ułożonym spisie i przerwała na chwilę, gdy doszła do połowy.

- Ani Forrester, ani Humphreya tu nie ma!

- Dzięki niebiosom!

Rachel kontynuowała czytanie listy.

- Och, nie. Nie! - jęknęła.

- Co? Kto?

- Paxton. Sierżant Joseph - przeczytała głośno Rachel.

- Poległ? Czy ranny?

- Poległ... Och, biedna, biedna Clara. - Rachel przesuwała wzrokiem w dół listy. - Och, nie! Travers też.

- Ten porucznik? - zapytała Luiza.

Rachel odpowiedziała przez łzy.

- Tak. Dlaczego? Dlaczego? Tyle już przeszli! I to byli tacy wspaniali, dobrzy ludzie.

- Śmierć nie ma poczucia honoru. - W głosie Luizy zabrzmiał bezbrzeżny smutek.

- Muszę napisać do matki Traversa - powiedziała Rachel. - I do Clary. Och, Luizo, co ja mogłabym napisać Clarze?

Trzy tygodnie później usłyszała któregoś popołudnia odgłos kołatki u drzwi wejściowych, potem kroki Ellisona. Nastąpiło jakieś poruszenie, a po chwili w drzwiach salonu stanął Jake, a zaraz za nim nadszedł sierżant Humphrey. Żaden z mężczyzn nie zwracał najmniejszej uwagi na dobre maniery,

chwytając swoją kobietę w objęcia i całując ją gorąco.

Jake najpierw udał się do Lounsbury House, żeby dowiedzieć się o adres mieszkania, które Robert znalazł Rachel. Zatrzymano go tam znacznie dłużej, niż by chciał. Lokaj, Jeffers,

wprost wylał ze skóry, witając lorda Jacoba. Jake chciał sprawić przyjemność starszemu, który znał obu panów Forresterów od kołyski. Humphrey został zaproszony do małej poczekalni obok foyer, gdzie zaserwowano mu przekąski i napoje, podczas gdy Robert zaciągnął brata do biblioteki.

- Powiedz mi tylko, gdzie ona jest - powiedział niecierpliwie Jake, kiedy tylko przywitał się z bratem, którego nie widział od prawie pięciu lat.

Robert uśmiechnął się szeroko.

- To aż tak źle z tobą? - Kiedy Jake tylko obrzucił go spojrzeniem, Robert mówił dalej: - Są pewne sprawy, o których powinieneś wiedzieć.

Jake zmarszczył czoło.

- Rachel pisała mi, że pracuje jako wolontariuszka w szpitalu.

Robert machnął ręką na tę wiadomość.

- Zatem nie dostałeś listu o księciu Aylesworth?

- Aylesworth? A co on ma... nie chcesz chyba powiedzieć, że tu jest jakiś związek!

- Otóż jest. Lepiej przestań chodzić tak w kółko, bo wydepcesz dziurę w dywanie, i siedź spokojnie, dopóki ci wszystkiego nie wyjaśnię. - Jake usiadł, a Robert zrelacjonował historię, którą opowiedziała mu Rachel. - Aylesworth potwierdził pokrewieństwo i prawo Rachel do spadku, kiedy widziałem się z nim dzień czy dwa później. Nie mówił nic o małżeństwie, ale przecież nie powiedziałby o czymś takim, prawda?

- Ten bękart Brady! Ten brudny, parszywy sukinsyn! Żeby tak strasznie potraktować kobietę taką jak Rachel. Jeżeli jeszcze nie zginął, to przysięgam, że go dopadnę i zabiję.

- Ostrożnie. Popęniłbyś bratobójstwo - ostrzegł Robert.

- Co...? Coś ty powiedział?

- Bratobójstwo. Wiesz, kiedy zabija się własnego brata. Wedle wszelkich przesłanek, ten łotr jest naszym bratem.

- Czy to jakiś upiorny żart?

- Jeżeli tak, to tylko bogowie się z niego śmieją. Wynajęłam detektywa, żeby dokładnie się przyjrzał temu twojemu „Bra-

dy'emu", kiedy tylko rozpoznałeś go w Badajoz. Ten detektyw natknął się też na informację, że Brady poślubił jakąś kobietę we wschodniej Anglii, ale zdobył tę informację po tym, jak Rachel już mi powiedziała. To naprawdę honorowa kobieta.

Jake zauważył, że Robert nazwał jego ukochaną po imieniu i że mówił o niej z autentycznym ciepłem.

- Mów dalej - ponaglił brata.

- Wcześniej detektyw znalazł powiązania między Bradym i Mullensem. Idąc tym tropem, dotarł do pokojówki z Lounsbury Manor. Poślubiła Muilensa zaledwie na cztery miesiące przed urodzeniem syna. Syna, któremu nasz ojciec zapewnił wyjątkowo staranne wykształcenie, jak na dziecko farmera. Są też pewne dowody na to, że to ojciec zaaranżował małżeństwo i przeprowadzkę młodej pary do Devon.

- To jeszcze nie oznacza, że ten padalec jest z nami spokrewniony - oponował Jake.

- Kiedy przyparłem do muru panią Kenniston, potwierdziła to - powiedział Robert.

- Pani Kenniston? To ona jeszcze żyje?

- I jest bystra jak zawsze. Nadal niewiele może się przed nią ukryć. Myślę, że teraz musi mieć jakieś osiemdziesiąt pięć lat Ojciec przed laty odesłał ją na emeryturę z funkcji gospośki w dworze. I mógłbym dodać, że otrzymała bardzo hojną odprawę.

- Ponieważ...?

- Ponieważ tak wiele wiedziała o sprawach rodziny. Ze mną także nie chciała rozmawiać o tamtych wydarzeniach, ale wreszcie to zrobiła. Bądź co bądź, większość bohaterów tej historii już nie żyje.

- A niech mnie... Brady wiedział cały czas. Jestem pewien, że wiedział.

- Bardzo prawdopodobne. Jeffers sądzi, że przypomina sobie młodego człowieka nazwiskiem Mullens, który odwiedził kiedyś ojca w tym domu. Chciał spotkać się z nim „w sprawie osobistej”.

- Jak Rachel to wszystko przyjęła? - zapytał Jake.

- Jakby uderzono ją młotem kowalskim. Ale to dzielna ko-

bieta, ta twoja Rachel. Aha, tak przy okazji, płaci teraz za siebie sama. Chciała nawet podliczenia kosztów jej przyjazdu do Londynu i pobytu w hotelu. Wydaje się, że to dla niej sprawa honorowa.

- Nie jestem zaskoczony - powiedział Jake z uśmiechem. Mając w pamięci, że Humphrey czeka na niego obok, i samemu spiesząc się, by zobaczyć Rachel, Jake nie zwlekał już ani chwili dłużej z wyjściem z Lounsbury House.

23

Obie pary skierowały się wreszcie do jadalni, gdzie Ellisonowie podali już obfity lunch. Po posiłku, kiedy panie przeszły do salonu, żaden z mężczyzn nie tęsknił już za obecnością drugiego.

- Weź szal, moja śliczna - powiedział Humphrey do Luizy. - Zapraszam cię na długi spacer w ten piękny majowy dzień.

- Tylko koniecznie zabierzcie parasol - ostrzegła Rachel. - Nasze piękne majowe dni mają tendencję do raczenia nas ulewą po południu.

Rachel była pewna, że Humphrey zaproponował spacer, żeby ona i Jake mogli spędzić trochę czasu razem. Potwierdziło to rozbawione, porozumiewawcze spojrzenie Luizy. Kiedy tylko tych dwoje znikło za drzwiami, Jake usiadł na sofie tuż obok Rachel.

- Już myślałem, że nigdy nie będę cię miał dla siebie - powiedział, szczypiąc ją wargami w ucho.

- Tęskniłam za tobą straszliwie, Jake. - Rachel cieszyła się dotykiem jego zarostu na swoim policzku i narastającym podnieceniem, jakie wzbudzały jego usta wędrujące po jej szyi.

Ujął jej pierś dłonią, wtulając twarz w dekolt jej modnej, głęboko wyciętej sukni. Kciukiem pieścił jej sutek, a ona czu-

300

la, jak cała jej istota koncentruje się na pragnieniu, jakie w niej wzbudzał.

i - Pocałuj mnie - wyszeptła, a on przylgnął do jej ust w namiętnym pocałunku, przepełnionym bezgraniczną tęsknotą.

- Rachel? - W jego głosie było błaganie.

- Tak, Jake. Och, kochany mój, tak! Wzięła go za rękę i zaprowadziła do sypialni. Nasyciwszy się, Jake położył się obok Rachel, trzymając ją w objęciach.

- To, moja droga, było całkiem bliskie absolutnemu ideałowi - szepnął.

- Uhm - przytaknęła.

Jake potrząsnął nią lekko.

- Tylko nie śmiej mi tu teraz zasypiać. Musimy porozmawiać.

- Teraz? Naprawdę nie miałam zamiaru zasypiać. - Zasyłała jego ciało leciutkimi jak piórko pieszczotami. - Pomyślałam, że moglibyśmy zbliżyć się bardziej do tego ideału, próbując jeszcze raz.

- Tak, teraz. I przestań zbijać mnie z tropu. - Chwył jej figlarną dłoń i przytrzymał ją.

- Dobrze zatem. - Rachel wydała przesadnie głębokie westchnienie. - A więc... mów.

- Robert wszystko mi powiedział.

- Ja... pomyślałam, że pewnie to zrobił.

- Nie. Mam na myśli wszystko. Czy wiedziałaś, że Brady wcale nie nazywał się Brady, tylko Mullens?

- Co? - Rachel cofnęła się, spoglądając na Jake'a z najwyższym zdumieniem.

- Ach, pomyślałem, że mogłaś nie wiedzieć też tego. -

Opowiedział jej o związku Brady'ego z własną rodziną.

- To twój brat?

- Tak mówi Robert.

- Cóż, w takim razie odziedziczył niewiele z dobroci Forresterów.

Jake przysunął się bliżej niej.

- Pod pewnymi względami był on być może bardziej Forresterem niż Robert i ja.
 - Nie rozumiem.
 - Nasz ojciec był egocentrycznym człowiekiem, który rzadko brał pod uwagę uczucia innych. Robił wszystko, co mu tylko przyszło do głowy.
 - Ale ani ty, ani Robert nie jesteście tacy.
 - Mam nadzieję. Moja matka spędziła mnóstwo czasu, opiekując się nami. To jedyna matka, jaką pamięta Robert.
 - Spotkałam ją — powiedziała Rachel.
 - Naprawdę? Kiedy?
 Rachel zdała relację z obiadu wydanego przez Aylesworthów.
 - Masz coś przeciwko temu, że ją poznałam?
 - Nie. Dlaczego miałbym mieć?
 - Nie sądzę, aby było w zwyczaju, by matka mężczyzny poznawała jego kochankę.
 - A jeśli to przyszła żona?
 Rachel leżała nieruchomo. Nie była zaskoczona, gdyż spodziewała się, że poczucie honoru Jake'a skłoni go do takiej właśnie reakcji na prawdę o jej małżeństwie.
 - Rachel? - Połaskotał ją we wrażliwy punkt tuż za uchem.
 - Teraz jesteś wolna. Jutro możemy wziąć ślub.
 - Jutro? - pisnęła.
 - No to pojutrze. Dzięki specjalnemu zezwoleniu.
 - Jake, nie powinienes czuć się zobligowany do tego, żeby mnie poślubiać.
 Uniósł się na łokciu i ujął ją za podbródek, żeby nie uciekła mu spojrzeniem.
 - Wielki Boże, Rachel. To właśnie pomyślałaś? Że czuł bym się zobligowany, żeby się z tobą ożenić? Czy nie wystarczy, że ja cię kocham?
 - Och, Jake. Doprawdy, jestem ci za to niezmiernie wdzięczna... za wszystko, co dla mnie zrobiłeś...
 Puścił jej bródkę, usiadł i przeczesał palcami włosy. Jego głos zabrzmiał spokojnie, lecz stanowczo, kiedy powoli mówił z naciskiem:

- Nie chcę od ciebie wdzięczności, Rachel.

- Ja... nie jestem pewna, czy potrafię dać ci to, czego chcesz. - Rachel walczyła z własnymi mieszanymi uczuciami.

- Nie potrafisz mnie kochać? Czy o to chodzi? - Wstał, zaczął się ubierać i spojrzał na nią z góry. - No to co to wszystko jest, do diabła?

Rachel wyciągnęła do niego rękę błagalnym gestem, ale on ją zignorował. Patrzył jej w oczy, aż poczuła się zmuszona odwrócić głowę od cierpienia i gniewu, jakie zobaczyła na jego twarzy.

- No więc? - nalegał.

- Proszę, Jake. Postaraj się zrozumieć. To nie tak, że ja nie potrafię cię kochać. To po prostu... cóż... ja nie jestem pewna, czy chcę znowu być żoną. Czy możemy... czy możemy zostawić wszystko tak, jak jest teraz? - powiedziała, walcząc z napływającymi łzami.

Siedział, potrząsając głową, niewrażliwy na jej nagość, kiedy nakrycie zsunęło się z niej aż do kolan.

- Nie jestem pewna, czy potrafię ci to wytłumaczyć, ale... kochanka jest kimś bardziej niezależnym... ma większą kontrolę nad własnym życiem. Nie rozumiesz, Jake? Ja nigdy, nigdy nie byłam wolna. Przez całe moje życie nigdy nie byłam tą osobą, która kierowałaby moim własnym losem.

- Sądziś, że ślub ze mną ograniczy twoją wolność?

- To nie tak, Jake... to sama myśl o byciu mężatką.

Przez długą chwilę milczał, wpatrując się w pustą przestrzeń gdzieś ponad jej głowę. Wreszcie poszukał spojrzenia Rachel. Trudno jej było odczytać coś z wyrazu jego oczu.

Jego głos zabrzmiał twardo, gdy odezwał się znowu.

- Bądź ze mną szczerą, Rachel. Czy spotkałaś kogoś innego?

- Czy...? Kogoś innego? - Gniew szybko usunął w cień zaskoczenie. - Na miłość boską, Jake! Jak mogłeś nawet pomyśleć...? Po... po tym? - Wskazała na pogniecione prześcieradła.

- Doprawdy masz wyśmienitą opinię o mnie, czyż nie?

- Tak. Na tyle wyśmienitą, że właśnie poprosiłem cię, żebyś za mnie wyszła. - Gorycz w jego słowach zadawała kłam sło-

dyczy jego słów. Jake odwrócił się od niej, kończąc się ubierać.

- Czy nie może być dalej tak, jak teraz? - błagała.

Milcząc, usiadł na stojącym w pobliżu krześle, żeby na-
ciągnąć buty. Teraz całkiem już ubrany, wstał i raz jeszcze
spojrzał na nią z góry.

- Byłem nastawiony na to, kiedy myślałem, że prawnie je-
steś związana z kimś, kto tak bardzo na ciebie nie zasługiwał.
Nie jestem pewien, czy teraz to wystarczy.

- Wystarczy komu? - Rachel nie rozumiała, dlaczego Jake
nie chce zrozumieć jej punktu widzenia.

- Czy wystarczy mnie - odparł zwięźle. - I tobie też, jeśli
tylko to przemyślisz.

- Już przemyślałam. Miałam na to kilka tygodni. Chcę
mieć kontrolę nad własnym życiem... chcę być niezależna.

- Doskonale. Życzę ci wszystkiego dobrego w tej nieza-
leżności. - Jake odwrócił się w stronę drzwi.

- Jake! Odchodzisz... tak po prostu? Dlatego, że nie możesz
dyktować mi warunków naszego... naszego bycia razem?

Zatrzymał się na progu. Jego głos, teraz spokojniejszy,
przepelniały smutek i gorycz.

- Wrócę, Rachel. Nie jestem w stanie być daleko od ciebie.
To znaczy... jeśli będę tu mile widziany?

- Oczywiście - powiedziała, starając się, by jej głos był
równie spokojny. - Jesteś najdroższym przyjacielem, jakiego
kiedykolwiek miałam.

Jake zrobił jakiś grymas, słysząc te słowa, skłonił się jej i
wyszedł.

Rachel ukryła twarz w poduszce - poduszce, która nadal
cudownie pachniała Jake'em - i zalała się łzami.

Wychodząc na ulicę, Jake natknął się na Humphreya i Lu-
izę wracających ze spaceru. Byli wyraźnie zaskoczeni, wi-
dząc, że wychodzi tak prędko. Jake mruknął coś bez zasta-
nowienia o spotkaniu z resztą krewnych.

- Macie adres domu mojej matki, który wam dałem? - za-
pytał Humphreya.

- Tak, sir.

- To dobrze. Będę was oczekiwał jutro rano i możemy zacząć się przynajmniej waszym weselem.

Odchodząc, Jake usłyszał, jak Luiza powiedziała: „Pokłóć się”.

Poszedł do domu matki. Mieścił się on w modniejszej okolicy niż apartament Rachel, ale nie aż tak modnej, jak Lounsbury House. Jednak lord major Jacob Forrester nie zwracał większej uwagi na otoczenie. Zraniony, zmieszany i bardzo, bardzo zły, ciągle od nowa zadawał sobie te same pytania. Czy ona mu odmówiła? Jak mogła odwzajemnić tak ochoczo jego pieszczoty, a pozostawać nieczuła na jego oświadczenia? I co to za nonsens z tą wolnością i niezależnością? Oferował jej nazwisko, które wiele kobiet z radością by nosiło, i życie, jakiego wiele kobiet mogłoby jej zazdrościć.

Lokaj jego matki otworzył mu drzwi.

- Oczekiwaliśmy pana, sir. Jej lordowska mość jest w salonie.

Jake pędził po schodach po dwa stopnie naraz. Bardzo chciał odsunąć w cień niedawną sprzeczkę z Rachel przynajmniej na jakiś czas.

Matka wstała zza małego biurka i chwyciła go w ramiona. Głos załamywał się jej, gdy powiedziała:

- Jake, kochanie, tak się cieszę, że nareszcie mam cię w domu!

- Dobrze znów tu być. - Uścisnął ją mocno i okręcił dokoła.

- Jak się ma moja ulubiona matka?

- Twoja ulubiona matka? Kiedyś byłam twoją ulubioną dziewczynką. Och, Jake., czyżbyś wreszcie znalazł kogoś, kogo pokochałeś?

Och, na Boga, pomyślał. Można było mieć pewność, że aż nazbyt spostrzegawcza matka trafi w sedno.

- Być może - odparł ostrożnie.

- Ale... jak zdołałeś to zrobić? Jesteś w domu najwyżej od paru godzin. Ach! To ktoś, kogo spotkałeś na Półwyspie? Czy jest Angielką? Spodoba mi się?

Jake roześmiał się i pociągnął za sobą, żeby usiadła obok niego na sofie.

- Tak. To ktoś, kogo spotkałem na Półwyspie. Ocaliła mi życie i na pewno pisałem ci o niej wtedy. Tak, jest Angielką. I nie wiem, ale mam nadzieję, że ją polubisz. Poznałaś ją.

- Spotkałam? - Matka była wyraźnie zaskoczona.

- Rachel Brady. Siostrzenica Ayleswortha.

- Pani Brady? Ta wdowa. Tak, poznałam ją. Cicha, ale sympatyczna. Cóż, skoro ocaliła ci życie, synu, to lubię ją, rzeczywiście, lubię ją niewypowiedzianie.

Jake uścisnął ją znowu za te słowa, ale nie odezwał się.

- Jake? Coś jest nie w porządku, prawda?

Nadal milczał, zastanawiając się, jak wiele może jej powiedzieć.

- Jake? - nalegała. - Czy pani Brady jest związana z tym Edwinem Bradym, czy może raczej powinnam powiedzieć Mullensem, o którego dowiadywał się Robert?

- Powiedział ci?

- Pytał mnie, czy znałam pokojówkę nazwiskiem Brady. Oczywiście, że znałam. Taka historia nie może długo pozostać tajemnicą w otoczeniu Lounsbury Manor.

- Ty wiedziałaś o wszystkim? I nie przeszkadzało ci to?

- Oczywiście, że mi przeszkadzało, mój drogi. Ale byłam taka młoda i to się wydarzyło jeszcze przed naszym ślubem, więc byłam w stanie usunąć to w cień. - Przerwała na moment. - To dopiero później... inne... ehm... sytuacje... które trudno mi było zaakceptować. - Zakończyła zdanie z głębokim smutkiem w głosie, ale wkrótce się rozpogodziła. - A teraz opowiedz mi o swojej Rachel.

I Jake tak zrobił. Opowiedział matce o wszystkim - o tym, jak opieka Rachel przywróciła mu zdrowie, o wykorzystaniu jej przez „męża”, o sprzedaży, o napaści Mortona, o tym, jak przyjęła na siebie kulę przeznaczoną dla niego, i o tym, jak się w niej zakochał. Na koniec ujawnił, że Rachel odrzuciła jego oświadczenia.

Przez cały czas markiza wdowa Lounsbury reagowała

z sympatią na jego słowa, od czasu do czasu zadawała jakieś pytanie, a na koniec powiedziała:

- Wygląda na to, że to niezwykła młoda kobieta, i mogę być jej tylko wdzięczna.

- Ale wbiła sobie do głowy tę bzdurę o swojej wolności i niezależności, i, szczerze mówiąc, matko, zupełnie nie wiem, jak z tym walczyć!

Matka poklepała go po ręce.

- Zatem nie walcz. Daj jej czas, Jacobie. Daj jej czas. Czas jest po twojej stronie, gdyż, jak się spodziewam, Rachel bardzo na tobie zależy.

- Ha! Okazuje to w dziwny sposób.

- Zasłoniła cię przed kulą, która mogła cię zabić - przypomniała mu matka.

- Tak, zrobiła to.

- Myślę, że rozumiem jej pragnienie, by być panią swego losu... cóż... samej siebie, jeśli tak wolisz.

- Ale ja zupełnie nie rozumiem! - powiedział Jake gniewnie.

- Oczywiście, że nie rozumiesz. Jesteś mężczyzną. Zawsze miałeś wpływ na własne życie. Kiedy zmarł twój ojciec, oczywiście opłakiwałam go. Kochałam go pomimo jego... jego trudnego charakteru. Ale potem poczułam się winna, bo tak naprawdę ucieszyłam się z wolności. Nigdy nie mogłam dokonywać własnych, niezależnych wyborów. Rodzice zawsze mówili mi, co i kiedy mam robić i jak mam się zachowywać.

Potem wyszłam za mąż, a Lounsbury miał bardzo sztywne poglądy na rolę, jaką powinna odgrywać jego żona.

- Mąż Rachel, to znaczy Brady, chyba ją bił.

- A ona była bezbronna wobec tej przemocy. Ale istnieje wiele rodzajów przemocy, synu. Ona nosi też zapewne blizny innego rodzaju.

Jake uważnie popatrzył na matkę. Zaczynał rozumieć.

- Wybacz, matko. Nie miałem pojęcia...

Znowu poklepała go po dłoni.

- Miałeś nie wiedzieć. Poza tym byłeś przez te wszystkie lata poza domem, w szkole, a potem w Indiach od tak mło-

dych lat... ale wracajmy do rzeczy. Twoja Rachel potrzebuje czasu, by nacieszyć się własną niezależnością, i czasu, żeby zdać sobie sprawę, jaki ma w tobie skarb.

- Hmm. - Jake nie był przekonany, ale czy pozostawało mu coś innego, niż czekać?

Matka podniosła się, by pociągnąć za sznur dzwonka.

- A teraz, zanim przebierzesz się do obiadu, powiedz mi, co to za dziecko dziś rano zjawilo się na progu mego domu wraz z twoim służącym Henrym?

Jake klepnął się dłonią w czoło.

- Juan! Zupełnie o nim zapomniałem. Mam nadzieję, że z nim wszystko w porządku?

Matka zaśmiała się.

- Myślę, że on i jego pies, z którym wydają się być dosłownie nierozłączni, narobili zamieszania w pokojach dla służby, ale wygląda na to, że Henry zapanował nad sytuacją.

- To dobrze. - Jake opowiedział pokrótce historię Juana. - Ostatecznie zabiorę go ze sobą, ale na razie...

- Na razie jest mu doskonale tu, gdzie jest. Biedne dziecko.

- Dziękuję, matko.

Ku zdziwieniu i rozczarowaniu Rachel Jake nie odwiedził jej następnego dnia. Humphrey przyszedł do Luizy i oboje zajęli się planowaniem wesela. Kiedy Rachel przeprosiła i chciała się przenieść do innego pokoju, błagali ją, by została.

- Kiedy my tu rozmawiamy, major stara się o specjalne zezwolenie - oznajmił Humphrey.

Ta informacja tylko trochę złagodziła smutek, jaki odczuwała Rachel z powodu nieobecności Jake'a.

- Och, Rachel - prosiła Luiza. - Czy będziesz moją druhną, zgodzisz się? - Luiza tryskała entuzjazmem. - Major Forrester będzie świadkiem Willa, a Will mówi, że na ślub przyjedzie też kapitan Hastings.

- Aha. I Binghamowie - powiedział Humphrey. - Zostaną w mieście specjalnie, żeby zobaczyć, jak sobie zakładam pętlę na szyję.

Dwa dni później w prywatnym salonie tego samego hotelu „Grillon”, w którym Luiza i Rachel zatrzymały się zaraz po powrocie z Półwyspu, odbyła się ceremonia ślubna. Hotel przygotował wysmienitą kolację, a dla jej uprzyjemnienia wynajęto trzech muzyków.

Rachel nie musiała się długo zastanawiać, kto zapłacił za tak wystawny ślub prostego żołnierza i jego narzeczonej.

Oczywiście, był to Jake.

- Wiesz, Rachel - zwierzyła się jej Luiza - mój Will miał obiekcje. Ale major nalegał. On powiedział, że Will „uratował mu tyłek” w Indiach i że przynajmniej tyle może zrobić.

Co to znaczy „uratować tyłek”?

Rachel zaśmiała się i wyjaśniła jej ten zwrot. Postanowiła, że będzie się cieszyć szczęściem Luizy i jej Willa. Przyszli też

Hastings i Binghamowie wraz z Fergusonem i MacLachlanem. Rachel przypomniał się świąteczny obiad na Boże Narodzenie i posmutniała, myśląc o tych, których zabrakło. Kiedy młoda para wzniosła toast za „nieobecnych przyjaciół”, pomyślała o Paxtonach, o Traversie i o kapralu Collinsie i łzy napłynęły jej do oczu. Spojrzała na Jake'a, a on uśmiechnął się ze zrozumieniem.

Jego uśmiech pomógł Rachel pokonać zdenerwowanie. Przez resztę przyjęcia rozmawiała pogodnie z gośćmi, w tym z Juanem i Henrym. Juan z dumą prezentował swoje nowe ubranie. Każdym gestem okazywał, jak bardzo cieszy się, że znowu widzi Rachel. Henry także przywitał się z nią serdecznie.

Zazwyczaj szorstki, chłodny MacLachlan zaskoczył Rachel, obejmując ją na powitanie.

- Stęskniłem się za panią, moja panno. Jak ł-ozumiem, nie zarzuciła pani pracy w szpitalu.

- To prawda - odparła. - Ale skąd pan o tym wie?

- Sam się tam pojawię za parę tygodni. Kiedy tylko pojedę na północ, na niziny, i sprowadzę żonę. Ferguson już dołączył do tutejszego personelu.

Rachel wiedziała, że MacLachlan jest żonaty, ale do tej pory dostrzegła w nim wyłącznie chirurga.

- Mam nadzieję, że poznam kobietę, która potrafi sobie z panem poradzić, Mac!

- Och, z pewnością. Oczywiście, że tak. Napisałem jej wszystko o pani i już nie może się doczekać, żeby poznać jedyną kobietę, która kiedykolwiek była jej poważną rywalką! -
Wybuchnął gromkim śmiechem.

Luiza i Will mieli spędzić noc poślubną w pokoju na piętrze, zaś wczesnym rankiem wyruszyć w drogę do Wiltshire, gdzie Will miał podjąć pracę jako pomocnik zarządcy Jake'a. Kiedy panna młoda i pan młody opuścili przyjęcie, goście zaczęli się rozchodzić i Rachel z radością przyjęła propozycję Jake'a, który chciał odwiedzić ją do domu.

Rozczarowała się jednak. Spodziewała się, że Jake odeśle towarzyszących im Henry'ego i Juana, ale nie zrobił tego. Odprowadził ją do drzwi i po bratersku pocałował w policzek.

- Dobranoc, Rachel. Zajrzę do ciebie niedługo.

W ciągu następnych dwóch tygodni Rachel widywała Jake^ tylko od czasu do czasu. Uczestniczyli w tych samych spotkaniach towarzyskich, chociaż rzadko rozmawiali. Był wobec niej przyjacielski, ale nie okazywał tej żartobliwej poufałości, którą niegdyś zabarwiona była ich przyjaźń. Czasem składał jej nawet przedpołudniową wizytę, ale nigdy nie zostawał dłużej, niż nakazywały dobre maniery, i nie poruszał innych tematów niż bieżące i błahe. Nie było żadnych namiętnych pocałunków ani wspólnych nocy.

Po ślubie Luizy ksiądz i księżna Aylesworth ponowili swoje zaproszenie, by Rachel zatrzymała się u nich. Kiedy nie skorzystała z tej oferty, przysłali kuzynkę Libby, Dorotheę, by z nią zamieszkała, jako że nie uchodziło, by młoda kobieta - choćby wdowa - mieszkała całkiem sama. Dorothea, także wdowa, była dość bezbarwną, cichą kobietą. Rachel nie uważała jej za osobę szczególnie serdeczną, ale przystała na jej towarzystwo. Tęskniła jednak za Luizą.

Zmieszana i zraniona chłodną i pełną rezerwy postawą Jake^, doszła do wniosku, że nadal gniewa się na nią z powo-

du odrzucenia oświadczyn. Teraz, kiedy widywała go tak często, tęskniła za nim nawet bardziej, niż kiedy sama wróciła do Anglii, a on pozostał na Półwyspie. I, na Boga, jakże brakowało jej pocałunków i nocy w jego ramionach!

Gdy Jake tańczył z inną kobietą, Rachel czuła gwałtowną zazdrość. Kiedy Jake prosił do tańca ją - a zdarzało się to rzadko - walczyła ze sobą, by się do niego nie przytulić. Znaliśmy zapach drzewa sandałowego i najłżejszy dotyk Jake'a pobudzały jej zmysły. Za każdym razem przysięgała sobie, że przy kolejnej okazji będzie w stanie opanować tę reakcję, ale nigdy jej się to nie udawało.

Duma nie pozwalała jej przyznać się przed nikim oprócz siebie samej, że była samotna pomimo bujnego życia towarzyskiego i pracy w szpitalu. Samotność tę tylko częściowo równoważyło jej poczucie niezależności. Rachel nie chciała, by ktokolwiek dyktował jej, co ma robić, ale miło byłoby mieć kogoś, z kim mogłaby swobodnie porozmawiać. I byłoby miło, gdyby tym kimś był znowu Jake.

Anglia przechodziła samą siebie w świętowaniu zwycięstwa nad znieawidzonym Napoleonem Bonaparte. Podczas dwóch ostatnich majowych tygodni świętowanie nabrało tempa. W czerwcu wyspiarskie królestwo przyjmowało wizytę króla Prus Fryderyka Wilhelma i rosyjskiego cara Aleksandra. Oprócz tego pruski generał von Blucher wiele razy pojawił się publicznie i wkrótce stał się ulubieńcem prostego angielskiego ludu.

- Dzięki temu, że pije jak smok - powiedziała Dorothea - w równym stopniu, jak za swą rolę w pokonaniu Bonaparte!

Wciąż rozgrywała się też tragifarsa - a może raczej komiczna tragedia - której tematem były małżeńskie problemy księcia regenta, a wszystko to na forum publicznym. Nawet na

Półwyspie poddani księcia słyszeli o księciu Walii i jego pozamałżeńskich związkach, które od czasu do czasu przesłaniały wyczyny żyjącej z nim w separacji ekstrawaganckiej księżnej. Któregoś popołudnia, pod koniec czerwca, Rachel odwiedziła księżną Aylesworth i stwierdziła, że salon ciotki aż trzęsie się od plotek o najnowszym skandalu.

Prym wiodła dama w średnim wieku, znana jako niepoprawna plotkarka.

- Mówię wam, moje drogie, to był niezapomniany widok! Był tam nasz książę po jednej stronie teatru, wyglądał olśniewająco w królewskiej łoży, otoczony swoimi królewskimi gośćmi, przyjmując wyrazy uznania od wielbicieli, dostojnie machając do zgromadzonych.

Inna wtrąciła się piskliwie:

- I wtedy ona się pojawiła w łoży naprzeciwko, bo ona nigdy nie jest zapraszana, by mu towarzyszyć, jak wiecie.

- Ona? - zapytał ktoś nieświadomiony.

- Caroline, oczywiście. Caroline z Brunszwiku. Przyszła królowa Anglii.

- Chyba że książę znajdzie jakiś sposób, żeby się jej pozbyć.

Cóż, pomyślała Rachel, księżnej Walii zapewne nie grozi, że zostanie sprzedana. Potem jej uwagę znów przyciągnęła opowieść.

- Kiedy weszła do łoży, pamiętajcie, że dokładnie naprzeciwko jego łoży, publiczność w teatrze oszalała, po prostu oszalała w okazywaniu swojego poparcia dla niej, i tym samym odwróciła się plecami do niego.

- To musiał być potężny cios dla dumy księcia.

- Och, w rzeczy samej. Na pewno był! A potem, och, tego już było zbyt wiele, po prostu zbyt wiele, ukłonili się jej król pruski i car rosyjski! Księżciu nie pozostało nic innego, jak tylko zrobić to samo!

- Żałuję, że nie widziałam jego miny. - Ten komentarz przywiódł Rachel na myśl stado sępów krążących nad padliną.

- Było mi go tak żal - powiedziała pierwsza z opowiadających dam, której ton jednak daleki był od jakichkolwiek pozorów szczerości.

Wkrótce księżna celowo zmieniła temat, ale osobiste tarapaty księcia Walii fascynowały opinię publiczną przez całe lato. Sezon towarzyski w tym roku przedłużył się, odbywało się wiele ekstrawaganckich imprez. Po raz pierwszy od

ponad dwóch dziesięcioleci kraj nie był w stanie wojny z Francją. Triumfalne zwycięstwo nad Napoleonem tylko nieznacznie przyćmiewała klęska w byłych koloniach. Tam wciąż trwały walki i do kraju, znanego teraz jako Stany Zjednoczone, wysłano wielu doświadczonych weteranów wojny przeciwko Napoleonowi.

- Mam tylko nadzieję, że nie będziemy ich wkrótce po potrzebować po tej stronie Atlantyku - powiedział Jake podczas przyjęcia ślubnego Humphreya.

Hastings pospieszył odpowiedzią:

- Nie powinno być takiej potrzeby... dopóki Boney siedzi pod kluczem na Elbie.

- Dopóki... - powtórzył Jake z zamyśleniem. Po chwili rozchmurzył się i zaproponował kolejny toast za młodą parę.

Niedawno Rachel otrzymała odpowiedź na list do Clary, która zamieszkała ze swoimi rodzicami w środkowej części kraju. Dziadkowie bez umiaru rozpieszczali wnuczka, Benny'ego. Cla-ra starała się pogodzić ze śmiercią Joe'go, ale jak dotąd niezbyt jej się to udawało. Zakończyła swój list słowami: Chwytaj swe szczęście, dopóki możesz, droga przyjaciółko. Miłość jest zbyt ■cenna, by pozwolić drobnym troskom stawać jej na drodze.

W lipcu, kiedy lord Wellington powrócił do Anglii, książę regent nie szczędził publicznych pieniędzy na ceremonie powitalne dla zwycięskiego wodza. Odbywały się parady i pokazy ogni sztucznych, zaś w Hyde Parku zorganizowano jarmark, przez który trawniki na wiele następnych miesięcy zamieniły się w pyliste - lub błotniste - klepiska. Jednak co bardziej eleganckie towarzystwo nie umieszczało Rachel, podobnie jak żony księcia regenta, na liście swoich gości. Książę regent wydawał kolejne oszałamiające obiady i bale w Carlton House, swej londyńskiej rezydencji. Liczba gości została ograniczona do zaledwie dwóch tysięcy najbliższych przyjaciół regenta. Dzień po dniu gazety zachwycały się elegancją przyjęć lub grzmiały przeciwko wydatkom, zależnie od poglądów swoich wydawców.

Rachel nie miała złudzeń co do swojego miejsca w towa-

rzystwie i nie była też ani zdziwiona, ani rozczarowana, że jej nazwisko nie znalazło się na liście książęcych gości. Jeszcze zanim dowiedziała się o wielkich przyjęciach u księcia regenta, zaczęła odczuwać pewne ochłodzenie nastawienia wobec jej osoby. Tak jak przewidziała Libby, otrzymywała wiele zaproszeń, chociaż nigdy nie stała się ulubienicą salonów. Rachel nie starała się tam dostać ani nie goniła za wielkim światem, ale polubiła kilka osób z wyższych sfer i cieszyła się z okazji do konwersacji.

Choć miasto pełne było najwyższych stopniem oficerów i ich dam, fetowanych przy każdej okazji, Rachel zauważyła, że nie otrzymuje zaproszeń. Celia, markiza Lounsbury, omal nie zignorowała jej podczas obiadu, na który Rachel udała się w towarzystwie księcia i księżnej Aylesworth.

Jednak markiza wdowa, matka Jake'a, nie stroniła od Rachel i rozmawiała z nią przyjaźnie. Posunęła się nawet do tego, by zaprosić Rachel do złożenia jej wizyty. Rachel stwierdziła, że markiza to ciepła i czarująca osoba. Zakłopotana faktem, że jest - lub była - kochanką jej syna, zdobyła się jednak tylko na uprzejmą powściągliwość.

Już w powozie Aylesworthów podczas powrotu do domu Rachel zapytała:

- Czy wydaje mi się tylko, czy dzisiejszego wieczora rze czywiście panowała jakaś... dziwna atmosfera? Odnoszono się do mnie jakby... nieszczerze.

Libby westchnęła.

- Nie, moja droga. Nie wydaje ci się. Na salony dotarła wiadomość o tej niesławnej sprzedaży.

- Och, nie. - Rachel także westchnęła. - Jak przypuszczam, ktoś najpewniej rozpoznał mnie jako „tę kobietę Bra-dy'ego”.

- Zapewne - zgodziła się księżna.

- Jeśli... jeśli wolelibyście, żebym... to znaczy, jeśli życzy-cie sobie rozluźnić swoje związki ze mną, zrozumieć.

- Ależ skąd! - odpowiedziała jednogłośnie para książęca, a ich stanowczość wywołała falę ciepła w sercu Rachel.

Księżna pochyliła się ku Rachel ze swego siedzenia naprzeciwko i poklepała ją po ręce.
- Wybij to sobie z głowy. Nie. Będziemy nadal postępować tak, jak dotąd. A właściwie to mogę wydać bal na twoją cześć. - Zaśmiała się. - Bądź co bądź, nie miałaś porządnego debiutanckiego balu.
Rachel także roześmiała się, traktując to jako żart.
- Och, proszę, nie.
Ale Libby nie przestała mówić o swoim pomysle, dopóki powóz nie dotarł pod dom Rachel.
Następnego dnia zdarzyło się coś, co całkowicie zburzyło poczucie bezpieczeństwa Rachel.

24

Kiedy kolejnego popołudnia Rachel wychodziła ze szpitala, na jej widok podniósł się jakiś mężczyzna, siedzący na schodach.
- Ach, nareszcie - powiedział. - Nieźle kazałaś mi czekać.
- Edwin! Co ty tu...?
Ellison, który jak zwykle czekał przy wejściu, by odprowadzić panią do domu, podszedł bliżej, zaalarmowany tonem jej głosu.
- Wszystko w porządku, Ellison. Poczekać na mnie przy bramie. - Rachel odwróciła się do Brady'ego. Zauważyła, że miał na sobie znoszone, ale czyste ubranie, jakie mógłby nosić pracownik portowy. Zapuścił też okazałą brodę. - Czego chcesz?
- Hej, czy w taki sposób wita się męża po długiej rozłące?
- Męża? - zapytała pogardliwie. - A co z twoją żoną i dziećmi we wschodniej Anglii?
Brady umilkł, lecz tylko na moment.
- Ach, więc wiesz o nich, co?

315

- I o tym, że to rzekome twoje małżeństwo ze mną było tylko farsą. Jak mogłeś... jak jakikolwiek mężczyzna może zrobić coś tak obrzydliwego? Zrujnowałeś mi życie.
- Och, no nie wiem, moja śliczna. - Wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć, ale cofnęła się z dreszczem odrazy, którego nie mógł nie zauważyć. Zobaczyła, jak wściekłość wykrzywia jego rysy. Wskazał na jej suknię. - Popatrz na siebie. Odgrywasz wielką damę. Wygląda, że świetnie ci się wiedzie jak na kogoś, czyje życie zostało zrujnowane.
- Czego chcesz? - powtórzyła.
- Tylko trochę tego, co masz - powiedział. - Jako twój mąż mam do tego prawo.
- Miałbyś, gdybyś kiedykolwiek był moim mężem. A teraz, spiesz się... - mówiąc to Rachel się odwróciła.
- Nie tak szybko, do cholery. - Chwyił ją za ramię i przytrzymał z całej siły. Kiedy Ellison zaczął się zbliżać, Brady odwinął połę płaszcza, pokazując Rachel pistolet. - Odwołaj swojego pieska albo stanie mu się krzywda.
- W porządku, Ellison - powiedziała. - Tylko daj mi chwilę.
- Spojrzała na szorstką dłoń, trzymającą ją w mocnym uścisku.
- Puść moją rękę - zażądała. Ku jej zdumieniu, Edwin posłuchał.
- Obserwowałem cię przez ponad tydzień - powiedział. - Jak wychodzisz i przychodzisz. Jak się zadajesz z waźniakami i wszystko. Policzyłem sobie, że stać cię, żeby wspomóc... przyjaciela... w potrzebie.
- Dlaczego, u licha, miałabym choćby pomyśleć, żeby to zrobić, po tym, co ty zrobiłeś mnie?
- Może żeby waźniaki nie dowiedziały się, że ich pani Brady wcale nie jest wdową. Że tak naprawdę nigdy nie była nawet żoną. - Uśmiechnął się triumfująco. - Widzisz? Znam historijkę, jaką rozpuściłaś.
- Rachel starała się myśleć, jak ubiec jego żądania.
- To śmiałe słowa jak na kogoś, komu nadal grozi pluton egzekucyjny za dezercję.
- Edwin Brady zginął na Półwyspie. Teraz jestem Mullens,

Szanowany robotnik z londyńskich doków. Niewielu mogłoby mnie teraz rozpoznać. - Major Forrester mógłby.

- Ach, tak. Forrester. Ale on się tak bardzo cieszy resztkami po mnie, że pewnie nic by nie powiedział.

- Ty obrzydliwy gadzie!

- Ach, ach. Zachowuj się, moja śliczna.

-Ile?

- Tak sobie myślę... pięćdziesiąt gwinei na początek? Jesteś warta pięćdziesiąt gwinei, prawda? - Zaśmiał się okrutnie.

- Ja... to mi zajmie parę dni, żeby zebrać taką kwotę. - Choć wszyscy już wiedzieli o jej powiązaniach rodzinnych z księciem Aylesworth, o spadku nie było powszechnie wiadomo. Jeśli szczęście jej dopisze, nie dowie się o nim i Edwin.

- Wiem, gdzie mieszkasz. Znajdę cię, moja słodka.

Na tym zakończył i odszedł, pogwizdując skoczną melodię i zostawiając Rachel w szoku. Zastanawiała się jednak, czy tę jego wesołość dyktowała mu pewność siebie, czy brawura.

Ellison natychmiast zjawił się obok niej.

- Czy on panią zranił?

- Nie. Niezupełnie. - Nie fizycznie, pomyślała.

Ellison spoglądał na nią z troską.

- Proszę tu zaczekać, madam. Sprowadzę dorożkę i pojeździemy do domu.

Jake był sam w bibliotece matki, kiedy lokaj Foster zapukał do drzwi. Od wielu dni, nie, od tygodni, Jake próbował się zmusić do wyjazdu do Trenton Abbey, swojej posiadłości w Wiltshire.

„Opactwo” Trenton było niegdyś prawdziwym opactwem, które Henryk VIII w swej furii skierowanej przeciwko Kościołowi Rzymskiemu zsekularyzował i oddał jednemu ze swoich ulubieńców, niejakiemu baronowi Trentonowi. Potomkowie Trentona ostatecznie utracili posiadłość, która znów wróciła do Korony. Dziadek Jake'a ze strony matki nabył ją od króla, który potrzebował funduszy na opłacenie

swoich kolonialnych przedsięwzięć. Kiedy niegdysiejsze opactwo trafiło w ręce Jacoba Nachmana, starszy pan postanowił, że przejdzie ono na potomków z jego krwi, dlatego wniósł taki warunek do kontraktu ślubnego córki. W każdym razie Jake był wdzięczny dziadkowi, że zapewnił mu niezależność od dóbr Lounsbury.

Ta myśl go uderzyła. On, Jake, delektował się swoją niezależnością. Czyż nie o tym samym mówiła Rachel? Jednak dlaczego kobieta mogłaby pragnąć niezależności, skoro może polegać na mężu, tego Jake nie potrafił pojąć. Wtedy przypomniał sobie o dwóch rzeczach. O tym, jak sam nie chciał polegać na własnym bracie i majątku Lounsbury, i o doświadczeniach Rachel z mężem, na którym na pewno nie można było polegać.

- Wejść - zawołał, zadowolony, że ktoś przerywa mu te niepokojące rozmyślenia.

- Panie, jest tu pewien człowiek nazwiskiem Ellison, który chciałby z panem mówić.

- Ellison? Och, Ellison. Wprowadź go. - Jake wstał, żeby powitać człowieka, który, jak pamiętał, pracował dla Rachel. Mężczyzna wyglądał na zmieszanego.

- Panie, nie wiem sam, czy słusznie robię. To znaczy chciałem powiedzieć, że kiedy lord Lounsbury nas wynajął, moją żonę i mnie, powiedział, że to w pana imieniu.

- Tak, tak było.

- I ja wiem, że to pani Brady wypłaca nam teraz pensję... i jest bardzo wspaniałomyślna, ale... no cóż... coś się stało, panie, i...

Jake zaniepokoił się.

- Dalej. Mów, o co chodzi, człowieku. Czy pani Brady stało się coś złego?

- Nie, panie. Przynajmniej jeszcze nie.

- Jeszcze nie? Wytłumacz natychmiast - przez Jake'a przemówił teraz były oficer.

- Kiedy pan markiz mnie wynajął, miałem być kimś w rodzaju ochrony dla pani Brady, a także lokajem, i dbać o dom.

Chciał, żebym informował go o wszystkich podejrzanym wyglądających ludziach, którzy by mogli jej szukać. Ja... ja pomyślałem, że on kazał mi tak w pana imieniu, sir.

- Tak było.

- No i, sir, dzisiaj po południu to się stało po raz pierwszy. Wiem, że to już może nie całkiem pana rzecz, skoro to ona płaci wszystkie rachunki, ale... no cóż... żona i ja martwimy się i... pomyśleliśmy, że może chciałby pan wiedzieć.

- Słusznie pomyśleliście. Siadaj i powiedz mi wszystko.

Ellison tak właśnie zrobił, opisując incydent przed szpitalem i brodatego mężczyznę, który zaczepił Rachel. Jake kazał mu opisać go dwukrotnie.

- Ciemne włosy i niebieskie oczy? Hmm. Zastanawiam się. Wydaje się mało prawdopodobne, ale nie można mieć pewności.

- Panie? - zapytał Ellison.

- Nieważne. Nie słyszałeś ani słowa z ich rozmowy?

- Nie, panie. Ale mnie to wyglądało, jakby on jej groził. Złapał ją nagle, ale potem puścił.

- Był ubrany jak zwykły robotnik?

- Tak, sir. Powiedziałbym, że jak doker.

- Dziękuję, Ellison. Dobrze się stało, że przyszedłeś do mnie. Zajmę się tym natychmiast.

- Dobrze, panie.

Kiedy Ellison wyszedł - z dodatkową monetą w kieszeni - Jake przywołał Henry'ego i Thompkinsa.

- Chcę, żebyście obaj poszli do doków - powiedział im. - Pokręćcie się tam po tawernach i zobaczcie, może uda wam się coś znaleźć. - Opisał im mężczyznę, o którym opowie dział mu Ellison. - Mam przeczucie, że to może być Brady, a wy dwaj możecie go rozpoznać, z brodą czy bez...

- Tak jest, panie - odpowiedzieli natychmiast.

Jake wręczył Henry'emu sakiewkę.

- Masz. To ci pomoże rozwiązać ludzkie języki. Ale uważajcie, macie go nie zaczepiać. Tylko go znajdźcie, a ja się zajmę resztą.

Niecałe dwie godziny później - zbyt wcześnie jeszcze, jak

na wieści od Henry'ego i Thompkinsa - Foster dyskretnie przerwał rozmowę Jake'a z matką, wręczając Jake'owi liścik.

- Ten człowiek, Ellison, właśnie to dostarczył, panie.
Jake natychmiast rozpoznał pismo Rachel. Liścik był krótki.

Jake,

Proszę, czy mógłbyś się ze mną spotkać najszybciej, jak to możliwe? R.

- Wybacz, matko, ale jest coś, czym muszę się zająć.
- Czy mam przełożyć obiad na późniejszą godzinę?

- Nie. Chyba i tak nie przyjdę.

Ellison nadal stał w foyer, czekając na odpowiedź Jake'a.

- Czy powiedziała pani Brady o naszej rozmowie? - zapytał go Jake.

- Nie, panie. A powinienem?

- Nie. Nie było takiej potrzeby. - Jake był ogromnie zadowolony, że Rachel sama zwróciła się do niego w potrzebie.

Przez większą część popołudnia Rachel zastanawiała się, co też powinna zrobić. Wiedziała, że nie może poddać się żądaniom Edwina. Jeżeli raz mu zapłaci, będzie ją szantażował bez końca. Wciąż nie mogła pojąć, jak, u licha, mogła kiedykolwiek uważać tego mężczyznę za wartościowego. Ale przecież nie znała go dobrze przed ślubem, czyż nie?

Czy powinna poinformować o sprawie księcia Aylesworth? Nie, to naprawdę nie jego problem. Nie był to też tak naprawdę problem Forresterów. Rachel wiedziała jednak, że nie będzie mogła poradzić sobie z tym sama, zaś Edwin w pewien sposób był powiązany z braćmi Forrester. Dlatego przesłała lakoniczną wiadomość do Jake'a. Do Jake'a, który poprzednio pospieszył jej na ratunek.

Pojawił się we własnej osobie już po chwili od wysłania wiadomości.

- Och! Nie spodziewałam się ciebie tak szybko - powiedziała zdenerwowana.
 - Uznałem, że to sprawa pilna - odparł.
 - Może tak być. Edwin wrócił do Anglii.
 - Naprawdę?
- Rachel zrelacjonowała mu spotkanie przed szpitalem, dodając na koniec:
- On chce ode mnie pieniędzy. Jake, on się śmiał, wymieniając sumę pięćdziesięciu gwinei! Śmiał się. - Nie potrafiła ukryć bólu, jaki sprawiły jej te słowa.
 - Jake natychmiast pokonał dzielącą ich odległość i ukrył Rachel w ramionach.
 - Nic się nie stało, kochana. Ja się tym zajmę. Zajmę się tobą.
 - Ja... nie chciałam sprawiać ci kłopotu, ale...
 - Wiem. Ellison był u mnie wcześniej. On i jego żona martwili się o ciebie. Z tego, co mi powiedział, wywnioskowałem, że to Brady cię napastował.
 - Ellison poszedł do ciebie? - Rachel sama nie wiedziała, co ma o tym myśleć.
 - Nie gniewaj się na niego. Martwił się. I słusznie, jak sądzę.
 - Cóż... - Nadal miała wątpliwości.
 - Wysłałem Henry'ego i Thompkinsa do doków, żeby znaleźli Brady'ego.
 - Czy oni nie...?
 - Czy go nie zranią? Nie bój się. Mają go tylko znaleźć. Ja mogę później udusić tego szubrawca, ale oni go nie ruszą.
 - Ja... nie chcę być odpowiedzialna za to, że trafi do aresztu i... być może stanie przed plutonem egzekucyjnym. Czyż nie tak dzieje się z dezertkami? - zapytała.
 - Zazwyczaj tak, ale obiecuję ci, że zrobię, co w mojej mocy, żeby temu zapobiec. To najpodlejszy z ludzi, ale ma w sobie krew Forresterów.
 - Dziękuję, Jake. Bardzo doceniam twoją pomoc. - Rachel chciała się cofnąć, ale Jake nie pozwolił jej na to.
 - Potrząsnął ją lekko.
 - Nie waz się więcej chować przede mną za fasadą takiej

chłodnej, dobrze wychowanej damy - powiedział z gniewem i uniósł jej podbródek, by złożyć na jej ustach stanowczy pocałunek.

Nie mogła się powstrzymać. W swą odpowiedź wlała całą tęsknotę ostatnich tygodni, strach wywołany dzisiejszym spotkaniem i poczucie głębokiej słuszności tego, że Jake jest przy niej.

- Tak już lepiej - mruknął na koniec. Potem odsunął ją niechętnie. - Muszę iść. Naradzę się z Robertem, a potem poczekam na raport Henry'ego i Thompkinsa.

- Powiesz mi...?

- Kiedy tylko sam się czegoś dowiem, wrócę tu.

- Dziękuję. - Rachel przyciągnęła jego głowę ku sobie, by raz jeszcze krótko pocałować go, nim wyszedł.

Minęło kilka dni, zanim Jake i Robert zdołali rozwiązać problem z Bradym - czy Mullensem, jak się teraz przedstawiał. Mullens zauważył Henry'ego w jednym z pubów w porcie i natychmiast uciekł. Poinformowany o całym incydencie książę Aylesworth nakłonił siostrzenicę, by zamieszkała w Aylesworth House, dopóki sytuacja nie zostanie całkowicie wyjaśniona. Mogła opuszczać rezydencję tylko w towarzystwie krzepkiego lokaja.

Tymczasem Jake musiał stawić czoła innej emocjonalnej próbie.

Któregoś popołudnia poszedł do Roberta, by porozmawiać z nim o Bradym-Mullensie. Robert znowu zaangażował detektywów i mógł już mieć jakieś nowe informacje. Markiza nie było w domu, ale jego żona, przechodząc akurat przez hall, usłyszała głos Jake'a.

- Wprowadź lorda Jacoba do zachodniego salonu, Jeffers - zawołała. - I dopilnuj, by przyniesiono nam coś do picia.

- Tak, proszę pani. - Lokaj wzruszył ramionami. - Zna pan drogę, sir.

Jake niechętnie wspiął się po schodach. Nie spotykał się sam na sam z Celią od ponad dziesięciu lat, choć w początkowym okresie swego dobrowolnego wygnania wciąż o niej myślał.

- Ach, Jake. Jak miło mieć cię dla odmiany całego dla siebie. - Celia była ubrana w bładozieloną muslinową suknię z krótkimi bufiastymi rękawkami, powyżej których jej ramiona były nagie. Przy niezwykle głęboko wyciętym dekolcie suknia odsłaniała więcej, niż zakrywała.

- Celio. - Jake skłonił się lekko i cmoknął powietrze nad dłonią, którą mu podała.

- Zechciej usiąść. - Gestem wskazała ogromną kanapę obitą kosztownym złotym brokatem.

Zamiast tego Jake wybrał krzesło i dostrzegł, jak po twarzy bratowej przemknął wyraz rozdrażnienia. Jake stał obok krzesła, czekając, aż Celia ulokuje się na kanapie. Jeffers przyniósł tacę.

- Herbaty? Czy lemoniady? - zapytała.

- Herbata będzie odpowiednia. Kropelka mleka, bez cukru. Patrzył na wdzięczne ruchy Celi, ale nie odzywał się.

- Jesteś dziś nadzwyczaj cichy - powiedziała, zerkając na niego zalotnie znad filiżanki.

- Prawdę powiedziawszy, mam głowę zaprzątniętą sprawą, którą, jak mam nadzieję, Robert pomoże mi rozwiązać.

- Och, chyba nie chodzi znów o tę irytującą kobietę nazwiskiem Brady.

Jake, choć zaskoczony tą grubiańską uwagą, tylko pytająco uniósł brew.

Celii taka zachęta wystarczyła w zupełności.

- Jake, mój drogi, wiem, że przypisujesz jej zasługę ocalenia ci życia... chociaż, doprawdy, musiałeś być zdecydowanie zbyt chory, by dokładnie wiedzieć, jak bardzo byłeś chory i kto się tobą opiekował.

Jake odstawił filiżankę.

- Słucham? - zapytał tonem, który ktoś inny mógłby odebrać jako zniechęcający.

Ignorując to, Celia szczebiotała dalej.

- Jestem pewna, że tak właśnie było. A potem ona przyjechała tutaj, czyniąc doprawdy niezwykle żądania wobec biednego Roberta... w twoim imieniu, oczywiście... tak że Ro-

bert nie mógł odmówić. Ja odczuwam zdecydowaną niechęć do narzucających się kobiet, a ty? Odpowiedział ostrożnie:

- Nigdy nie myślałem o Rachel... o pani Brady... w takich kategoriach.

Wychwyciła to, że wymknęło mu się imię Rachel.

- Doprawdy, Jake, mam nadzieję, że posiadasz lepszy gust, niż żeby dać się... cóż, omamić komuś takiemu. Chociaż przyznaję, że ma ładną twarz.

- Ta rozmowa jest wysoce nie na miejscu - powiedział. - Czy orientujesz się, kiedy wróci Robert?

- Nie ma nic nieodpowiedniego w tym, że kobieta zabawia rozmową brata swego męża. To jedna z korzyści, jakie daje nasza sytuacja. Nikt nie będzie o nas plotkował.

- „O nas”? „Nasza sytuacja”? Pojęcia nie mam, o czym ty mówisz, Celio. - Jake poczuł nagle, że jego kołnierzyk robi się za ciasny.

- Och, Jake, kochanie. Nie rozumiesz? - Pochyliła się do przodu, pozwalając mu w pełni podziwiać swoje idealnie krągłe piersi. - Od lat wiedziałam, że poślubiłam nie tego brata. Tak naprawdę wiedziałam to już wtedy. Ale teraz Robert ma już swojego dziedzica, więc ja mogę uważać się za wolną i podążyć za moim pierwszym pragnieniem.

- Celia! Na miłość boską! - Autentycznie wstrząśnięty Jake wstał i podniósł rękawiczki, które położył wcześniej na stoliku. - Wrócę, kiedy Robert będzie w domu.

Celia także wstała. Zbliżyła się, kładąc dłoń na jego ramieniu.

- Och, daj spokój, Jake. Tak jest przyjęte w wyższych sferach. A ja wiem, że mnie kochasz.

Samym spojrzeniem sprawił, że zdjęła dłoń z jego ramienia. Zrobiła to, wydymając wargi. Podniósł wzrok, krzyżując z nią spojrzenie.

- Kochałem, Celio. W czasie przeszłym. To było wieki temu i niewarte jest nawet wspomnienia. Nieważne, jakie są zwyczaje w wyższych sferach, ani mój brat, ani ja nie zbruka-

my jeden drugiego w sposób, który wydajesz się sugerować.

Śliczną twarz Celi wykrzywił grymas złości.

- Uważasz, że możesz odrzucić mnie na rzecz jakiejś chciwej kobiety Bóg wie skąd, która jest nikim? Dla mnie jej pokrewieństwo z Aylesworthem jest wysoce podejrzane i dziwi się, że księżna znosi to wszystko pod własnym dachem.

- Celia, posunęłaś się za daleko. - Miał ochotę uderzyć ją w twarz. Zamiast tego wyszedł, trzaskając drzwiami. Usłyszał brzęk tłuczonej porcelany. Szkoda, pomyślał. To był ładny dzbanek.

Dwa dni później także do uszu Jake'a dotarły pogłoski.

Plotkarze odmalowali obraz Rachel jako bezwstydnej ładaczki, prawdziwej Jezabel, której apetyty i doświadczenia nie miały granic. Co więcej, nie znała wstydu. Czyż na Półwyspie nie uczestniczyła w farsie aukcji jej wdzięków? Aukcji, drodzy państwo. I to w miejscu publicznym. A teraz zastawiła sidła na księcia Aylesworth, zaś jego księżna, biedactwo, była chyba ślepa, skoro nie wiedziała, co się święci.

Jake od razu odgadł, skąd wyszły te historie, i był wściekły. Jeszcze bardziej złościło go to, że nie mógł zdobyć się na powiedzenie Robertowi prawdy o jego żonie.

Postanowił wyraźniej podkreślać swoje zainteresowanie Rachel. Jeżeli plotkarze zaczną go traktować jako poważnego konkurenta do ręki Rachel, z pewnością stracą zainteresowanie tymi okropnymi historiami. Zwrócił się nawet do Ayleswortha z prośbą, by pozwolił mu starać się o rękę swojej siostrzenicy.

Aylesworth uśmiechnął się, rozbawiony.

- Musi pan wiedzieć, Forrester, że niezbyt potrzebna panu moja zgoda. Moja siostrzenica to bardzo niezależna kobieta.

- Och, tak. Jestem tego najzupełniej świadom.

Aylesworth zachichotał.

- Kobiety o silnej woli są cudownymi żonami, ale czasem piekielnie trudno z nimi żyć.

Początkowo Rachel wydawała się przyjmować z przyjemnością jego zaloty, ale później odnosiła się do niego z dystansem.

Kiedy ponownie wspomniał o zamiarze poślubienia jej, odpowiedziała wymijająco, że nie jest jeszcze gotowa, by dyskutować na ten temat. Ale znów nie była to wyraźna odmowa.

Rachel towarzyszyła Charlesowi i Libby na przeglądzie muzycznym zorganizowanym przez hrabinę Leland. Ogromny pokaz miał na celu zaprezentowanie talentów kilkorga muzyków amatorów oraz recital sopranistki, która była najświeższą sensacją włoskiej opery.

Jake przybył na koncert w towarzystwie swojej matki, brata i bratowej. Zanim publiczność zajęła miejsca, wszyscy czworo rozmawiali serdecznie z rodziną Aylesworth, chociaż młoda markiza, witając się z Rachel, okazała wyraźny chłód. Rachel zlekceważyła to w duchu i uśmiechnęła się ciepło do reszty rodziny Lounsbury.

Była świadoma krążących o niej dziwacznych opowieści. Znała je i Libby, należąca do ścisłego kręgu najważniejszych dam z towarzystwa, i powiedziała Rachel o wszystkim, co działo się za jej plecami.

- Nie martw się, moja droga - pocieszała ją Libby. - To także minie, kiedy będziemy zwyczajnie sprawiać wrażenie, że to zbyt niedorzeczne, by było prawdziwe. Oczywiście tak właśnie jest.

- Ale żeby oskarżać mnie i Charlesa...!

- Mówiłam ci, że to niedorzeczne.

Rachel uśmiechnęła się.

- Poza tym każdy wie, jak Charles szaleje na twoim punkcie.

- Hmm. Po piętnastu latach... Nie jestem taka pewna - powiedziała księżna, ale wyraźnie żartowała. - Jednak jestem pewna, że jego duma Ayleswortha nigdy nie pozwoliłaby mu wdać się w jakiś skandal!

Rachel wydała niezbyt dystygowane prychnięcie.

- Także duma Charlesa Hendona, nie mówiąc już o tym, że kocha on swą żonę, nigdy nie pozwoliłaby mu wplątać się w taką sytuację!

Libby zaśmiała się.

- Szybko się do niego przywiązałaś, moja droga!

Plan Libby oraz nieustanne zaloty lorda Jacoba Forreстера do Rachel zdołały utemperować plotki. Jake był postrzegany jako stały gość na salonach Aylesworthów. Wyróżniał też Rachel podczas innych okazji, jak teraz w czasie koncertu.

- Ten człowiek nie robi tajemnicy ze swoich zamiarów - powiedział z aprobatą Charles, uśmiechając się na widok rumieńca na twarzy Rachel.

Podczas przerwy Rachel odwiedziła gotowalnię dla pań, gdzie zastała markizę Lounsbury, która wyraźnie na nią czekała.

- Czy mogę zamienić z panią słowo, pani Brady?

- Ależ oczywiście - odpowiedziała zaskoczona Rachel.

- Tutaj. - Markiza otworzyła drzwi, wiodące do małego saloniku. Obie kobiety stały. Ubrana w swoją ulubioną zieleń lady Lounsbury była żywym obrazem modnej damy z katalogu. Rachel, w równie eleganckiej, choć skromniejszej sukni z ciemnoniebieskiego jedwabiu, czuła się przy niej jak Kopciuszek. Znowu przypomniła sobie, jak ranny Jake w gorączce wołał imię tej kobiety.

- Nie uszło mojej uwagi - powiedziała Celia protekcyjnym tonem - że brat mego męża ostatnio w sposób dość wyraźny kieruje ku pani swoje zainteresowanie.

Skonsternowana Rachel zastanawiała się, jak odpowiedzieć na uwagę, która graniczyła z napaścią. I wtedy tamta kobieta przekroczyła tę granicę.

- To się po prostu nie może stać - kontynuowała. - Rodzina wiąże z naszym Jake'em wielkie nadzieje. On nie może zbrukać się związkiem z kobietą o pani reputacji. Nawet pani cokolwiek wątpliwe powiązania z rodem Aylesworth nie pozwolą nikomu zapomnieć, że została pani sprzedana przez męża. A mężczyźni o naprawdę wysokiej pozycji nie posuwają się do poślubienia swojej kochanki.

- Sądzę, że major... że lord Jacob jest w stanie sam zajmować się swoimi sprawami - powiedziała wreszcie Rachel tonem, który, jak miała nadzieję, oznaczał koniec rozmowy.

- Mężczyźni nie zawsze myślą tym organem, który znaj-

duje się między ich uszami - odparła Celia. - 2 pewnością Jake nie czyni tego ostatnio. Jeżeli pani naprawdę na nim zależy, zrobi pani to, co powinna dla niego zrobić.

- Czyli...?

- Ależ zrezygnuje, oczywiście. Pozwoli mu iść własną drogą. On zasługuje na coś znacznie lepszego.

- Owszem, zasługuje - zgodziła się Rachel. - Ale uważam, że to nie pani rzecz dyktować jemu ani mnie, co powinniśmy robić! A teraz, jeśli pani pozwoli... - Rachel odwróciła się i wyszła z pokoju, zanim Celia zdołała pociągnąć dalej tę złośliwą dysputę.

- Popamiętasz moje słowa - zawołała za nią Celia.

Rachel była tak wściekła, że aż się trzęsła, kiedy wróciła na miejsce. Libby spojrzała na nią pytająco.

- Co się stało? Chcesz wyjść?

- Nic. Opowiem ci później. Nie, nie chcę wyjść. - To było kłamstwo. Rachel z całego serca pragnęła się stąd wydostać. Ale wyjść i pozwolić tej... tej kobiecie myśleć, że skłoniła ją - nieustraszoną Rachel, która przemaszerowała Półwysep - do panicznej ucieczki? Nigdy! Rachel siedziała więc, słuchając muzyków, ale nie słysząc ani jednego dźwięku z dalszych występów.

Celia - oczywiście - miała rację. Nie powiedziała niczego, co wcześniej nie przyszłoby już Rachel do głowy. Tak naprawdę były to te same rozważania, które sprawiły, że udzielała Jake'owi wykrętne; odpowiedzi na jego ponowną propozycję. Wiedziała, że gdyby po prostu jasno mu odmówiła, straciłaby go. Nie była jeszcze gotowa, by patrzeć, jak odchodzi z jej życia.

Dopóki Jake nie mógł poślubić Rachel, godził się z myślą, że jest jego kochanką. Ale teraz wszystko się zmieniło, zaś Jacob Forrester, jak wiedziała, nie spocznie, póki nie uczyni jej swoją żoną.

Tak. Kochała go. Wydawało się, że kochała go od zawsze. Ale czy miała prawo niszczyć jego marzenia o politycznej karierze, jego ambitne plany? Potem jednak przyszło jej do głowy, że zachowuje się w stosunku do Jake'a tak, jak wcześ-

niej inni w stosunku do niej - odmawiała mu prawa do podejmowania własnych decyzji, pokierowania własnym życiem w sposób, jaki sam wybrał.

Kiedy ogarnęły ją takie właśnie myśli, odwiedził ją niespodziewany gość.

- Markiza wdowa Lounsbury? - powiedziała zdumiona Rachel, odczytując nazwisko z karty wizytowej, którą podał jej kamerdyner.

Rachel i Libby siedziały w buduarze, bez pośpiechu przeglądając pocztę i gazety.

- Możesz ją przyjąć w błękitnym salonie, moja droga. To wam pozwoli porozmawiać na osobności - powiedziała Libby teatralnym szeptem, przeznaczonym zarówno dla Rachel, jak i dla uszu kamerdynera.

Lady Lounsbury zrzuciła pelerynę i kapelusz, kiedy tylko wprowadzono ją do błękitnego salonu. Rachel wstała, by powitać ją lekkim dygnięciem.

- Wasza lordowska mość. Proszę spocząć.

Markiza zajęła krzesło i odłożyła na bok torebkę.

- Mam nadzieję, że wybaczy mi pani to najście o tak niezwykłej godzinie, pani Brady, ale czułam, że muszę się z panią zobaczyć. - Mówiła tonem bardzo rzeczowym.

- Och? - Rachel pomyślała, czy matka Jake'a nie przyszła tu po to, by powtórzyć przykre uwagi jego bratowej.

- Doprowadza pani mojego syna do szaleństwa. On panią kocha z całego serca i jak rozumiem, i pani nie jest on obojętny.

Rachel była zaskoczona otwartością tej deklaracji, ale postanowiła niczego nie ukrywać.

- Nie. Nie jest.

- Zatem w czym problem, na litość boską? Żadne z was nie dało słowa komuś innemu. - Markiza przerwała na chwilę. - Nie dała pani, prawda? Słyszałam, że wicehrabia Mit-chelon był dość zaangażowany w swoich staraniach...

Rachel roześmiała się.

- Nie, madam. Nie jestem z nikim związana słowem. Wi-

cehrabia to bardzo miły i jeszcze bardzo młody człowiek.

Markiza uśmiechnęła się.

- A zatem? - Kiedy Rachel zawahała się z odpowiedzią, starsza pani ciągnęła dalej: - Obawiałam się, że mogłaby pani przejmować #ię jakimś źle pojętym poczuciem honoru, tymi pogłoskami, rozpowszechnianymi w salonach Londynu.

- Ale jest ziarno prawdy w niektórych z tych opowieści i jestem pewna, że Jake... że lord Jacob musiał pani o tym powiedzieć.

- „Jake” brznie odpowiednio. Nie musi się pani ze mną bawić w ceremonie. Jeżeli ma pani na myśli tę niesławną sprzedaż... cóż, nie rżiozna mieć tego pani za złe. Pani była tam ofiarą, na miłość boską. A co do pani pracy z żołnierzami, to jako matka nie mogę odczuwać nic innego, jak tylko wdzięczność dU pani.

- Jest jeszcze drobna sprawa mojego... ehm.. małżeństwa. Syć może Jake pa*ń nie powiedziai...

Markiza przerwała jej.

- Powiedział. I wiem też o Bradym czy Mullensie, jakkolwiek tam się nazywa. To odrażająca kreatura. Ale to nie ma nic do rzeczy.

- A co ma...?

- Mój syn panią kocha. Jest przekonany, że tylko pani da mu szczęście. Co więcej, sądzę, że i pani go kocha.

- Tak, ale...

- Zatem co innego się liczy?

Rachel zwierzyła się ze wszystkich swoich rozterek związanych z przyszłością Jake'a, a na koniec dodała:

- Z tego, co wiem, plotkarze nie uwzględnili faktu, że tak zwana wdowa Brady nigdy nie była żoną, ale kiedy się dowiedzą...

- Jeżeli się dowiedzą. Bardzo niewiele osób o tym wie. Robert nie powiedział nawet własnej żonie. I nie robi tego. Nie, myślę, że ten sekret jest bezpieczny, moja droga.

- Hmm.

- A co do innych pani trosk, nie są one całkiem bezzasadne, ale naprawdę uważam je za mniej ważne, niż się pani wy-

daje. Mając księżną Aylesworth po swojej stronie, nie musi się pani niczym martwić. Moja opinia także liczy się w pewnych kręgach.

Nagle Rachel poczuła się tak, jakby ktoś zdjął z niej straszliwe brzemię. Nie mogąc ukryć swojej radości, uśmiechnęła się szeroko do swego gościa.

- Dziękuję, lady Lounsbury. Dziękuję, dziękuję.

- „Lady Lounsbury”. Hmm. Cóż, pomyślimy, jak powinnaś się do mnie zwracać, skoro masz być moją córką. Może „mamo”?

Te słowa wycisnęły łzy z oczu Rachel.

25

- Znaleźliśmy go, panie - oznajmił Henry późnym wieczorem.

Jake i jego matka właśnie wrócili z teatru, dokąd wybrali się z Rachel i Aylesworthami. Jake miał nadzieję, że tak będzie, ale ucieszył się, że Rachel i jego matka dobrze się czują w swoim towarzystwie. Kiedy przyszedł do łoży po przerwie, zastał je siedzące obok siebie i chichoczące jak dwie uczennice.

- Czy to jakiś dowcip? - zapytał.

Wyglądały jak przyłapano na gorącym uczynku.

- Nie - odpowiedziała z ociąganiem jego matka - ale to taka kobieca złośliwośćka.

- Zatem być może nie chcę jej znać - rzekł, przybierając pozę pompatycznej prawomyślności.

- Tak naprawdę zastanawialiśmy się, ilu lokajów potrzeba teraz, żeby zasznurować gorset na księciu regencie - odparła lady Lounsbury, a kiedy odwróciła się, spoglądając z błyskiem w oku na Rachel, obie znowu zaczęły chichotać.

Jake zaśmiał się i potrząsnął głową.

331

- Dlaczego sądzą, że to „kobieca złośliwość”? Wczorajszego wieczora dwóch panów zastanawiało się nad tym samym u White'a. Jak mi się zdaje, nawet założyli się i wpisali zakład do księgi klubowej.

To rozbawiło je na nowo.

- Och, to dobre - powiedziała Rachel, ocierając oczy. - Powiesz nam, jaki był wynik, prawda?

W tej chwili wrócił też książę Aylesworth z żoną i im także trzeba było powtórzyć dowcip.

- Sądzę - odezwał się książę z całkowicie poważną miną - iż dojdziecie do wniosku, że potrzeba tylko jednego... ale że jest to drągał o wzroście sześciu stóp i dziewięciu cali i wadze ponad trzystu funtów*.

- Charles! - upomniała go żona, zaśmiewając się. - Jeśli książę regent usłyszy, że wygadujesz takie rzeczy, wykluczy cię ze swego najbliższego kręgu. Wiesz przecież, co się stało z Pięknym Brummlem**.

- Ach, ale Brummel nie zwracał uwagi na to, kto go słucha, a ja zwracam - odparł książę, zadowolony z siebie.

Jake cieszył się wspomnieniem udanego wieczoru w przyjaznym gronie. Udało mu się nawet odwieźć Rachel do domu własnym powozem, gdy matka pojechała wraz z księciem i księżną. Oczywiście, powinien podziękować swojej sprytniej mamie, że sprawy przybrały taki obrót. Oznaczało to przecież parę bardzo satysfakcjonujących pocałunków w drodze do domu.

Coraz więcej drobiazgów wskazywało na to, że następnym razem, kiedy będzie naciskał na Rachel, by wyszła za niego, ona powie „tak”.

*Czyli o wzroście przekraczającym dwa metry i wadze ponad stu dwudziestu kilogramów (przyp. tłum.).

**Beau Brummel (Piękny Brummel) - przydomek George'a Bryana Brummela. Ten zaprzyjaźniony z księciem regentem, znany z elegancji dandys wpłynął znacznie na modę męską XIX stulecia. Popadłszy w niełaskę, musiał opuścić Anglię; zmarł w biedzie na wygnaniu (przyp. tłum.).

A teraz pojawił się Henry z wieściami, na które Jake i Robert długo czekali.

- Brady, czy tam Mulens, zalewa smutki w tawernie „Dziura w Murze” w pobliżu doków. Thompkins ma na niego oko - wyjaśnił Henry.

- Jak dawno to było? - zapytał Jake.

- Nie minęła godzina, panie, i wyglądało na to, że zaprawił się tam niezgorzej. Nie sądzę, żeby stamtąd wyszedł.

- Ja się przebiore, a ty w tym czasie jedź do Roberta i przekaz mu wiadomość. Po drodze zabiorę was obu powozem. Z Thompkinsem będzie nas czterech. Powinno z powodzeniem wystarczyć - powiedział Jake.

- Tak, panie.

- Foster! - zawołał Jake. - Niech stangret John zaprzęga siwki do powozu.

- W tej chwili, panie.

Jake popędził po schodach na górę i szybko przebrał się w nierzucające się w oczy ubranie. Dziwnie wyglądałby w dokach w wytwornym stroju do teatru. Sprawdził pistolety - wszystkie trzy - i zatknął jeden za pasem. Wsunął też nóż w cholewę buta. Na wszelki wypadek...

W hallu natknął się na matkę.

- Będziesz ostrożny, prawda?

- Tak, matko. Nie martw się. - Pospiesznie cmoknął ją w policzek.

Robert i Henry już czekali. Henry wspiął się na kozioł, by usiąść obok stangreta i pokazywać drogę.

- Nie muszę ci mówić - odezwał się Robert - że Celia nie-słuchanie się interesowała, czemu wychodzę z domu o tak późnej godzinie. Właśnie wróciliśmy z Holland House.

- Co jej powiedziałaś?

- Bardzo niewiele, ale ona nie da mi spokoju, kiedy wrócę. Jake bardzo ostrożnie sformułował następne pytanie, ale musiał to wiedzieć.

- Czy ty... ehm... czy myślisz, że Celia wiąże Rachel Brady z Mullensem i z nami?

- Jeszcze nie. Ale Celia nie jest głupia, a w naszej wiejskiej posiadłości jest tyle osób, które znały tę pokojówkę i farmarę, za którego wyszła za mąż... - Robert przeczesał palcami włosy w geście niepokoju, który przypominałby Jake'owi jego samego, gdyby Jake miał czas myśleć o takich rzeczach.

Przez kilka minut obaj milczeli, a powóz toczył się po bruku londyńskich ulic. Potem Robert znów się odezwał.

- A tak przy okazji, Darby, ten detektyw, znalazł pierwszą panią Brady w wiosce niedaleko Newcastle.

- Prawdziwą panią Brady, hę?

- Ona i jej dzieci mieszkają na farmie u jej rodziców, ledwie wiążąc koniec z końcem. Darby powiedział, że było tam też dwoje czy troje innych dzieci.

- Nie jej?

- Nie, nie. Jej bracia i siostra.

- Czy Darby przedstawił jej nasz plan? - spytał Jake.

- Tak. Chętnie na niego przystanie. Wydaje się, że w tej sytuacji, choć to niewiele, to jej najlepsza szansa na zapewnienie przyszłości dzieciom.

- Jeśli ten parszywiec będzie współpracował.

- Będzie - odparł Robert. - Nie zostawimy mu wyboru.

Pojmanie Edwina Michaela Brady'ego Mullensa okazało się zaskakująco łatwe. Powóz zatrzymał się o kilka domów od tawerny. Jake, Robert i Henry zbliżyli się do tawerny, jak gdyby nigdy nic. Thompkins stał na zewnątrz, tuż przy drzwiach.

- Nadal tam jest? - zapytał Jake.

- Tak, sir. Suszy drugą butelkę.

- Jest sam?

- Mniej więcej. Siedzi sam, ale wygląda na to, że jest tu stałym bywalcem i zna innych.

- Gdzie siedzi?

Thompkins wskazał okienko z szybkami osadzonymi w ołowiu.

- Jest przy stoliku w tym rogu, po prawej. Tuż za drzwiami, jak się wchodzi.

- Robercie, idź pierwszy - zarządził Jake. - On cię zapew-

ne nie rozpozna. Ale, na miłość boską, bądź ostrożny. Rachel mówiła, że groził jej pistoletem.

- Tak jest, braciszku - powiedział rozbawiony Robert.

- Henry, ty i Thompkins osłaniajcie nas. Macie. - Wręczył im po pistolecie. - Są nabite. Nie używajcie ich, chyba że we własnej obronie.

- Tak, panie.

Weszli do środka, Robert na przedzie. Kilku bywalców spelunki spojrzęło z ciekawością na wkraczających czterech mężczyzn, którzy byli ubrani znacznie lepiej niż pozostali tutaj i którzy poruszali się z taką pewnością siebie. Kiedy zobaczyli pistolety w rękach Henry'ego i Thompkinsa, żaden się nie ruszył, chociaż któryś wymamrotał przekleństwo.

- Edwin Mullens? - zapytał Robert.

- Czego? - warknął Mullens, spoglądając w górę w pijackim ośpieniu. - Czego tam? - Potem spojrzęł za Roberta i dostrzegł Jake'a. Język plętał mu się nieco mniej, kiedy się odezwał: - Ty! Czego, do diabła, ty tu chcesz? - Popatrzył znów na Roberta. - Aha, ty musisz być ten drugi. Małe rodzinne spotkanie, co? - Zaśmiał się z goryczą.

- Idziesz z nami - powiedział Jake.

- Do diabła z wami.

Spróbował wstać, przesuając jednocześnie dłoń w stronę pasa.

Jake błyskawicznie skoczył naprzód, popychając go z powrotem na ławę.

- Nawet nie próbuj, Brady. Mamy cztery pistolety przeciwko twojemu jednemu.

- Czego ty ode mnie chcesz? - jęknęł Brady. - Masz kobietę. Jest twoja.

Jake i Robert chwycili go z dwóch stron i postawili na równe nogi. Jake wyjął pistolet zza paska Brady'ego i znając dobrze zwyczaje żołnierzy, wyjął też śmiertelnie groźny nóż z cholewy jego buta.

- A teraz idziesz z nami - powiedział Robert.

- Nie. Z wami dwoma nigdzie nie pójdę. - Próbował się

wyrwać z ich uchwytu. - Pomocy! - krzyknął do innych bywalców tawerny. - Ci przekłęci Forresterowie chcą mnie porwać, niech ich cholera. Nie pozwólcie im. Pomocy!

Jednak widząc Henry'ego i Thompkinsa, stojących nieruchomo z wycelowanymi w nich pistoletami, żaden z kompanów Edwina nie ruszył się, by odpowiedzieć na jego błagania.

Później Jake zastanawiał się, czy zrobiliby to, gdyby nie widzieli wycelowanych w siebie luf. Nie było żadnej wrzawy czy protestów, kiedy opuścili tawernę ze swoim więźniem.

Na zewnątrz związali Brady'emu ręce na plecach i Jake gwizdnął donośnie na stangreta z powozem. Wpakowali Brady'ego do pojazdu, po czym wsiedli tam Jake, Robert i Henry. Thompkins wspiął się na kozioł.

- Złapaliście go? - zapytała markiza wdowa, pojawiwszy się w bibliotece w koszuli nocnej, kiedy Robert i Jake świętowali wydarzenie wieczoru szklaneczką brandy.

- Przykro mi, jeśli cię obudziliśmy - powiedział Robert.

- Ależ nie obudziliście. I tak nie mogłam zasnąć, wiedząc, co obaj planujecie. Znaleźliście go? - Popatrzyła na synów. Jake wiedział, że nigdy nie myślała o Robercie jako o pasierbie, a nie synu.

- Tak właśnie - odpowiedział Robert.

- Co z nim zrobiliście?

- W tej chwili siedzi zamknięty w składziku w stajni - wyjaśnił jej Jake. - Thompkins i Ferris będą trzymać straż, dopóki rano nie zadecydujemy, co z nim zrobić. - Ferris był jednym z młodszych stajennych.

- Powinniście go chyba przekazać armii. - Markiza podeszła do kredensu i naląła sobie odrobinę brandy.

- Zapewne - odparł Robert. - Ale to mogłoby nie leżeć w naszym najlepiej pojętym interesie. Mogłoby wyjść na jaw jego pokrewieństwo z nami, a potem to rzekome małżeństwo. Znowu zaczęłoby się gadanie. A to by nie pomogło nikomu.

- Tak, rozumiem - powiedziała markiza. - Ale w takim razie co zrobicie?

- To już będzie zależało od Brady'ego... czy Mullensa, jak się teraz przedstawia - powiedział Jake.

Edwin Brady - to znaczy Mullens - był przerażony. Nie potrafił sobie przypomnieć momentu, w którym byłby bardziej przerażony tym, co może przynieść przyszłość. Po-przyσιάł zemstę Forresterom i rodowi Lounsbury, a teraz był całkowicie w ich mocy. Nie spodziewał się, że ta pokorna myszka, ugodowa Rachel, mogłaby zrobić cokolwiek innego, niż z nim współpracować. Teraz wyglądało na to, że poszła prosto do tego drania Forrestera. A tak w ogóle, to skąd się u niej wzięło tyle hardości, żeby mu się przeciwstawić?

Jazda powozem znacznie go otrzeźwiła. Potem go rozwiązano i wpakowano do składzika. Była tam prycza i koc. Dali mu też dwa wiadra; jedno z czystą wodą i czerpakiem. Przez szczeliny w ścianie mógł dostrzec latarnię - i strażnika.

Następnego ranka jeden ze strażników przyniósł mu bardzo solidne śniadanie, które pochłonął w mgnieniu oka. Edwin od wielu dni nie mógł sobie pozwolić na porządne posiłki. Właściwie to miał pieniądze na jedzenie albo na alkohol, ale nie na jedno i drugie. Swoje posiłki wołał wypijać.

Wreszcie przyszło po niego dwóch ludzi. W jednym z nich rozpoznał sługusa majora Forrestera z Półwyspu. Znowu związali mu ręce na plecach i zaprowadzili do rezydencji, do biblioteki, gdzie obaj Forresterowie - jego bracia, pomyślał z goryczą - już na niego czekali.

- Ty musisz być ten wielce szacowny Robert - powiedział do jednego z nich.

- W rzeczy samej.

Mullens odwrócił się do Jake'a.

- No, majorze. - Postarał się, by wypowiedzieć to słowo z pogardą. - Tak się mnie boisz, że musisz mnie trzymać związanego jak świniaka?

- To bardziej kwestia ostrożności niż strachu - wyjaśnił spokojnie Forrester. - Daj mi słowo, że będziesz stać spokoj-

nie, a każe zdjąć więzy. Jednak chyba powinienem cię uprzedzić, że w korytarzu czeka trzech uzbrojonych mężczyzn.

- Naprawdę jesteś ostrożny - odezwał się Edwin głosem pełnym pogardy. - Dobrze. Masz moje słowo.

- Rozwiążcie go, Thompkins. Potem poczekajcie w korytarzu z Henrym i Ferrisem.

- Tak, panie.

- Tak, panie - szyderczo zaśmiał się Edwin, kiedy Thompkins go rozwiązał. Kiedy więzy zniknęły, pomyślał z goryczą, że przez „panie” powinni się zwracać do niego.

- Siadaj - nakazał Robert, markiz Lounsbury, wskazując baryłkowane krzesło. Sam z Jake'em usiedli na krzesłach naprzeciwko Edwina.

- A teraz - zaczął Robert - damy ci kilka możliwości. Wybieraj.

Jake przedstawił pierwszą z nich.

- Możesz zostać przekazany komendantowi najbliższego posterunku żandarmerii, a w takim wypadku na pewno trafisz przed pluton egzekucyjny. Nawet w czasie pokoju armia nie bardzo kocha dezertorów.

- Albo - powiedział Robert - możemy cię oddać werbnikom marynarki i dopilnować, żeby cię wysłano do Nowej Południowej Walii*, gdzie zostaniesz na zawsze.

- Też mi możliwości - prychnął Edwin. - Trzymacie wszystkie karty w ręku. Musieliście też poznać talię?

Jake podniósł dłoń.

- A trzecia możliwość jest następująca: ty wraz z żoną, twoją prawdziwą żoną, i dwójką dzieci, wsiądziecie na statek płynący do Kanady.

- Do Kanady? Jasna cholera!

- Do Kanady - potwierdził Robert. - Rodzina ma tam dobrą placówkę handlu futrami. Choć z bólem, przyznaję, że

*Nowa Południowa Walia - stan we wschodniej części Australii. Od 1788 roku decyzją rządu brytyjskiego zasiedlany głównie skazańcami (przyp. tłum.).

w twoich żyłach płynie nasza krew. Będziesz tam pracował dla naszego człowieka i dostaniesz uczciwą zapłatę.

- Równie dobrze mogę pracować w londyńskim porcie - powiedział Edwin.

- Takiej możliwości nie masz — warknął Jake.

- Po dziesięciu latach - kontynuował Robert, jak gdyby nikt mu nie przerywał - jeżeli twoja praca okaże się tego warta i o ile interes z futrami nadal będzie przynosił zyski, uczynimy cię pełnoprawnym partnerem w tym interesie, z jedną trzecią udziałów, pod warunkiem, że zostaniesz w Kanadzie i nigdy nie wrócisz do Anglii.

Teraz zupełnie zaskoczony Edwin potrząsał głową, zбитy z tropu.

- Ja... nie rozumiem.

- Nie chcemy więcej skandali wiążących się z naszym nazwiskiem. Ani też nie chcemy, żeby jakikolwiek nasz krewny stanął przed plutonem egzekucyjnym. I chcemy, żebyś wyniósł się z kraju.

- Ponadto - dodał Jake - musisz zrobić coś dla swojej żony, Anny, i dwójki swoich dzieci.

- Aby mieć co do tego pewność - twardo kontynuował Robert - poprosimy Annę, by nas zawiadomiła, jeśli zastosujesz wobec niej jakikolwiek rodzaj przemocy, jak to masz w zwyczaju. W takiej sytuacji możesz być pewien, że miejscowe władze cię aresztują i... cóż, to zapewne będzie jednak Nowa Południowa Walia.

- Dziesięć lat? - zapytał Edwin.

- Dziesięć lat uczciwej pracy - odpowiedział Robert.

- Nie dajecie mi wielkiego wyboru, więc będę musiał jechać do Kanady - mruknął niechętnie Edwin.

- Słusznie - potwierdził Robert. - A teraz, jeśli powiesz nam, gdzie mieszkasz, pošlemy kogoś po twoje rzeczy. Zostaniesz tutaj w areszcie domowym, dopóki nie zobaczymy cię na statku płynącym do Kanady.

- Natychmiast pošlemy po Annę i dzieci - powiedział Jake.

- Powinni tu być za trzy dni.

- Zadbamy też, żebyście wszyscy zostali odpowiednio wyposażeni na tę podróż - dodał Robert.
- Pomyśleliście o wszystkim, co nie? - spytał Edwin, ale jakoś kpina w jego głosie przybladła.

Tydzień później Jake i jego brat odprowadzili trzeciego brata na statek płynący do Kanady. Wydawało się, że Brady, to znaczy Mullens - Jake wciąż miał trudności, żeby myśleć o nim inaczej niż „Brady” - pogodził się ze swym losem. Jake pomyślał, że może nawet Edwin nabrał jakiejś nadziei. Dlaczego nie miałoby tak się stać? Dostał szansę, by zacząć życie od nowa w całkowicie nowym otoczeniu. Sam Edwin wciąż miał posępną minę, ale jego żona Anna okazywała wielką wdzięczność.

Kiedy tylko Jake i Robert pogratulowali sobie sukcesu, znowu zaczęły się szerzyć plotki o Rachel. Któregoś wieczora markiza wdowa wróciła z przyjęcia karcianego rozszoszczona. Zadawano jej dość dwuznaczne pytania, „o tę kobietę, która się przedstawia jako pani Brady”.

- Pani Herman, w szkole zawsze nazywałyśmy ją „Wścibska Nora”, zapytała mnie nawet, czy to prawda, że ten Brady i Mullens to jedna i ta sama osoba!

- Och, wielkie nieba! - wykrzyknął Jake. - I co jej odpowiedziałas?

- Roześmiałam się i powiedziałam jej, że to śmieszne i że dziwię się, że dała się nabrać na taką wymyśloną historię. Powiedziałam jej po raz kolejny, że Brady zginął na Półwyspie, ale że Mullens też tam służył i że zamieszanie zapewne wzięło się z tego, że obaj byli w tym samym regimencie i nosili to samo imię. Potem wyjaśniłam, że Mullens był związany z dobrami Lounsbury w Devon i że moi cudowni, wielkoduszni synowie zrobili, co w ich mocy, by wspomóc dzielnego weterana wojny przeciw Bonapartemu.

Jake uściskał ją.

- Jesteś niezrównana. Jest w tym akurat tyle prawdy, że by przyniosło dobre skutki.

- Ostrożnie, kochanie. Pognieciesz mi suknię. - Jednak W jej głosie było słycać więcej zadowolenia niż irytacji. Nie potrzeba było geniusza, by wykryć źródło najnowszych plotek. Ferris, jak się okazało, pozostawał w bliskich stosunkach z jedną z pokojówek w Lounsbury House, zaś ta pokojówka była najlepszą przyjaciółką osobistej służącej młodej markizy.

Znowu Celia, pomyślał Jake.

Jake wraz z matką łamali sobie głowy, jak nakłonić Celię, by powściągnęła język, nie informując przy tym Roberta o złośliwej zazdrości jego żony. Jednak zanim znaleźli rozwiązanie, Robert przywiózł żonę na bardzo prywatne popołudniowe spotkanie. Cała czwórka spotkała się za zamkniętymi drzwiami saloniku. Celia, z jaskrawymi plamami na policzkach, nie wyglądała na uszczęśliwioną.

- Doprawdy nie mam pojęcia, po co tu jesteśmy - Oznajmiła na wstępie. - Mój drogi mąż, jak się wydaje, stracił rozum.

Ignorując ją, Robert popatrzył na matkę, potem na Jake'a.

- Jak przypuszczam, słyszeliście najnowsze sensacje?

Jake skinął głową, a markiza wdowa powiedziała:

- Tak. Wczoraj wieczorem.

- A wiecie, skąd wyszły? - zapytał Robert.

Raz jeszcze Jake skinął głową, a jego matka spoji-zała na Celię i powiedziała:

- Tak sądzimy.

- Czuję się niezmiernie zakłopotany, mówiąc to, ale wy daje się, że macie rację - oznajmił Robert.

Na twarzy Celi malowała się buntownicza wzgarda.

- Nie pojmuję, dlaczego podnosicie larum z powodu ja kiejś nieistotnej plotki o kobiecie, która nie jest nikim war tym uwagi, a do tego wykorzystała swoje powiązania z dwie ma szanowanymi rodzinami!

Jake poczuł, że twarz płonie mu gniewem. Raz jeszcze miał ochotę wymierzyć bratowej solidny policzek. Ale to jego matka zareagowała pierwsza.

- Ta plotka odbija się także na nas. Jest wiele istotnych kwe-

stii, przy których rozpatrywaniu w Parlamencie liczy się stanowisko naszej rodziny, a nie jest korzystne, kiedy w rodzinie panują nieufność i pogarda. To nie służy niczemu dobremu.

Celia machnęła lekceważąco ręką.

- Polityka! A cóż mnie obchodzi jakaś polityka.

- Ale resztę rodziny obchodzi - powiedział stanowczo jej mąż. - Te opowieści muszą się skończyć, tu i teraz.

- Jestem pewna, że niewiele da się zrobić w tej chwili - oznajmiła Celia wyniośle. - I jestem tak samo przekonana, że ta kobieta wplącze się znowu w jakąś skandaliczną aferę.

Doprawdy, już to zrobiła. A to, że chodzi do tego obrzydliwego szpitala i spoufała się z tą wulgarną tłuszcza. Och! -

Celia zadrżała w teatralnym geście.

Jej mąż popatrzył na nią z odrazą.

Rozwścieczony Jake wstał i potrząsnął jej palcem przed nosem.

- Słuchaj, ty...! Straciliśmy tysiące, tysiące! dobrych ludzi na Półwyspie, nie mówiąc już o innych walkach. Wielu na zawsze zostanie kalekami! A wszystko to, by bronić sposobu życia takich jak ty!

- Robercie! - zapiszczała Celia. - Masz zamiar pozwolić mówić mu do mnie w ten sposób?

Robert spojrział na nią wymownie.

- Jak dotąd, moja droga, wszystko, co powiedział, to tylko prawda.

- Cóż! - Celia udała wielce urażoną, po czym dodała nadąsanym tonem: - Cóż, nie dbam o to. Żadna kobieta posiadająca nieco wyrafinowania nie wystawiłaby się dobrowolnie na obcowanie z takimi... z takimi ludźmi.

Markiza wdowa odezwała się spokojnie:

- Powiedziałabym, że pomaganie innej ludzkiej istocie w potrzebie to najwyższa forma chrześcijańskiego miłosierdzia.

- Och. Och - jęczała Celia. - Wszyscy jesteście przeciwko mnie. I trzymacie stronę tej... tej... jej stronę. A przecież jestem waszą rodziną!

- Jeśli mam tu coś do powiedzenia - oznajmił Jake sta-

nowczym tonem - to Rachel także zostanie członkiem tej rodziny.

- Zatem widzisz, moja droga - stwierdziła jej teściowa - po prostu konieczne jest położenie kresu tym plotkom.

Celia spojrzała na Jake'a oskarżycielsko.

- Nie możesz sobie znaleźć kogoś innego? Kogoś bardziej/... bardziej; godnego szacunku?

Jake nie miał pojęcia, jak odpowiedzieć na takie pytanie.

Posłał tylko współczujące spojrzenie bratu.

- Poza tym - ciągnęła zadowolona z siebie Celia - nie mogę być odpowiedzialna za opowieści, które ludzie chcą rozpowszechniać w swoich salonach.

- Zapewne nie - zgodziła się markiza wdowa. - Ale ty, zwłaszcza ty, możesz zrobić wiele, żeby zdusić w zarodku te pogłoski, które do ciebie docierają.

- Dlaczego miałabym chronić kogoś, kto jest dla mnie... nie do przyjęcia?

Robert najwyraźniej miał dość.

- A może dlatego, że to leży w twoim własnym interesie?

- W moim interesie?

- Tak. Twoim. Bardzo lubisz życie w mieście, droga żono. No więc zrozum. Henryk II zamknął swoją żonę w wieży na kilka lat. Ja z pewnością mogę zamknąć cię na wsi i ograniczyć ci życie towarzyskie do odwiedzin rodziny. I odciąć cię od bardzo hojnych dochodów, z których tak chętnie korzystasz.

Celia zbladła.

- Och, Robertcie, nie mógłbyś mi tego zrobić.

- Mogę i zrobię to, jeśli pojawi się choćby najdrobniejsza plotka uwłaczająca Rachel, której źródłem będziesz ty. Co więcej, zrobisz, co tylko możliwe, żeby odwrócić szkody, które już zostały wyrządzone.

- Ja nadal nie rozumiem... - Celia wyraźnie wyczytała w wyrazie twarzy męża coś, co rzadko widywała do tej pory. -

Och, dobrze.

Jake pomyślał, że jest jasne, nawet dla Celi, iż Robert potraktował swoje ultimatum bardzo poważnie. Wysłuchiwała

rad teściowej, jak powstrzymać plotki, i zgodziła się - choć niechętnie - zrobić, co do niej należało.

26

Jake przez kolejne dwa tygodnie ograniczał spotkania z Rachel. Postanowił dać jej dosyć czasu na dokonanie niezależnego wyboru. W tym celu opuścił nawet Londyn na tydzień. Pod koniec tego tygodnia umierał wprost z pragnienia powrotu do miasta, gdzie mógłby ją przynajmniej widywać.

I widywał ją - podczas niezliczonych imprez towarzyskich. Rachel nie była może najjaśniej błyszczącą perłą na salonach, ale cieszyła się sporą popularnością wśród wyższych sfer. Ułatwiły jej to bliskie więzy z markizą wdową Louns-bury i z księżną Aylesworth, ale wkrótce zaczęto ją cenić za poczucie humoru i pełną ciepłą osobowość.

Jake cieszył się i był dumny, że rozkwitała podczas towarzyskich imprez, ale radość i duma nie zaślepiły go na tyle, żeby nie odczuwał ukłuc zawiści, kiedy widział ją tańczącą, żartującą czy zasiadającą przy stole z innymi mężczyznami.

Starał się znaleźć jakąś pociechę w fakcie, że większość ludzi uważała właśnie jego za faworyta w wyścigu - jeżeli trwał jakiś wyścig - do jej ręki. Rachel zawsze wydawała się uszczęśliwiona, widząc go, i odzyskali swobodę, cechującą ich pierwsze wspólne dni w Badajoz i późniejsze, na szlaku od Vitorii do Bayonne.

Czas spędzany w mieście nie ograniczał się tylko do bez troskich towarzyskich spotkań. Jake często zaglądał do szpitala. Odwiedzał własnych żołnierzy, ale nie był to jedyny powód wizyt. Często udawało mu się odprowadzić przy tym Rachel do lub ze szpitala. Kiedy ona zajmowała się swoimi obowiązkami, Jake rozmawiał z pacjentami, których znał, al-

344

bo wdawał się w długie dyskusje z MacLachlanem i Fergusonem.

Dla Rachel były to dni spełnienia i radości, niosące nadzieję na szczęśliwą przyszłość. Miała poczucie trwania w oczekiwaniu na coś, co miało się wydarzyć.

Jake opowiedział jej o tym, co się stało z Edwinem. Chociaż Rachel wiedziała, że Jake i jego brat postąpili tak, kierując się troską o reputację własnej rodziny, zdawała też sobie sprawę, że przynajmniej Jake działał i w jej interesie. Potem kiedy plotkarkom kryjącym się za wachlarzami znudził się temat Rachel, pogłoski ustały. Ze słów markizy wdowy

Rachel bez trudu wywnioskowała, że trojgu najbliższych członków rodziny Forresterów - skoro nie czworgu - leżało na sercu jej dobro.

Dla kogoś, kto dorastał bez prawdziwej rodziny, było to dosyć, by wycisnąć łzy z oczu - i łzy od czasu do czasu płynęły.

Rachel zaprzyjaźniła się z dziećmi Hendonów i spędzała z nimi niemal tyle samo czasu, co w szpitalu.

- Przysięgam, Rachel, że za każdym razem, kiedy cię szukam, znajduję cię tutaj, w pokoju dzieciennym - zawołała Libby. - Może powinnam cię zatrudnić jako nianię?

Rachel zaśmiała się.

- Nie masz nic przeciwko temu, prawda? Ja tak lubię dzieci.

- Nie mam nic przeciwko temu. Muszę ci przyznać, że rozpuściłaś je okrutnie, ale jak sądzę, jakaś surowa guvernantka albo nauczyciel wybije to z nich kiedyś!

- Chyba tak nie myślisz... - Po chwili Rachel zdała sobie sprawę, że Libby żartowała.

- Oczywiście, że nie. Bić moje dzieci? Nigdy, jeśli chciałby tu pracować.

Najmłodszy z Hendonów przywodził Rachel na myśl Benny'ego Clary. Miała nadzieję, że dziadkowie Benny'ego też go rozpieszczają.

Cokolwiek robiła w ciągu tych dni, wciąż towarzyszyły jej myśli i sny o Jake'u. Nawet kiedy nie było go przy niej, dominował w jej życiu. Ona, która uważała się za niezdolną

do oddania swojej przyszłości w ręce mężczyzny, teraz odkryła, że mogłaby to zrobić - gdyby tym mężczyzną był Jake. Ale czy on jeszcze kiedykolwiek wróci do tematu małżeństwa? Czy też zdołała całkowicie wybić mu to z głowy?

Aż któregoś popołudnia odwiedził ją, by zaprosić ją na przejażdżkę. Zamiast dwukółką, której się spodziewała, przyjechał powozem, ze stangretem swej matki na koźle. A zamiast pojechać do parku, pełnego o tej porze tych, którzy chcieli sobie popatrzeć na innych i żeby ich widziano, pojechali za miasto. To była długa droga; zdążyli porozmawiać o wielu sprawach i posiedzieć w milczeniu, zależnie od nastroju, ale było to milczenie przyjaciół.

Na koniec Jake zatrzymał powóz.

- Stań tutaj, John. - Jake wysiadł i podał rękę Rachel. Znaleźli się pod ogromnym wiązem, w którego pobliżu przepływał strumyk.

- Jake! Jakie idealnie piękne miejsce - powiedziała. - I mamy taki śliczny dzień. Czy znałeś wcześniej to miejsce?

- Tak naprawdę to znalazłem je wcześniej - przyznał. -

Pomyślałem, że doskonale posłuży moim zamiarom.

- Twoim zamiarom?

- Wszystko w swoim czasie, moja droga. Wszystko w swoim czasie.

Czułe słowa chwyciły ją za serce i rozpały jeszcze uczucie oczekiwania.

Jake wyciągnął rękę, a stangret John podał mu koc i kryty koszyk.

- Piknik? - zapytała uradowana Rachel.

- Coś w tym rodzaju. - Potem Jake powiedział do stangreta:

- Dziękuję, John. Wróć po nas za dwie godziny.

- Tak, panie.

Rachel zaczerwieniła się, widząc, że stangret uśmiecha się do Jake'a jak gdyby zachęcająco i szybko odjeżdża.

Jake postawił koszyk na trawie i rozłożył koc pod drzewem.

- Pani kanapa, madam. - Podał jej rękę, kiedy mościła się na kocu, a potem usiadł obok niej.

- Kryjesz pełno niespodzianek - powiedziała figlarnie.
 - Och, wątpię, czy to taka niespodzianka - odparł. - Bądź co bądź, znaleźliśmy się w tym samym miejscu już dwa razy.
 - Ja nie byłam tutaj nigdy w życiu - upierała się, wskazując ręką dookoła.
 - Nie tutaj. Tutaj. - Przerwał przekomarzanie pocałunkiem. To był pocałunek pełen czułości, tęsknoty i nadziei. Wreszcie powiedział: - Zatem do rzeczy. Czy wyjdiesz za mnie?
 - Och, Jake. - Rachel pieszczotliwie pogładziła jego policzek i brodę. - Już zaczynałam myśleć, że to ja będę musiała cię poprosić.
 - Zatem tak? - Radość zabłysła w jego oczach.
 - Tak, och, tak! - Przyciągnęła jego głowę do swojej. Tym razem pocałunek wyrażał pasję, dzikie pragnienie.
 - Nareszcie! - powiedział i sięgnął do koszyka. Wyjął butelkę szampana i dwa kieliszki.
 - Zamierzasz mnie upić i uwieść? - zapytała z nadzieją.
 - Na pewno nie, kochana. - Spojrzał na nią poważnie. - Następnym razem, kiedy będziemy się kochać, będziesz już moją żoną. I im szybciej, tym lepiej.
 Rachel uśmiechnęła się.
 - Och, całkowicie się z tym zgadzam.
 Stuknęli się kieliszkami i wypili szampana, spoglądając sobie w oczy ponad brzegami kieliszków.
 - To dobrze. Cieszę się, że się zgadzasz. - Wyjął z kieszeni dokument.
 - Co to jest?
 - Specjalne zezwolenie.
 Rachel przeczytała je dokładnie.
 - Ale... ta data... - Podniosła wzrok i spojrzała na niego z rosnącym zdumieniem.
 - Wiem. Dostałem je razem z tym dla Humphreya i Luizy. Jeżeli nie wykorzystamy go do końca tygodnia, będę musiał pójść tam po następne.
 - Och, cóż - odrzekła pogodnie. - Z pewnością nie chce-

my, żebyś zadawał sobie tyle trudu, prawda? - Pocałowała go znowu i wzniesli kolejny toast.

- Rachel? - Tym razem jego ton był poważny. - Jesteś pewna? Chcę, żebyś była szczęśliwa. Wiem, jak cenisz sobie swoją niezależność.

- Jestem pewna. Myślę... Myślę, że można zachować do pewnego stopnia samodzielność i w ramach małżeństwa, a ty? Bez ciebie moja niezależność byłaby tylko samotnością.

Uścisnęła ją mocno, a w oczach zalśniły mu powstrzymywane łzy szczęścia. Rachel wiedziała, że tak samo lśni i jej oczy.

- Lepiej opowiem ci o tym, czym się ostatnio zajmowałem - powiedział.

- Knowaniami i planami? - droczyła się.

- Zorganizowałem przyjazd do Trenton Abbey mówiącego po hiszpańsku nauczyciela, żeby przygotował Juana do szkoły.

- To dobra wiadomość. Juan to bardzo bystre dziecko i garnie się do nauki. Cieszę się, że dajesz mu taką możliwość.

Jake tylko skinął głową.

- Nie marnowałem też czasu, kiedy czekałem na ciebie w szpitalu.

- Wiem, że odwiedzałeś wielu pacjentów. Oni to tak doceniają. Są tacy, których nikt nigdy nie odwiedził.

- Rozmawiałem też długo z MacLachlanem. Czy wiedziałaś, że marzy o otwarciu na wsi szpitala dla weteranów? Uważa, że świeże powietrze byłoby dla nich najbardziej korzystne.

- Tak, nawet dostarczyłam mu na to część funduszy.

- Wiem.

- Wiesz? - Była zaskoczona, bo nigdy nie rozmawiali o tym wcześniej, a Mac nie wspominał, że podzielił się swoim marzeniem z Jake'em.

Uśmiechnął się szeroko.

- Tak, wiem. Moja matka też zamierza się dołożyć. Tak samo Aylesworth. I jesteśmy pewni, że znajdą się także inni.

- Jak cudownie. Mac będzie szczęśliwy. Ale... gdzie?

- W Wiltshire, na skraju posiadłości zwanej Trenton Abbey.

- Jake! Ty ofiarowałeś grunty?

- Cóż, musiałem znaleźć jakiś sposób, żeby pozwolić mojej żonie na zachowanie niezależności i jednocześnie nadal mieć ją blisko siebie.

- I tak będzie zawsze!

Komentarz historyczny

Chociaż pochodzenie tej praktyki sięga czasów Średniowiecza, sprzedaż żon zdarzała się wśród klas niższych w Anglii przez cały wiek osiemnasty, a także w wieku dziewiętnastym. Nazywano ją „rozwozem ubogich”. Zapewne można ją uważać za pierwowzór rozwodu bez orzekania o winie w czasach współczesnych. Było to wydarzenie publiczne, przeprowadzane za zgodą obu stron. Sprzedaży żony dokonywał mąż zazwyczaj po to, by uwolnić się od finansowej odpowiedzialności za swą małżonkę, kiedy zaczynała życie z innym mężczyzną.

Nielegalna zarówno z punktu widzenia sądów kościelnych, jak i świeckich, sprzedaż żon była powszechnie potępiana przez prasę, niekiedy też występowała przeciwko niej członkowie Parlamentu. Najczęściej uciekali się do sprzedaży żon robotnicy. Lawrence Stone sugeruje, że praktyka ta była bardziej legendarna niż rzeczywiście powszechnie stosowana. Odnotowuje zaledwie trzysta zapisanych przypadków sprzedaży żon, a i tak niektóre z tych przypadków uznaje za wątpliwe. Stosowanie tej praktyki osiągnęło swoje apogeum w latach 20-tych i 30-tych XIX wieku; ostatni zanotowany przypadek miał miejsce w 1887 r.

Sprzedaż żon przeprowadzano podobnie jak sprzedaż bydła. Często odbywała się na placu targowym, gdzie handlowano zwierzętami. Zarówno cena, jak i osoba kupującego były zwykle umówione wcześniej. Żonę przyprowadzano na miejsce „sprzedaży” z symbolicznym arkanem na szyi i stąd odprowadzał ją już nowy „właściciel”^{*}.

^{*}Por.: Lawrence Stone, *The Family, Sex, and Marriage in England 1500-1800*, 1979; *Road to Divorce*, 1990; *Broken Lives*, 1993. Thomas Hardy wspomina o sprzedaży żon w *Mayor of Casterbridge* (przyp. aut.).

Nie znam żadnego zapisu na temat przypadków sprzedaży żon wśród wojsk Wellingtona na Półwyspie Iberyjskim, ale taka sytuacja nie jest wykluczona.

Jeżeli chodzi o kampanię na Półwyspie Iberyjskim: pozwoliłam sobie na wprowadzenie pewnych zmian podstawowych faktów i ram czasowych walk wojsk Wellingtona na tym terenie, ale starałam się dodać do opisu wiarygodne szczegóły dotyczące życia codziennego.

Niektórzy mogą mieć wątpliwości, czy londyńskie wyższe sfery łatwo zaakceptowałyby Rachel po jej powrocie do Anglii. Rachel miała jednak poparcie księcia i markiza - no i były to czasy Regencji, nie Anglia wiktoriańska. Powszechnie znane były problemy małżeńskie samego regenta; stanowiska w tej sprawie zajmowali nawet parowie. Wyższe sfery z czasów Regencji zaakceptowały także lady Caroline Lamb*, pomimo jej niekiedy oryginalnego zachowania. Tym bardziej mogłyby zaakceptować spokojną i wielkoduszną Rachel.

* Lady Caroline Lamb, autorka kilku powieści, znana m. in. ze skandalu wywołanego romansem z poetą George'em Byronem. Zasłynęła z otwartego podważania konwenansów swej epoki i środowiska ((przyp. aut.).